

Debbie Macomber

ŻONA Z OGŁOSZENIA

Dla Karen Solem, która dała mi pierwszą życiową szansę.

I to dwa razy!

Rozdział 1

Nie gospodyni panu trzeba, panie Thompson, tylko żony.

Żony. Słowo to przeszło Travisa jak kula; zerwał się na równe nogi. Wcisnął na głowę kapelusz, który zasłonił ostro zarysowane kontury szczęki i kości policzkowych. Wyraźnie zbladł pod ciemną opalenizną.

Minęły dwa miesiące od pogrzebu brata i bratowej. Travis prawie ani razu nie wytknął nosa z domu na ranczo, odkąd został opiekunem ich trojga dzieci. Cholera, myślałby kto, że trzydzieści sześć lat spędzonych przy pracy na gospodarstwie gdzieś się rozwiało, a on został stuprocentową mamuszką! Nic tylko gotował, prał i czytał bajki przed snem.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że zdaniem pięcioletniej Beth Ann i obu chłopców, Jima i Scotty'ego, zupełnie sobie z tym nie radził.

- Mamusi nie podobałoby się, że ciągle mówisz „g...”. - oświadczała Beth Ann, ilekroć mu się wymknęło to poręczne słówko.

Dziewczynka przemawiała takim tonem, jakby bratowa mogła w każdej chwili wstać z grobu i zwrócić Travisowi uwagę. Cholera, pewnie by tak zrobiła, gdyby mogła.

- Mamusia mówiła zamiast tego „jogurt” - oznajmiła Beth Ann.

Miała oczy Janice. Wszystko w tej kruszynie przypominało Travisowi

drobniutką bratową. Gęste blond włosy, delikatny uśmiezek, karcące spojrzenie zmrużonych oczu. To mówiło więcej niż słowa! Janice potrafiła udaremnić każdą sprzeczkę i uciszyć Trávisa jak nikt. Patrzył teraz na Beth Ann i serce mu się ścisnęło. Boże święty, jak mu brakowało Janice! Prawie tak samo jak brata!

- Wasza mama mówiła, „jogurt”? - spytał Travis, pewny, że się przesłyszał.

Jim skinął głową.

- Mamusia wolęła mówić „jogurt” niż „gówno”.

- „Jogurt” to śliczne słowo - dodała Beth Ann.

- Jeśli któreś z nas wpakowało się w tarapaty - szybko wyjaśnił ośmioletni Scotty - mamusia mówiła: „Ugrzęzłeś po uszy w jogurcie”.

Chłopiec najwyraźniej sądził, że wszystko wytłumaczył.

Wkrótce Travis przekonał się, że problemy językowe stanowiły wierzchołek góry lodowej. Nie minął tydzień, a odkrył, że jeśli upierze razem chłopięce i dziewczęce ubrania, to z garderoby bratanicy niewiele zostanie. Cholera, nie miał o tym pojęcia! Skończyło się na tym, że Beth Ann chodziła teraz do kościoła w różowej sukience, a nie w białej. Mogło być gorzej.

Z samym kościołem też jest problem, rozważał posepnie Travis. Dotąd przeważnie zjawiał się w kościele wtedy, gdy przyszła mu na to ochota. Przyznawał bez bicia, że zdarzało się to raz do roku albo rzadziej. Teraz wyglądało na to, że powinien co tydzień odholować do szkoły niedzielnej całą trójkę. Łatwiej było pędzić sto sztuk bydła, niż utrzymać te dzieciaki w ryzach i zdążyć do kościoła na czas.

Janice z pewnością życzyłaby sobie, żeby jej dzieci były wychowywane po chrześcijańsku - oświadczyła twardo Travisowi Klara Morgan podczas pierwszej ze swych wizyt, które miały się odtąd powtarzać co tydzień.

Boże strzeż przed takimi wścibskimi, starymi babami!

Pan Bóg jednak od dawna przestał wysłuchiwać próśb Trávisa. Zapewne

dlatego, że tak szastał słowem „gówno”.

Kłopoty spiętrzyły się poprzedniego dnia. Niebiosa świadkiem, że Travis robił, co mógł dla dzieci Lee i Janice. Na dobrą sprawę oddał wszystkie sprawy na ranczo w ręce parobków. Cały czas zabierały mu różne opiekunki społeczne, stare babska z miejscowego oddziału Towarzystwa Rozwoju Rolnictwa i Hodowli, mającego na celu popieranie rozwoju rolnictwa i hodowli. I oczywiście troszczenie się o troje osieroconych dzieci.

Kropla przepełniła czarę, gdy Travis zjawił się przed kilkoma dniami na ranczo z ciężarówką pełną produktów żywnościowych. Chłopcy - Jim i Scotty - pomagali mu wnosić do domu zapasy.

- Nie kupiłeś tych dietetycznych mrożonych gotowych obiadów? - dopytywał się Jim, taszcząc razem z bratem dwudziestopięcioletni worek mąki do kuchni.

- Nie. Mówiłem już wam, chłopcy, to była pomyłka.

- Smakowały jak...

- Jogurt - zakończył z irytacją Travis.

Scotty skinął głową, a Beth Ann spojrzała na wujka z aprobatą.

Travis zajął się zdejmowaniem desek na ogrodzenie, które zdobył w mieście, a dzieciom pozostawił przenoszenie reszty żywności. To był jego drugi błąd, po nim nastąpiły kolejne.

Gdy wszedł do domu, miał wrażenie, że znalazł się w wielkomiejskim smogu. Kuchnia, pokryta cienką warstwą mąki, wyglądała jak po burzy piaskowej. Beth Ann wydawała się jeszcze mniejsza niż zwykle; machała szaleńczo miotłą, ale sytuacja najwyraźniej ją przerastała.

- Co się tu stało, do wszystkich diabłów?! - zagrział Travis.

- To wszystko wina Scotty'ego - zawołał Jim. - Puścił swój koniec worka.

- Był strasznie ciężki - tłumaczył Scotty. - I zaczepił się o gwóźdź.

Gwóźdź! Nikt nie musiał mówić Travisowi, o jaki gwóźdź chodzi. Wystawał

z podłogi od dwóch lub trzech dni... Choć może raczej od tygodnia. Albo i dłużej. Travis miał szczerzy zamiar go przyklepać. Wbiłby go od razu, gdyby sądził, że to niebezpieczne, ale wcale tak nie uważał, więc odkładał operację z dnia na dzień.

- Chciałam zmieść mąkę - wyjaśniła Beth Ann, pokaszując.

Travis pomachał ręką przed oczyma i ujrzał, jak zawartość cennego worka z mąką osiada we wszystkich kuchennych szczelinach.

- Nie kłopotz się tym - powiedział i wyjął bratanicy z ręki miotłę. Ustawił ją pod ścianą i mierzył wzrokiem rozmiar szkód.

- Gdyby Scotty nie był takim mięczakiem, nic by się nie stało - oświadczył Jim.

- Wcale nie jestem mięczakiem! - wrzasnął Scotty i rzucił się na brata.

Zanim Travis zdążył ich powstrzymać, obaj tarzali się już po podłodze, bijąc się jak dwa niedźwiadki i wzniecając na nowo mączny kurz. Travis rozdzielił ich siłą, kazał Jimowi iść do stajni do stałych obowiązków, a sam zaczął sprzątać bałagan.

Porcelanowy zlew wypełniał stos brudnych naczyń. Talerze z wczorajszej kolacji, talerzyki i kubki z dzisiejszego śniadania. Do zmywarki, gdzie powinny się znajdować czyste naczynia, jakimś sposobem także wcisnęły się brudne. Na kuchni odmiękały w gorącej wodzie garnki z zaskorupiałymi resztkami jedzenia. Travis miał wrażenie, że wszystkie kuchenne utensylia poniewierają się na stole pod ścianą.

Do obrzydliwego widoku dołączał swąd przypalonych klusek z serem; unosił się w powietrzu jak wspomnienie czegoś, co wprawdzie dawno umarło, ale jeszcze nie zostało pogrzebane. Kluski mieli zjeść na lunch, ale Travis za mocno je podgrzał w kuchence mikrofalowej. Świństwo śmierdziało jeszcze bardziej niż ciasteczka, do których się przymierzył przed tygodniem. Na opakowaniu przeczytał, że należy je piec przez dwadzieścia minut, więc nastawił odpowiednio

mikrofalówkę, zanim się połapał, gdzie popełnił błąd. Powinno się piec dwadzieścia minut w zwykłym piekarniku. Unicestwił w ten sposób nie tylko ciasteczka. Musiał wyrzucić także brytfannę.

Utrata naczynia z żaroodpornego szkła nie była jednak największym zmartwieniem Trávisa.

Jim wrócił ze stajni po kilku minutach - stanowczo za wcześnie, by móc porządnie wypełnić swoje obowiązki. Kiedy Travis spytał o to chłopca, ten przybrał postawę obronną. Gorzka wrogość Jima niweczyła opanowanie Trávisa. Hamował się z najwyższym trudem, by nie chwycić smarkacza za ramiona i nie potrząsnąć nim z całej siły. Miał ochotę wrzeszczeć, że i on nie cieszy się wcale z obecnego stanu rzeczy, ale że powinni razem jakoś się z tym uporać. Byli przecież rodziną.

Ale jak to wyjaśnić zrozpaczonemu dziecku, które niedawno straciło oboje rodziców? Travis nie potrafił sobie z tym poradzić, podobnie jak z wieloma innymi problemami.

Nie umiał znaleźć właściwego rozwiązania i nie wiedział, jakim cudem wychowa dzieci brata. I wtedy właśnie doszedł do wniosku, że potrzebuje kogoś do pomocy. Pojechał do Miles City, aby postarać się o gospodynię.

- Bardzo mi przykro, panie Thompson - stwierdziła matrona z agencji pośrednictwa pracy, wrywając Trávisa z zamyślenia. W jej piwnych oczach błysnęło współczucie. - Nie mamy w naszej kartotece nikogo, kto zgodziłby się zamieszkać na niewielkim ranczu na zupełnym odludziu, w dodatku za wynagrodzeniem, jakie pan proponuje.

- Na więcej mnie nie stać. - Travis i tak ledwo wiązał koniec z końcem. W dodatku przybyły trzy gęby do żywienia. Będzie musiał także pomyśleć o odzieży. Po opłaceniu kosztów pogrzebu z „majątku” Lee i Janice nic nie zostało, a to, co Travis otrzymał z ubezpieczenia, nie pokryło nawet części wydatków.

Odczekał chwilę, żeby się opanować.

- Wobec tego, co mi pani radzi?

- To, co powiedziałam na samym początku. Niech pan sobie znajdzie żonę.

- Żonę - powtórzył Travis marszcząc czoło.

Ależ wdepnął w gówno! W cholerne gówno! Aż się wzdrygnął: wydało mu się, że słyszy karcący głosik Beth Ann.

- Bardzo mi przykro, ale nie mogę panu w niczym pomóc - ciągnęła matrona, chowając rejestr.

Travisa ogarnęła panika; zalała go jak fale powodzi.

- W porządku - mruknął. - Zrobię to.

- Doskonale - odparła rozmówczyni z godnym skinieniem głowy. - Sądzę, że to będzie dla pana najlepsze rozwiązanie. Pewnie ma już pan konkretną osobę na myśli?

- Nie - powiedział Travis szorstko i szczerze. Może pani zna jakąś dziewczynę, która by za mnie wyszła i zajęła się tą kupą bachorów?

Kobieta, nieco zaskoczona, roześmiała się przez grzeczność.

- Ależ skądże, panie Thompson. Poszukiwanie gospodyni odpowiadającej pana wymaganiom i tak przekroczyło zakres zwykłych obowiązków naszej agencji. A już na pewno nie jesteśmy biurem matrymonialnym.

Travis podziękował i pospiesznie opuścił biuro. Zaparkował przed nim swą ciężarówkę z wgiętym błotnikiem i zardzewiałą tylną klapą. Wygląd starego, zdezelowanego samochodu doskonale odpowiadał stanowi ducha właściciela. Żona! Cholera jasna, nie znał w Grandview żadnej baby, która zgodziłaby się za niego wyjść, a gdyby nawet znał, skąd wziąć czas na konkury?!

Siedział w pikapie z ramionami skrzyżowanymi na kierownicy i starał się trzeźwo ocenić sytuację. Dobrze wiedział, co się stanie, o ile szybko nie nastąpi jakaś poprawa. Władze stanowe już oddelegowały opiekunkę społeczną do

zbadania sytuacji. Shirley Miller była, a przynajmniej starała się być pomocna. Podczas ostatniej wizyty doradziła mu, by zatrudnił gospodynię. Choć Travis nie usłyszał z jej ust żadnych złowieszczych zapowiedzi, przesłanie pani Miller było najzupełniej jasne. O ile na ranczo „Trzy T” nie zostaną stworzone odpowiednie warunki dla Jima, Scotty’ego i Beth Ann, trzeba będzie umieścić dzieci w rodzinach zastępczych. Ta niewypowiedziana groźba wisiała nad głową Trávisa, tak samo jak nie płacona od trzech miesięcy rata hipoteczna.

Konieczność oddania w obce ręce dzieci Lee i Janice wydała się Travisowi czymś jeszcze gorszym do zniesienia niż problem jego własnego ożenku. Dzieci były jego jedynymi krewnymi, nie mógł przecież zawieść zaufania zmarłego brata i bratowej!

Żona.

Travis zupełnie nie wyobrażał sobie siebie w roli męża. Dotąd w ogóle nie myślał o małżeństwie. Z tego, co widział, wynikało jasno, że z babami są tylko kłopoty: zawsze czegoś chcą, nigdy nie zostawią człowieka w spokoju. Wiedział z doświadczenia, że stale wścibiają swoje cholerne nosy w sprawy, które do nich nie należą.

Z drugiej strony to, że się miało kobietę pod bokiem, gwarantowało też pewne korzyści. Travis na przykład nie miałby nic przeciwko temu, żeby jego potrzeby seksualne były regularnie zaspokajane.

Podczas swoich niezbyt częstych wypadów do Billings zazwyczaj lądował w łóżku znajomej kelnerki. Nie był aż tak naiwny, by brać poważnie zapewnienia Carli o wiecznej miłości. Travis był szorstki, twardy, podobno czasem niebezpieczny. Carla zapewniała go, że jest „prawdziwym mężczyzną”, choć diabli wiedzą, co właściwie miała na myśli. Travis podejrzewał, że chodziło o seks; namiętny i jak najczęstszy.

Gdyby szukał żony, która by mu odpowiadała w łóżku, wybrałby Carlę, ale

nie szło przecież o zaspokojenie własnych zachcianek. Potrzebował porządnej kobiety, która matkowałaby dzieciom Lee i Janice.

Westchnął i przesunął dłonią po twarzy, starając się zebrać myśli. Jednego był pewien: znalezienie żony nie będzie łatwe.

Podczas długiej drogi powrotnej z Miles City do Grandview Travis zatrzymał się w lokalnym wodopoju, czyli knajpie „Pod drwalem”. Dzieci nie wrócą ze szkoły wcześniej niż za godzinę, a on musiał napić się piwa, żeby mu się rozjaśniło w głowie.

Usiadł na stołku przy barze i położył kapelusz na lśniącym mahoniowym blacie.

- Cześć, Travis - rzucił krótko Larry Martin, zajmując sąsiedni stółek. - Jakoś cię ostatnio nigdzie nie widywałem.

- Byłem zajęty. - Travis wziął zimne piwo i pociągnął trzy duże łyki. Odświeżywszy zaschnięte gardło, otarł ręką usta i spojrzał uważnie na swego sąsiada. Lubił Larry'ego, uważał go za przyjaciela, choć może raczej za dobrego kumpla. Mieli ze sobą wiele wspólnego. Obaj spędzali więcej czasu na końskim grzbiecie niż w betach. Żaden z nich się nie cackał ze sobą. I żaden nie przepuszczał okazji do bójki, zwłaszcza po paru piwach aż buchali oburzeniem z racji jakiejś zniewagi. Nieraz i oni brali się za łby.

Żaden z nich nie był gadułą.

Larry spuścił wzrok na piwo, które obracał w rękach.

- Jak leci?

Travis wzruszył ramionami.

- Może być.

- Masz podobno u siebie troje dzieci brata.

Travis odpowiedział energicznym skinieniem głowy.

- Bardzo się zmartwiłem, gdy usłyszałem o Lee i Janice.

Travis zacisnął szczęki. Nie lubił wspominać o wypadku samochodowym, w którym zginęli jego brat i bratowa; zawsze mu się wtedy przypominało, że nie znaleziono jeszcze tego, który zepchnął ich wóz z szosy. Jeśli można było w tej sytuacji dziękować za coś Bogu, to chyba tylko za to, że dzieci nie jechały wtedy razem z nimi.

Travis pociągnął łyk piwa. Miał dość bieżących problemów, by rozmyślać nad śmiercią dwojga najdroższych mu w świecie osób.

- Jakies kłopoty? - spytał Larry.

Travis skinął głową, myśląc o nie wyrażonym słowami ostrzeżeniu ze strony opiekunki społecznej.

- Chyba będę sobie musiał znaleźć żonę.

Larry odwrócił głowę ku niemu tak gwałtownie, że omal nie skręcił sobie karku.

- Żonę?!

- A co gorsza, nie mam pojęcia, skąd ją wytrzasnąć. W mieście nie ma ani jednej, co by mnie chciała.

- A Berty?

Była to fryzjerka mieszkająca w Pine Bluff, trzydzieści mil na południe. Travis przypomniał sobie, że była niebrzydka, ale trochę za koścista.

- To rozwódka i ma już jedno czy dwoje... - Miał już na głowie troje, wcale mu nie zależało na powiększeniu gromadki.

- A Tilly?

To była myśl! Tilly pracowała jako kelnerka w miejscowej kawiarni. Była ładna, miła jak kotek, miękka i czuła.

- Wpadł jej w oko syn doktora - mruknął Travis i znów pociągnął łyk piwa. -
Przychodzi ci na myśl ktoś jeszcze?

Był już porządnie zaniepokojony. Jeśli sam nie wynajdzie kobiety, z którą

chciałby się ożenić, i jeśli Larry nikogo nie wytrzyma, to co ma właściwie zrobić!

Po dłuższej chwili Larry potrząsnął głową.

- Nigdy nie myślałem, że będziesz szukał żony.

- Mnie wcale się do tego nie pali - przyznał ponuro Travis. Z butelką piwa przy wargach rozważał sytuację, widząc wszystkie złe strony tego przedsięwzięcia.

- Cholera, nie mam pojęcia, jak to zniosę. Przyzwyczyłem się żyć, jak mi się podoba. Żadna kobieta na to nie pozwoli.

- Masz jak w banku.

Travis dobrze wiedział. Tak samo jak Larry.

- Baby lubią gadać - mruknął Travis pogardliwie, myśląc o chwilach spędzonych z Carlą. - I w dodatku nigdy nie przyznają, że to zwykła paplanina, zauważyłeś? Na to są zbyt delikatne! O nie, nazywają to „wymianą myśli”!

- Masz rację - zawtórował mu Larry. - A jak się skończycie kochać, to na co baba ma ochotę? Połpi taka czy poje jak normalny człowiek? A skądże, zbiera jej się wtedy na gadanie, a jak się zdarzy, że przyśniesz, kiedy ci coś szczebiocze w ucho, to zaraz się obraża.

Travis skończył piwo i odsunął pustą butelkę.

- I jeszcze jedno: wpuść babę do domu, a zaraz zaczniesz wszystko „poprawiać”. Niczego nie zostawi w spokoju; tu coś pomaluje, tam zawiesi firanki czy falbanki. Moim zdaniem to tylko strata czasu i forsy.

- Jeśli się ożenisz, na pewno tak się skończy - dodał Larry.

Travis spochmurniał, a zmarszczka na jego czole jeszcze się pogłębiła. Zamówił następne piwo.

Stan, łysy i opryskliwy barman, podszedł do siedzących przy barze mężczyzn.

- Jakież kłopoty?

- Travis musi sobie znaleźć żonę.

- To co? - spytał Stan. - W czym problem? Świat jest pełen bab, które aż się

rwą do jedwabnego życia!

Każda kobieta, która poślubiłaby Trávisa w nadziei na jedwabne życie, szybko straciłaby złudzenia. Choć Travis nie miał wcale zamiaru wyciskać z niej krwawego potu na ranczo. Potrzebny był mu tylko ktoś, kto zadba o dzieci jego brata. Jeśli, chcąc zdobyć taką opiekunkę, musiał się z nią ożenić, uważał, że ma prawo żądać, aby z nim sypiała.

- A jakiej dziewczyny szukasz?

Travis nie był pewien, czy dobrze zrozumiał pytanie.

- Osobiście lubię długonogie kobitki.

Wielu facetów leciało na duży biust, ale dla Trávisa rozmiar stanika niewiele znaczył. Wystarczy, że będzie miał pełne ręce i usta - reszta to czysta bzdura.

- Długie nogi - powtórzył Stan z aprobatą.

- Aż do samej szyi - ujął to wdzięcznie Travis. - Lubię też sprężysty, zwarty zadek.

- Pewnie lepiej, żeby go dla każdego nie rozwierała - wtrącił Larry ze śmiechem.

- Zależy ci na dziewicy? - spytał Stan, robiąc dziwny ruch głową, jakby chciał powstrzymać wybuch śmiechu. - Wątpię, czy w Grandview jeszcze się jakaś uchowała.

Travis sięgnął po piwo, ale idący do głowy sólód nie smakował mu już tak jak poprzednia kolejka.

- Prawdę mówiąc, potrzebna mi gospodyni. Kłopot z tym, że żadnej nie mogę znaleźć, a jakbym znalazł, pewnie nie miałbym jej czym zapłacić.

- Żona też niemało kosztuje - poinformował go bezzwłocznie barman. - Dobrze to wiem: żeniłem się trzy razy, a co jedna to była droższa. Po co bym, do diabła, siedział w takiej dziurze jak Grandview, gdybym się nie chował przed tymi naciągaczkami?

- A co powiesz o tych paniach z parafii? - podsunął Larry, jakby go nagle olśniło. - Takie to w sam raz do żeniaczki!

Travis zdążył już poważnie zastanowić się nad wszystkimi kobietami należącymi do tutejszego zboru metodystów. Chociaż pewnie żadna nie chciałaby mieć z nim do czynienia. O ile pamiętał, wszystkie były zamężne prócz trzech wdów około siedemdziesiątki i dwóch czy trzech nastolatek z szynami na zębach. Gdyby się zbliżył do którejkolwiek, pewnie wylądowałby w kiciu. W całym mieście nie było ani jednej kobiety, którą mógłby sobie wyobrazić w swoim łóżku. A jeśli już musi się ożenić, to, do jasnej cholery, przynajmniej z kimś, kogo by z przyjemnością oglądał na golasa.

- Co mi radzisz?

- Jeśli mówisz poważnie, daj ogłoszenie w prasie - zawyrokował Stan.

Travis nie miał nastroju do żartów, ale pomysł Staną wydał mu się cholernie zabawny.

- Ale zbyty!

- Żadne zbyty. Żebyś wiedział, ilu facetów to robi!

- Gdzie coś takiego zamieszczają?

Stan wynurzył się zza baru i przeszedłszy przez cały lokal zdjął z kulawego stojaka lokalną gazetę. Wrócił na swoje miejsce i położył pisemko z trzaskiem na barze.

- Jest tu z pięćdziesiąt albo i więcej ogłoszeń, wszystkie od facetów szukających żony albo podrywki. Czasem i kobiety się ogłaszają.

Travis wymienił z Larrym ubawione spojrzenie. O ile było mu wiadomo, jedyne ogłoszenia na łamach „Little Dime” dotyczyły używanego sprzętu, starych mebli, pokątnych wyprzedaży i tym podobne. Gazetka rozchodziła się na obszarze dwóch powiatów co dwa tygodnie. Travis czytywał ją tylko wtedy, gdy wpadał coś przekąsić „U Marty”, w lokalu, gdzie pracowała Tilly. Nie przypominał sobie, żeby

widział kolumnę ogłoszeń osobistych.

- Jeśli nie zależy ci na kobiecie z najbliższej okolicy, radzę zamieścić ogłoszenie w gazecie z Billings - podsunął Stan, przecierając wilgotną ścierką porysowany mahoniowy blat.

Travis rozłożył gazetkę i przerzucił ją, poszukując „Rubryki towarzyskiej”. Trwało dobrą chwilę, nim znalazł właściwą stronę. Przeczytał wszystkie ogłoszenia dwukrotnie i przekonał się, że większość z nich zamieścili mężczyźni.

Larry czytał mu przez ramię.

- Tu masz jedno babskie - wskazał mu trzy linijki u góry strony. - Ale co, do cholery, ma znaczyć ta „nieszkodliwa opryszczka”?

Travis szarpnął gazetą.

- Nie bądź idiotą!

Larry zachichotał.

- Hej, koleś, skąd wiesz, może ona ma długie nogi i sprężysty ładny zadek?

Travis rzucił garść drobnych i ruszył do swego wozu. Zamieści podobne ogłoszenie tylko wtedy, gdy znajdzie się w sytuacji przymusowej. Ciekawe, ile czasu będzie się jeszcze przed tym bronił?

Kryzys nastąpił dwa tygodnie później.

Travis pracował na ranczu i wrócił do domu wykończony i zgłodniały. Nie miał nastroju do utarczek z kolejną opiekunką społeczną. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy musiał się spowiadać przed co najmniej trzema. Chyba rzeczywiście starały się mu pomóc, ale, mówiąc otwarcie, bardziej go to wkurzało, niż podnosiło na duchu. Każda taka wizyta przynosiła plon w postaci listy popełnionych wykroczeń. I kolejnego kazania na temat tego, że nie wypełnia należycie obowiązków opiekuna. Jeszcze jeden dowód na to, jaki z niego niedołęga.

- Cześć! - zawołał Travis, wchodząc do domu.

Zatrzymał się pośrodku kuchni: Shirley Miller siedziała za stołem, czekając na

niego.

- Dzień dobry, panie Thompson.

Travis zawiesił kapelusz na kołku tuż przy drzwiach, podszedł do lodówki i wyjął dzbanek mrożonej herbaty, którą przygotował rano. Nie namyślając się, pociągnął prosto z dzbanka kilka długich, chłodnych łyków. Zauważył z irytacją, że pani Miller coś zapisała w notatniku, który miała zawsze pod ręką.

- Zauważyłam, że w pana lodówce stoi kilka niczym nie osłoniętych pojemników - stwierdziła. - Wiem, że uzna pan to za czepianie się drobiazgow, ale to bardzo szkodliwe dla zdrowia.

- Do stu diabłów! - Travis nie mógł w to uwierzyć: prawdziwa awantura z powodu resztki wczorajszej zupy! W dodatku z puszki.

Beth Ann uśmiechnęła się, dumna z jego słownictwa.

- Bardzo dobrze, wujku! Lepiej mówić o diabłach niż o gównie!

Opiekunka społeczna zmarszczyła czoło i szybko coś zapisała w notesie. Travis był wściekły jak nigdy w życiu. To babsko wylazło chyba z samego dna piekiel, żeby go dręczyć! Zmieniło jego życie w koszmar, pojawiając się nieoczekiwanie i udzielając mu rad, o które wcale nie prosił. Żeby się nie wiadomo jak starał, zawsze zrobił coś, co narażało dzieci Lec i Janice na fizyczną i moralną zgubę!

- Były na pana skargi, panie Thompson.

- A kto się skarżył?

Shirley Miller siadła na samym brzeżku kuchennego krzesła i ciężko westchnęła.

- Jestem zobowiązana do dyskrecji... ale ta osoba ma naprawdę na względzie dobro dzieci.

- Jasne!

- O ile wiem, Beth Ann w ostatnim tygodniu nie była w szkole przez dwa dni.

- Przeziębła się.

Travis bał się spojrzeć na dziewczynkę, żeby nie zarzuciła mu kłamstwa prosto w oczy. Miała zwyczaj informować o jego grzechach każdego, kto akurat był w pobliżu. Przeważnie zdarzało się to w najbardziej nieodpowiednim momencie.

- Nie zadzwonił pan do szkoły, żeby uprzedzić, że Beth Ann się nie zjawi, ani nie napisał pan później usprawiedliwienia.

- Widzę, że nieusprawiedliwiona nieobecność jest równie wielkim grzechem jak zostawienie garnka z zupą bez pokrywki!

Opiekunka społeczna westchnęła i zamilkła na długą chwilę, po czym nów się odezwała:

- Mimo że pan jest najwyraźniej innego zdania, władzom stanowym wcale nie zależy na umieszczaniu tych dzieci w rodzinie zastępczej.

Travis wsparł swą imponującą postać (sześć stóp trzy cale) o odrzwia i przybrał niedbałą pozę.

- Ciekawe, jakby to się im udało!

- Wcale mnie to nie ciekawi. Pan utrudnia mi zadanie, panie Thompson, a ja naprawdę chcę tylko panu pomóc.

- To się jakoś dogadajmy. - Travis wpatrywał się w nią twardym spojrzeniem, dopóki nie był pewien, że zrozumiała, iż mówi poważnie.

- Chyba się to nam nie uda - odparła pani w średnim wieku, a w jej głosie słychać było żal. - Robi pan rzeczywiście wszystko, co pan może, ale, mówiąc otwarcie, to o wiele za mało. Proszę spojrzeć na to pomieszczenie. Czy są to warunki odpowiednie dla dzieci?

Travis rozejrzał się po kuchni, starając się ocenić ją z punktu widzenia pani Miller. Cerata na stole pochodziła jeszcze z czasów jego dzieciństwa; była na rogach popękana i strzępiła się. Każde krzesło z innej parafii, siedzenia przetarte.

Travis nie pamiętał, kiedy po raz ostatni malowano tu ściany, ale nie mogło to być znowu tak dawno! Chyba jakieś dziesięć lat temu. Dobrze, przydałoby się odnowić wnętrze domu - nie będzie się o to spierał. Jeśli chodzi tylko o to, żeby pomalował ściany i kupił parę mebli, nie ma sprawy. Cholera, zrobiłby wszystko, byle władze stanowe odczepiły się od niego!

W głębi duszy Travis wiedział, że pani Miller ma słuszość, ale to nie zmieniało sytuacji. To on będzie wychowywał Jima, Scotty'ego i Beth Ann, i żadna opiekunka społeczna ani nawet cały stan Montana nie odbiorą mu dzieci!

- Nie może pan karmić rozwijających się dzieci kluskami z serem cztery razy na tydzień.

Skąd ona się o tym dowiedziała, do cholery?! Travis mógł jedynie snuć przypuszczenia. Wyglądało na to, że pani Miller jeździ na miotle, krążąc nad „Trzema T” i zapisując w notatniku każdy jego postępek. Był pewien, że wiedziała, iż skłamał, mówiąc o nieobecności Beth Ann w szkole z powodu przeziębienia.

Ponieważ pięcioletnia dziewczynka została objęta popołudniowym programem zajęć dla przedszkolaków, Travis dopiero w drugiej połowie dnia miał kilka godzin wolnych od niańczenia. Na nieszczęście, nie zostawało z tego wiele na jego własne potrzeby: musiał przecież przygotować wieczorny posiłek z trzech dań.

Jeśli pogoda była ładna, brał ze sobą Beth Ann na obchód rancza, ale często się zdarzało, że tracił poczucie czasu i mała spóźniała się na szkolny autobus. Wtedy albo musieli gonić za nim z wywieszonym językiem, albo Travis własnym pikapem odwoził małą do miasta. Znacznie prościej było machnąć ręką na te zajęcia. Szczerze mówiąc, Travis nie uważał ich za tak ważne, by stale miał tracić bezcenne godziny pracy na jakieś wyścigi. Dzieciak umiał już trochę czytać; po co Beth Ann miała powtarzać wszystko od początku, kiedy znała już wszystkie litery na wrywki?

- Nie jemy co wieczór klusek z serem - poinformowała Beth Ann z satysfakcją

opiekunkę społeczną. - Któregoś dnia mieliśmy prażoną kukurydzę. I truskawkowe lody na deser.

Travis jęknął w duchu, ale nie powiedział nic na swoją obronę. Cóż zresztą mógł powiedzieć? Był wtedy zmęczony, całkiem wykończony, a gdy spytał Scotty'ego, co chce na kolację, ten wymienił dwa swoje ulubione dania. Travis chętnie spełnił jego prośbę.

Beth Ann podeszła do Trávisa, jakby chciała okazać, że stoi po jego stronie. Docenił ten gest, ale wątpił, by to mogło wpłynąć na zmianę opinii opiekunki społecznej.

- Kiedy ostatnio czesał pan Beth Ann? - zapytała.

Travis zmarszczył brwi. Dzieciak nigdy nie potrafił ustać na miejscu, żeby mógł porządnie zapleść warkoczyki, jak to robiła jej mamusia. Kosmyki wyslizgiwały się z wielkich dłoni Trávisa. Poza tym mała nie znosiła bólu i zawodziła, gdy jej rozczesywał włosy. A Travis dostawał wtedy dosłownie kurczów żołądka. Prawie co noc słyszał popłakiwanie Beth Ann i niczym nie potrafił jej wtedy ukoić. Co wieczór siadywał przy niej i głaskał ją po główce, bo nie znał słów, które pocieszyłyby ją po stracie matki.

- O ile wiem, Klara Morgan przychodzi pomagać raz na tydzień?

- To prawda. - Emerytowana nauczycielka mogła być starą babą, ale zazwyczaj zostawała u nich dość długo, by przygotować kolację i Travis to doceniał. W dniu pogrzebu kilka pań z miasta zadeklarowało chęć pomocy. W swoim bólu Travis wrzasnął na nie, że nie potrzebuje żadnej pomocy, wcale jej sobie nie życzy! Niektóre mimo to przyszły, ale je wyrzucił. Tylko Klara Morgan zignorowała jego protesty i nadal odwiedzała „Trzy T”.

Drzwi się otworzyły i obaj chłopcy wrócili do domu wypełniwszy swoje obowiązki. Zobaczywszy, że Travis rozmawia z opiekunką społeczną, Jim i Scotty po cichutku wśliznęli się do kuchni.

- Dzień dobry, chłopcy! - powitała ich serdecznie Shirley Miller. Zapisała coś w notesie, a Travis wyteńczył wzrok, by zorientować się, o co chodzi. Nie miał pojęcia, jaką okropną zbrodnię popełnił tym razem?! Potem dostrzegł niewielką dziurę w koszuli Scotty'ego, na łokciu. Pewnie mógłby sam ją zreperować: własne ubrania naprawiał od lat. Miał jednak tyle innych zajęć, że dotąd się do tego nie zabrał.

- Dzień dobry - odpowiedział Scotty, zerkając na wuja. Na twarzy dziecka odbił się niepokój. Travis uśmiechnął się szeroko, chcąc go uspokoić.

Jim nie odpowiedział na powitanie. Stał z tyłu bez słowa, jakby czekał, aż bomba wybuchnie. Patrzył niebezpieczeństwu prosto w twarz, nie zamierzając się cofnąć.

- Dam panu jeszcze trochę czasu, panie Thompson - powiedziała Shirley Miller, wstając z krzesła. Zatrzymała się i ponownie rozejrzała dokoła, jakby się obawiała, że przeoczy jakiś szczegół.

- Dziękuję - odparł Travis z prawdziwą wdzięcznością. Odprowadził ją do drzwi.

Pani Miller zatrzymała się w progu, a Travis wyczytał z jej oczu ostrzeżenie. Tym jednym spojrzeniem przypomniała mu, że jej obowiązkiem jest zadbać przede wszystkim o dobro dzieci. Jeśli okaże się konieczne zabranie ich z jego domu, pani Miller uczyni to bez wahania.

Po jej wyjściu Travis poczuł mdłości. Wiedział, że musi działać, i to szybko!

- Po co ona znów przyszła? - spytał Scotty, obserwując przez szybkę w drzwiach, jak samochód opiekunki społecznej znika, pozostawiając za sobą pióropusz pyłu.

- Ktoś złożył skargę.

- A ja wcale nie byłam przeziębiona - upomniała wujka Beth Ann. - Mamusia tłumaczyła nam, że zawsze trzeba mówić prawdę!

- Masz rację. - Travis wziął małą na ręce i mocno przytulił. Może nie był zbyt dobrym opiekunem, ale bardzo się przywiązał do dzieciaków.

- I co zrobisz? - spytała Beth Ann.

- Nie pójdę do żadnej rodziny zastępczej - odezwał się za jego plecami Jim.

- Nie będziesz musiał.

- Może nie będziemy mieli wyboru.

- Nieprawda - odparł Travis, stawiając Beth Ann na podłodze. Przeszedł przez kuchnię, wziął czystą kartkę papieru i ołówek. Potem przysunął sobie krzesło i siadł przy stole. Kulawe krzesło zachwiało się pod ciężarem Trávisa.

- Co robisz? - Beth Ann przyciągnęła drugie krzesło i wgramoliła się na nie, a potem uklękła na siedzeniu i pochyliła w stronę wujka.

- Piszę ogłoszenie.

- Jakie?

- Że szukam żony.

Spodziewał się, że któreś z dzieci coś powie, a już na pewno Scotty, któremu buzia nigdy się nie zamykała! Potrafił paplać godzinami, doprowadzając Trávisa do szału głupimi pytaniami. Ale dzieci milczały, nawet Beth Ann wpatrywała się w niego, jakby postradał zmysły.

- Potrzebujemy kogoś, kto nam pomoże, a ponieważ nikt się nie zgłasza na gospodynię, pomyślałem, że pewnie jakaś kobieta zgodzi się zostać moją żoną.

Scotty także złapał za krzesło i przysiadł się do nich.

- To można napisać ogłoszenie i dostać żonę?

- Jasne. - Cholera, nie miał pojęcia, jaka kobieta odpowie na jego ogłoszenie. Może żadna? Patrząc na dzieci, spostrzegł, że spoglądają na niego z taką ufnością, aż serce mu się ścisnęło.

- Dobra - stwierdził, śliniąc koniec ołówka. - Zróbmy sobie listę spraw, na których nam zależy.

- Powinna dobrze gotować - podsunął Jim.

Inni szybko przytaknęli, a Travis wpisał to na pierwszym miejscu. Po prawie trzech miesiącach jedzenia klusek z serem na kolację gotów był ożenić się z pierwszą kobietą, która potrafi upiec placek z jabłkami.

- I szyć - dodała Beth Ann.

Kiedy przy jej najlepszej sukience oberwała się falbanka, Travis usiłował ją naprawić i niemal całkiem zniszczył tę toaletę. Miał tym większe wyrzuty sumienia, że była to ta sama sukienka, którą niechcący przefarbował na różowo.

- Jeśli ma tu z nami mieszkać, powinna lubić konie i krowy - dorzucił inteligentnie Scotty.

- Racja. - Travis szybko zapisał ten punkt.

- Może się zjawi Mary Poppins, jak myślisz, wujku?

- Kto taki? - spytał niecierpliwie Travis. To chyba nie była odpowiednia pora na bajki!

- Mary Poppins - powtórzyła Beth Ann. - Widziałam ją w kinie. Mamusia zabrała nas do kina w Miles City dawno, dawno temu. Mary zgodziła się jako niania do dzieci, takich jak my, tylko że one miały mamusię i tatusia. Fruwała z parasolką w ręce i w jednej chwili sprzątała bałagan w pokoju. - Dziewczynka urwała i podpierając brodę rączkami pochyliła się w stronę Trávisa i jego listy. - I ślicznie śpiewała.

- Beth Ann chce, żebyś się ożenił z wrózką - wyjaśnił spokojnie Jim.

- A więc ktoś, kto potrafi czynić cuda i śpiewać. - Travis dodał i te dwa punkty do coraz dłuższej listy. Prawdę mówiąc, Beth Ann nie odbiegła daleko od prawdy: Travis potrzebował kobiety, która umiałaby czynić cuda.

A teraz musiał ją po prostu znaleźć.

Rozdział 2

- Widziała pani?

Mary Warner spojrzała znad biurka w stronę pustej sali biblioteki w Petite, w stanie Luizjana. Przez chwilę poprawiała okulary do czytania, zsuwając je na sam czubek nosa. Dopiero wówczas podniosła wzrok na Sally Givens, uczennicę trzeciej klasy szkoły średniej, która pomagała w bibliotece przez dwa popołudnia w tygodniu. Kiedy dziewczynka szła, śliczne niebieskie oczy nastolatki kryły się pod śmieszoną, długą grzywką, która falowała zasłaniając połowę twarzy.

- Co takiego? - spytała cicho Mary.

- To ogłoszenie! - Karen przeczytała je, odkładając na półkę gazetę z Billings w stanie Montana. - Dziewczyna zachichotała i odruchowo odgarnęła grzywkę z oczu. Włosy po obu stronach głowy miała przesadnie wystrzyżone nad uszami, zupełnie jakby jakiś szaleniec dorwał się do brzytwy. Najwidoczniej było to najmodniejsze uczesanie i obie asystentki Mary chciały wyglądać jak ich rówieśniczki.

Mary zadała sobie w duchu pytanie: Co też dziewczęta pomyślą za dziesięć lat, oglądając swoje zdjęcia z tego okresu?

- Jakiś ranczer zamieścił ogłoszenie, że szuka żony - ciągnęła dalej Sally, bardzo ubawiona. - Może sobie pani coś takiego wyobrazić?

- Ranczer szuka żony - powtórzyła Mary, wtykając za ucho kosmyk Jasnokasztanowatych włosów, który wymknął się z jej starannie upiętego koka. - Wybrał rzeczywiście dość niezwykły sposób.

- Karen mówi, że pewnie sama do niego napisze. - Po słowach Sally nastąpił wybuch stłumionego śmiechu, gdy Karen podchodziła do biurka stojącego pośrodku sali bibliotecznej.

- Nie mówiłam nic podobnego! - zaprzeczyła Karen. Miała prawie identyczną

fryzurę jak Sally, z dodatkiem długiego, cienkiego warkoczyka zwisającego do połowy pleców.

- Jasne, Ted nigdy by ci na to nie pozwolił.

- Jesteś zazdrosna, bo zaprosił na Bal Absolwentów mnie, a nie ciebie - odgryzła się Karen i zamaszystym krokiem wróciła na swe poprzednie miejsce, stając koło dębowych, politurowanych półek na książki.

Jeżeli ów nieznany Ted zaprosił Karen zamiast Sally, panna Warner wcale mu się nie dziwiła. Spódniczki Karen kończyły się dobrych parę cali nad kolanami, stanowczo wyżej, niż wymagała tego przyzwoitość. Przynajmniej zdaniem Mary. Moda mini była bardzo popularna w latach sześćdziesiątych (o ile dobrze pamiętała), teraz zaś najwyraźniej znów wracała. Dziewczęta nosiły obecnie do minispódniczek legginsy, obcisłe „spodnie” zakończone falbanką przy kostkach. Dzisiejsza młodzież ma niesamowite pomysły, jeśli chodzi o stroje, pomyślała Mary.

Obie dziewczyny wróciły do swych obowiązków, żartobliwie dogryzając sobie na temat Balu Absolwentów. Mary czekała z niecierpliwością, kiedy sobie pójdą, zastanawiając się mimochodem, czy ona sama w ich wieku była równie swobodna? A właściwie: czy była kiedyś naprawdę w ich wieku? Jedno nie ulegało wątpliwości: nigdy nie musiała łamać sobie głowy nad tym, który chłopiec zaprosi ją na Bal Absolwentów. Przez całe cztery lata szkoły średniej nikt jej nigdy nie zaprosił.

Poczuła ostre ukłucie żalu za czymś, co się nigdy nie zdarzyło. Bardzo ją to zaskoczyło. Po chwili przypomniała sobie jednak, co naprawdę liczy się w życiu. W szkole średniej najważniejsza była jej praca w gazetce szkolnej. Mary redagowała ją zarówno w trzeciej, jak i w czwartej klasie: podobny zaszczyt nie spotkał żadnego z uczniów ani przedtem, ani potem. Choć Mary nie zapraszano ani na Bal Absolwentów, ani na wspólny bal trzecio- i czwartoklasistów, z całą

pewnością znalezienie sobie partnera nie było jej życiową ambicją, jak w przypadku Sally i Karen. Obie nastolatki zaprzętały sobie tym głowę od wielu tygodni i rywalizowały o względy owego tajemniczego Teda.

Ranczer, który poszukiwał żony przez ogłoszenie, był najwidoczniej w sytuacji podbramkowej. Nierozważny, ryzykant - tak przynajmniej oceniała go Mary. Skąd można wiedzieć, co za osoba odpowie na podobne ogłoszenie?!

W dodatku ten biedak pochodził z Montany! Mary nie wyobrażała sobie, by ktoś z własnej woli zgodził się przenieść w surowy, bezwzględny świat Dzikiego Zachodu. Montana kojarzyła się jej z chmurami pyłu, wychudzonym bydłem i mroźnymi zimami. Jałowa kraina. Ona sama z pewnością nie chciałaby tam zamieszkać. Pochodziła z Południa. To był jej dom i jej świat.

Petite, niewielkie miasteczko, liczące niecałe pięć tysięcy mieszkańców, leżało w rozwidleniu rzeki. Otaczały je muliste wody, co rano unosiły się nad nim ciepłe mgły, spowijając całą okolicę delikatnym welonem romantycznej tajemniczości. Mary kochała Petite; odpowiadało jej, że życie toczyło się tam leniwie, godziny płynęły jak spokojne wody rzecznych odnóg, których powierzchnię tylko o świcie poruszał lekki wietrzyk.

Mary w dzieciństwie często chodziła na ryby ze swoim starszym bratem. Wymykali się z domu wczesnym rankiem i Clinton zabierał siostrę na czółno z wydrążonego pnia. Przecinali spokojne zwierciadło wody, a linki ich wędek zwisały tuż pod powierzchnią, zwabiając sumy. Drzewa obrosłe hiszpańskim mchem zwieszały ku dzieciom swe ciężkie ramiona. To były najszcześniejsze chwile w życiu małej Mary: łowienie ryb razem z bratem.

Clintona nie było już od czterech lat, a Mary nadal bardzo go brakowało. Żadna siostra nie miała lepszego brata. Był jej obrońcą, rycerzem w lśniącej zbroi, wzorem. Odziedziczył wszystkie najlepsze cechy Warnerów. Nie tylko był wyjątkowo przystojny, ale również mądry, odważny i pogodny. Kiedy zjawiał się

w domu, nuda pryskała.

Gdy wieczorami w powietrzu unosił się zapach kwitnących magnolii, Mary i jej matka często siadywały na ganku, popijając domową lemoniadę. Clinton podkradał się z tyłu i wprawiał w ruch wiszącą ławeczkę, na której siedziały - i zaśmiewał się do rozpuku na widok zdumionych min matki i siostry.

Wszyscy członkowie parafii Terrebonne oplakiwali jego tragiczną śmierć.

Montana! Mary westchnęła i ze smutkiem potrząsnęła głową. Ten biedak z pewnością nie otrzyma wielu ofert, mało jest panien spragnionych osiedlenia się w tej ponurej części kraju. Ona sama być może dlatego, że żadnego nie знаła - zawsze uważała ranczerów za ordynarnych prostaków, ciężko pracujących i żyjących w fatalnych warunkach. Z pewnością żaden hodowca bydła z Montany nie mógł się równać z dżentelmenem z Południa!

O ile dobrze pamiętała, ludzie z Zachodu nie znali się również na wykwintnej kuchni. Montana kojarzyła się jej z ostrygami z Gór Skalistych i krwistymi stekami, przypiekanymi nad ogniskiem.

W Luizjanie było całkiem inaczej: mogła poszczycić się kuchnią równie urozmaiconą i ciekawą jak historia tego stanu. Codziennie wczesnym rankiem Mary rozkoszowała się czarną kawą po francusku, przeważnie z dodatkiem pysznych gorących pączków i ciasta orzechowego prosto z pieca. Kiedyś gdzieś wyczytała, że w kuchniach polowych na ranczu garnek z kawą stoi przez wiele godzin na ogniu i że podaje się ją z fasami. Wzdrygnęła się na samą myśl!

W Luizjanie krewetek było tyle, że wysypywano je dymiące z wiaderka na stół, a wszyscy sięgali i wyłuskiwali je ze skorupki. Luizjana była pełna ducha i werwy, a Montana zawsze wydawała się Mary krainą surową i pustą. Nic dziwnego, że tamtejszy ranczer musiał szukać żony przez ogłoszenie!

Sally i Karen nadal wkładały książki na właściwe miejsca na półkach; z tej części biblioteki co chwilę dobiegał chichot dziewcząt. W którymś momencie Mary

usłyszała, że Karen radzi Sally napisać do tego ranczera: przynajmniej zapewni sobie partnera na Bal Absolwentów.

Przez chwilę Mary chciała zwrócić dziewczętom uwagę na okrucieństwo takiego głupiego żartu, ale się rozmyśliła. Przecież tylko się droczyły! Tak naprawdę nigdy nie zrobiłyby czegoś równie podłego.

Chociaż Mary lubiła swe pomocnice, uważała ich żarty za gruboskórne. Dziewczęta były jednak bardzo młode i nie pojmowały, czym jest bezradność i wielka samotność, która zmusza do szukania pomocy u ludzi zupełnie obcych.

Był kiedyś czas - wiele lat temu, rzecz jasna - gdy i ona miałaby ochotę tak zażartować. Wiele lat temu. Te słowa zabrzmiały jej w mózgu jak nagłe, donośne uderzenie pioruna. Zaniepokojona swymi myślami wygładziła na kolanach granatową spódnicę. Wiele lat temu. Nagle poczuła się stara i zaniedbana. Miała dopiero trzydzieści dwa lata, a można by pomyśleć, że stuknęła jej czterdziestka! Co więcej, w głębi duszy doskonale wiedziała, co to znaczy być samotną. Wyobcowaną. Odstawioną na boczny tor. Ogarnęło ją ogromne współczucie dla nieznanego ranczera, gdyż wiedziała aż za dobrze, co go skłoniło do wysłania podobnego ogłoszenia.

Ten zupełnie niepożądany zalew uczuć wynikał być może - snuła przypuszczenia Mary - z faktu, że w lutym zmarła jej matka.

Uświadomiła sobie nagle, że teraz jest samiuteńka. Straciła swoich najbliższych. Ojciec zmarł, gdy miała szesnaście lat, a Clinton - ukochany starszy brat - zginął w katastrofie lotniczej. Matkę Mary, Savannah Warner, śmierć syna całkowicie załamała. Choć dotąd cieszyła się doskonałym zdrowiem, ta filigranowa dama z Południa ugięła się pod ciężarem żałoby, który z dnia na dzień bardziej przytłaczał jej serce, tak iż w końcu przestało bić. Mary toczyła zażartą walkę z własnym bólem przez całe miesiące po śmierci Clintona, a potem po zgonie matki.

Nadeszła pora zamknięcia biblioteki; Karen i Sally pomachały i uśmiechnęły

się do Mary na pożegnanie, a potem rzuciły się do drzwi. Obie nastolatki przypominały Mary rozbawione, młode spaniele. Gdy dziewczęta znikły, przystąpiła, jak co wieczór, do zamykania biblioteki.

Sięgnęła po sweter i stanęła pośrodku sali, patrząc z dumą na szeregi równiutko poukładanych tomów. Kręte, lśniące schody z mahoniu wiodły na piętro. W całym pomieszczeniu unosił się zapach cytryn.

Panowała zupełna cisza. Najmniejszego szmeru. Jak pusty wydawał się ten budynek!

Pusty.

Bez życia.

Mary ciężko westchnęła. Taka sama pustka panowała w jej duszy. Zacisnęła dłonie w pięści i wykręciła się na pięcie. Rzadko pozwalała sobie na taką jasną, szczerą ocenę własnego życia. Tym razem przyczyniła się do tego wieść o nieznanym ranczerze. Nagle poczuła do niego nieuzasadniony żal.

Pozornie Mary prowadziła aktywne życie, miała mnóstwo zajęć. Praca w bibliotece dawała jej satysfakcję i stanowiła ambitne wyzwanie. Poza tym śpiewała w chórze kościelnym i była zdolną krawcową. Nie brakowało jej przyjaciół, z których najbliższa była jej Georgeanne McKay.

Któż mógłby przypuścić, co się pod tym kryło? Nikt nie zdawał sobie sprawy z desperackich zmagania Mary z pustką życia. Dziś odczuwała ją jeszcze silniej niż zwykle. Od dawna nie czuła się tak źle. Miała wrażenie, że w jej wnętrzu rozwarła się jakaś ogromna próżnia, którą należało za wszelką cenę czymś zapełnić. Mary nie chciała myśleć, rozważać, ubolewać. Chowanie głowy w piasek stanowiło lekarstwo - do czasu. Za wszelką cenę starała się utrzymać kruchy spokój, spychając swe problemy w podświadomość. Tamte sprawy należało zignorować. Pogrzebać na amen.

Stojąc tak samotnie w pustej bibliotece, Mary odniosła nagle wrażenie, że ów

budynek jest symbolem całkowitej jałowości jej życia; myśl ta odbijała się echem od ścian, rozbrzmiewała nie pieśnią, którą chętniej by usłyszała, ale ciszą.

Pustka, samotność i cisza. Cisza tak głośnie, że Mary chciała zatkać sobie uszy, by nie słyszeć tego przeraźliwego milczenia!

Pospiesznie chwyciła torebkę i najnowszą powieść Jean Auel i skierowała się ku drzwiom. Jej delikatne palce dotknęły już zamka... gdy nagle zawahała się.

Żona.

To słowo wydobyło na jaw wszystkie zdławione uczucia, zapomniane nadzieje; przeniknęło do głębi, ujawniając samotność, którą Mary tak zawzięcie skrywała przed całym światem, do której nie chciała się przyznać nawet przed sobą.

Mary już dawno porzuciła myśl o zamążpójściu. W jej mieście od wielu lat żaden mężczyzna „do wzięcia” nie spojrzał na nią z zainteresowaniem.

Nie była brzydka. Miała drobne kości i tylko pięć stóp, dwa cale wzrostu, była równie filigranowa jak matka. Niektórzy twierdzili, że Mary jest ładna, ale jej uroda nie rzucała się w oczy. Babcia powiedziała kiedyś, że Już w dzieciństwie mówiono, że Mary ma prześliczne oczy. Błękitne jak kępa wiosennych irysów.

Mary była jednak bardzo nieśmiała. Mężczyźni najwyraźniej oczekiwali, że kobiety będą bawić ich rozmową, a ona nigdy nie miała im do powiedzenia nic zajmującego. Od podstawówki chłopcy unikali Mary, gdyż miała najlepsze stopnie. Widocznie dziewczynki nie powinny być zbyt inteligentne, bo wówczas cierpiało wrażliwe męskie ego. Tak to przynajmniej tłumaczyła kiedyś przyjaciółce Georgeanne McKay.

To, że była małomówna i zbyt inteligentna, przeszkadzało Mary również w college'u. Później - już poniewczasie - przekonała się, że obejmując posadę bibliotekarki w Petite, ostatecznie zniweczyła swoje szansę.

Gdy skończyła trzydziestkę i nadal była niezamężna, prawie wszyscy

mieszkańcy niewielkiego nadrzecznego miasteczka doszli do wniosku, że Mary nigdy już nie znajdzie sobie męża. Mary była tego samego zdania.

Z nagłą determinacją, której sama nie pojmowała, Mary zawróciła i skierowała się prosto do centralnej części biblioteki. Podeszła do półek z prasą i sięgnęła po gazetę wydawaną w Billings. Drżącymi rękami przewracała strony, aż znalazła rubrykę „Ogłoszenia osobiste”. To, o które jej chodziło, znajdowało się u góry, natychmiast je zauważyła.

Poszukuję żony, która pomogłaby w wychowaniu trojga osieroconych dzieci (12, 8 i 5 lat). Musi umieć gotować, szyć i śpiewać. Dobrze by było, gdyby odpowiadało jej życie na ranchu. Szczegółowe informacje wysyłać pod adres: Travis Thompson, Grandview, Montana 59306.

Dzieci.

Sally i Karen słowem nie wspomniały o dzieciach. Serce Mary zmiękło na samą myśl o trójce maluchów. Potem ogarnęło ją podniecenie i nadzieja, których nie potrafiła odegnąć. A więc to rodzina, prawdziwa rodzina wzywa pomocy! Maleństwa potrzebują macierzyńskiej opieki, brak im miłości i czułości.

Jak większość kobiet. Mary marzyła kiedyś o własnych dzieciach. Ale te marzenia należało odłożyć na bok - jak zapomniane książki w jej bibliotece, ciasno upakowane na półkach - pospołu z innymi romantycznymi, nieprawdopodobnymi mrzonkami.

Montana! Mary aż się wzdrygnęła na myśl o rodeo i nieokrzesanych kowbojach. Z całą pewnością mieszkańcy tego stanu nie doceniali piękna i subtelności życia.

Energicznie potrząsnęła głową. Co w nią wstąpiło? Nie miała pojęcia. Przez moment, przez króciutką chwilę, poważnie zastanawiała się, czy przypadkiem nie napisać do tego ranczera? To czyste szaleństwo. Jeśli kiedykolwiek wyszłabym za mąż, rozmyślała Mary, to tylko z miłości. Z żadnego innego powodu. Każda

kobieta ma prawo do odrobiny uczuć w swoim życiu.

Uczuć? Omal się głośno nie roześmiała. Co ona mogła wiedzieć o tych sprawach? Tyle co nic. Kilka całusów skradzionych na zapleczu sali gimnastycznej, gdy miała piętnaście lat, i liścik, który bezimienny wielbiciel wsunął do jej szafki, kiedy była w czwartej klasie szkoły średniej.

Jej osobiste kontakty z mężczyznami były bardzo ograniczone, ale Mary była odczytana i wcale nie taka naiwna, jak sądziło otoczenie.

- Travis Thompson. - Mary wsłuchiwała się w dźwięk tego imienia. Podobało jej się. Brzmiało solidnie. Tak mógł się nazywać ktoś szczerzy i godny zaufania. Człowiek równie zrozpaczony i samotny jak ona.

- Pewnie szuka kogoś o wiele młodszego - przekonywała samą siebie, podchodząc do drzwi i zamykając je starannie za sobą.

Znalazłszy się we własnym domu, Mary rozejrzała się po saloniku. Dębowa posadzka błyszczała, była równie bez skazy jak za życia matki. Wydawać by się mogło, że nikt nigdy nie stąpił po tych wiekowych klepkach. Zasłony w oknach uszyto z grubego perkalu; zwisały w identycznych, równych fałdach od trzydziestu lat. Umeblowanie nie zmieniło się od dwóch pokoleń. Obita ciemnoróżowym aksamitem sofa o mahoniowych poręczach i nóżkach zakończonych szponiastą łapką oraz fotel w tym samym stylu należały do rodzinnych skarbów. Przy jednej ze ścian stał stolik na kółkach do podawania herbaty, własność jej matki. Co wieczór witały Mary dostojne twarze dziadków, uwiecznionych na fotografiach.

Salon powinien być miejscem spotkań towarzyskich, ale ani Mary, ani przedtem jej matka w ostatnich latach nie przyjmowały gości. Zresztą jeśli salon wydawał się pomieszczeniem, z którego nikt nigdy nie korzystał, podobnie rzecz się miała ze wszystkimi innymi pokojami. Jakże wszędzie wokół niej było czystościutko! Absolutny porządek. Żadnego bałaganu. Wypisz wymaluj - jej życie.

Odpychając od siebie ponure myśli, Mary przeszła do równie schludnej

kuchni i przyrządziła sobie całkiem „rozsądne” danie: krewetki z ryżem. Odkryła nagle, że wszystko wokół niej było wprost śmiesznie porządne i rozsądne.

Mary bardzo rzadko kierowała się impulsem. A może w ogóle nigdy się jej to nie zdarzyło? Odpowiedź na ogłoszenie ranczera poszukującego żony, to chyba najgłupszy pomysł, na jaki wpadła w życiu. Po raz drugi odepchnęła od siebie tę myśl, jakby to była wstrętne padlina, na którą natknęła się na skraju drogi.

Chowając resztki kolacji, Mary stanęła nagle przed lodówką, gapiąc się na nią, jakby czekała, że ze środka wyskoczy dobry duszek gotowy pełnić jej trzy życzenia.

Podczas ostatniego weekendu Mary odwiedziła swą przyjaciółkę Georgeanne i bardzo ją ubawiły wykonane kolorowymi kredkami rysunki, dumnie wyeksponowane na drzwiach lodówki. Zajmowały całą wolną powierzchnię. Na drzwiczkach widniały też ślady brudnych rączek obu synków Georgeanne.

Drzwiczki jej własnej lodówki lśniły czystością; Mary ujrzała w nich swoje odbicie, które zmierzyło ją oskarżycielskim spojrzeniem. Wpatrywała się w nie przez dłuższą chwilę i myślała o swych niewielkich piersiach.

Mężczyźni podobno lubili, kiedy kobieta miała potężny biust. Nic więc dziwnego, że na Mary nie zwracali uwagi. Marszcząc czoło, odwróciła się i pozmywała tych kilka naczyń, które zabrudziła przy kolacji.

Stojąc przy zlewie, nie mogła odpędzić od siebie myśli o trójce dzieci, tłoczących się wokół kuchennego stołu, rozgadanych jak sroczki, opowiadających o tym, co się im dziś zdarzyło. Troje dzieci, które mogłaby kochać, obejmować, czytać im przed snem, tak samo jak matka czytała jej i Clintonowi.

Te myśli sprawiły, że samotność wydała się Mary jeszcze trudniejsza do zniesienia. Z wyraźnym przymusem wzięła do ręki przyniesioną z biblioteki powieść.

Po przeczytaniu piętnastu stron odłożyła ją. Dziwne, że dotąd nie zauważyła,

jak niewystarczającym towarzystwem jest fikcja literacka! Jeszcze gorsze bywają tylko samotne noce.

Dzieci. Troje dzieci. Takie małe!

Mary wyraźnie czuła, jak opadają z niej wszelkie wątpliwości. Zamknęła oczy przed atakiem kłębiących się emocji. Nie pragnęła nadziei, gdyż niosła ona w sobie ryzyko bólu - a tak wiele już wycierpiała.

Była dorosła, zbyt doświadczona, by złapać się na lep nadziei kuszącej, że okaże się potrzebna, że będzie kochana. Takie złudzenia przeważnie pękają i zostaje po nich pustka - a pustki przecież było w jej życiu zbyt wiele.

Mimo to kwadrans później Mary uległa i sięgnęła po pióro i arkusz papieru listowego z ząbkowanymi brzeżkami.

Szanowny Panie Thompson!

Piszę w odpowiedzi na Pańskie ogłoszenie w „Billings Gazette”. Nazywam się Mary Warner. Mam trzydzieści dwa lata i nigdy nie byłam zamężna. Pracuję obecnie jako kierowniczka biblioteki w Petite w stanie Luizjana.

Co się tyczy Pańskiego ogłoszenia, wydaje mi się, że spełniam Pańskie wymagania. Jestem bardzo dobrą kucharką; moją specjalnością jest kurczę z nadzieniem z ostryg i imbirowym sosem. Dostałam przed dwoma laty specjalną nagrodę za przepis na ciasto z figami. Będzie mi bardzo miło podzielić się tym przepisem z Pana rodziną, jeśli tylko zechcecie. Potrafię też przyrządzić wyborną sztufadę i szarlotkę.

Co się tyczy umiejętności szycia, jestem zdolną krawcową i od szesnastego roku życia szyłam sobie sukienki. W ciągu wielu lat wykonałam także wiele skomplikowanych toalet dla przyjaciół i rodziny; między innymi uszyłam ślubną suknię dla mojej najbliższej przyjaciółki; musiałam ręcznie naszyć na nią pięćset pereł.

Teraz przejdźmy do śpiewania. Od dziesięciu lat śpiewam w chórze kościoła Baptistów w Petite jako pierwszy sopran i miałam wiele występów solowych. Śpiewałam na weselach, podczas pogrzebów, na przyjęciach urodzinowych i rocznicach ślubu. Jeśli Pan sobie życzy, mogę przesłać taśmę z nagraniem pieśni w moim wykonaniu.

Poza wzmianką o uzdolnieniach, które Pan uznał za niezbędne, pozwałam sobie dodać, że pochodzę z rodziny południowców o mocnym charakterze; nasze korzenie sięgają XVII w. Do moich przodków należą między innymi: hiszpański konkwistador, żołnierz armii Południa pod wodzą Jacksona, a także wygnaniec z Nowej Szkocji. Jestem też przekonana, że w żyłach Warnerów płynie krew piratów.

Ponieważ od urodzenia mieszkam w Petite, obawiam się, że nie wiem prawie nic o hodowli bydła i tym podobnych sprawach. Nigdy też nie mieszkałam na ranczu. Cierpię na pewne uczulenia, ale o ile mi wiadomo, nie mam alergii na siano.

Gdyby Pan chciał poważnie potraktować moją kandydaturę, proszę odpisać mi na adres znajdujący się u góry strony.

Z poważaniem

Mary S. Warner

Mary wysłała list następnego ranka, nim zdążyły ją ogarnąć wątpliwości. Oczywiście pojawiły się, gdy tylko wrzuciła list do skrzynki; przez cały dzień czyniła sobie wyrzuty, że uległa jakimś mrzonkom.

Była na to za stara. Zbyt spokojna. Jej korzenie zbyt głęboko tkwiły w ziemi Południa: tu było jej dziedzictwo, wszystko, co miało dla niej jakieś znaczenie. Travis Thompson i troje tamtych dzieci na pewno jej nie zechcą. Z pewnością pragnie młodej i ślicznej żony, a nie kogoś, kto ma tylko jeden atut: niebieskie oczy.

Ale przecież... przecież umiała gotować i szyć, i śpiewać. A na tym Travisowi Thompsonowi specjalnie zależało. Nie napisał, że poszukuje królowej piękności lub modelki.

Odpowiedź nadeszła tak szybko, że Mary poczuła zawrót głowy. Nie minął tydzień, a już ścisnęła w ręku kopertę z pieczętą z Grandview w stanie Montana.

Szanowna Panno Warner!

Dziękuję za mity list, który przeczytaliśmy razem z dziećmi z wielkim zainteresowaniem. Ponieważ tak otwarcie napisała mi Pani o sobie, pomyślałem, że powinienem odpowiedzieć tym samym. Jestem hodowcą bydła, mam 36 lat. Tak samo jak Pani, nigdy nie byłem żonaty.

Mój brat Lee i ja urodziliśmy się i wychowaliśmy w Grandview. Lee ożenił się z Janice kilka lat po skończeniu szkoły średniej, ale oboje zginęli parę miesięcy temu w katastrofie samochodowej. Przyznano mi opiekę nad Jimem, Scottym i Beth Ann. Dlatego właśnie poszukuję żony.

Jeśli zależy Pani na romantycznych zalotach, pięknych słówkach i kosztownych podarkach, to mówię od razu, że nie mam na to ani pieniędzy, ani chęci. Mój brat i jego żona zginęli, a ja mam pełne ręce roboty przy ich dzieciach. Nie mam czasu na konkury. Potrzebuję żony, a dzieci matki.

Moje ranczo ma 15000 akrów i przynosi niezły dochód, gdy ceny wołowego żywca są przyzwoite, ale nie jestem bogaczem; jeżeli tego się Pani spodziewała, radzę mnie od razu skreślić.

Jestem porządnym człowiekiem, choć może nie wszyscy tak uważają. Pracuję ciężko i lubię się zabawić. Piję od czasu do czasu, nie za dużo, ale nie żuję tytoniu i nie palę. Chętnie pogram z chłopakami w pokera, ale najwyżej raz czy dwa w miesiącu. Bardzo bym nie chciał z tego zrezygnować. Czasem mi się zdarzy przeklinać, ale Beth Ann uparła się, że mnie od tego oduczy. Nie jestem gadatliwy i

przeważnie wystarcza mi własne towarzystwo.

Każde z dzieci ma do Pani pytanie. Jim dziękuje za przepis na ciasto z figami, ale pyta, czy umie Pani też piec czekoladowe ciasteczka. Jest zdania, że jeśli udaje się Pani sos imbirowy, to chyba poradzi sobie Pani ze wszystkim.

Scotty mówi, że nie obchodzą go ślubne suknie. Ważniejsze, czy potrafi Pani naprawić jego ulubioną koszulę w kratkę. Mnie nie pozwala się do tego wziąć, bo już zepsułem najlepszą sukienkę Beth Ann, jak przyszywałem falbankę.

Beth Ann najbardziej interesuje to, czy potrafi Pani układać piosenki i czy będzie je Pani śpiewać, kładąc ją do łóżeczka, jak to robiła jej matka.

Jak się już Pani mogła domyślić, nie radzę sobie z prowadzeniem domu. A śpiewam fałszywie i źle gotuję.

Jeśli po przeczytaniu tego wszystkiego będzie Pani nadal zainteresowana, proszę znów do nas napisać. Zdjęcie byłoby bardzo mile widziane.

Serdecznie pozdrawiam

Travis J. Thompson

Mary przeczytała list Trávisa od deski do deski. Dwukrotnie. A potem znowu - tyle razy, że aż rogi stron zaczęły się zawijać. Oczywiście pragnęła dostać od niego wiadomość, ale nie marzyła o tym, że naprawdę odpisze na jej list. Robiła sobie tysiączne wyrzuty z powodu takich czy innych sformułowań, których użyła. Codziennie zadreęczała się, wstydząc się swojego postętku: chyba odpowiedziała na to ogłoszenie, cierpiąc na zamroczenie umysłu!

Gdy tylko otrzymała list od Trávisa, wszystkie jej wątpliwości rozwiały się. Była niesłychanie przejęta.

Odpisała mu jeszcze tego samego wieczoru.

Drogi Travisie!

Ja także straciłam brata. Clinton zginął cztery lata temu w katastrofie lotniczej. Dobrze wiem, co to znaczy stracić ukochaną osobę; człowiek czuje się po prostu winien, że to nie on zginął. Winien, że wszystko się zmienia, całe życie, wszyscy ludzie. I my się zmieniamy, choć tak opieramy się temu. Przynajmniej ja się zmieniłam, a ta walka strasznie mnie wyczerpała. Śmierć sprawia, że człowiek czuje się całkowicie bezradny, prawda?

Życie mnie nauczyło, że nadzieja i rozpacz są tak silnie ze sobą związane, że po jakimś czasie nie można ich od siebie odróżnić. To tak, jakby dwie ścieżki coraz to się spotykały, aż wreszcie złączyły w jedną. Tylko w ten sposób potrafię opisać pierwsze miesiące po śmierci Clintona.

Bardzo przepraszam. Nie miałam zamiaru poruszać tego tematu, ale uderzyło mnie to, że jest on równie istotny dla nas obojga, choć z pozoru bardzo się od siebie różnimy.

Tak, nadal jestem zainteresowana Twoją ofertą, choć być może nie jest to rozsądne z mojej strony. Powiedziałeś mi bez ogródek, na co nie mogę liczyć. Mam nadzieję, że równie szczerze poinformujesz mnie, na co liczyć mogę.

Jeśli chodzi o pytania dzieci, powiedz Jimowi, że mogę mu ugotować i upiec wszystko, co tylko zechce. Moje kuchenne triumfy nie ograniczają się do placka z figami. Wystarczy, że Jim powie mi, jakie są jego ulubione przysmaki.

Scotty również nie musi się martwić. Czuję się przy maszynie do szycia równie pewnie, jak przy kuchni. Jeśli nie zdołam naprawić jego koszuli, uszyję mu nową, taką samiutką.

Beth Ann, serduszko moje, układałam piosenki całe życie. Będę bardzo szczęśliwa, śpiewając Ci je co wieczór.

Zdjęcie, które załączam, zostało zrobione w zeszłym roku. Stoimy pod kwitnącą magnolią. Ja to ta z lewej. Obok mnie stoi moja najlepsza przyjaciółka,

Georgeanne McKay.

Czekam z niecierpliwością na następny list.

Wiele serdeczności od Mary Warner

Mary nie mogła się doczekać, kiedy Travis znowu się odezwie. Nie czekała długo. Po kilku dniach dostała następny list. Nie była w stanie czekać, aż wróci do domu, otworzy kopertę i dowie się, co pisze Travis. Wyjęła list i przeczytała go od razu na poczcie.

Droga Mary!

Czego możesz się spodziewać? Miałś rację, wyliczyłem od razu wszystko, na co nie powinnaś liczyć, i nie zwracałem sobie głowy tym, co mogę Ci ofiarować. Gdy mnie o to zapytałaś, dokładnie rozważyłem, jaki będzie mój wkład w to małżeństwo - poza ciężką pracą i trójką osieroconych dzieci.

Po pierwsze i przede wszystkim: to będzie uczciwa umowa. Oboje dobrze wiemy, że nie pobieramy się z miłości. Przypuszczam, że bardziej to martwi Ciebie niż mnie, bo kobiety o tych sprawach więcej myślą i silniej je odczuwają. Z tego, co wiem o kobietach, podejrzewam, że wolałabyś, żebym naszą umowę przybrał w piękne słówka, ale ja wolę, żebyśmy wystartowali uczciwie.

Jeśli zgodzisz się wyjść za mnie i przeprowadzić do Grandview, będę czuł się z Tobą równie mocno związany jak z dziećmi Lee i Janice. Będę się starał, żebyś była szczęśliwa. Twoje kłopoty będą moimi kłopotami. Twoje potrzeby moimi potrzebami.

Obiecuję, że będę Ci wierny, że będę pracował z całych sił, żeby ranczo jak najlepiej prosperowało i żebyśmy kiedyś wspólnie mogli się cieszyć z owoców naszego trudu.

Mój dom będzie Twoim domem. Dzieci Lee i Janice będą naszymi dziećmi.

Kiedy tak patrzę na to, co Ci tu napisałem czarno na białym, widzę, że mam do ofiarowania bardzo niewiele.

Rozmawiałem z dziećmi i podobasz się nam najbardziej ze wszystkich kobiet, które do nas napisały. Nie każ nam więc czekać na Twój list, tylko zadzwoń pod numer, który Ci podaję.

Czekam z niecierpliwością na wiadomość od Ciebie.

Szczerze oddany - Travis J. Thompson

Rozdział 3

Całe popołudnie tego dnia, gdy nadszedł list od Trávisa, wydawało się Mary niezwykle. Siedząc za swoim biurkiem, bez powodu wybuchnęła śmiechem. Rozejrzała się dokoła z zażenowaniem, a potem przeszła w inne miejsce - i tam znowu zaczęła się śmiać. Ludzie pewnie pomyśleli, że dostała kręčka od wączania farby drukarskiej i kleju.

- Jak się pani miewa w taki piękny dzionek? - spytała ją pani Garrett tuż przed zamknięciem biblioteki; bez wątpienia spodziewała się, że Mary odpowie jak zawsze: „Bardzo dobrze, dziękuję.”

Lecz Mary sprawiła jej niespodziankę.

- Miałabym ochotę śpiewać i skakać - poinformowała ją uprzejmie.

Emerytowana pielęgniarka stanęła jak wryta i, zmarszczywszy mocno brwi, spojrzała na Mary zmrużonymi oczami zza grubych szkieleł w drucianej oprawie.

- Powiedziała pani, że ma ochotę śpiewać i skakać?!

- Istotnie. - Mary obdarzyła ją serdecznym uśmiechem.

- Moja droga, powinna pani jakoś temu zaradzić! Najlepiej od razu pójść do doktora Hanleya.

Nie mogąc dłużej utrzymać sekretu przy sobie, Mary udała się po zamknięciu

biblioteki prosto do domu Georgeanne McKay.

- O, Mary! Co za miła niespodzianka! - powitała ją ciepło przyjaciółka. Wysoka i smukła jak młoda topola Georgeanne wyszła za mąż miesiąc po ukończeniu szkoły średniej i wiodła odtąd życie szczęśliwe jak w bajce. Dwoje dzieci i wiele lat małżeństwa nie odebrały jej klasycznej urody. Nawet po dwóch trudnych ciążach najlepsza przyjaciółka Mary zachowała smukłą figurę.

Georgeanne była zawsze lubiana i lubiła ludzi; sama jej obecność podnosiła Mary na duchu. Zastanawiając się nad ich wieloletnią zażyłością, Mary doszła do wniosku, że kontakty z Georgeanne były cudowną odskocznią w monotonnej egzystencji.

- Możesz ze mną chwilę porozmawiać? - Mary wiedziała, że zjawia się w porze kolacji, ale musiała bezzwłocznie podzielić się z kimś niezwykłą nowiną!

- Oczywiście. - Georgeanne zaprowadziła ją do kuchni. W zlewie piętrzyły się brudne naczynia, na stole było pełno talerzy, talerzyków i pustych kartonów po mleku. Ktoś rozsypał sól i białe granulki utworzyły smuzkę na blacie. - Benny wyszedł z chłopcami. Chce im kupić nową futbolówkę. Ze starej chyba uszło powietrze. Siadaj, zaraz ci dam coś zimnego do picia.

Mary stała przed lodówką. Zauważyła, że nadal wiszą na niej kolorowe rysunki, a także całomiesięczne menu szkolnych lunchów. Mary wyciągnęła rękę i dotknęła magnesu przytrzymującego jadłospis. Czuła jak wzbiera w niej radość, gdy uświadomiła sobie, że jej życie będzie niebawem równie pełne jak życie przyjaciółki.

Kiedy się odwróciła, Georgeanne stała już z dwiema wysokimi szklankami mrożonej herbaty. Przyglądała się Mary przez chwilę, zanim spytała:

- Wszystko w porządku?

Mary uśmiechnęła się promiennie.

- Jak najbardziej!

Georgeanne uwierzyła. Mary poznała to po spokojnych ruchach przyjaciółki, która wyminęła zagracony kuchenny stół i poprowadziła gościa na frontowy ganek.

- Właśnie myślałam sobie, że ostatnio zbyt rzadko się widzimy. Co byś powiedziała na wspólne sobotnie zakupy? - spytała Georgeanne, siadając na białym wiklinowym krześle.

Brunatne drozdy fruwały z gałęzi na gałąź, chrabąszcze i pasikoniki brzęczały i pobzykiwały wesolutko.

- Zakupy?... Ależ oczywiście. - Mary mocniej ścisnęła pasek torby i usiadła. Wieczorne powietrze było takie wonne! Pomyślała ze smutkiem, że będzie jej brakowało rodzinnych stron, ale w Montanie znajdzie coś, czego Luizjana nie mogła jej ofiarować.

Męża, dzieci, dom.

- Georgeanne - powiedziała ożywieniem - mam dla ciebie wspaniałą nowinę!

- Domyśliłam się tego. Oczy ci się świecą.

- Co sądzisz o jasnoróżowym materiale i tym fasonie, który ci pokazałam w zeszłym miesiącu? Chodzi o tę suknię z koronkową narzutką i z karczkiem ozdobionym atlasową wstążką.

- Uważam, że jest cudowny - powiedziała Georgeanne z przekonaniem. - Czemu pytasz? Chcesz ją sobie uszyć? Mówiłaś, że nadaje się tylko na jakąś wyjątkową okazję.

Mary przytaknęła z zapalem.

- Chodzi o najważniejsze wydarzenie w moim życiu.

- Czyżby w bibliotece miał się odbyć wieczór autorski jakiejś sławy?

Mary ostrożnie otworzyła torebkę i wyjęła list Trávisa, jakby to był klejnot, jakby nigdy w życiu nie miała już wziąć do ręki czegoś równie cennego.

- Mam zamiar ubrać się w nią do ślubu.

Georgeanne zdumiała się. Zapadło milczenie tak długie, że aż krępujące.

- Wychodzisz za mąż?

- I to cię aż tak dziwi? - droczyła się Mary, dobrze wiedząc, że jej nowina musiała być prawdziwym szokiem. Wychodzi za mąż - ona, która co najmniej od dwóch lat z nikim się nie umówiła! Ona, która straciła całkiem nadzieję na poznanie kogoś wyjątkowego, na to, że zostanie pokochana i że sama pokocha jakiegoś mężczyznę.

- Ja... doprawdy nie wiem, co powiedzieć. Nie miałam pojęcia, że się z kimś spotykasz.

- Ten ktoś nazywa się Travis Thompson i mieszka w małym miasteczku o sto mil albo i więcej od Miles City w Montanie. Nie jestem całkiem pewna, kiedy się dokładnie pobierzemy ani gdzie; przypuszczam, że w Grandview, bo to najbliższej rancza Trávisa.

- W Montanie! - Reakcja Georgeanne była niemal identyczna jak Mary, gdy po raz pierwszy przeczytała ogłoszenie. Przyjaciółka zachowywała się tak, jakby Mary powiedziała jej, że wychodzi za kosmitę.

Mary pojmowała niepokój Georgeanne. Sama miała z początku wiele obiekcji. Pomyślała, tłumiąc westchnienie, że najlepiej będzie wszystko wyjaśnić od razu.

- Doprawdy, nie mam wyboru: muszę przenieść się do Montany, bo Travis ma tam swoje ranczo: hoduje bydło.

- Będiesz mieszkała na ranczu?!

- Nie martw się. Jestem pewna, że Travis nie zagoni mnie do obrządzania bydła.

Miał to być dowcip, ale Georgeanne potraktowała sprawę całkiem poważnie.

- Jak... jak się spotkaliście? - spytała dziwnie piskliwym głosem.

- Wcale się nie spotykaliśmy, jak dotąd.

- Więc w ogóle nie znasz tego człowieka?! - Georgeanne zerwała się, a potem

znów klapnęła na krzesło. Ponownie zapadło milczenie; powietrze zdawało się naładowane elektrycznością. Georgeanne najwyraźniej nie była w stanie uwierzyć w tę historię.

- Poznamy się przed ślubem, rzecz jasna - zapewniła ją Mary z lekkim uśmiechem. - Nie przejmuj się tak! Oboje dobrze wiemy, co robimy.

- Jeśli nigdy się nie spotkaliście, to jakim cudem... Jak zawarliście znajomość? To nie ma przecież sensu... - urwała nagle.

- Odpowiedziałam na ogłoszenie Trávisa, który poszukiwał żony - wyjaśniła Mary. Od samego początku zamierzała powiedzieć przyjaciółce prawdę, choćby niemiłą. - Zamieścił ogłoszenie w gazecie wydawanej w Billings. To też w Montanie. Najpierw przeczytała je Sally Givens, znasz ją, prawda? - zwróciła uwagę Georgeanne.

Przyjaciółka ledwie skinęła głową.

Mary wciągnęła powietrze w płuca, chcąc się opanować, i zmusiła się, by mówić dalej.

- Widzisz, brat Trávisa i jego bratowa niedawno zginęli w wypadku. Travisowi przyznano opiekę nad trojgiem ich dzieci. Właśnie dlatego zamieścił to ogłoszenie w gazecie.

Tak więc wszystko było już jasne. Prawda, naga i niemiła, wyszła na jaw. A przedstawiała się następująco: Mary była tak zdesperowana, pozbawiona wszelkiej nadziei, że zniżyła się do odpowiedzi na ogłoszenie w prasie. Przyznanie się do tego było przykre, ale mogła bez obawy zwierzyć się przyjaciółce, osobie, która w Petite znała ją najlepiej.

- Ten ranczer... zamieścił ogłoszenie, że szuka żony?

- Tak, i ja na nie odpowiedziałam. Od tej pory wymieniliśmy kilka listów i ostatecznie zarówno on, jak i dzieci wybrali właśnie mnie. - Nie umiała ukryć dumy, która zabrzmiała w jej głosie. Kiedy Georgeanne nadal gapiła się na nią,

jakby nagle spadła z księżyca, Mary wyjęła kilka kartek z koperty i podsunęła je przyjaciółce na dowód, że mówi szczerą prawdę.

Być może Mary postąpiła niemądrze, zaskakując w ten sposób przyjaciółkę, ale spodziewała się, że Georgeanne choć w części podzieli jej radość. Przyjaźniły się całe życie; kto jak kto, ale Georgeanne powinna mieć do niej tyle zaufania, by uwierzyć, że ten szalony plan się powiedzie. Nikt inny by jej nie zrozumiał. Mary doskonale mogła sobie wyobrazić, jak wszyscy znajomi wyrzucają jej głupotę, straszą, potępiają, ale przecież nie Georgeanne. Nie najserdeczniejsza przyjaciółka!

- Dzieci? Temu człowiekowi przyznano opiekę nad dziećmi?

- Nad trojgiem.

- Boże święty! - wyszeptała Georgeanne wcale nie modlitewnym tonem. A może jednak było to jakieś rozpaczliwe błaganie?

- Proszę cię, Georgeanne - powiedziała Mary, biorąc ją za rękę i ściskając mocno obiema dłońmi. - Ciesz się moim szczęściem! Dobry, uczciwy człowiek chce się ze mną ożenić.

- P... przecież go wcale nie znasz!

- Ależ znam! Korespondowaliśmy ze sobą. - Mary przerzucała listy.

- Chyba niezbyt długo, bo wspomniałabyś o nim już wcześniej. Jak możesz nawet myśleć o takim szaleństwie? To wcale do ciebie nie podobne! Słowa wystrzeliły jak kapiszony z dziecinnej zabawki: szybko, głośno, nagłaco.

- Wyjdę za niego - oświadczyła Mary z godnością.

- Czy komuś jeszcze o tym wspomniałaś? Czy nie uważasz, że lepiej było się kogoś poradzić? Mary, proszę cię, zastanów się poważnie! Jesteś teraz wytrącona w równowagi. Straciłaś w tym roku matkę. Wiem, że śmierć Clintona też była dla ciebie strasznym ciosem. Rozumiesz chyba, że ten pomysł... poślubienia kogoś, kogo nie widziałaś nigdy w życiu... przyszedł ci do głowy tylko dlatego, że straciłaś Savannah i Clintona. Czujesz się rozbita, masz w głowie zamęt, to właśnie

pod wpływem tych ciosów. Nie jesteś teraz sobą!

- Doskonale wiem, co robię.

- Niemożliwe! - protestowała Georgeanne - Inaczej nigdy byś nie przyjęła...
takich dziwacznych oświadczeń!

- Jeszcze ich nie przyjęłam. To znaczy, jeszcze go o tym nie powiadomiłam.

Georgeanne na sekundę zamknęła oczy.

- Dzięki Ci, Boże! - szepnęła. - Nie możesz opuścić Petite, Mary, po prostu nie możesz! Cóż ja bym bez ciebie zrobiła?

- Dasz sobie radę. Jak zawsze.

- Ale to takie do ciebie niepodobne!

Reakcja przyjaciółki zastanowiła Mary. Zburzyła pewność, którą przedtem Mary tak się upajała. Słyszając własny głos, opowiadający prosto z mostu, co zamierza uczynić, poczuła nagle, że wszystko to jest niedorzeczne! Absurdalne i głupie. A jednak pragnęła wyjść za Tralisa Thompsona, pragnęła tego bardziej niż czegokolwiek w życiu.

- Travis poprosił mnie, żebym do niego zadzwoniła, gdy podejmę decyzję.

- I jeszcze nie zatelefonowałaś do niego?

- Jeszcze nie - potwierdziła Mary. Starła się myśleć jasno, rozważyć logicznie swą decyzję, obiektywnie zbadać wszystkie plusy i minusy. Nie upierała się dłużej przy cukierkowej małżeńskiej idylli, której obraz wyląkł się w jej mózgu. Dobrze wiedziała, czego chce i co ją czeka.

Teraz nie była pewna, czy wizyta u Georgeanne jest pomyłką, czy też najrozsądniejszą rzeczą, jaką uczyniła.

Sięgnęła po mrożoną herbatę i wypiła łyżeczek. Przypomniała sobie przy tym drzwi lodówki w domu Georgeanne. Serce jej się ścisnęło: poczuła tak silną tęsknotę za własną rodziną, że omal nie wybuchnęła płaczem.

Mary uświadomiła sobie ze smutkiem, że przez wszystkie lata ich przyjaźni

Georgeanne McKay wcale jej nie znała. Jej życie było tak bogate szczęśliwe, że nie mogła zrozumieć, czym jest dla Mary egzystencja w jałowym, przesadnie schludnym świecie samotności. Przyjaciółka, od szkoły średniej otoczona niezmienną miłością i pożądaniem ukochanego mężczyzny, nie miała pojęcia, co to znaczy być trzydziestodwuletnią starą panną. Reakcja Georgeanne była zdecydowanie egocentryczna. Nie potrafiła docenić, ile znaczyła propozycja Travaisa dla kogoś takiego jak Mary.

W zasięgu ręki Mary znalazła się jedyna szansa - być może nawet na szczęście małżeńskie? Były także dzieci, małe, osierocone dzieci, które jej potrzebowały. Po raz pierwszy od wielu lat zbudziła się w niej nadzieja - i było to, do diabła, sto razy lepsze niż wypełnianie pustki życia spłowiałymi marzeniami!

W porządku. Mary sama gotowa była przyznać, że decyzja poślubienia kogoś zupełnie obcego to czyn desperatki pozbawionej wszelkiej nadziei. I co z tego? Przecież przez te wszystkie lata dławiała w sobie właśnie rozpacz. Była już chora od udawania, że wcale tak nie jest. Dość już miała ciągłego wmawiania sobie i innym, że niczego jej w życiu nie brakuje.

Georgeanne musiała wyczuć jej nastrój, bo westchnęła głęboko. - Nie powinnam była podchodzić do tego tak sceptycznie. Kto wie, twój kowboj może okazać się kimś... wspaniałym. Mam nadzieję, że zasięgnęłaś o nim jakichś informacji? Wiesz, że nie jest niezrównoważony psychicznie, nie siedział w więzieniu - różne takie sprawy, o których powinno się wiedzieć.

- Nie muszę niczego sprawdzać - odparła wojowniczo Mary. Teraz przyjaciółka kwestionowała w dodatku jej zdolność oceniania ludzkich charakterów!

Georgeanne robiła się coraz bardziej zaniepokojona.

- Proszę, powiedz, że to tylko niemądry żart! Nie zamierzasz przecież naprawdę tego zrobić, Mary?

- Owszem, wszystko wskazuje na to, że wyjdę za Trávisa. - Mary musiała przyznać, że słowa Georgeanne dały jej do myślenia. Jeśli chodzi o wstrzymanie się, póki nie „sprawdzi” Trávisa, jak jej radziła Georgeanne, Mary nie uważała tego za konieczne. Jeżeli władze stanowe uznały, że nadaje się on na opiekuna trojga dzieci, nie mógł mieć wiele na sumieniu.

Intencje Georgeanne z pewnością były jak najlepsze, ale po raz pierwszy Mary poznała tę stronę jej osobowości, o której dotąd nie miała pojęcia. Co się zaś tyczy wyjścia za Trávisa, Mary podjęła już decyzję.

- Jak możesz w ogóle myśleć o poślubieniu mężczyzny, z którym się ani razu nie spotkałaś? - Georgeanne sięgnęła po mrożoną herbatę tak energicznie, że płyn chlupnął ze szklanki. Upiła łyczek i odstawiała ją ze stukiem na stolik ze szklanym blatem.

- Jestem potrzebna jemu i dzieciom. To mi wystarczy. Wiem, że nie jesteś w stanie pojąć, co to znaczy być komuś potrzebną - odparła Mary ze smutkiem.

- Zupełnie cię nie poznaję. Mary, zupełnie nie poznaję! Zawsze byłaś taka rozsądna! Przeczucie mówi mi, że to się źle skończy. Czy naprawdę masz zamiar przenieść się na drugi koniec Stanów, żeby wyjść za pastucha?!

- Dlaczego nie?

- Bo... jeśli chcesz wyjść za mąż, to nie w ten sposób! Czy ty się chociaż zastanowiłaś nad tym, że jedynym powodem, dla którego on szuka żony, są te dzieci?

- Oczywiście. Ja też wychodzę za niego z tego właśnie powodu.

Odpowiedź Mary jeszcze bardziej zmieszała przyjaciółkę.

- Myślałam... że jesteś szczęśliwa. Zawsze mi się zdawało... W zwykłych warunkach nigdy byś tak nie postąpiła!

- Mylisz się, Georgeanne - zaoponowała Mary zdumiona, że jej przyjaciółka wcale jej nie zna. - To nie jest sprzeczne z moją naturą. Chyba jeszcze nigdy w

życiu nie byłam tak wzruszona. Czuję się taka szczęśliwa, jakbym wygrała na loterii!

- Pomyślałaś o jego motywach? Czy zastanowiłaś się nad tym, czemu on zamierza się ożenić z nieznajomą kobietą? Chce cię po prostu wykorzystać!

Mary uśmiechnęła się łagodnie, nie zważając na obawy przyjaciółki. Przecież Georgeanne w pewnym sensie sama ją wykorzystywała: jako tło dla własnej osoby, jako pomoc przy dzieciach, gdy były mniejsze, jako krawcową.

- Nie osądzaj tak surowo Travisa. Ja także się nim posłużę. I oboje zdecydowaliśmy się na to ze względu na dzieci. Jestem im potrzebna, a świadomość, że ktoś mnie potrzebuje, jest cudowna!

- Mnie też jesteś potrzebna - sprzeciwiła się Georgeanne, w jej głosie brzmiała nagana. - Przyjaźnimy się prawie od urodzenia! Staram się zrozumieć cię, Mary, naprawdę się staram, ale nie mogę! Chcesz wyrzucić za burtę wszystko, na czym ci dotąd zależało, tylko dlatego, że jakiś kowboj poszukuje żony, a jakimś dzieciom, których nigdy w życiu nie widziałaś, zabrakło matki? Podejmujesz takie ryzyko, i po co?! Co chcesz przez to osiągnąć?

W pewnym sensie Mary doceniała troskę przyjaciółki, ale nie wpłynęło to w najmniejszym stopniu na jej decyzję. Przyszłość rysowała się jasno od chwili, gdy Mary usłyszała, jak Sally i Karen rozmawiają o ogłoszeniu Travisa. W tym właśnie momencie jakiś dziwny dreszcz przemknął Wzdłuż jej kręgosłupa i nagle stała się kimś innym. Szczerze wątpiła, czy kiedykolwiek powróci jej dawna osobowość. To ogłoszenie stało się punktem zwrotnym w jej życiu. Zmusiło ją, by oceniła uczciwie własną egzystencję. Teraz nie byłaby już w stanie przeżyć ani jednego dnia tak jak dawniej: udając, że jest ogromnie szczęśliwa! Żyjąc w świecie marzeń, które się nie spełniały; które nie mogły się urzeczywistnić, o ile sama nie weźmie się do działania! Travis dał jej życiową szansę, a Mary tak była za nią wdzięczna, że miała ochotę tańczyć po ocienionych dębami uliczkach Petite.

- To, co mówię, zupełnie do ciebie nie trafia, prawda? - szepnęła Georgeanne.
- Podjęłaś decyzję i już jej nie zmienisz.

Piwnie oczy przyjaciółki wpatrywały się w Mary tak uparcie, że pojęła, iż powinna była przedstawić swe racje w sposób bardziej oględny. Nie myślała jednak, że po tylu latach przyjaźni będzie to konieczne!

- Mam wrażenie, że żyłam dotąd pod kloszem - powiedziała Mary, starając się jakoś wyjaśnić przyjaciółce swoje stanowisko. - Spójrz na mnie, Georgeanne! Mam trzydzieści dwa lata, czy nie uważasz, że to najwyższa pora, bym zaczęła naprawdę żyć?

- Ale wychodząc za nieznajomego, postępujesz tak, jakbyś chciała skoczyć z Mostu Brooklyńskiego w nadziei, że nauczysz się latać!

- Być może - zgodziła się Mary. Nigdy jednak nie miała lęku wysokości, a po raz pierwszy od Bóg wie ilu lat (lepiej nie liczyć!) gotowa była wzbić się w niebo.

- Obiecuj mi choć to jedno - błagała Georgeanne, ściskając oburącz dłoń Mary. - Odczekaj tydzień! Przemyśl sobie wszystko dokładnie, zanim się z nim skontaktujesz. Tydzień to nie tak znów długo! Zrobisz to dla mnie? Tak bardzo cię proszę!

Mary westchnęła, potem niechętnie skinęła głową.

- Wiesz, co sobie pomyślałem? - spytał Scotty, opierając łokcie na kuchennym stole i obejmując dłońmi swą piegowatą buzię. Urwał i zrobił kwaśną minę.

- Co takiego? - spytał Travis, szorując zawzięcie dno żeliwnego garnka. Całkiem zapomniał o gotującej się w nim zupie i zostawił ją na ogniu za długo. Cholera, nie miał pojęcia, że można coś aż tak przypalić! Znajdujące się w zupie kawałki mięsa zwęgliły się, a z jarzyn zrobiła się packa; wyglądało na to, że najlepszy garnek diabli wzięli.

- Myślałem - ciągnął Scotty, marszcząc czoło - że Mary pewnie się rozmyśliła

i nie chce już się z nami ożenić!

Travis zaklął pod nosem. Prawdę mówiąc, jego samego dręczyły podobne myśli. Według jego wyliczeń Mary powinna była otrzymać list od niego siedem dni temu. Calutki tydzień! Chyba przez ten czas mogła podjąć decyzję?! Wyłożył karty na stół, był wobec niej całkiem uczciwy i prostolinijny - i pewnie z tego powodu wszystko diabli wzięli.

Poczeka jeszcze kilka dni, a potem przejrzy inne listy, które do niego przyszły, i odpisze na któryś. Niech to jasna cholera! Widać żonę równie trudno znaleźć jak gospodynię!

- Znowu klniesz, wujku? - spytała Beth Ann, wkraczając do kuchni z saloniku i biorąc się pod boki.

Travis pomyślał, że smarkula ma lepszy słuch od nietoperza!

- Może mi się coś tam wymknęło.

- Nie wstyd ci, wujku?

- On się martwi - wyjaśniał cierpliwie Scotty. - A jak się człowiek czymś gryzie, musi sobie jakoś ulżyć.

Chłopak ma tylko osiem lat, a taki mądry! Scotty bardziej przypominał Travisowi zmarłego brata niż Jim i Beth Ann. Czasami coś go aż bolało, gdy patrzył na dzieciaka... ale kiedy indziej robiło mu się trochę lżej na sercu, gdy w oczach Scotty'ego błyszczała inteligencja i urok jego taty.

Jim fizycznie najbardziej przypominał Lee, ale charakter miał zbliżony raczej do Trávisa. Niewiele mówił, stał na uboczu i tylko obserwował wszystko, co działo się wokół. Z całej trójki Jim był największym cynikiem i pesymistą. Travis starał się być cierpliwy, ale mówiąc szczerze, miał już dość jego kwaśnych, ironiczných min i humorów. Jeśli Jim tak się zachowywał w dwunastym roku życia, aż strach pomyśleć, co z niego wyrośnie, gdy będzie miał piętnaście lat!

- Możemy sobie wybić z głowy przyjazd Mary - stwierdził Jim. - Obejdzie się

bez niej.

- Mnie się ona najbardziej podobała - zauważyła smutno Beth Ann. Przyciągnęła sobie krzesło i siadła koło braci. Ramiona dziewczynki były zgarbione, główka wyraźnie jej ciążyła. Travisowi jakoś udało się uczesać ją w kucyki i choć sterczały krzywo, był bardzo dumny ze swego osiągnięcia.

Scotty przechylił się przez stół i szepnął, starając się, by Travis go nie usłyszał:

- Musimy coś zrobić jak najszybciej, zanim wujek nas całkiem otruje!

- Słyszałem - mruknął Travis. - Nikt jeszcze nie umarł od tego, że obiad troszeczkę się przypalił.

- Troszeczkę?! - oburzył się Jim. - Przez tydzień nie doszorujesz tego garnka!

- Jeszcze słowo, a sam go będziesz szorował!

- Kiedy pani Morgan znowu do nas przyjdzie? - spytała żałośnie Beth Ann.

- Za sześć dni odpowiedział jej Scotty takim tonem, jakby to były najdłuższe dni w historii ludzkości.

Starsza pani nadal przyjeżdżała do nich z wizytą co tydzień. Z początku Travis - jak ostatni głupiec - miał za złe wszelkie wtrącanie się w ich Prawy. Kilka pań z Grandview usiłowało zagłaskać go na śmierć dobrymi radami i współczuciem. Travis wcale sobie tego nie życzył. Był opryskliwy i odnosił się do nich wrogo, kiedy zjawiały się w „Trzech T” obładowane jedzeniem i środkami czystości. Był zbyt dumny, by przyjąć od nich pomoc. Po czterech miesiącach zmienił zdanie. Każdego, kto zjawiłby się na ranczo z czymś do jedzenia, gotów był witać z wielkimi honorami.

Nikt się jednak nie zjawiał, z wyjątkiem Klary Morgan. Emerytowana nauczycielka przyjeżdżała co tydzień z różnymi smakołykami; pogadała z każdym z dzieci i odchodziła. Travis podejrzewał, że to ona przekazywała czynnikom z opieki społecznej długą listę zarzutów. Nie wiedział, czy starsza pani jest jego

sojusznikiem czy wrogiem, ale ponieważ jej właśnie zawdzięczali jedyny przyzwoity posiłek w ciągu tygodnia, wolał o to nie pytać.

Zadzwoił telefon i trzy pary błyszczących oczu zwróciły się na Trávisa. Nie powinien był im mówić, że prosił Mary, by do nich zatelefonowała. Żałował tego teraz. Jego własne rozczarowanie było wystarczająco duże - po co było jeszcze niepokoić dzieci?

- Odbierzesz? - spytał Scotty po drugim sygnale.

- Przecież się nie pali! - rzucił szorstko Travis, sięgając po ścierkę. Nigdy nie myślał, że kiedyś oparzy się uchem głupiego garnka!

- Może ona nie będzie czekać - ponaglił go Scotty.

- To wcale nie ona - parsknął Jim. - Ona już nie zadzwoni.

Travis wycelował wskazujący palec w stronę starszego chłopca.

- Już ci mówiłem, żebyś nie patrzył na wszystko tak czarno! - skarcił go, sięgając po słuchawkę. Jednak pesymizm Jima niepokoił Trávisa. - Tu „Trzy T” - warknął do mikrofonu ze zmarszczonym czołem. Powinien coś zrobić z chłopcem, tyle że sam nie wiedział co.

- Hallo... Czy to Travis?

Głos, który do niego dotarł, był łagodny i kobiecy, z miłym południowym akcentem. Ręka Trávisa zacisnęła się na słuchawce, a serce fiknęło koziołka.

- Mary? - rzucił w stronę kuchennego stołu spojrzenie pełne triumfu, jakby od razu wiedział, że to ona.

- Tak, to ja. Prosiłeś, żebym zatelefonowała.

- Zdecydowałaś się? - Travis zawstydził się skwapliwości we własnym głosie. Powinien być spokojny i opanowany, jakby mu było wszystko jedno, co Mary odpowie. Otrzymał przecież masę innych listów! Niektóre nawet godne uwagi. Żaden nie mógł się równać z listem Mary, ale przecież o tym nie wiedziała.

- Nie przysłałaś mi swego zdjęcia. - W jej głosie brzmiał łagodny wyrzut.

- A prosiłaś mnie o to? - Travis starał się nie okazywać zniecierpliwienia, ale cholernie mu to nie szło. Był pewien, że Mary się uśmiechnęła (co za bzdury!). - Słuchaj, jak ci na czymś zależy, to zwyczajnie powiedz. Nie potrafię czytać w myślach.

- Jesteś wysoki?

- Sześć stóp trzy cale. I raczej chudy.

- To dlatego, że sam sobie gotuje! - krzyknął Scotty, a cała trójka zebrana wokół stołu zaśmiała się. Napięcie, dzięki Bogu, zelzało.

Travis uciszył dzieci spojrzeniem. Nie chciał, żeby Mary myślała, że chce się z nią ożenić tylko dlatego, że dobrze gotuje, choć i na tym oczywiście mu zależało. Bóg wie, jak często leżał po ciemku, marząc o posiłkach, które będzie im przygotowywała. Jeśli dostała pierwszą nagrodę za ciasto figowe, to wyobrażał sobie, jakie cuda potrafi wyczarować z jabłek czy brzoskwiń!

Jeśli ci tak zależy na fotografii, to ci ją wyślę - powiedział bardziej opryskliwie, niż chciał. Mógłby ją poinformować, że niejednej kobitce wpadł w oko, ale Mary pomyślałaby pewnie, że się przechwala. Jednak ogólnie uważano, że jest przystojny.

- Nie musisz mi przysyłać zdjęcia.

Travis z trudem się pohamował, żeby nie spytać, po co o tym wobec tego wspominała, do cholery?! Poza tym chciał, żeby odpowiedziała wreszcie na jego pytanie. Pomyślał jednak, że jeśli nie będzie się odzywał, Mary w końcu sama dojdzie do tego, na czym mu zależało.

Zaległa przykra cisza. Travis hamował się z trudem, żeby znów nie wyskoczyć ze swoim pytaniem.

- Zadzwoiłam do ciebie - powiedziała Mary po kilku trudnych do zniesienia sekundach - żeby powiedzieć, że rozważyłam dokładnie twoją propozycję i postanowiłam wyjść za ciebie. Oczywiście, jeśli nadal chcesz mnie za żonę.

Czy ją chce?! Nigdy w życiu jej nie widział, ale wszystko się w nim rwało, by chwycić ją w ramiona i krzyknąć, jak bardzo jest jej wdzięczny! W tym momencie miał wrażenie, że ubył mu dziesięć lat.

- Fajnie - odparł, starając się (bez powodzenia) ukryć swój entuzjazm. Dał dzieciakom znak, unosząc w górę kciuki i uśmiechnął się od ucha do ucha, kiedy objęły się ramionami i zaczęły tańczyć wokół stołu.

- Chciałabym porozmawiać po kolei z każdym z dzieci, ale przedtem chyba powinniśmy ustalić datę, żebym mogła przygotować się do podróży.

- Jasne. Zadzwoń do linii lotniczych i znajdziesz bilet raz-dwa na swoim biurku. Odpowiada ci sobota?

- Najbliższa sobota?

A którą, do cholery, mógł mieć na myśli?!

- Pewnie. I dzieciaki, i ja chcemy cię jak najprędzej powitać.

- Bardzo mi przykro, ale w żaden sposób nie zdążę.

Łatwo można się przyzwyczaić do takiego miękkiego głosu, pomyślał Travis. Zupełnie jak płynny miód.

- Muszę załatwić wiele rzeczy przed wyjazdem z Petite - dodała Mary. - Postanowiłam oddać meble na przechowanie i wynająć dom. Trzeba uporządkować wiele spraw to zajmie dobrych parę tygodni.

- Tygodni?!

- Myślę, że zajmie to ze dwa miesiące.

- Dwa miesiące?! - Zacisnął dłoń na słuchawce. - Nie możemy tak długo czekać. - Opiekunowie społeczni siedzieli mu na karku. Wszystkie garnki i rondle były przypalone. A jeśli to nie był dostateczny powód, to miał przecież, do cholery, całe ranczo na głowie! Potrzebował koniecznie żony, i to od zaraz!

- W porządku - odparła Mary dość pogodnie. - Wobec tego miesiąc. Pospieszę się jak tylko można, ale muszę mieć trzydzieści dni, żeby doprowadzić do końca

wszystkie moje sprawy w Petite.

- Mowy nie ma. - Ton głosu Trávisa był tak ostry, że dzieci przejął lodowaty dreszcz. Trzy pary niespokojnych oczu zwróciły się ku niemu. - Tydzień - oświadczył twardo. - Dłużej absolutnie nie mogę czekać. Więc się decyduj. - Udawał bardziej pewnego siebie, niż był w istocie.

- Wujku! - przypomniał mu Scotty, wymachując rękami. - Ona umie świetnie gotować!

- No więc? - nalegał Travis, nie zważając na chłopca.

- Umie śpiewać i układać piosenki! - wtrąciła Beth Ann cichym, błagalnym głosem.

- Jeśli tak się sprawy mają - odparła Mary z westchnieniem - to muszę jakoś uwinąć się w tydzień.

Nie była zadowolona, Travis zdawał sobie z tego sprawę, ale nic na to nie mógł poradzić.

Mary zamilkła na chwilę, a potem dodała nieco ciszej:

- Bardzo się cieszę na spotkanie z wami wszystkimi.

- Ja też chciałbym cię jak najprędzej powitać. - Travis był pewien, że Mary nie ma pojęcia, z jakim utęsknieniem na nią czekał!

Rozdział 4

Mysz. To było jedyne słowo, jakie według Trávisa pasowało do Mary Warner, gdy wysiadła z samolotu. Serce poszło mu w pięty i trzeba było dłuższej chwili, żeby wróciło na właściwe miejsce. Na jednym mu tylko zależało: na długich nogach. I co dostał? Taką myszkę.

Zgadza się, był niesprawiedliwy. Sam o tym dobrze wiedział. Przysłała mu swoje zdjęcie, więc się orientował, że nie jest wysoka. Ale zupełnie się nie

spodziewał takiej... takiej kruszynki!

Wyglądała wypisz-wymaluj na książkowego mola! Nie mogła ważyć więcej niż sto funtów i niższa była od niego o całą stopę, albo i więcej. Ledwie sięgała mu do ramienia. Nie dość, że była taka niepozorna, wydawało się jeszcze, że mocniejszy powiew wiatru przewróci to chuchro, a w Grandview czego jak czego, ale wiatrów nie brakowało! Travis wątpił, by ta cała Mary Warner miała zbyt wiele siły. Wydawało się, że nie zdoła zmienić biegów w samochodzie, a co dopiero mówić o gotowaniu i sprzątaniu całego domu. A do życia na ranchu pasowała, nie przymierzając, jak palma do Alaski!

Ubrana była w sukienkę w kolorze lila; ten delikatny odcień podkreślał rysy jej twarzy - co tu dużo gadać: pospolite. I wydawała się blada jak po tyfusie! W końcu połapał się, dlaczego: nie miała ani krztyny makijażu. Ani różu na policzkach, ani błyszczyka. Nosila ogromne okulary w rogowej oprawie, zasłaniające prawie całą twarz. Granatowy płaszcz o klasycznym kroju był nie zapięty; na nogach miała czarne półbuty. Pod pachą trzymała jakąś książkę; gdy spojrział na tytuł, okazało się, że to podręcznik wychowania dzieci. Najwidoczniej wiedziała na ten temat nie więcej od niego. Doskonali z nich będą rodzice! - pomyślał drwiąco. Dziwne, że wcześniej nie przyszło mu to na myśl.

W każdej innej sytuacji Travis był pewny, że nawet by się za nią nie obejrzał. Cholera, ależ była mała!

Całe te oględziny trwały najwyżej dwie sekundy. Potem Travis dał sobie moralnego kopa, zdjął kapelusz i podszedł do niej.

- Mary Warner?

- Tak. - Spojrzała na niego czystymi, błękitnymi oczami.

Miała śliczne oczy. Nie była w jego typie, absolutnie nie, ale piękne oczy zawsze potrafił docenić!

Stała bez ruchu i przyglądali się sobie nawzajem. Przez bardzo długą chwilę

milczała, jakby i ona spodziewała się czegoś znacznie lepszego. Travis wyprostował się, czując się niezręcznie pod jej badawczym wzrokiem; pożałował, że przed wyjazdem z rancza nie zdążył wykąpać się i ogolić.

- Jestem Travis Thompson.

- Tak sobie właśnie pomyślałam. - Głos miała niski, z południowym akcentem, a jej uśmiech był nieśmiały i słodki. Uśmiech prawdziwej damy. Taki w stylu Mary Poppins. Przynajmniej Beth Ann się nie rozczaruje. Jeśli o niego chodzi - cóż, przepadło!

Travis poczuł się oszukany. Fotografia, którą Mary mu przysłała, była niewyraźna. O wiele lepiej było na niej widać przyjaciółkę Mary niż ją samą. Wpatrywał się długo w jej wizerunek, wydawało mu się, że dostrzega rzadki urok w tych jasnych oczach i łagodnych rysach. Powinien był przyjrzeć się uważniej! Cały urok, jakiego dopatrywał się na zdjęciu, był wytworem jego własnej wyobraźni.

Zapewne wszystko, co napisała mu o swoich talentach kulinarnych, zaślepilo go, bo teraz nie czuł specjalnego zachwyty żadnego, prawdę mówiąc! Potrzebował kogoś do dzieci tak bardzo, że przystroił Mary w zalety, których nigdy nie posiadała. Powinien był zachować zdrowy rozsądek, ale kiedy przeczytał jej listy i dostał zdjęcie, zaczął sobie wyobrażać Bóg wie co.

Był zaskoczony, że tak dużo kobiet odpowiedziało na jego ogłoszenie. W pierwszym tygodniu otrzymał piętnaście listów, a potem jeszcze więcej, ale wówczas skontaktował się już z Mary. Ze wszystkich tych kobiet tylko ona wydała mu się godna, by wraz z nim wychowywać dzieci jego brata. Żadna opiekunka społeczna nie mogła kręcić nosem na kierowniczkę biblioteki!

Niektóre inne oferty stanowiły dla Trávisa nie lada pokusę; przysłały je kobiety ładne, gotowe na wszystko, cholernie seksowne. Zawsze jednak wracał do prostego, szczerego listu Mary.

Zanim wysłał jej bilet lotniczy, dobrze wiedział, że Mary Warner nie jest

kandydatką do tytułu „Miss Ameryka”. Nie przygotował się jednak na to, że ujrzy wystraszoną myszkę.

- Myślałam, że i dzieci przyjadą - powiedziała Mary, rozglądając się za nimi.

- Czekają na ranczu. - Travis nie miał samochodu wystarczająco dużego, by wszyscy się w nim zmieścili, i nie zamierzał go na razie szukać. Będzie go stać na taki wydatek pewnie dopiero po sprzedaniu reszty bydła.

- Miałam nadzieję, że je tu spotkam. - Znow uśmiechnęła się do niego łagodnie, potem szybko spuściła oczy.

Mary Warner z pewnością nie była dziewczyną, z którą chciałby umawiać się na randki, ale jej słodki uśmiech jakoś przypadł mu do serca. I te oczy.

Travis był o wiele potężniejszy, niż Mary sobie wyobrażała. Nigdy jeszcze sześć stóp i trzy cale nie zrobiły na niej wrażenia takiego ogromu. Był po prostu przerażający! Ani śladu uśmiechu, a jego spojrzenie, pochmurne i badawcze, budziło w niej lęk. Szopa kasztanowatych włosów aż prosiła się o nożyczki. Zauważyła, że włożył znow kapelusz, jak tylko się przedstawił. Najwidoczniej czuł się niezręcznie bez nakrycia głowy. Dziwnie ją to rozczuliło.

Brwi miał krzaczaste, prawie żółte, spłowiałe od ciągłego przebywania na słońcu. Mary nie wiedziała, co sądzić o jego oczach. Miały dziwną barwę: trochę piwne, trochę zielone. Kiedy się uśmiechał (co mu się rzadko zdarzało), Mary zauważyła, że przybierają kolor whisky. Wyraz twarzy Travisa był nieodgadniony. Miało się wrażenie, że przywykł do ukrywania swoich uczuć.

Jego twarz była ciemna, ogorzała od słońca i wiatru. Napisał, że ma trzydzieści sześć lat, ale wyglądał starzej. Byłby przystojny, gdyby nie twarda, uparta szczęka. Rysy twarzy miał kanciaste, zachowanie szorstkie.

Mary zauważyła, że nie było w tym człowieku żadnej miękkości, nic delikatnego, stonowanego. Nie krył się z tym, jaki jest, i nie zamierzał się z tego

tłumaczyć.

Gdyby spotkała go na ulicy, pewnie pomyślałaby, że wygląda jakby wyskoczył z kart powieści Louisa L'Amoura. Kowboj z ubiegłego stulecia, w spłowiałych drelichach, kurtce, która służyła mu za przykrycie, w wytartych butach i czarnym kapeluszu. Mary była niemal pewna, że zeskoczył z końskiego grzbietu, zanim wsiadł do samochodu, by popędzić na lotnisko w Miles City. Nie wystroił się na jej powitanie, ale nie czuła się tym urażona.

Był ranczerem, a z tego, co pisał, wyraźnie wynikało, że od przybycia dzieci stanowczo za mało czasu zostawało mu na zajmowanie się gospodarstwem.

Jedno spostrzeżenie zaniepokoiło ją jednak. Travis Thompson był znacznie bardziej męski od wszystkich przedstawicieli płci brzydkiej, których poznała w swoim życiu. Jego dotyk, nawet leciutkie potrącenie łokciem, przestraszył ją.

Wkrótce zaś Travis będzie miał prawo dotykać ją wszędzie gdzie zechce, tam gdzie jeszcze nikt inny nie położył ręki - a ona mu tego nie zabroni... bo przecież żona powinna pozwolić mężowi na takie rzeczy.

Gdy wyszli na zewnątrz, wiatr przeszył ją jak ostrze noża. Trzęsąc się, zapięła szybko płaszcz i skuliła się z zimna. Travis uprzedził ją, że zima już nadciąga. Zrozumiała, że łagodnego klimatu Petite nie da się porównać z mrozami Montany. Mary myślała, że się przed nimi zabezpieczyła, ale wcale tak nie było. Nie wyobrażała sobie takiego zimna, a przecież był dopiero październik!

Travis umieścił jej dwie duże walizy z tyłu odrapanego pikapa. Resztę rzeczy miano przysłać oddzielnie. Mary nie zdążyła przyjrzeć się uważnie samochodowi. Odniosła jedynie wrażenie, że wytrzyma on jeszcze najwyżej kilkaset mil.

Travis pomógł Mary wsiąść, a potem sam zajął miejsce obok niej. Włączył motor, który zagrzmiał ze zdumiewającą energią, jakby chciał dowieść, że opinia Mary była bezpodstawna. Poglądziła zniszczoną tapicerkę, jakby przepraszając za zbyt pochopny sąd na temat wozu, a także - być może - jego właściciela.

Droga do Grandview trwała prawie dwie godziny. Właściwie prawie ze sobą nie rozmawiali, choć Travis z uprzejmości spytał, jak przebiegła podróż, a Mary zagadnęła o dzieci; potem już nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Krajobraz oglądany podczas tej podróży był dokładnie taki, jak Mary przewidywała: nagi i pusty. Jechali mila za milą, bez końca, po kamienistych wzgórzach to w dół, to pod górę, a monotonię przerywały tylko pędzące po szosie w podmuchach wyjącego wichru kępki jakiegoś zielska. Mary miała nadzieję, że ujrzy przynajmniej łąki z kołyszącymi się na wietrze i oświetlonymi słońcem trawami. Nie było jednak ani traw, ani słońca.

- Dziś na ranczu ma dyżur pani Morgan - wyjaśnił Travis, gdy skręcili z szosy w długą, wąską drogę. Po obu stronach stały płoty odgradzające tereny równie kamieniste i jałowe jak cała okolica. Mary zastanawiała się, jak żywe istoty mogły wyżyć na takim pustkowiu.

- Klara Morgan przychodzi co tydzień - wyjaśniał dalej Travis. - Stara się, jak tylko może, pomóc przy dzieciach.

Mary skinęła głową, nie wiedząc, co powiedzieć i czy w ogóle jakaś odpowiedź jest potrzebna.

- Nie masz nic przeciwko temu, żeby spać w pokoju chłopców? - spytał szorstko.

- Skądże.

Właśnie w momencie gdy Mary zaczęła się zastanawiać, jak długo jeszcze będzie to trwało, Travis zwolnił i wjechał na wysypaną żwirem ścieżkę. Z całą pewnością nie zasługiwała na miano „drogi”. Była stroma, kamienista i pełna wybojów, w których mogła bez trudu ugrzęznąć ciężarówka. Wóz tak podskakiwał na wybojach, że Mary kurczowo czepiała się poduszek, żeby nie wypaść.

Travis zwolnił, gdy zbliżyli się do domu i wjechali na ogromny dziedziniec.

Mary nie bardzo wiedziała, czego oczekuje, ale to, co ujrzała, sprawiło, że

ogarnęło ją przerażenie. Ranczo kojarzyło się jej z odcinkami starego serialu telewizyjnego *Wirgińczyk*: wielki, nieposzlakowane czyste dom na wzgórzu, górujący nad pięknymi łąkami, otoczony dobrze utrzymanymi zabudowaniami gospodarskimi. To, co miała teraz przed oczami, można było tylko określić jako bezładną zbieraninę pojazdów albo zupełnie zdezelowanych, albo nadających się do gruntownego remontu, oraz walących się budyneków.

Był też oczywiście dom mieszkalny, ale niewielki i brudny. Deski znosiły kaprysy pogody przez tyle lat, że pokrywająca je niegdyś farba dawno spelzła. Zabudowania gospodarcze przedstawiały się jeszcze gorzej. Niektóre chyliły się na bok i wydawało się, że wystarczy jedna wichura, by runęły. Mary naliczyła aż cztery zardzewiałe samochody - bardzo wątpiła, czy którykolwiek z nich jest na chodzie.

- Niezbyt piękny widok - zauważył Travis, najwyraźniej czytając w myślach Mary.

Obserwował ją uważnie i wszystko wskazywało na to, że czeka, iż Mary zaraz wycofa się ze wszystkiego i oświadczy, że za niego nie wyjdzie. Jeśli istotnie na to liczył, to się rozczaruje! Mary, wyrażając zgodę na to małżeństwo, dobrze wiedziała, że nie powinna liczyć na służbę i warunki jak w luksusowym hotelu. Wyobraźnia trochę ją poniosła, ale była w stanie pogodzić się z rzeczywistością.

- Bardzo tu ładnie.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, jakby nie wierzył własnym uszom. Uśmiechnęła się do niego przelotnie i zawstydzona odwróciła głowę.

Zanim Travis pomógł Mary wysiąść z pikapa, drzwi się otwały i troje dzieci wybiegło na ganek. Przystanęła i na widok całej trójki zrobiło jej się ciepło na sercu. Wyglądali dokładnie tak, jak opisał ich Travis w czasie dwóch krótkich rozmów, które przeprowadzili po jej pierwszym telefonie. Weszła na stopnie ganku. Wszyscy troje gapili się na nią. Ich buzie były bez wyrazu, a okrągłe oczy

szeroko rozwarte. Można by pomyśleć, że zeszedli z plakatu przedstawiającego dzieci wiejskie podczas Wielkiego Kryzysu lat trzydziestych.

- Nie zasypujcie od razu Mary pytaniami - ostrzegł Travis, prowadząc całe towarzystwo do kuchni. Po obejrzeniu domu z zewnątrz Mary myślała, że przygotowana jest na wszystko, co znajdzie w środku. W obszernym pomieszczeniu czekała ją jednak niespodzianka. Urządzenia kuchenne, choć nie były niczym nadzwyczajnym, okazały się zdumiewająco nowoczesne. Była tu nawet kuchenka mikrofalowa. Ściany miały wesoły żółty kolor, ale Travis wspominał już, że pomieszczenie zostało niedawno odmalowane.

Dzieci bez słowa poszły za Mary, tłoczyły się wokół niej i spoglądały na nią, jakby spodziewały się od niej jakichś słów lub czynów.

- Dzień dobry - powiedziała łagodnie i uśmiechnęła się. Jeśli Travis i ranczo sprawiły jej zawód, to te cudowne dzieciaki wynagrodziły to z nawiązką! Rozmawiała z nimi kilkakrotnie, choć bardzo krótko, przez telefon i miała wrażenie, że poznaje dzieci coraz lepiej.

Najmłodsza pociecha uśmiechnęła się do niej nieśmiało.

- Znasz się na czarach?

- Nie. Myślałaś, że jestem wróżką?

- Tak. Jak Mary Poppins.

- To bzdury - wtrącił się Scotty.

Był prawie tak wysoki jak jego starszy brat i dwa przednie zęby właśnie mu rosły. Na nosie miał cynamonowe piegi.

- Najważniejsze - stwierdził Jim, wysuwając się do przodu - kiedy zaczniesz gotować?

- Choćby od razu.

- To fajnie, bo wujek Travis omal nas nie wykończył swoim gotowaniem.

- Na litość Boską, dajcie jej odetchnąć! - sprzeciwił się Travis, który wszedł

do kuchni, taszcząc obie walizki Mary. - Zagadają cię na śmierć, jeśli im na to pozwolisz!

- Wcale się jej nie naprzykrzamy!

Travis zamknął drzwi nogą i zatrzymał się na środku kuchni.

- Przedstawcie się przyzwoicie, a ja tymczasem zaniósę walizki. - I zniknął w długim, wąskim korytarzu.

- Ja jestem Jim.

Mary podeszła do niego i uśmiechnęła się.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałam - wyciągnęła do chłopaka rękę, którą potrząsała.

- Nie jesteś bardzo ładna.

Mary nie obraziła się, ale troszkę ją to zabolowało.

- Wiem o tym, ale umiem gotować, a na tym ci podobno najbardziej zależy.

- A ja uważam, że Mary jest ładna - odezwał się z tyłu chłopięcy głosik. - W pewnym sensie.

Mary odwróciła się i stanęła twarzą w twarz ze Scottym.

Chłopiec wyciągnął do niej rękę. Mary uściśnęła ją, a potem objęła dłońmi jego buzię i uśmiechnęła się do niego.

- Dziękuję, że nazwałeś mnie „ładną”.

Ośmiolatek poczerwieniał jak burak.

- Bo jesteś.

- W pewnym sensie - przypomniała mu.

- A ja jestem Beth Ann i wujek zniszczył moją najlepszą sukienkę, więc trzeba mi uszyć nową!

- Zaraz po kolacji zobaczę, co się da zrobić.

- A gdzie pani Morgan? - spytał Travis wróciwszy z sypialni chłopców.

- Musiała wcześniej wyjść, ale zostawiła ci kartkę.

Travis skinął głową, podszedł do tablicy z różnymi zapiskami i zdjął z niej zwiniętą notatkę. Wszystkie dzieci przyglądały się, gdy ją czytał, czekając na jego reakcję. Mary poszła za ich przykładem. Zauważyła, że szczęki Trávisa zacisnęły się; zmiął kartkę i wrzucił ją do śmieci.

- Coś złego? - spytała Mary.

- Nie, nic - odparł Travis i uspokoił ją uśmiechem; nie był on jednak zbyt szczery: śmiały się tylko wargi, nie oczy.

- Pani Morgan składa nam gratulacje i wspomina coś o przyjęciu, które koło pań chce urządzić po naszym ślubie.

Scotty szepnął do Mary:

- Powiedziała, że chce cię jak najprędzej poznać!

- Nie zadaję się z tymi z miasta - powiedział z posępną miną Travis. - Jeśli nie masz nic przeciwko temu, wolałbym nie zawracać sobie głowy tym przyjęciem. - Czekał z napięciem na reakcję Mary.

- Jak sobie życzysz.

- Przyjęcie mogłoby być fajne - zauważył Scotty.

- Scotty! - warknął Travis - Nie masz pracy domowej do odrobienia?

- Jestem głodny.

- Ja też - oświadczyła Beth Ann. - Pani Morgan tak się zajęła sprzątaniami na przyjazd Mary, że zapomniała o kolacji!

- Przyniosła wszystko ze sobą, jak zawsze - wyjaśnił Scotty. - Trzeba tylko odgrzać.

- Ja to zrobię - powiedział dzieciom Travis - a wy tymczasem pokażcie Mary jej pokój.

Wszyscy troje stali niepewnie. - Pamiętasz, co się stało ostatnio? - szepnęła Beth Ann do Trávisa, jakby to był sekret, o którym Mary nie powinna się dowiedzieć.

- Potrafię odgrzać jedzenie i nie przypalić go! - zagrział Travis, miotając się po kuchni.

Dzieci zwróciły się z błagalnym wyrazem twarzy ku Mary. Nie przypuszczała, że po wielogodzinnej podróży będzie musiała szykować kolację. Była jednak gotowa zrobić to bez namysłu, bez sprzeciwu, po prostu dlatego, że trzy pary oczu patrzyły na nią wyczekująco.

Przez całe swoje życie Mary nie spotkała nigdy nikogo, komu byłaby tak potrzebna jak teraz tym czterem osobom. Poczula nagłe ciepło - zupełnie jakby w zimowy dzień zanurzyła się wannie z gorącą wodą. To rozkoszne uczucie przeniknęło ją aż do szpiku kości.

- Wszyscy troje pokażecie Mary jej pokój i oprowadzicie ją po domu - polecił Travis, otwierając lodówkę i wyjmując z niej różne wiktuały.

- Ja się tym zajmę - zaofiarowała się Mary.

- Wykluczone - odparł szorstko. - Miałaś ciężki dzień. Wbrew temu, co plotą te smarkacze, potrafię odgrzać kolację.

- Jesteś tego pewien?

- Na sto procent.

Mary nadal wahała się, póki Beth Ann nie wsunęła swej rączki w jej rękę.

- Najpierw pokażę ci mój pokój, chcesz?

Mary skinęła głową i pozwoliła poprowadzić się dzieciom przez wąski korytarz. Było widoczne, że starano się posprzątać w domu na jej powitanie, ale te wysiłki nie mogły zamaskować ogólnego bałaganu, który rzucał się w oczy na każdym kroku i w każdym pomieszczeniu.

Pokój chłopców był chyba najgorszy. Okno zasłonięte kocem, przybitym do framugi wielkimi gwoździami. Stora się oberwała, jak wyjaśniła Beth Ann, kiedy Scotty huśtał się na niej jak na lianie między łóżkiem a podłogą. Wyrwał przy tym ze ściany karnisz.

We wszystkich pokojach były tapety, ale Mary zauważyła, że są już mocno pożółkłe i nadają wnętrzu domu niechlujny, ponury wygląd.

W największej sypialni Mary zatrzymała się dłużej. Zsunięte zasłony rzucały czarne cienie na drewnianą podłogę. Szafa była wąska i Mary zastanawiała się, jak też garderoba jej i Trávisa pomieści się w takiej ciasnocie? Łóżko pospiesznie zasłano, buty i skarpetki Trávisa wetknięto w jeden kąt - pewnie on sam uprzątnął je szybko dziś rano.

Salonik był największym pomieszczeniem w całym domu. Mary zdumiała się ujrawszy, że Travis tak ustawił potężną kanapę, że blokowała główne wejście do pokoju. To była z pewnością pomyłka... a może po prostu od dawna nie zjawił się tu żaden gość? Kamienny kominek zajmował całą ścianę. Po obu jego stronach stały półki z książkami. Mary uśmiechnęła się, przeglądając tytuły: rada była, że Travis podobnie jak ona ceni sobie dobrą beletrystykę.

A zatem nie wszystko przedstawia się tragicznie! - pomyślała Mary. Łączyło ich z Trávistem coś więcej, nie tylko miłość do dzieci.

- Widziałam niedawno w mieście Trávisa Thompsona - oznajmiła Hester Johnson tak donośnie, że wszyscy mogli ją usłyszeć. Panie spotkały się w klubie, by jak co tydzień zagrać w bezika.

- Całkiem dobrze radzi sobie z dziećmi - powiedziała Klara Morgan, kładąc karty na stole i sięgając po okulary. Ostatnimi czasy dużo myślała o Trávisie. Dzięki swym cotygodniowym wizytom w „Trzech T” była w posiadaniu sensacyjnej informacji, którą nie podzieliła się jeszcze z nikim od rana.

- Gotowam uwierzyć, że robi, co może, ale to o wiele za mało, w porównaniu z tym, co należałoby tym dzieciom zapewnić - odparła z przekąsem Hester. Potasowała karty i podniosła wzrok. - Nie obejdzie się bez czyjejs pomocy, a jest zbyt hardy, by to przyznać.

- Masz mu za złe, że nie chciał przyjąć twoich konfitur z gruszek.

Pewnego pięknego dnia Klara Morgan zamierzała uciąć sobie dłuższą pogawędkę z Travisem Thompsonem. Wykpił dobre intencje Hester Johnson i to się teraz na nim mściło. Święta prawda, że „piekło nie zna straszliwszej furii niż kobieta, której okazano wzgardę!”[□]

Hester mruknęła coś, czego Klara nie dosłyszała, ale wiedziała, że Travis jest cierniem w boku prezeski ich kółka. Hester okazała dobrą wolę i wkrótce po pogrzebie odwiedziła dzieci i Trávisa, a ten dosłownie ją wygonił z ranczo. Próbował pozbyć się także i Klary, ale mu się nie powiodło. Uczyła go angielskiego w młodszych klasach szkoły średniej i prędzej by się wyrzekła swej emerytury, niż pozwoliła, żeby jakiś smarkacz jej rozkazywał!

Przez głowę Klary przebiegła myśl: czy też Travis pamięta, że był kiedyś jej wychowankiem? Pierwsze lata szkoły średniej nie przypadły na najłatwiejszy okres jego życia. Teraz też nie było mu łatwo.

Travis jako nastolatek sprawiał duże kłopoty; Klara dobrze to pamiętała. Miał opinię mąciwody i zabijaki, która wlokła się za nim z podstawówki do szkoły średniej. Nauczycielka nie wiedziała dokładnie, co stało się z matką chłopca: czy porzuciła rodzinę, czy też umarła. Tak czy owak ojciec Trávisa topił swój smutek w alkoholu. Pani Morgan podziwiała Trávisa za to, że opiekował się swoim młodszym bratem, Lee. Szkoda tylko, że nie dbał równie dobrze o siebie samego. Ależ ten chłopak umiał się bić! Nie poddawał się nawet wtedy, gdy dobrze wiedział, że czeka go lanie, i to straszliwe. Klara nie potrafiła zliczyć, ile razy karano go za bójki. Pod koniec szkoły średniej Travis stawał nieraz przed sądem z powodu różnych drobnych wykroczeń. Buszowanie po prywatnym terenie, mazanie sprayem budynku biblioteki czy innego czcigodnego gmachu, ustawiczne dziurawienie opon w wozie szeryfa. Nikt nie miał dla tego chłopaka dobrego słowa, choć jego wybryki trudno byłoby uznać za niewybaczalne grzechy. Ludzi

denerwowała przede wszystkim postawa Trávisa: zادیorność, wrogość, brak szacunku.

Mogłaby tu coś pomóc odpowiednia dziewczyna, ale Travis nigdy specjalnie się za nimi nie ugańał. Wiele dziewcząt chętnie by przyjęło jego zaloty, bez względu na to, co powiedzieliby rodzice, ale Travis nigdy nie okazywał dziewczynom większego zainteresowania.

Podobnie jak większość mieszkańców Grandview, Klara Morgan odetchnęła z ulgą, gdy Travis zaciągnął się do piechoty morskiej. Służba wojskowa mogła wyjść mu na dobre, zrobić z niego mężczyznę. Z perspektywy lat okazało się, że pobyt w wojsku nie zmienił go aż tak bardzo. Ostatnio

Travis trzymał się na uboczu, a spośród czcigodnych obywateli Grandview niewielu zapomniało mu dawne grzeszki.

Klara nigdy otwarcie nie broniła Trávisa. Jakżeby mogła? Sama wielokrotnie traciła przez niego cierpliwość. Zawsze jednak miała dla niego jakieś cieplejsze uczucie z racji jego miłości do młodszego brata i opieki, jaką go otaczał. Gdy pani Morgan dowiedziała się o śmierci Lee, przede wszystkim bolała nad losem Trávisa.

- Cóż tak nagle zamilkłaś, Klaro? - odezwała się Hester, wrywając ją z zamyślenia.

Klara zawahała się; nie wiedziała, czy powinna podzielić się ze swymi przyjaciółkami nowiną, o której powiedziały jej dzieci. Wielka szkoda, że dużo pań z ich koła nie wybaczyło Travisowi brutalności, z jaką odrzucił ich wspinałomyślną pomoc. Panna Morgan wiedziała, że wszystkie były bardzo poczciwe, ale oburzyła je niewdzięczność Trávisa.

Klara miała nad innymi paniami tę przewagę, że nieco lepiej od nich znała Trávisa. Zachowywał się jak ranny niedźwiedź, prawda. Ale to ból po śmierci brata sprawiał, że gotów był kasać każdego, kto się do niego zbliżył. Najwyraźniej uważał, że musi stać na straży reszty swojej rodziny i nie życzył sobie, by ktoś się

do nich wtrącał!

- Zdaje się, że Travis się żeni - oznajmiła Klara Morgan i odczekała, aż wieść ta dotrze do wszystkich zebranych. Nie trwało to długo.

- Coś ty powiedziała, Klaro? - huknęła Hester.

- Że Travis Thompson się żeni.

- Travis... żeni się? - powtórzyła Marta Johnson. - Z kim?!

- Z pewnością żadna ze znanych mi kobiet w całym powiecie nie zgodziłaby się wyjść za kogoś takiego! - burknęła Hester. Kiedy po tej złośliwej uwadze zapadła ogólna cisza, Hester dodała, broniąc swego stanowiska: - Oświadczył, że mogę sobie wetknąć gruszkowe konfitury tam, gdzie słońce nie dochodzi!

- Ciiicho, daj mówić Klarze!

Teraz, gdy pani Morgan wzbudziła już ciekawość wszystkich, pożałowała, że w ogóle wspomniała o całej sprawie. Jej towarzyszki i tak niebawem same dowiedziałyby się o wszystkim.

- Podobno jego przyszła żona pochodzi z Luizjany. Travis pojechał do Miles City, by ją powitać na lotnisku.

- Z Luizjany? - wycodziła Hester takim tonem, jakby Klara oznajmiła, iż żona Trávisa przybywa z końca świata.

- Zostawiłam im liścik z propozycją, że nasze koło pań zorganizuje dla nich małe przyjęcie po ceremonii ślubnej.

Te słowa tak wszystkich zaskoczyły, że zapadło milczenie. Wreszcie któraś się odezwała:

- Co takiego?!

- Klaro, jak mogłaś? Po tym, jak nas potraktował?!

- Ja w każdym razie nie chcę słyszeć o żadnym przyjęciu - oświadczyła Hester tonem obrażonej niewinności i zacisnęła wargi.

Zjadliwość w jej głosie podziałała na Klarę jak dźgnięcie ostrogi. Zerwała się

z krzesła i wyprostowała dumnie. W jej oczach błysnęły wojownicze ogniki. Z trudem panowała nad swoim głosem.

- Ten człowiek zamierza ze względu na dzieci uporządkować swoje życie. Wydaje mi się, że jako jego sąsiadki i chrześcijanki powinniśmy okazać swą dobrą wolę i pomóc mu w miarę naszych możliwości.

Niektóre panie ruszyło sumienie.

- Klara ma słuszość.

- Być może zgodziła się niechętnie Hester Johnson. - Ten człowiek z pewnością sam nie da sobie rady. Słyszałam niejedno o tym, jak ciężki jest los tych biednych maleństw.

- Dają sobie całkiem niezłe radę, zważywszy na to, co przeszli - odparowała Klara.

Hester nie wyglądała na przekonaną, ale wyraźnie nie chciała się dalej sprzeczać.

- Jak on spotkał tę... kobietę z Luizjany?

- Nie mam pojęcia.

- Musiał przecież coś o niej mówić?

Wszystkie czekały z zapartym tchem na słowa Klary.

- Nie przypominam sobie.

To Scotty oznajmił pani Morgan, że wujek pojechał na lotnisko w Miles City po swą przyszłą żonę. Wiadomość ta była dla Klary takim samym szokiem, jak dla pozostałych członkiń koła.

- Przyjęcie po ceremonii ślubnej będzie najlepszą okazją, by poznać żonę Travisa - uprzytomniła im Klara.

Panie wymieniły znaczące spojrzenia; potem wszystkie kolejno skinęły głowami: decyzja zapadła. Z wyjątkiem Hester Johnson, która najwyraźniej nie zmieniła zdania. Pokręciła przecząco głową, oznajmiając bez słów, że nie chce

mieć nic wspólnego z tym projektem. Klara uśmiechnęła się w duchu; szczerze wątpiła, czy Travis zdoła kiedykolwiek przekonać Jej przyjaciółkę, że nie jest grzesznikiem i zakałą społeczeństwa. Fatalnie się złożyło, że wzgardził jej konfiturami!

Travis nie mógł zasnąć. Ciemność otaczała go zewsząd, gdy tak leżał pośrodku podwójnego łóżka z rękami pod głową i gapił się w sufit. Nie wiedział, co poczuć. Mary okazała się zupełnie inna niż jego oczekiwania i nadzieje.

Po pierwsze, była taka drobniutka, takie chucherko. Po drugie, zupełnie nie mógł sobie wyobrazić, że kiedykolwiek ją pokocha. W taki sposób, jak mężczyzna powinien kochać własną żonę. Nigdy nie popuszczał zanedo cugli fantazji, ale za żadne skarby nie potrafił sobie wyobrazić filigranowego ciała Mary, całkiem bez niczego, leżącej przy nim w łóżku. Gdyby jej tylko dotknął, z pewnością uciekłaby przed nim przerażona.

Boże święty, nie dziwił się jej wcale! Byli od siebie tak różni jak ogień i woda. Już sam jego wzrost musiał ją trwożyć.

Stosunki seksualne to tylko część małżeństwa, myślał Travis, ale, do diabła, zbyt ważna część, żeby można ją było pominąć! Nie darowałby sobie tego nigdy, gdyby wyrządził Mary krzywdę. Chciał w odpowiedniej chwili nauczyć ją, jak ich ciała mogą sobie nawzajem dawać rozkosz - ale należało uczynić to tak, by nie wzbudzić w niej paniki.

Gdyby tylko nie była taka filigranowa! Przyglądał jej się bacznie, gdy wróciła do kuchni po obejrzeniu całego domu wraz z dziećmi. Nie spuszczał z niej oka, prawie pewny, że zacznie skarżyć się na bałagan. Ale nie zaczęła. Zamiast tego zdjęła płaszcz i uparła się, że pomoże mu przygotować kolację. Travis zmarszczył brwi, widząc, jaka jest niewiarygodnie malutka bez tego płaszcza!

Dla dobra ich obojga powinien powiedzieć jej otwarcie, że jego zdaniem z ich

małżeństwa nie wyjdzie nic dobrego. Zdrowy rozsądek podpowiadał, żeby pakowała manatki. Mogła odlecieć pierwszym samolotem...

Zanim decyzja odesłania Mary całkiem się skryształizowała, przyszło mu do głowy coś całkiem innego. Przypomniał sobie jak po kolacji Beth Ann wdrapała się Mary na kolana, trzymając w ręczce książkę z bajkami. Mary z pewnością była bardzo zmęczona. Nie tylko lot trwał wiele godzin, ale zaraz potem trzęsła się jeszcze przez dwie w jego pikapie. Kiedy się zjawili na ranczu, pomogła mu przygotować kolację, a wreszcie musiała czytać Beth Ann przed snem bajki! Uwadze Trvisa nie uszedł także fakt, że jego bratanica po raz pierwszy od wielu miesięcy nie płakała przed zaśnięciem.

Ta nieatrakcyjna bibliotekarka cudownie umiała obchodzić się z dziećmi! Kiedy wspomniał o tym, zaczerwieniła się i przyznała, że do najmilszych jej obowiązków w bibliotece w Petite należały organizowane tam imprezy dla najmłodszych czytelników.

Travis musiał przyznać, że Mary czytała bajki jak nikt! Beth Ann była absolutnie oczarowana historią Śpiącej Królowej. Wkrótce także Jim i Scotty przyczołgali się do kanapy i zajęli miejsce obok siostrzyczki. Przyciągnięcie uwagi całej trójki było wyczynem nie lada - ale Mary poradziła sobie z tym jakby nigdy nic.

Po raz pierwszy od chwili, gdy dzieci Lee zawitały do jego domu, bez protestów udało się położyć je do łóżka.

Travis przekręcił się na bok, łóżko skrzypnęło. Westchnął głęboko i zmiął puchową poduszkę.

Cholera, nie miał pojęcia, co robić! Jeśli się ożeni z Mary, z całą pewnością długo potrwa, zanim nawiążą jakikolwiek kontakt fizyczny. Jeśli w ogóle do tego dojdzie. Taka sytuacja wcale mu nie odpowiadała!

Mógł oczywiście postępować tak jak dotąd i podczas swoich podróży ulżyć

sobie z Carlą. Ale na samą myśl o tym czuł niesmak. Co gorsza, przyrzekł już Mary, że będzie uczciwym mężem, a to oznaczało również wierność. Sam nie wiedział, skąd mu przyszło do głowy, że przysięga małżeńska jest taka bardzo ważna. Z pewnością nie nauczył się tego od własnej matki ani od ojca. Czuł jednak, że małżeństwo należy traktować poważnie.

Travis przewracał się z boku na bok i rzucał po łóżku jeszcze z godzinę, zanim usłyszał jakieś odgłosy z kuchni. Leżał teraz cicho i nadsluchiwał. Odgłosy były tak ciche, że musiał dobrze nadstawiać ucha.

Zrzucił przykrycie, wyskoczył z łóżka i sięgnął po dzinsy. Tak jak podejrzewał: Mary siedziała przy stole, widoczna w blasku księżyca, i wpatrywała się w mrok.

- Mary?

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Przepraszam. Nie chciałam cię obudzić.

- Nie spałem.

Zapadła miękka, ale jakby naładowana elektrycznością cisza. Potem Mary powiedziała:

- Wiem. Słyszałam, jak się wiercisz.

- Obudziłem cię?

- Nie. Sama nie mogłam zasnąć.

Travis przysunął sobie krzesło i siadł naprzeciw niej. - O czym myślisz?

Mary zwlekała z odpowiedzią tak długo, że Travis pomyślał, że nie dosłyszała pytania.

- Myślę, że pewnie zastanawiasz się, jak najgrzeczniej odprawić mnie z powrotem do Petite. - Mówiła chłodno i spokojnie, ale Travis mógłby przysiąc, że drogo ją to kosztuje.

Wydała mu się taka bezbronna, gdy siedziała sztywno wyprostowana w

blasku księżycy. Patrzenie na to sprawiało mu dziwny ból. Rzeczywiście o tym myślał, ale z całkiem innych powodów, niż Mary sądziła.

- Nie rozumiem tylko, dlaczego wybrałeś właśnie mnie. Nie mamy ze sobą nic wspólnego poza tym, że lubimy podobne książki i...

- Ty także straciłaś brata. - Travis dopiero w tym momencie uprzytomnił sobie, że to był prawdziwy powód. Tak, Mary pisała o tym, że zna się na kuchni, ale dopiero to, co powiedziała mu o Clintonie, trafiło mu do serca. Mary pojmowała ból, który go dręczył.

- Tak. Jej oczy wydawały się w mroku zadziwiająco duże. Szeroko rozwarte i szczere.

- Rozumiesz, co to znaczy stracić ukochaną osobę.

Skinęła głową.

- Spodobała mi się też twoja fotografia - wyznał szczere.

- Nie jestem ładna... Napisałam na odwrocie, że wyszłam na zdjęciu lepiej, niż naprawdę wyglądam... Nie chciałam cię oszukać. Prawdę mówiąc...

- Mary! - przerwał jej Travis. Nie mógł znieść, że oskarżała siebie, gdy problem leżał w jego naturze. Była kulturalną, miłą osobką i zasługiwała na coś więcej niż na życie, jakie on mógł jej zapewnić.

- Co? - spytała cicho.

- Czy mimo wszystko byłabyś gotowa wyjść za mnie?

Mary zawahała się. Travis myślał (a przynajmniej miał nadzieję), że odpowie mu „tak” bez dłuższego zastanowienia.

- Zanim mi odpowiesz, muszę ci coś wyznać - powiedział.

- Tak?

Była mu bardzo potrzebna; bał się, że jeśli Mary odmówi, to odbiorą mu dzieci, ale musiał postawić sprawę uczciwie.

- Nie chcę, żeby to zabrzmiało brutalnie, ale powinnaś z góry wiedzieć, że

może nigdy cię nie pokocham.

- Ja... wcale na to nie liczyłam.

Powiedziała to bardzo rzeczowo, obojętnie, jakby zupełnie nie dręczyły ją obawy, które jego tak nękały przez całą noc. Wszystkie wróciły teraz ze zdwojoną siłą. Mary Warner była subtelną, delikatną damą, a on twardzielem, prostackim ranczerem. Jakim cudem mogłaby kiedykolwiek znaleźć szczęście z kimś takim jak on? Doszedł do wniosku, że nie ma na to żadnych szans. Tak, myślał o tym, żeby ją odesłać, ale bynajmniej nie dlatego, że nie chciał się z nią ożenić!

Podniósł się z krzesła, zakładając, że jej milczenie stanowi już odpowiedź, na jakiej mu zależało.

- Jeśli mamy się pobrać, powinnaś wiedzieć jeszcze o jednym. O rozwodzie nie ma mowy. Nie zgodzę się na to, żeby dzieciaki przeżyły coś takiego, więc jeśli się obawiasz, że kiedyś możesz pożałować...

- Nigdy bym nie opuściła dzieci - przerwała mu zdławionym szeptem. - Tak, zgadzam się na ślub. Od początku byłam na to gotowa, inaczej nigdy bym nie przyjeżdżała. Ale... czy ty jesteś pewny, całkiem pewny, że chcesz się ze mną ożenić?

Travis poczuł taką ulgę, że opadł na krzesło, nie zastanawiając się w ogóle nad jej pytaniem.

- Jasne! Jestem pewien. Jak cholera!

Rozdział 5

Travis krążył niespokojnie po salonie, spoglądając co chwila na zegarek. Dlaczego to tak długo trwa, do stu tysięcy diabłów?! Cały ten kram ze ślubem działał mu na nerwy, ale uważał to za zło konieczne. Gdyby to zależało od niego, odwiedziliby po cichu sędziego pokoju i byłoby po wszystkim. Powinien się

domyślić, co z tego wyniknie, kiedy dał Mary wolną rękę! Zanim się zorientował, co się święci, już się dogadała z pastorem Kennedym z kościoła Metodystów, kupiła dzieciakom nowe ubranka, zamówiła kwiaty i przewróciła wszystko do góry nogami: a miał nadzieję, że to będzie całkiem normalny dzień!

Sam fakt, że musiał się wbić w garnitur, był wystarczającą udręką. Krawat dusił go jak stryczek; musiał go rozluźnić, bo nie mógł nawet przełknąć śliny. Ostatni raz włożył na siebie to coś na pogrzeb Lee i Janice; zbudziły się wspomnienia, a z nimi gniew i rozpacz, które dręczyły go po tragicznym wypadku.

- Mary! - zawołał niecierpliwie, chodząc wielkimi krokami po salonie. Pokój był teraz czysty. Mary wywarła niezwłocznie wpływ na jego dom i całe jego życie. W ciągu kilku dni zapanował tu ład, jakiego nie pamiętał. - Spóźnimy się!

- Jeszcze tylko minutkę! - W jej przeciągającym miękko sylaby głosie nie było ani śladu pośpiechu.

Jim i Scotty przyłączyli się do Trávisa i opadli na poduszki kanapy. Widać było, że noszą odświętne ubrania z takim samym brakiem entuzjazmu jak on. Chyba jednak lepiej, by jak najwcześniej uświadomili sobie, że mężczyźni muszą czasem pocierpieć dla udobruchania kobiet. Na przykład wbić się w „niedzielne ubranie”.

- Jak długo potrwa ten cały ślub? - chciał się koniecznie dowiedzieć Jim.

- Na pewno zbyt długo - mruknął Travis pod nosem. Gdy tylko ceremonia się skończy, zamierzał poważnie rozmówić się z Mary. Wyraźnie nie miała pojęcia, jak wygląda życie na ranczu. Gotów był ustąpić jej w sprawie ślubu, bo chciał, żeby ich małżeństwo miało przysłowiowy „dobry start”, ale niech nie liczy na to, że niedługo znów zgodzi się stracić pół dnia na jakieś faramuszki.

Wiedział, że kobiety przywiązują dużą wagę do ślubów, i chciał, by Mary dostała to, czego pragnie, ale i jego cierpliwość miała swoje granice!

Travis chodził coraz większymi krokami. Nagle przystanął, znów spojrzął na

zegarek i wymownie westchnął.

Ceremonia ślubna była zwykłą formalnością i tyle. A dla niego samego - obowiązkiem, którego chętnie by uniknął, tyle że nie mógł.

- Czy kobiety zawsze tak długo się stroją? - spytał Scotty, szarpiąc krawat, by rozluźnić niewygodny węzeł.

Travis wzruszył ramionami. Skąd miał wiedzieć, do cholery?! Nigdy dotąd nie wiązał się na dobre z żadną babą. Jeśli dzień dzisiejszy miał być jakimś miernikiem, wyglądało na to, że resztę życia spędzi w ciągłym niepokoju.

- Może dlatego, że Mary dużo brakuje do ładności - zauważył Jim przemądrzałym tonem.

Travis odwrócił się i zmierzył go wściekłym spojrzeniem, starając się pohamować gniew. Napięcie między nim a starszym bratankiem rosło z każdym dniem. Travis nie miał pojęcia, co z tym fantem zrobić i czy ślub z Mary coś pomoże. Dzieciak cierpiał po stracie rodziców, podobnie jak wszyscy, i jego ból wyrażał się, diabli wiedzą czemu, wrogością wobec Trávisa. Mimo wszystko nie można jednak pozwolić, by chłopak wyrażał się pogardliwie o Mary!

- Nie wolno mówić w ten sposób o Mary. Zrozumiano?

- Piękna to ona nie jest, może nie?

Travis czuł, że napinają się w nim wszystkie nerwy. Zawsze tak było, zanim wdał się w bijatykę. Do licha, nie pozwoli się przecież sprowokować dwunastoletniemu smarkaczowi!

- Mary wkrótce zostanie moją żoną i masz jej okazywać szacunek - powiedział spokojnie. - Doszło do ciebie?

W oczach chłopca błysnęła uraza.

- Powinniśmy być jej wdzięczni, że zgodziła się za mnie wyjść - dodał sztywno Travis, starając się za wszelką cenę uniknąć konfrontacji.

- Jasne - odparł Jim tym samym tonem co poprzednio. - Nie było innej rady,

nie?

- Słuchaj, przemądrzały gówniarzu! - wybuchnął Travis i chwytając dwunastolatka za ramię, ściągnął go z kanapy.

- Travis! - łagodny głos Mary przebił się przez chmurę gniewu; uświadomił sobie, że właśnie dał się smarkaczowi sprowokować. - Możemy już iść.

Jim z oburzeniem wyrwał ramię z uścisku Trávisa. Wyglądził rękawy marynarki z uśmiechem wyższości.

Travis gwałtownie sapnął i opanował się, zanim jeszcze spojrzał na swą oblubienicę. Nie oczekiwał cudów. Mary była słodka i łagodna jak owieczka, ale żadna elegancka sukienka i wymyślna fryzura nie mogły uczynić ją pięknnością!

- Mary! - Scotty odezwał się pierwszy z chłopcym zapalem. - Ślicznie wyglądasz!

- Prawdziwa piękność! - dorzucił Travis, starając się mówić z przekonaniem.

Mary uroczo się zarumieniła i spuściła długie rzęsy. Określenie „piękność” było jawną przesadą, ale Travis był rad, że zrobił jej przyjemność. Miała sukienkę w delikatnym odcieniu różu, ozdobioną koronką i różnymi babskimi faramuszkami. Trzymała w ręku bukiet kwiatów, podobnie jak Beth Ann, która stała z przesadnie skromną minką u jej boku.

Mary rzeczywiście wyglądała ładnie i widać było, że zadała sobie wiele trudu, by osiągnąć pożądany efekt. Travis był zdania, że każdej kobiecie należy powiedzieć w dniu jej ślubu, że jest piękna, choćby to była gruba przesada. Od samego początku dał Mary do zrozumienia, że nie ma co liczyć na romantyczne gesty z jego strony, ale robił, co mógł, ze względu na nią.

Był ogromnie wdzięczny Mary, że zdecydowała się wyjść za niego i pomóc mu w wychowywaniu dzieci Lee. W tej chwili jednak nie radował go specjalnie fakt, że bierze sobie na kark żonę i troje dzieci. Taki jednak był jego los. Postanowił, że zrobi dla swoich bliskich, co tylko będzie mógł.

- Możemy już iść? - odezwał się Jim cierpkim tonem.

- Ależ oczywiście - odparła Mary, szukając spojrzeniem oczu Trávisa. Uśmiechnęła się nieśmiało i wyszła z domu z dwojgiem młodszych dzieci.

Mary nie mogła zebrać myśli podczas dwudziestominutowej jazdy do miasta. Beth Ann siedziała w sfoferce wciśnięta między nią i Trávisa, a chłopcy jechali z tyłu. Nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach Travis nie był rozmowny; rzuciwszy mu jedno spojrzenie, Mary doszła do wniosku, że i ona nie ma bardzo o czym mówić.

Od chwili, gdy zjawiała się w Montanie, wzbierały w niej wątpliwości, ale komplement Trávisa nieco ją uspokoił. Widać było, że bardzo się stara, by ten dzień był dla niej jak najprzyjemniejszy. Jego troskliwość wzruszyła ją bardziej niż jakiegokolwiek zapewnienia o miłości.

Za godzinę zwiąże się na resztę życia z człowiekiem, którego właściwie nie znała, i z dziećmi, które tak bardzo potrzebowały jej miłości. Miała nadzieję...

Nadzieję?

Trudno to nazwać solidną podstawą do budowania przyszłości. Nadzieja bywa taka krucha i zawodna! Nieraz Mary uświadamiała sobie, że usiłuje dokonać rzeczy niemożliwej. Travis oświadczył jej bez ogródek, że prawdopodobnie nigdy jej nie pokocha. Choć jego słowa zraniły jej dumę, zdawała sobie sprawę, że i jego niemało kosztowały. Był uczciwy, pracowity, raz szorstki, raz znów łagodny. Biorąc wszystko pod uwagę, mogła trafić o wiele gorzej.

Travis wjechał na asfaltowy parking przy kościele i zgasił silnik. Przez chwilę żadne z nich nie poruszyło się ani nie odezwało. Mary patrzyła z milczącą aprobata na niewielki biały kościół ze smukłą wieżą. W takim właśnie malowniczym kościółku chciała wziąć ślub! Nie było wprawdzie muzyki organów, kwiatów pomarańczy oraz gromady przyjaciół obrzucających ją ryżem, ale prawdę mówiąc,

Mary w ogóle nie miała nadziei, że wyjdzie kiedyś za mąż.

Travis zwrócił się do niej.

- Jesteś pewna, że nie byłoby lepiej załatwić to u sędziego pokoju?

Mary uśmiechnęła się na tę szytą grubymi nićmi ostatnią próbę uniknięcia kościelnej ceremonii.

- Jestem zupełnie pewna.

Mrucząc coś pod nosem, Travis otworzył drzwiczki i wysiadł z pikapa.

- Nie zawracam sobie głowy religią - oznajmił zgoła bez potrzeby, po czym podszedł do drugich drzwi i pomógł wsiąść Mary. - Nigdy mnie to nie interesowało i nie będzie.

- Ale nas ciągle posyła do szkoły niedzielnej - pożalił się Scotty, wyskakując z pikapa. Opadł zręcznie na obie nogi. Jim skoczył zaraz za nim.

- Wasza matka na pewno życzyłaby sobie, żebyście chodzili do kościoła - burknął Travis. - Kobiety takie już są - dodał, jakby to była czysto kobieca słabostka.

Stanął w rozkroku, wzięwszy się pod boki, i gapił na kościół Metodystów. Wyglądało to tak, jakby obserwował uliczną strzelaninę albo coś innego, co budziło w nim lęk.

Mary zbyt była rozsądna, by snuć jakieś romantyczne rojenia. Travis zresztą też. Ten ślub był ważnym aktem umożliwiającym im dalsze wspólne życie i Mary nie chciała się wyrzec tej ceremonii. Tym bardziej, że los ograbił ją już z tylu innych marzeń. Ślub kościelny był jedynym warunkiem, jaki Mary postawiła, a Travis wyraził na to zgodę. Bez entuzjazmu, ale się zgodził.

- Chodź - odezwał się teraz, prostując plecy. - Lepiej mieć to już z głowy. - Uśmiechnął się przeproszająco i wziął Mary za rękę, splatając jej palce ze swoimi. Nie licząc pomocy przy wsiadaniu i wysiadaniu z samochodu dotknął ją po raz pierwszy.

Pastor Brian Kennedy spojrział na nich zza biurka, gdy zjawili się w kancelarii parafialnej. Wstał z fotela, prostując swą tyczkowatą postać i skinieniem głowy powitał Trávisa i chłopców.

- A to zapewne Mary - powiedział, wychodząc zza zagraconego biurka.

- Tak, to ja - odparła, wyciągając rękę, którą pastor ujął i uprzejmie uścisnął. - Bardzo mi miło poznać pana pastora.

- Mnie również. Witaj, Travis. Cieszę się, że znowu cię widzę - powiedział duchowny.

- Podobno pastor wczoraj rozmawiał z Mary o naszym ślubie.

- Istotnie. - Pastor mówił powoli, pocierając dłoń o dłoń. - Zazwyczaj nie udzielam ślubów bez uprzednich kilku spotkań i pouczeń wstępnych. Takie nagłe małżeństwo jest czymś zupełnie niezwykłym.

- Nie mamy czasu na żadne spotkania.

- Nasza sytuacja jest zupełnie wyjątkowa - zapewniła pastora Mary z ciepłym, budzącym zaufanie uśmiechem. - Jesteśmy absolutnie pewni słuszności swojej decyzji.

- Da nam pastor ślub czy nie? - spytał niecierpliwie Travis. - Jak nie, to sędzia Green chętnie wyręczy pastora, więc radzę się namyślić, i to bardzo szybko.

Wielebny Kennedy poczuł się nieswojo.

- Może gdybym mógł pomówić z każdym z was na osobności...

- W jakim celu? - spytała cicho Mary.

- Chce cię ostrzec, żebyś za mnie nie wychodziła! - wybuchnął Travis.

Pastor otarł czoło i przestąpił z nogi na nogę.

- Zapewniam, że wcale nie o to chodzi. Po prostu sytuacja jest całkiem nietypowa i...

- Udzieli nam pastor ślubu czy nie? - spytał Travis niecierpliwie.

- Ależ oczywiście. Nie miałem zamiaru... Uważam, że to wspaniałe, iż...

Nie dokończył zdania i skwapliwie skinął głową z miną skazańca, którego w ostatniej chwili ulaskawiono.

Tilly podawała właśnie trzy porcje pieczonych kurcząt z tłuczonymi ziemniakami i wiejskim sosem, gdy Travis, sympatyczna młoda kobieta i troje dzieciaków weszli do lokalu „U Marty”. Zajęli miejsca przy dużym narożnym stole, w tej części sali, którą ona obsługiwała.

Gdy tylko znalazła wolną chwilę, Tilly naląła wody do pięciu szklanek i wetknęła pod pachę foliowane menu. Doktor Andersen śledził każdy jej ruch. Tilly była zdenerwowana, czuła się jak na rozżarzonych węglach od momentu, gdy ojciec Logana zjawił się jakieś pół godziny temu.

Raz była pewna, że doktor wie wszystko o niej i o Loganie, to znów gotowa się była założyć o miesięczną pensję, że nie ma o niczym pojęcia. Logan był przywiązany do ojca, ale z różnych półsłówki Tilly wywnioskowała, że nie bardzo się ze sobą zgadzali. Kiedy Tilly po raz pierwszy się z nim spotkała, Logan powiedział, że przeniósł się do Grandview, żeby być bliżej ojca, a jednak wydawało się, że prawie ze sobą nie rozmawiają. Jedno było pewne: doktor z pewnością nie byłby rad, że syn spotyka się z kimś takim jak ona.

- Cześć, Travis, cześć dzieciaki! - powiedziała Tilly z promiennym uśmiechem, ustawiając szklanki na stole.

- Wujek Travis właśnie się ożenił - oznajmiła prosto z mostu Beth Ann, opierając się o blat stołu. Jej jasne włoski były skręcone w śliczne loczki, miała też na sobie białą koronkową sukienkę, chyba całkiem nową.

- Życzę wam obojgu dużo szczęścia! - powiedziała Tilly do młodej pary. Jakoś nie zauważyła dotąd żony Trávisa w mieście, ale słyszała już plotki o tym, że kogoś sobie znalazł. Jego żona nie była pięknnością, ale dla Tilly fizyczna uroda nie miała większego znaczenia. Wiedziała z własnego doświadczenia, jak niewiele

pomaga w życiu. Ale prawdę mówiąc, zdziwiła się, że Travis nie wybrał sobie ładniejszej. Większości facetów cholernie na tym zależy. Ale jeśli już mówić szczerze, to i kobiety nie są mądrzejsze.

- Tilly, to jest Mary - dokonał prezentacji Travis.

- Witaj, Mary.

- Miło mi cię poznać.

Miała taki łagodny, taki kojący głos; i tak sympatycznie zaciągała. Tilly zdziwiła się, skąd Travis wytrzasnął kogoś takiego, ale ten kowboj zawsze wszystkich czymś zaskakiwał. Większość mieszkańców Grandview nie mogła się nadziwić, że zaraz po śmierci brata wziął do siebie jego dzieci. Prawie wszyscy uważali Trávisa Thompsona za raptusa i zabijakę. Tilly nigdy nie rozumiała, skąd wzięła się taka opinia? Pracował na swoim ranchu równie ciężko jak wszyscy, a jak chciał od czasu do czasu upuścić sobie trochę pary, to nie różnił się znowu tak bardzo od innych „szacownych ranczerów”, których mogłaby nazwać po imieniu. Teraz, kiedy znalazł sobie żonę, i to prawdziwą damę, języki znów pójdą w ruch.

Plotkarze zawsze dopatrzą się jakiejś winy w Travisie, ale wygląda na to, że jego kłopoty z wychowaniem bratanków znacznie zmaleją. Tilly życzyła całej rodzinie szczęścia! Bóg świadkiem, że tego im brakowało w ostatnich czasach.

- Możemy zacząć od deseru? - spytał młodszy z chłopców, spoglądając na wujka.

- Czemu nie? - odparł Travis, odkładając menu. - W końcu człowiek nie co dzień się żeni!

Tilly miała wrażenie, że powiedział to głośniejsz niż trzeba, jakby chciał by całe miasto dowiedziało się, że znalazł sobie żonę. Pewnie dlatego przyszli coś zjeść „U Marty”. Większość mieszkańców Grandview wpadała tu na kawę i plotecki. Stąd błyskawicznie rozchodziły się wszelkie wieści. Niemłoda właścicielka lokalu nie tylko zapewniała klientom najlepsze jedzenie w mieście, restauracja „U Marty”

była też istną krynicą najświeższych nowinek.

To, że Tilly pracowała u Marty, skomplikowało nieco jej stosunki z Loganem. Była przekonana, że wszyscy obserwują rozwój ich znajomości, ale nie miała pewności, czy całe miasto wie o ich romansie.

Doktor rzadko tu wpadał; dlatego właśnie, widząc go, pomyślała, że pewnie o czymś usłyszał. Może złośliwe plotki, może jakąś niewinną uwagę. Tilly mogła jedynie snuć domysły, ale co by to nie było, miała pewność, że doktor się zjawił, by dokładnie się jej przyjrzeć i zdecydować, czy godna jest miłości jego syna.

Tilly mogła bez trudu odgadnąć, co myślał o niej doktor Andersen. Była nikim, zwykłą kelnerką, w dodatku z nieciekawą przeszłością. Na pewno nie stanowiła dla Logana odpowiedniej partii. Dlatego właśnie Tilly, mimo jego protestów, starała się utrzymać ich spotkania w ścisłej tajemnicy. Nawet teraz, gdy szła do kuchni po pięć porcji szarlotki prosto z pieca dla Trávisa i jego rodziny, Tilly czuła na sobie wzrok doktora Andersena.

Zupełnie nie potrafiłaby wytłumaczyć komuś tak szacownemu jak miejscowy lekarz, dlaczego nic niewarta kelnerka zakochała się do szaleństwa w jego synu, prawniku. To, co czuła do Logana, co czuli do siebie nawzajem, sprawiało, że poprzednie związki wydawały się Tilly czymś płytkim i niesmacznym. Nigdy nie kochała tak żadnego mężczyzny. Tylko Logana.

Może Logan wspomniał o niej swojemu ojcu? Przecież by jej o tym powiedział. Musiałby ją uprzedzić! Ostatnio wspomniał o swym ojcu kilka tygodni temu, gdy się obaj pokłócili... Nie powiedział jej, o co im poszło.

Tilly poczuła, że jej żołądek skurczył się boleśnie. Posprzeczali się z jej powodu! Boże święty, że też się tego wcześniej nie domyśliła! Wszystko się teraz trzymało kupy. Oczywiście, że tak właśnie było! I dlatego doktor się zjawił. Chciał się jej przyjrzeć.

- Przepraszam panią...

Tilly odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z człowiekiem, który zaprzętał jej myśli od chwili, gdy wszedł do lokalu. Serce podskoczyło jej do gardła. Jakimś cudem udało jej się powiedzieć normalnym głosem:

- Czy coś jeszcze podać, panie doktorze?

- Tak. Poproszę o rachunek. Czekam od pięciu minut.

- Bardzo przepraszam... byłam bardzo zajęta. - Grzebała niezręcznie w kieszonce fartucha, starając się znaleźć rachunek. - Mam nadzieję, że pan doktor niedługo znów nas odwiedzi.

Starszy pan zmarszczył brwi i sięgnął do portfela. Wydawało się, że chce jak najprędzej stąd wyjść.

- Na pewno tu wrócę. - Wstał, wziął rachunek i podszedł do kasy.

Tak bardzo chciała zrobić na nim dobre wrażenie, okazać się idealną kelnerką, udowodnić, że warta jest miłości Logana.

I nie powiodło się. Mój Boże, dlaczego zawsze tak musi być?

Travis, Mary i dzieci zamówili pieczone kurczęta - specjalność zakładu - i pół godziny później opuścili lokal. Tilly, która pracowała na wcześniejszej zmianie, wróciła do domu o szóstej. Nogi ją bolały, ale była tak zdenerwowana, że nie mogła usiedzieć. Do ósmej zdążyła trzy razy załadować i opróżnić pralkę, umyła podłogę w kuchni i posprzątała alkowę w sypialni.

Logan zastukał do jej drzwi tuż po wpół do dziewiątej i otworzył je własnym kluczem. Tilly sama mu go dała. Wołała, żeby nikt nie zauważył Logana czekającego na ganku tuż pod lampą, zanim go wpuści.

- Powiedziałeś mi, prawda? - spytała, przyciskając do brzucha wielkie naręcze świeżo upranych i wysuszonych ręczników.

Zaskoczony Logan aż przystanął.

- Komu powiedziałem? I o czym?

Tilly wetknęła kosmyk za ucho; była wściekła, że ręce tak jej drżą.

- Twojemu ojcu... o nas. Był dziś po południu „U Marty”.

- Tata? - Rysy Logana stężały. - Mówił ci coś?

- Nie musiał. Wiem, że on wie. I to od ciebie.

Ramiona Logana opadły.

- Kochanie, przysięgam, że niczego mu nie mówiłem, choć dobrze wiesz, że chciałbym. Myślałem o tym wiele razy. W końcu, czemu mam się obawiać tego, co tata powie? Nie muszę go prosić o pozwolenie!

- Nie chcę, żebyś mu o nas mówił!

Logan uniósł obie ręce do góry w bezradnym geście.

- Ale dlaczego?!

- Logan, przerabialiśmy to już setki razy. Nie ma potrzeby znów tego odgrzewać.

- Nie wstydzę się ciebie!

- Jestem kelnerką. Twój ojciec nie byłby z tego zadowolony. - Tilly odłożyła ręczniki.

- Co nas to w końcu obchodzi, co on sobie pomyśli?

Tilly bynajmniej nie zależało na kłótni. Miała ciężki dzień. Potrzebowała Logana; jego bliskości, czułości, miłości.

- Powiedz mi, co się stało poprosił Logan, zdejmując marynarkę i rzucając ją na fotel.

Tilly podbiegła do niego, objęła go w pasie. Całe popołudnie czuła się jak preparat pod mikroskopem, miała wrażenie, że jest niepozorna i nic niewarta. Potrzebowała teraz pociechy, takiej, jaką mógł jej dać tylko Logan. Nie zmarnuje tej okazji, odgrzewając jakieś stare sprzeczki. Nie dziś!

- Pocałuj mnie - szepnęła. - Już o nic nie pytaj, tylko mnie pocałuj. Tak się stęskniłam! - Dotknęła jego ust zgłodniałymi wargami. Logan westchnął, gdy spotkały się ich języki. Wkrótce zdyszane oddechy obojga zmieszały się ze sobą.

Logan z jękiem oderwał się od niej.

- Muszę z tobą o tym pomówić.

Tilly cicho westchnęła i pokręciła głową.

- On mnie nie lubi. Od razu widać.

- A kogo to obchodzi? Nie mnie. Szaleję za tobą, Tilly. Ta cała zabawa w chowanego działa mi na nerwy. Nigdy nie było to konieczne. Nic mnie nie obchodzi, co sobie ludzie pomyślą, a i ciebie nie powinno!

- Logan, skończ z tym. Nie widzisz, jak cię pragnę?

- Musimy najpierw pomówić.

Tilly przytuliła się do niego, kręcąc biodrami, i westchnęła z satysfakcją, czując niezaprzeczony dowód jego pożądania.

- Może potem? - podsunęła miękko. - Trzeba się najpierw zająć tym, co pilniejsze.

Travis od samego początku, od chwili, gdy Mary wysiadła z samolotu w Miles City, nie ukrywał, że nie życzy sobie żadnego małżeństwa „na niby”. Jeśli miała jakiegokolwiek wątpliwości co do roli, którą ma spełniać w jego życiu, od pierwszego wieczoru wszystko stało się jasne.

Teraz, gdy byli już mężem i żoną, Mary miała dzielić z nim łóżko. To, że będą niebawem sypiali razem, wydawało się jej dotąd czymś niejasnym, nierzeczywistym. Dopóki nie wróciła do domu po ceremonii ślubnej.

Gdy przybyli na ranczo, Travis popędził do domu, pospiesznie zmienił ubranie i podjął znów codzienne gospodarskie obowiązki. Zostawił Mary w kuchni. Poczuli się nagle jak nieproszony gość.

Kolacja na mieście była dobrym pomysłem; dzieci cieszyły się z tej eskapady. Mary zorientowała się od razu, dlaczego Travis się na to zdecydował. Chciał, żeby wszyscy bezzwłocznie dowiedzieli się o ich małżeństwie, a to był najlepszy

sposób. Każdy, kto bawił się w donosy, że dzieci nie mają dostatecznej opieki, miał teraz zatkaną gębę. Travis podjął niezbędne środki dla poprawy sytuacji. Żeniąc się z Mary.

W porządku, mówiła sobie Mary, kładąc Beth Ann do łóżka, nie spełnił wymogów tradycji i nie przeniósł jej na rękach przez próg, kiedy wrócili do domu. Nie oczekiwała romantycznych gestów, nie rozczarowało jej to. W ogóle ich małżeństwo było raczej nietypowe. Z tym jednym wyjątkiem: miała sypiać w męzowskim łóżku.

Serce Mary biło niespokojnie, gdy zgasiła lampę w pokoju dziewczynki i wyszła na słabo oświetlony korytarz. Powinna chyba uprzedzić Trávisa, że jest dziewicą. Wydało jej się to upokarzające. Czyż można rozmawiać o takich sprawach, nawet z własnym mężem?

Słyszała, że Travis buszuje po kuchni. Gdy weszła tam, stał odwrócony do niej plecami. Pochylał się nad lodówką.

- Jesteś głodny? - spytała.

- A jakże. Nie zostało już nic z tego wczorajszego klopsa, co?

- Jim zjadł resztę.

Mary zdawało się, że usłyszała przekleństwo.

- Zgadza się - oświadczył Travis, prostując się i zamykając lodówkę.

- Ułożyłam na nowo rzeczy w twoim... w naszym pokoju. - Czuła, jak palą ją policzki. Nie miała pojęcia, czego się spodziewać.

Travis skinął głową i wgryzł się w zimne, chrupiące jabłko. Rozległo się to w kuchni grzmiącym echem. Jaka cisza zaległa nagle w całym domu! Obaj chłopcy leżeli już w swoim pokoju, zmęczeni wszystkimi wydarzeniami dnia. Beth Ann zasnęła natychmiast, gdy tylko dotknęła głową poduszki.

- Mam jeszcze trochę papierkowej roboty - oświadczył stanowczo Travis i odwrócił się od żony.

Mary zamrugała oczami ze zdumienia. W noc poślubną?! Travis uprzedził ją, że nie ma romantycznego usposobienia, ale nie spodziewała się takiego absolutnego lekceważenia jej uczuć.

- Wobec tego... wezmę kąpiel.
- Doskonały pomysł.
- Doskonały pomysł?! - mruknęła.

Powiedział to takim tonem, jakby nie myła się od sześciu tygodni! Mary z trudem opanowała irytację. Jeśli z tego małżeństwa ma coś wyjść, trzeba będzie dokonać pewnych zmian, i to niezwłocznie!

Myśli Mary kłębiły się jak woda wpływająca do wanny. Odruchowo dodała do niej pachnące sole kąpielowe. Powietrze napełniło się wonią róż.

Przed wyjazdem Mary z Petite, Georgeanne podarowała jej śliczną jedwabną koszulkę nocną. Ten prezent pomógł im rozstać się w przyjaźni, mimo dzielącej je przepaści. Georgeanne bez żenady roniła łzy na lotnisku, zanim Mary wsiadła do samolotu. Teraz Mary przydałyby się dobre rady przyjaciółki. Bez wątpienia Georgeanne umiałaby właściwie postępować z Travisem w tej niezręcznej sytuacji. Doradziłyby jej, jak Mary powinna się zachować podczas ich pierwszej wspólnej nocy.

Po kąpielii Mary wyszczotkowała włosy i zawiązała atłasowe kokardki na swej pastelowo niebieskiej koszulce. Mary doszła do wniosku, że Travis z pewnością jest równie niespokojny jak ona i usiłuje to ukryć. Był przecież całkiem rozsądny. Wystarczy więc usiąść razem i wszystko obgadać.

Mary z uczuciem ulgi podreptała w swych rannych pantofelkach z puszką (także od Georgeanne!) z łazienki do pokoiku, w którym Travis pracował.

Nie było go tam.

Nie znalazła go także w salonie ani w kuchni. Obeszła cały dom i zajrzała do stajni. Nie było go nigdzie. Wracając ze stajni zauważyła, że nie ma też pikapa.

Travis zwiął od niej w noc poślubną.

Rozdział 6

Mary była tak oburzona, że ledwie mogła zebrać myśli. Wszedłszy do sypialni strzeliła drzwiami z niezwykłą u niej zajadłością. Najwidoczniej Travis tak dalece nie miał ochoty spać z nią, że wołał uciec i gdzieś się schować. Jego nieobecność była jej całkiem na rękę. Wcale się nie paliła do tego, żeby iść z nim do łóżka. Ale zostawić ją tak bez słowa...

Co za bezczelność!

...Ale odchodząc od Trávisa, musiałaby porzucić Jima, Scotty'ego i Beth Ann, a tego nie była w stanie uczynić. Dzieci już przeżyły tyle wstrząsów, że nie mogła - i nie chciała! - narażać ich na następny.

Nie mając wielkiego wyboru, Mary przeszła przez pokój i wróciła do łóżka. Dzień był męczący i była zupełnie wykończona. Jeśli Travis postanowił zalać się z kumplami w noc poślubną, na zdrowie! Ale ją prędzej szlag trafi, niż będzie czekać na niego w łóżku jak uległa żona.

Mary nie mogła patrzeć na śliczną, jedwabną koszulkę, prezent od Geor-geanne. Ściągnęła ją pospiesznie i sięgnęła po praktyczną flanelową piżamę. Koszulkę wetknęła na dno szuflady, upokorzona własną głupotą: że też się w nią wystroiła! Co za szczyt idiotyzmu - wierzyć, że jakaś tam koszula nocna przeistoczy ją w kobietę godną miłości!

Jeśli mogła za coś dziękować losowi, to chyba za to, że Travis nie był świadkiem jej niezręcznych usiłowań.

W obecnym stanie umysłu Mary wiedziała, że nie uśnie. Wobec tego postanowiła wyładować całą swą energię na małżeńskiej sypialni.

Wszystko tu było nie tak jak trzeba! Stanęła pośrodku z rękami na biodrach i

w myśli zmieniała układ mebli. Łóżko znajdowało się tuż przy drzwiach na korytarz - zupełnie bez sensu! Zdecydowanie wolą spać pod oknem. W największe upały będzie czuła na sobie chłodny, czysty podmuch wiatru.

Wymagało to wysiłku, ale Mary zdołała przesunąć małżeńskie łoże pod właściwą ścianę. Gdy tego dokonała, z zadowoleniem oceniła rezultat. Wprowadziła też kilka pomniejszych zmian, między innymi przekładając zawartość szuflad komody i ustawiając na jej wierzchu różne drobiazgi.

Zanim urządziła wszystko jak należy, dochodziła północ. Mary postanowiła nie czekać na Travisa: niech się przekona, że jego zachowanie wcale jej nie obeszło!

Winę za własne rozczarowanie mogła przypisać wyłącznie sobie. Zachowała się jak romantyczna idiotka, rozum ją opuścił, zabłąkała się w świecie fantazji. Wyobraziła sobie, że ponieważ wyszła za mąż, ciężkie brzemie samotności, które dźwigała od śmierci matki i brata, automatycznie zelżeje. Myliła się jednak. Samotność była nieubłagany przeciwnikiem. Nie знаła umiaru ani litości, nie dała się przechytrzyć.

A to właśnie Mary usiłowała osiągnąć: zapełnić otchłań swojego bólu małżeństwem z kimś, kto przecież wyznał otwarcie, że nigdy jej nie pokocha.

Mary zgasiła światło, wsunęła się do łóżka i położyła na wznak, wpatrzona w ulotne cienie na suficie.

Travis w ciągu ostatnich kilku miesięcy przemierzył ten odcinek drogi ze sto lub więcej razy. Zatrzymywał się zawsze w tym samym miejscu i wracał myślą do wydarzeń tamtej nocy, gdy zginęli Lee i Janice.

Coś mu się nieustannie wymykało, bo inaczej potrafiłby przecież pogodzić się z tą tragedią i uporać z własnym życiem. Nie mógł jednak tego zrobić, dopóki nie będzie miał pełnego obrazu tamtych wydarzeń.

Nie zazna spokoju, póki wszystkie części układanki nie znajdą się na właściwych miejscach, póki nie będzie pewny, że zna przyczyny tragedii. Nie miał innego wyjścia: wracał więc raz po raz na miejsce wypadku. Po raz setny analizował zajścia tamtej nocy, szukał wszelkich możliwych rozwiązań, jakiegoś śladu, który pozwoliłby wyjaśnić sprawę. Nie odkrył jednak niczego.

Tego wieczoru postąpił podobnie, ale tym razem dręczył się czymś innym. Chodziło o Mary i dzieci. Nigdy przedtem ciężar odpowiedzialności nie przytłaczał go tak bardzo.

Nie tylko wziął na swe barki troje dzieci brata, ale postarał się na dodatek o żonę! Nie miał pojęcia, co to znaczy być mężem. Błędgo pojęcia! Mary była mu zupełnie obca. Czuł do niej wdzięczność za to, że zechciała za niego wyjść, ale jej nie kochał. Ona także nie żywiła do niego żadnych uczuć. A jednak związali się przysięgą, której postanowił dotrzymać święcie, bez względu na wszystko. Poza tym nie miał właściwie swojej żonie nic do zaoferowania.

Zanim stanęli przed pastorem Kennedym, Travis uważał swoje małżeństwo za rodzaj transakcji handlowej. Dopiero wówczas, gdy wrócili do domu, a dzieci poszły spać, uświadomił sobie ogrom tego, na co się oboje dobrowolnie zdecydowali. Miał być odtąd mężem! Cóż za niemiłe, obce słowo!

Mąż. Travis czuł, że zupełnie nie nadaje się do tej roli. Powinien być zgodnie z nią czuły i serdeczny, uważający i wyrozumiały. Przecież z niego ranczer, a nie jakiś tam ckliwy Romeo! Dostrzegł wyraz oczu Mary i wiedział, czego się po nim spodziewała.

Travis rzadko się czegoś bał. Śmierć go nie trwożyła. Płakałby po nim chyba tylko brat. On sam wiódł nieodpowiedzialne życie, cieszył się sławą rozrabiaki. Ale to już przeszłość. Teraz był mężem. I nie miał pojęcia, co ma z tym, do cholery, począć?!

Siedział w swoim wozie prawie godzinę, wpatrując się w bezchmurną noc.

Sierp księżycyca wschodził na niebie skrzącym się od gwiazd.

Travisa opadły wątpliwości; czuł, że nie zdobędzie się na to, czego się po nim spodziewano. Mary była łagodna i serdeczna - dokładnie taka, jakiej dzieci potrzebowały. Ale co z potrzebami jego, Travisa? Ożenił się ze starą panną. Wszystko w Mary dobitnie o tym świadczyło. Od przylizanych mysich włosów do czarnych półbutów. Travis starał się, jak mógł, żeby dzień ślubu był dla niej wyjątkowo uroczysty, ale potem, w najważniejszej chwili, gdy zostali tylko we dwoje, wpadł w panikę i zawiódł ją, siebie zresztą też. Travis miał wiele wad, ale nigdy nie uważał się za tchórza - aż do chwili obecnej.

Gwałtownie wypuścił powietrze z płuc. Wysiadł ze swego obskurnego pikapa, zszedł ścieżynką po stromym, kamienistym zboczu i przycupnął na głazie sterczącym ze stoku. Wolał nie myśleć o Mary! Zamiast ubolewać nad swym niedostatkiem małżeńskich cnót, lepiej wyliczyć wszystkie plusy dopiero co zawartego związku. Mary cudownie sobie radziła z dziećmi. Beth Ann i Scotty'ego od razu zawojowała. Nawet Jim zaczął się do niej przekonywać. Mary wniosła w ich życie stabilność i ład. Wszyscy czworo odetchnęli z ulgą, gdy się zjawiała. Gotowała, sprzątała, doprowadzała wszystko do porządku. Była idealną panią domu. Od jej przybycia minęły dwa dni, a Beth Ann spała już niezmaconym snem - po raz pierwszy odkąd przeniosła się na ranczo. I nie moczyła się w nocy.

Mary była dokładnie taką opiekunką, jakiej dzieci potrzebowały. Pod tym względem Travis dokonał trafnego wyboru. A co do tego, że on sam nie nadawał się na męża, to Mary dobrze wiedziała, na co się decyduje. On sam zresztą też.

Długie nogi - tylko na tym mu zależało. I kogo poślubił? Mysz!

Nie wiedział, czego się Mary po nim spodziewała w noc poślubną. Cholera, on sam też nie miał pojęcia! Jedno było pewne: trwożyła ją myśl, że Travis zacznie się domagać swoich mężowskich praw. Poznał to po oczach Mary, po wyrazie jej twarzy.

Powiedział jej przecież bez ogródek, że na to liczy.

I jeszcze jedno: było całkiem pewne, że gdyby się tych praw domagał, Mary zacisnęłaby zęby i nie protestowała.

Musiał wrócić na ranczo i do Mary, bo nie miał przecież dokąd pójść. Boże, zlituj się! Jego nagłe zniknięcie z pewnością nie poprawiło sytuacji.

Travis zerwał się z głazu i wdrapał po stromym zboczu do miejsca na szczycie, gdzie zaparkował wóz. Doszedł do wniosku, że woli mieć to już z głowy.

Gdy po kilku minutach wjechał na dziedziniec „Trzech T”, spostrzegł z ulgą, że dom tonie w ciemności i ciszy. Jeśli szczęście będzie mu nadal sprzyjało, może zdoła wśliznąć się niepostrzeżenie? Mary najwidoczniej spała. Doskonale! On też był wykończony i nie w nastroju do dyskusji.

Gdy wszedł do wnętrza, poczekał chwilę, by oczy przywykły do ciemności. Zdjął kurtkę, powiesił kapelusz i ściągnął buty. Im mniej narobi hałasu, tym lepiej.

Drzwi sypialni były zamknięte i Travis poruszył klamką tak cicho, jak tylko mógł. W pokoju było ciemno jak w studni. Tym lepiej. Ostrożnie wśliznął się do środka i zamknął drzwi.

Słyszał tylko spokojny, rytmiczny oddech Mary. Travis najciszej jak mógł ściągnął koszulę i spodnie i na paluszkach podszedł do łóżka, by zająć miejsce po swojej stronie.

Mary obudził donośny łoskot i stek przekleństw. Zaskoczona siadła raptownie na łóżku i zapaliła lampę stojącą na nocnym stoliku.

Travis siedział na podłodze w samej bieliźnie.

- Niech to jasna cholera! Czemuś przestawiła łóżko?! Chcesz mnie zabić, czy co?

Mary zamrugała oczami, nie pojmując, co się stało. Potem przypomniała sobie wszystko i wezbrały w niej gniewy i uraza.

- Gdybyś nie zakradł się tu jak złodziej, sam byś się zorientował!

- Jak złodziej! - wybuchnął Travis, podnosząc się niezdarnie. Mary zauważyła z satysfakcją, że obiema rękami masuje potłuczony tyłek. Wyglądał zgoła osobliwie, gdy tak stał w gaciach, podkoszulku i skarpetach. Gdyby nie była taka zła na niego, pewnie wybuchnęłyby śmiechem.

Travis wpatrywał się w nią wściekłym spojrzeniem.

- Co z ciebie za kobieta?! Przeszawiać meble w środku nocy!

- A co z ciebie za mężczyzna, że uciekasz bez słowa? - odparowała.

- A, więc o to chodzi? - warknął, wymachując oskarżycielsko palcem. - Chciałaś się na mnie odegrać?

- Nie bądź śmieszny - odburknęła. - Wystarczyło zapalić światło, ale nie przyszło ci to do głowy!

- Zrobiłem to przez wzgląd na ciebie.

- Przez wzgląd na mnie?! - powtórzyła takim tonem, jakby to był doskonały dowcip. - Pewnie. Ja też zrobiłam to z myślą o tobie.

Travis wymamrotał coś, czego nie dosłyszała w całości, ale ze strzępków, które do niej dotarły, połapała się, że lepiej nie znać reszty. Travis przeszedł przez pokój, lekko utykając, i przysiadł na brzegu materaca. Mary położyła się z powrotem i wykręciła na prawy bok, tak że była zwrócona do niego plecami. Kipiał w niej gniew i wyładowała go na poduszce, uderzając w nią kilkakrotnie tak, jakby chciała wbić pierze na samo dno powłoczki.

- Nie życzę sobie, żebyś przesawiała meble bez mojej wiedzy - oświadczył Travis władczym tonem.

Mary nie przypuszczała, że jest zdolna do sarkazmu, ale mąż budził w niej widocznie najgorsze cechy. Roześmiała się.

- Mówię poważnie!

Zaśmiała się jeszcze głośniej.

Travis pociągnął za kołdrę z taką energią, że niemal zerwał ją z ramion Mary. Usiadła i chwyciwszy za przykrycie szarpnęła je ku sobie. Travis zrobił to samo i przez chwilę bawili się zawzięcie w wariackie przeciąganie liny.

- Dość już tego! - oświadczyła wreszcie Mary, pociągając z całej siły.

Travis puścił kołdrę, ta zwisała luźno, a Mary omal nie spadła na podłogę. Chwilę trwało, zanim się opanowała; potem spokojnie zgasila lampę. Sypialnia pograżyła się w mroku, a napięcie między nimi było takie, że aż strzelały iskry.

Przycupnąwszy na samym brzeжку materaca. Mary zamknęła oczy, postanawiając ignorować Travisa. Prędzej skona, niż sprawi mu satysfakcję i pozwoli, by się domyślił, jak bardzo ją zranił.

- Durna baba! - burknął Travis, przewracając się na lewy bok.

Mary mimo dzielącej ich odległości zorientowała się, że tak samo jak ona położył się na samym brzegu materaca. Przestrzeń pomiędzy nimi przypominała pole minowe, grożące eksplozją przy lada dotknięciu.

- Durny chłop! - odezwała się Mary po sekundzie milczenia.

- Właśnie że baba! - stwierdził Travis głośniej.

Mary udała, że go nie słyszy, ale w jej piersi płonęło święte oburzenie. Jej opanowanie prawie już nie istniało, a o stanie nerwów lepiej nie wspominać! Była nadal wściekła; obawiała się, że wybuchnie jeśli zostanie w tym samym pokoju z Travisem.

Mary nie przypuszczała, że milczenie może być tak przytłaczające. Bardzo jej ciążyło, czuła, że nie zaśnie. W ciągu minuty przekręciła się na wznak, potem na brzuch, a wreszcie znowu na bok.

- Cholera, nie możesz leżeć spokojnie?

- Próbuję zasnąć.

- Ja też. Ale przez ciebie ani rusz nie mogę!

- Spałam spokojnie, póki nie wtargnąłeś do pokoju - przypomniała mu Mary.

Pochłonięci sprzeczką oboje przestali kurczowo trzymać się łóżka. Materac zapadł się paskudnie pośrodku i zanim Mary się spostrzegła, znaleźli się z mężem tuż obok siebie, pierś w pierś.

W gardle nagle jej zaschło. Nawet po ciemku czuła wbite w nią oczy Trávisa. Był tak blisko, że słyszała bicie jego serca i dolatywał do niej korzenny zapach płynu po goleniu, który Travis sobie zaaplikował rano przed ceremonią ślubną. Tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech.

- Rozumiem, dlaczego uciekłeś - szepnęła z bólem - ale nie musiałeś mnie aż tak upokarzać.

- Mary...

- Wiem, że nie jestem piękną...

- Mary, przestań! - Oparł dłonie na jej ramionach. - Wcale nie było tak, jak myślisz, przysięgam!

- Więc dlaczego to zrobiłeś?

Westchnął głęboko.

- Sam nie bardzo wiem... Powiem ci tylko, że...

- Nic mi nie musisz mówić. - W jej głosie zamiast gniewu brzmiał teraz ból. - Po prostu mnie nie chcesz... i tyle.

- Wcale nie o to chodzi! Bałem się, że jeśli pójdziemy ze sobą do łóżka, to moje... wymagania... cię przestraszą. Do licha, jak mam ci to wytłumaczyć?... - Przeciągnął dłonią po twarzy.

- Nie jestem świętym niewiniątkiem!

- Ale jesteś dziewicą i...

- Skąd wiesz? - wyrwało się Mary.

Była zawstydzona i wściekła, że musi rozmawiać na takie intymne tematy. Wcale jej nie ucieszyła uwaga męża, że opuścił ją, bo wiedział, jaka jest niedoświadczona i głupia.

- Mary, zrozum, mężczyzna potrafi poznać...

- O Boże! - jeszcze bardziej rozsierdzona Mary odskoczyła od niego.

- Nie mówię, że być dziewicą to coś złego powiedział pospiesznie Travis, chcąc naprawić swój błąd. - Ale widzisz... niech to jasna cholera!... Sprawa jest wtedy trudniejsza, bo nie wiesz nic o mężczyznach i w ogóle.

- Mówisz do mnie jak do debilki! Czy naprawdę wierzysz, że jestem taka głupia i nie wiem, co się dzieje między mężczyzną a kobietą?

- Nic podobnego nie powiedziałem! Przestań przekręcać każde moje słowo i uważać je za obrazę! Do diabła, staram się, jak mogę, zachować wobec ciebie przyzwoicie!

Wściekłość Mary częściowo wyparowała. Ona również usiłowała być wobec niego w porządku.

- Mnie też na tym zależy - szepnęła. - Robię, co mogę.

Travis odprężył się, Mary także.

- Więc zmierzamy do tego samego.

Leżał znów na plecach, ona również. Patrzyli w sufit, jakby mogli wyczytać z niego coś, co pomoże im dojść ze wszystkim do ładu. Mary chwyciła kołdrę i podciągnęła ją sobie pod brodę.

Travis odwrócił się do żony.

- Pomyślałem sobie...

- Co? - odezwała się skwapliwie Mary, również odwracając się twarzą ku niemu.

- Może się lepiej zanadto nie spieszyć? Najpierw się poznamy, poczujemy się ze sobą swobodniej...

- Dobrze. - Dręczące Mary napięcie zelzało. Bała się, że Travis powie tylko, że powinni oboje zasnąć. Dobrze wiedziała, a i on widocznie też, że żadne z nich nie zaśnie, nim jakoś nie rozstrzygną tej sprawy.

- Mogę cię przytulić?

- Chyba nie ma w tym nic zdrożnego. - Mary przysunęła się bliżej i przewróciła na bok.

Travis wyciągnął rękę i objął ją ramionami. Mary przytuliła głowę do piersi męża. Usłyszała bicie jego serca. Oboje leżeli bez ruchu, w milczeniu, ale Mary poczuła ciepło i siłę witalną emanującą z jego ciała.

- Bardzo przyjemnie - szepnął Travis. - Taka z ciebie kruszynka, ale Jesteś mięciutka i ładnie pachniesz.

- Dziękuję. Ty też ładnie pachniesz.

- Naprawdę?

Mary omal się nie roześmiała. Travis powiedział to wyraźnie obrażonym tonem.

Po chwili ręka Trávisa zsunęła się z jej ramion na plecy, lekko gładząc je wzdłuż kręgosłupa.

- Może się pocałujemy?

Serce Mary zabiło żywiej.

- Chyba to całkiem logiczny następny krok?

Uniósł dłonią jej podbródek tak, że ich usta znalazły się obok siebie. Mary przymknęła oczy, nie wiedząc czego się spodziewać. Poczowała dotyk wilgotnych warg Trávisa. Całował ją łagodnie, bez pośpiechu, jakby na próbę. Podobnie jak przed chwilą ręka męża gładziła jej plecy, tak teraz jego wargi ocierały się o jej usta.

Było to dla Mary uczucie zupełnie nieznane, troszkę dziwne, ale przyjemne. Nie przerywała pocałunku, a nawet próbowała go odwzajemnić, choć nie była pewna, czy postępuje właściwie.

Pocałunek Trávisa był z początku ostrożny, potem stał się bardziej swawolny, jakby wzywał ją do wspólnej zabawy. Wargi Mary same rozchyliły się i język

Travisa ruszył do ataku. Obwiódł wewnątrz jej ust i wyraźnie szukał towarzystwa jej języka.

Było to coś cudownego - o wiele wspanialsze, niż Mary przypuszczała na podstawie przeczytanych książek. Serce waliło jej jak szalone. Wysunęła nieśmiało rękę i końcami palców musnęła twardą, kanciastą szczękę Trávisa.

- Mary... - Travis miał jakieś trudności z oddychaniem i odsunął się od niej. Mary poczuła takie rozczarowanie, że raptownie otworzyła oczy. Widać zrobiła coś nie tak jak należało! Zmarnowała jedyną szansę udowodnienia mężowi, że jest kobietą, która może go zadowolić.

- Zrobiłam coś nie tak?

- Nie. Wszystko było dokładnie tak jak trzeba.

- To dlaczego przerwaliśmy?

- Dlatego. - Nie dodał nic więcej, tylko przytulił czoło do jej czoła. Przeczesując palcami jej włosy, westchnął głęboko. W pokoju nadal było cicho i mroczno, ale nie była to już ponura, dudniąca cisza, która ich poprzednio dławiała.

- Dobranoc, Travis - szepnęła Mary.

- Śpij dobrze, Mary, i nie martw się. Robiłaś wszystko tak jak trzeba.

Logan mocno obejmował Tilly i wdychał jej ożywczy zapach. Nie mógł się z nią rozstać, choć była prawie trzecia w nocy i powinien był wymknąć się wiele godzin temu.

Znalazł w Tilly całkowite zaspokojenie. Ilekroć był z nią, zstępował nań upragniony spokój, mimo iż zdawał sobie sprawę, że Tilly pozwala mu poznać zaledwie część swej istoty.

Gdy po raz pierwszy zwrócił na Tilly uwagę, zapragnął się z nią spotykać, poznać ją bliżej. Był wówczas wskutek rozwodu całkiem rozbity i długo trwało, nim zdecydował się wreszcie na spotkanie z kobietą.

Tilly podobała mu się bardzo: jej poczucie humoru, jej przyjazny uśmiech, którym go witała, kiedy wchodził do lokalu. Była powiewem świeżego powietrza, który wtargnął w jego życie przypominające zatęchłą suterenę. Była jak promyk słońca po długiej ulewie.

On też jej się spodobał, a przynajmniej Logan łudził się, że tak jest, póki nie zaproponował Tilly, by poszła z nim razem do kina. Do licha, cały tydzień trwało, zanim zdobył się na odwagę i zaproponował jej tę randkę. Z bijącym sercem, jak nastolatek, rzucił od niechcienia tę propozycję. Bezzwłoczna odmowa Tilly mocno zraniła jego męskie ego.

Znów minął tydzień, zanim się pozbierał po tym ciosie, i powtórzył zaproszenie. Tym razem nie był już zaskoczony, gdy Tilly mu odmówiła. Roześmiał się i oświadczył, że nie zrezygnuje. Uparł się zabrać ją do kina i nie ustąpi!

Tilly popatrzyła na niego uważnie, jakby chcąc sprawdzić, co kryje się za jego słowami. Bywała niekiedy bezwzględna - Logana czasem szokowała jej ostrość i okrucieństwo. Jemu też się nieraz dostało: śmiała się ironicznie z jego determinacji.

Po kilku dniach Logan znów zaproponował wspólną wyprawę do kina. Tilly uśmiechnęła się z żalem i poradziła mu, żeby dał jej spokój i znalazł sobie odpowiedniejszą partnerkę.

Wówczas Logan zmienił taktykę. Dowiedział się, gdzie Tilly mieszka, i pewnego wieczoru wpadł do niej bez uprzedzenia. Oznajmił, że ponieważ ona nie chce iść z nim do kina, on przyszedł do niej razem z kinem. Wręczył jej kasetę wideo i wtargnął do marnego mieszkanka.

Gdy teraz z perspektywy czasu rozpamiętywał tamten wieczór, zdawał sobie sprawę, że popełnił wówczas kilka błędów, które drogo go kosztowały. Kochali się z Tilly już tej pierwszej nocy. Logan nie zamierzał z nią spać - nie tak od razu. Pragnął chodzić z nią na randki, zalecać się do niej, ale po pierwszym pocałunku miała go w garści. Żałował, że okazał się taki słaby; od wielu miesięcy nie kochał

się z żadną kobietą, a Tilly była taka cholernie uwodzicielska, taka kusząca! Zanim się zorientował, jak daleko sprawy zaszły, leżała już pod nim nagusieńka, z oczami pełnymi łez.

Logan przeproszał, tulił ją mocno, próbował wyjaśnić, że od dawna nie miał do czynienia z kobietą. Tilly nie odpowiadała. Prawie na niego nie patrzyła; dała mu wyraźnie do zrozumienia, że wiedziała doskonale, po co do niej przyszedł.

Ich znajomość od samego początku zeszła na bezdroża i kroczyła odtąd na oślep tą samą krętą ścieżką.

Logan kochał Tilly tak bardzo, że go to przerażało; nigdy jednak nie wspominał o swojej miłości - głównie dlatego, że Tilly nie chciała go słuchać. Nie skąpiła mu swego ciała, ale serce i myśli zamknęła przed nim. Niezliczoną ilość razy doprowadzała go do frustracji. Nigdy nie chodziło o stronę fizyczną, lecz o uczucia. Choć jej ciało zaspokajało Logana, Tilly trzymała go zdecydowanie na dystans.

Nigdy nie udało mu się namówić ją na oficjalną randkę. Ile razy proponował wspólne wyjście, znajdowała jakiś wykręt. Logan miał wrażenie, że wali głową w mur. Mógł spotykać się z Tilly wyłącznie na jej warunkach.

Wdychał teraz ciepły, piżmowy zapach jej ciała i całował Tilly w czubek głowy, zastanawiając się, czy kiedykolwiek uda mu się przełamać bariery, którymi się otoczyła.

Tilly uniosła głowę opartą o pierś Logana.

- Która godzina?

- Późno. Myślałem, że pozwolisz mi zostać tu na noc.

Zawahała się przez chwilę.

- Lepiej nie.

- Czemu?

- Ktoś mógłby rozpoznać twój wóz.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Ale mnie tak.

Im bardziej protestowała, tym bardziej Logan był zdecydowany pokonać jej opory, doprowadzić do jakiejś zmiany, choćby niewielkiej, ten ich nienaturalny układ.

- Nie mogę się z tobą rozstać, nie dziś.

Tilly przesunęła ręką po nagiej piersi Logana. Jej palce igrały wśród porastających ją krótkich, ciemnych włosków. Pozornie wydawała się obojętna, ale Logan znał ją dobrze. Mózg ukochanej pracował z szybkością silnika wozu wyścigowego.

- Jeśli zostaniesz, powinniśmy ze sobą porozmawiać.

To była dobra nowina!

- W porządku, porozmawiajmy. Chyba już najwyższy czas, prawda?

- Chcę dowiedzieć się o tobie kilku rzeczy.

- Strzelaj..

- Odpowiesz na każde moje pytanie?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- W granicach zdrowego rozsądku.

- Zacznijmy od prostych pytań. Jak masz na drugie imię?

Logan zawahał się.

- Tylko się nie śmieję, Alvin.

- Logan Alvin?

- Tak się nazywał mój dziadek.

- Bardzo ładne imię. W dobrym tonie.

Logan pogładził ją po włosach. Bardzo lubił czuć pod palcami ich jedwabistą gładkość.

- Cieszę się, że ci się podoba. Następne pytanie?

- Dlaczego jesteś taki cholernie seksowny? To nie w porządku! Przeniosłam się do Grandview, mając szczerzy zamiar nie zawracać sobie głowy żadnymi chłopami. Ile razy się w kimś zakochiwałam, dostawałam po głowie. I nagle zjawia się nieziemski przystojniak, który ani rusz nie chce się odzepić. W dodatku prawnik.

- Szczęście ci dopisało, i tyle.

Tilly roześmiała się. Nie potwierdziła jednak, że miała szczęście, spotykając Logana.

- Pamiętam, jak pierwszy raz zjawiłeś się „U Marty” - ciągnęła Tilly.

- Ja też to pamiętam. - Wdali się wówczas w rozmowę; poczuł się z nią od razu swobodnie. Od tego pierwszego wieczoru Logan zaczął ją obserwować; doszedł do wniosku, że pragnie lepiej poznać tę kobietę.

- Następne pytanie.

- Strzelaj. - Okazało się to całkiem miłe. Leżeli objęci; Tilly była taka ciepła i pogodna w jego ramionach.

- Dokąd jeździsz w każdy wtorek?

Rozmowa nagle przestała być zabawna. Powinien był wcześniej opowiedzieć Tilly o tych wtorkach. Nie było to coś, czym mógłby się chwalić. A może jednak?...

- Jeżdżę do Moser na terapię.

- Do psychiatry?

- Nie. Uczestniczę w spotkaniach.

- W jakich spotkaniach?

Logan odetchnął głęboko i zebrał myśli. Najlepiej wyznać wszystko i mieć to z głowy. Gdyby chciał jakoś upiększyć prawdę, miał właśnie po temu okazję. Stał się jednak zbyt uczciwy na takie sztuczki. Szczerość splotła się w nim nierozzerwalnie z trzeźwością.

- Jestem alkoholikiem, Tilly. Dziwię się, że dotychczas się tego nie domyśliłaś.

- Alkoholikiem? - powtórzyła takim tonem, jakby to był głupi żart. - Ależ widziałam cię pijanego tylko raz, i to wiele miesięcy temu.

- Wiem. To była moja jedyna wpadka od paru lat.

Tilly znieruchomiała i w tym momencie Logan pojął, że popełnił błąd.

- Nie miałam o tym pojęcia.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - spytał takim tonem, jakby odpierał atak. - Pewnie wydaję ci się teraz odrażający?

- Ależ skąd! Po prostu jestem zaskoczona.

- Dlaczego? Alkoholizm zdarza się w najlepszych rodzinach. Spytaj mojego ojca. - Chciał wyzwolić się z uścisku Tilly, ale go powstrzymała.

- Nie odchodź.

- Chyba powinienem.

- Czemu? Przed kilkoma minutami chciałeś zostać.

- Jestem napiętnowany, Tilly. Choruję na coś, na co nie pomogą żadne zwykłe leki. Jeden kieliszek może mnie całkowicie zniszczyć.

- Myślisz, że ja jestem bez skazy? - spytała Tilly cicho. - Każdy ma jakieś grzechy na sumieniu. Ja też.

Logan odprężył się.

- A więc i ty masz jakieś mroczne sekrety?

- Tak - przyznała niechętnie. - Mam swoje sekrety. Tak samo jak ty.

- Zdradzisz mi je?

Tilly milczała dłuższą chwilę.

- Nie.

- A ja wyjawiałem ci mój.

- Może mam ich więcej niż ty?

- To nie ma żadnego znaczenia, Tilly. Nic z twojej przeszłości nie zdoła zniszczyć tego, co nas łączy.

Tilly roześmiała się gorzko.

- Jasne.

- Mówię szczerze.

- Ja też. Po prostu wolę na ten temat nie rozmawiać. Rozumiesz?

Logan nie miał wyboru. Znowu czuł, że Tilly się od niego odsuwa.

- Oczywiście. Nie musisz mówić mi o niczym, jeśli nie chcesz..

- A poza tym - powiedziała Tilly, siląc się na lekki ton. - Tutaj ja stawiam pytania, zrozumiano?

Rozdział 7

Pierwsze promienie świtu ukazywały się na horyzoncie, gdy Travis usiadł na skraju materaca, uśmiechając się do siebie. Rzadko budził się z uśmiechem. Bardzo rzadko. Zupełnie się nie spodziewał, że będzie w takim dobrym humorze, zwłaszcza po kłótni z Mary. Pomyśleć tylko! Sądził, że jego żona jest łagodna i płochliwa, a taka z niej złośnica! Miał wrażenie, że zмага się z kuguarem!

Po cichutku wymknął się z sypialni. Był zmęczony i wszystko go bolało, ale nie mógł się cały dzień objąć! Robota czekała.

Przystanął na progu i obejrzał się na Mary, spokojnie śpiącą w jego łóżku. Światła i cienie poranka padały na jej twarz, a delikatne jak u dziecka włosy rozsypały się po poduszce. Raz jeszcze pożałował, że tak mało wie o kobietach.

Jak zwykle włączył ekspres do kawy i odczekał, aż podstawiony kubek się napełni, wypił kilka łyków i skierował się ku stajni.

Ranek był chłodny. Idąc przez zapyłony dziedziniec do stajni, Travis zauważył, że w pierwszych promieniach słońca lśni cienka powłoka szronu. Konie

powitały go donośnym parsaniem. Wałach Wściekły Maks, okropny złośnik, niecierpliwie bił kopytem o ścianę boksu, starając się zwrócić na siebie uwagę swego pana.

Travis sięgnął po widły i nabrał na nie wiązki lucerny. Nakarmił konie, napoił świeżą wodą, sypnął im owsa. Gdy wracał do domu, zauważył jakiś biały, jedwabisty puszek obok śladu drobnej stopy. Pochylił się i zobaczył, że było to piórko, lśniące i puszyste. A śladu nie zostawiły dziecięce nóżki... Kto to mógł, u diabła, być?

W następnej chwili już wiedział: Mary.

Zrozumiał, że poszła do stajni, bo myślała, że go tam zastanie. Serce zabiło mu niespokojnie. Była dziewczyną urodzoną i wychowaną w mieście. Nie miała pojęcia o życiu na ranczu. Czyhały tu na nią na każdym kroku setki niebezpieczeństw i mogła natknąć się na nie w każdej chwili. Wcale by się nie dziwił, gdyby zachciało się jej ni stąd, ni zowąd zaprzyjaźnić ze Wściekłym Maksem!

Mógł sobie bez trudu wyobrazić, jak Mary wchodzi do padoku, wabiąc do siebie wałacha kostką cukru, nieświadoma, że naraża się na niebezpieczeństwo. On będzie pracował gdzieś na ranczu - a tu Mary i konie - i nieszczęście gotowe!

Owładnięty tą myślą pospieszył do domu.

Mary zdążyła już wstać i ubrać się. Związała włosy w luźny węzeł na karku; wydawała się dzięki temu delikatniejsza, bardziej kobieca. Całkiem inna od tamtej pruderyjnej bibliotekarki. Travis zapomniałby pewnie o swoich obawach, gdyby nie zauważył stroju Mary. Włożyła eleganckie spodnie i gruby sweter robiony na drutach, koloru ozimej pszenicy. Travis wątpił, Gzy miała jakieś porządne dzinsy; utwierdził się w przekonaniu, że Mary to nie znające świata niewiniątko. On musiał objeżdżać codziennie tereny i był zbyt zajęty przy bydle, żeby móc się ustawicznie zamartwiać, czy coś jej się nie stało w pobliżu domu.

- Dzień dobry! - odezwała się Mary, obdarzając męża nieśmiałym uśmiechem; zauważył, że unikała jego wzroku. Nie zapomniała o ich utarczce tak samo jak on. Podeszła do lodówki i wyjęła kawał boczku. - Dzieci już wstały. Ubierają się. Śniadanie będzie gotowe za parę minut.

- Byłaś wczoraj wieczorem w stajni? - spytał bez ogródek Travis.

Mary położyła boczek na stole i odwróciła się do męża.

- Zajrzałam tam. Bo co?

- To niebezpieczne.

- Jak to? - spytała. Przystanęła, wycierając ręce fartuchem i wpatrując się w Trávisa.

- Słuchaj, nie chcę być tyrański ani opryskliwy, ani sprawić ci przykrości, ale stajnia to nie miejsce dla dziewczyny z miasta.

- Ależ, Travis...

- Na razie - przerwał jej, wiedząc, że się zacznie spierać. - Dopóki nie zapoznasz się lepiej z ranczem.

- Nigdy nie słyszałam czegoś równie głupiego!

- Być może. Ale nie chodź tam, dla mojego spokoju.

Mary zacisnęła usta i postawiła na stole dzbanek soku pomarańczowego. Była zła na męża, ale Travis nie miał teraz czasu, by się tym przejmować. Czekala go masa roboty; nie mógł po wyjściu z domu zamartwiać się przez cały czas, że Mary zrobi sobie jakąś krzywdę, zbliżając się zanadto do zwierząt i narzędzi, o których nie miała pojęcia.

Travis wypił duszkiem szklankę soku pomarańczowego i pochłonął trzy kawałki boczku.

- Nie zamierzam się z tobą o to spierać. Wściekaj się na mnie, jeśli chcesz, ale ma być tak, jak mówię - dla twojego dobra.

- Czy we wszystkich innych sprawach także będziesz odgrywał pana i

władcę?

Travis sięgnął po kapelusz i włożył go, a potem poprawił bez pośpiechu.

- Chyba tak.

- Wobec tego musimy o tym podyskutować.

Travis spojrzał na drzwi, pragnąc uniknąć konfrontacji. Mary wyraźnie nie pojmowała, że parobcy czekają, a bydłu trzeba dać jeść.

- Nie masz nic przeciwko temu, że odłożymy to na później? - spytał kierując się ku drzwiom.

- Szczerze mówiąc, mam bardzo wiele przeciwko temu.

- Mary! - odparł ze źle skrywanym zniecierpliwieniem. - Ja mam na głowie całe ranczo!

- Ta sprawa również jest ważna. - Mary wzięła się pod boki, przybierając wojowniczą pozę. Nietrudno było wyobrazić ją sobie w bibliotece, jak karci czytelnika za przetrzymanie książek.

- Porozmawiamy o tym później - przyrzekł Travis i wyszedłszy z domu skierował się do pikapa.

Mary była zbyt wściekła, by logicznie myśleć, a tym bardziej dyskutować. Wykręciła się na pięcie, chcąc podejść do kuchennego pieca. Wtedy zobaczyła dzieci stojące pośrodku kuchni i wpatrujące się w nią.

- Pokłóciliście się z wujkiem Travisem? - spytał Scotty.

- Nie, kochanie, wszystko w porządku.

- On krzyczał na ciebie - szepnęła Beth Ann.

- Pewnie wcale nie miał takiego zamiaru - odparła Mary tak spokojnie, jak tylko pozwalało jej na to wzburzone serce. Ubiegłej nocy, kiedy Travis wrócił do domu i gdy przestali wrzeszczeć na siebie i zaczęli naprawdę rozmawiać... i potem gdy się pocałowali. Mary pomyślała, że być może zaczną w końcu zachowywać się

jak prawdziwe małżeństwo. Tak bardzo jej zależało na dobrych stosunkach! Wyglądało jednak na to, że przez noc Travis stał się tyrański i nierozsądny. Zamiast przerzucać mosty nad dzielącą ich przepaścią, zburzył to wszystko (a nie było tego dużo!), co ich łączyło.

- Może upieczemy ciasteczka? - spytała Beth Ann, budząc pogrążoną w myślach Mary. - Czekoladowe, takie jak piekła moja mamusia.

Mary spojrzała na dziewczynkę i serce jej się ścisnęło. Mała tak kurczowo trzymała się wspomnień o matce. Przecież nie dla Travisa Mary porzuciła swój dom i przyjaciół oraz wyrzekła się cywilizowanego świata! To nie miłość ani pragnienie współżycia z nim kazało jej opuścić Luizjanę. Nie, przyjęła jego propozycję dla własnego dobra: chciała zapełnić pustkę, którą czuła w duszy, chciała uciec od samotności.

- Z orzechami! - dodał z zapalem Scotty. - Mamusia pozwalała nam obu z Jimem wylizywać resztki ciasta z miksera.

- To dobre dla smarkaczy - burknął Jim.

Mary uważnie przyjrzała się starszemu bratankowi Travisa. Ani razu nie dostrzegła dotąd jego uśmiechu. Serce jej krwawiło ze względu na chłopca: Jim uważał, że jest za duży na to, by płakać; był jednak zbyt mały, by nieść samotnie przytłaczające brzemie rozpacz.

- Zjedzmy najpierw śniadanie - zaproponowała Mary. - A kiedy skończymy nasze codzienne obowiązki, upieczemy ciastka.

Beth Ann uśmiechnęła się, a jej śliczne oczka zaiskrzyły się radością.

- Jeśli Jim nie chce wylizywać miksera, to czy ja mogę? - spytał Scotty, gdy Mary postawiła patelnię na ogniu i krajała grube paski boczku.

Jim spojrzał w stronę Mary. Znalazł się między młotem a kowadłem: pragnął zachować męską godność, a równocześnie przykro mu było stracić taką wspaniałą okazję! Należało głęboko rozważyć swoją decyzję.

- Chyba trudno mi będzie obejść się bez pomocy Jima - powiedziała Mary. - Mogę zapomnieć o jakimś ważnym dodatku do ciasta... O ile Jim zgodzi się je próbować, z pewnością zorientuje się, jeśli czegoś w nim zabraknie. Wybawi mnie w ten sposób z wielkiego kłopotu.

Poważne, ciemne oczy Jima wpatrywały się w nią z natężeniem.

- Zgoda, ale tylko ten jeden raz. Jeśli będziesz piekła innym razem, niech Scotty próbuje.

Mary skinęła poważnie głową. - Będę ci bardzo wdzięczna za pomoc.

W miarę jak upływały ranne godziny, Mary odkryła, że jest wiele innych rzeczy, za które byłaby szczerze wdzięczna. Na przykład spokój i cisza. Nie przywykła do hałasu, jaki robi trójka małych dzieci.

Przeraźliwy krzyk sprawił, że odskoczyła od zlewu. Zaraz potem wpadł do kuchni Scotty. Podbiegł do Mary, schwycił ją za sweter i ukrył się za nią.

- Oddaj mi! - zażądał Jim, wybiegając zza węgła z zaczerwienioną ze złości twarzą.

- Dzieci, nie kłóćcie się, proszę! - powiedziała spokojnie Mary.

- To moje! - wrzasnął Scotty. Mary obawiała się, że o ile zaraz nie puści jej swetra, wyciągnie go do kolan.

- Oddawaj! - zażądał groźnie Jim, pędząc ku Mary.

- Żadnych bójek! - oświadczyła Mary swym najbardziej autorytatywnym tonem. Przejęci wzajemnym konfliktem chłopcy zignorowali ją. Próbowwała to tak, to owak przemówić im do rozsądku, zanim zdała sobie sprawę, że bawi się z nimi w jakąś szaleńczą odmianę „Stoi różyczka”: Obracała się pośrodku, a oni ganiali wokół niej. - Żadnych bójek, mówiłam już! - powtórzyła Mary jeszcze bardziej stanowczo.

- Powiedz im, że jak się będą bić, zabronisz im oglądać telewizję - podpowiedziała stojąca w drzwiach Beth Ann.

Mary nie miała zwyczaju przyjmować rad od pięcioletnich dziewczynek, ale sytuacja stawała się coraz bardziej rozpaczliwa. - Uspokójcie się w tej chwili! - krzyknęła. Chłopcy nie zwrócili na nią w ogóle uwagi. Mary starała się pochwycić Scotty'ego, ale wyslizgiwał się jej jak wąż. Z Jimem poszło jeszcze gorzej: wyrwał się bez trudu z jej rozpaczliwego chwytu.

- Uspokójcie się natychmiast! - krzyknęła znowu. Mogła równie dobrze przemawiać do regałów. Okazałyby jej dokładnie tyle samo uwagi.

Jim schwycił brata za ramię, zwałił go na podłogę i rzucił się na niego. Głowa Scotty'ego zderzyła się z ziemią z głośnym stukiem. Mary aż jęknęła, obawiając się poważnego urazu. Chłopcy zmienili się w kłęb wierzgających nóg i ramion, które nie sposób było rozplatać.

Mary pochyliła się nad zapaśnikami, rozpaczliwie starając się ich rozdzielić. Odniosła podobny sukces jak wówczas, gdy usiłowała przerwać ich sprzeczkę.

Za jej plecami rozległ się przenikliwy, niesamowity hałas, przypominający ryk startującego samolotu. Mary wyprostowała się i gwałtownie odwróciła.

Beth Ann stała na krześle i waliła drewnianą łyżką w czarną patelnię. Mary zasłoniła uszy rękami.

Obaj chłopcy siedli na podłodze gapiąc się na siostrę.

- Jak wam nie wstyd przed Mary! - wykrzyknęła Beth Ann i władczo machnęła w stronę braci łyżką. - Żadnej telewizji przez tydzień, bo Mary powie o wszystkim wujkowi Travisowi!

Jim zerwał się na nogi i obciągnął koszulę.

Scotty poszedł za przykładem brata i niechętnie oddał mu jakąś kartę.

Była to pocztówka z wizerunkiem któregoś z mistrzów baseballu, jak stwierdziła Mary, opadając na krzesło. Chłopcy omal się nie pozabijali z powodu takiego głupstwa! Mary przełknęła z trudem ślinę i rękami odgarnęła włosy, które opadły jej na twarz. Dopiero teraz poczuła, że cała drży.

- Nic ci się nie stało? - spytała Beth Ann.

Mary zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową.

- Nic się nie martw. Chłopcy czasem się tak wygłupiają. Musisz krótko ich trzymać - wyjaśniła Beth Ann.

- Ach tak?... - szepnęła Mary. Poczekala, aż minie jej drzenie; dopiero wówczas się poruszyła. Co też ją opętało, na litość Boską, że podjęła się wychowania trojga dzieci?! Nawet Beth Ann sto razy lepiej od niej nadawała się do tej roli! Boże, w co też się wkopała?!

Późnym popołudniem stuk zatrzaszczonych drzwi pikapa, dolatujący z dziedzińca, oznajmił o powrocie Trvisa.

- Pieczemy ciasteczka! - poinformowała wujka bardzo podniecona Beth Ann, gdy tylko wszedł do domu.

Travis uśmiechnął się od ucha do ucha i zdjął kapelusz, zawieszając go na kołku tuż przy drzwiach.

- Ciekaw jestem, jak mógłbym sobie zasłużyć na pierwsze ciastko?

- Mary już mi je obiecała - oświadczył Scotty - bo ja najwięcej jej pomagałem.

- Obejrzał się jednak na nią niespokojnie: czy aby nie wspomni o bójce? Mary nie uczyniła tego, tyle że z całkiem innych powodów, niż Przypuszczał.

- Możliwe, ale ja jestem panem domu, więc mnie należy się pierwsze ciastko!

- Ale ja się najbardziej napracowałem!

- Będziesz się wyklócał z rodzonym wujem?! - zagrzmiał Travis.

Scotty uśmiechnął się szeroko i skinął głową.

Travis pochwycił chłopca, ujął mocno w pasie i wywinął nim w powietrzu. Scotty pisał z zachwytem, wirując jak na karuzeli, ale głośno powtarzał, że nie odda swojego ciastka, żeby nie wiem co!

Mary spostrzegła, że i ona też się uśmiecha rada, że zelżało straszliwe poranne

napięciu.

Odezwał się brzęczyk piekarnika i zbrojna w grube kuchenne rękawice Mary wyciągnęła pierwszą brytfannę, a potem wsunęła następną, na której Beth Ann i Scotty poukładali już dalsze ciastka.

Odgłos zajeżdżającego przed dom jeszcze jednego samochodu odwrócił uwagę wszystkich od wypieków.

- Ktoś tu idzie! - oznajmił Jim, który odsunął zasłonę i wyjrzał przez okno.

- To Larry Martin - stwierdził Travis zerknąwszy przez szybkę w tylnych drzwiach i wyszedł na spotkanie gościa.

- Cześć, Larry - usłyszała Mary słowa męża. - Masz do mnie jakąś sprawę?

Pochłonięta zdejmowaniem gorących ciastek z blachy Mary nie podniosła głowy, póki się z tym nie uporała. Potem z wrodzoną uprzejmością powitała przyjaciela Trávisa uśmiechem. Obowiązki pani domu wpajano jej od kolebki. Rodzina Warnerów słynęła z charakterystycznej dla mieszkańców Południa gościnności.

Przybysz miał przyjazną, szczerą twarz. Przypominał Trávisa wzrostem i postawą. Gapił się na Mary z nieukrywaną ciekawością.

Jego przyjacielski uśmiech rozbroił ją.

- Wpadłem do Marty dziś po południu - wyjaśnił Larry. Tilly powiedziała mi, żeś sobie znalazł żonę. Pomyślałem, że wypada zajrzeć tu i zaznajomić się z nią. - Choć mówił do Trávisa, patrzył nadal na Mary.

- To właśnie jest Mary - oznajmił Travis.

Miała wrażenie, że słyszy nutkę niezadowolenia w głosie męża. Zastanawiała się, jaka mogła być tego przyczyna? Wizyta Larry'ego była przecież dowodem przyjaźni. Najwidoczniej kolacja „U Marty” po ceremonii ślubnej odniosła pożądaný skutek: wieść o ich małżeństwie rozeszła się. Travis Thompson znalazł sobie żonę!

- To ciastka prosto z pieca - powiedziała Mary. - Może się poczęstujesz, Larry?

Przybysz zawiesił kapelusz na kołku obok nakrycia głowy Trávisa i skinął z zapalem głową.

- Nie odmówię. Dawno już nie jadłem domowych ciastek. Te są chyba z czekoladą, co? Moje ulubione.

- A ty, Travis? - Mary pochlebilo, że Larry spoglądał na nią z nieukrywaną aprobatą, ale to przecież Travis był mężczyzną, którego poślubiła!

Travis wziął ciastko, a potem rozdał dzieciakom serwetki.

- Więc dałeś się zaobrączkować - zauważył Larry; czuł się zupełnie swobodnie przy ich kuchennym stole, obok Trávisa. - Kiedy to się stało? - zapytał, gdy Mary podała im kawę.

- Wczoraj - odparł Travis.

- Nie byliśmy przez to w szkole - oznajmił Scotty.

Larry uśmiechnął się szeroko.

- I jak się czuje młody żonkoś?

Mary była równie jak on ciekawa odpowiedzi Trávisa. Ten wzruszył ramionami.

- Tak jak zwykle.

Oczy Larry'ego powędrowały znów ku Mary; poczuła krew nabiegającą jej do policzków. Miała wrażenie, że obaj mężczyźni uważnie ją obserwują, więc zmieszana zajęła się znów ciastkami.

- Dawno nic mi tak nie smakowało! - Larry sięgnął po następne ciastko.

Obaj mężczyźni pogawędzili, wstali i wyszli z domu. Mniej więcej po godzinie byli z powrotem. Mary przygotowywała już wieczorny posiłek.

- Może zostaniesz na kolacji? - zauważyła, że Larry zerka wymownie na świeżą sałatę, którą przyrządzała. - Będą kotlety cielece.

- Jeśli ci nie sprawię kłopotu.

- Żadnego. Jedzenia mamy pod dostatkiem; będzie nam bardzo miło, jeśli zostaniesz. - Larry pierwszy ich odwiedził po ślubie. Mary była mu bardzo wdzięczna za to, że zechciał do nich wpaść i zawrzeć z nią znajomość.

- To dla mnie wielki zaszczyt! - odparł Larry.

Spojrząwszy na Travisa Mary zorientowała się, że popełniła błąd. Mąż był pochmurny i milczał. Kolacja stała się trudną do zniesienia próbą. Mary była niewymownie wdzięczna dzieciom: dzięki nim rozmowa przy stole nie wygasła. Zasypały Larry'ego setką najrozmaitszych pytań.

Sytuacja Mary była tym trudniejsza, że na głównym miejscu przy stole siedział naburmuszony Travis, a Larry unosił się nad jej talentami kulinarnymi.

Gdy późnym wieczorem przyjaciel Travisa odjechał, Mary poczuła ulgę. Zaczęła sprzątać ze stołu, podczas gdy Jim i Scotty po kolei kąpali się. Beth Ann, wyraźnie senna, stała się grymaśna i niespokojna.

Uklękła obok krzesła i położyła główkę na jego siedzeniu.

- Chcę do mamusi!

- Wiem, kochanie - szepnęła Mary, biorąc dziewczynkę w objęcia.

Beth Ann przytuliła się do jej ramienia.

- Cieszę się, że wyszłaś za wujka Travisa.

- Ja też się z tego cieszę. - Mary powiedziała to szczerze, mimo porannych zajść: kłótni z Travisem i awantury z dziećmi. Musi wiele się jeszcze nauczyć, jeśli chce radzić sobie z rodzinką! Widziała jednak, że wszystkie zainteresowane strony robią postępy. Gotowi byli przyjąć ją do swego grona i pomagali jej wyzwolić się z pęt samotności.

Kiedy chłopcy wyszli z łazienki, Mary wykąpała Beth Ann, położyła ją do łóżka i poczytała dziewczynce przed snem jej ulubioną książeczkę. Potem zaśpiewała dla niej. Zanim skończyła pierwszą zwrotkę, Beth Ann spała jak suseł.

Travis ciągle gdzieś wychodził i wracał. Podczas gdy Mary usypiała Beth Ann, obaj chłopcy oglądali telewizję w saloniku.

Mary stała przy zlewie, zmywając ostatnie talerze, gdy drzwi się otworzyły i do kuchni wszedł Travis.

- Muszę z tobą porozmawiać - powiedziała, odwracając się do niego. Sięgnęła po ręcznik i wytarła ręce, szykując się do potyczki.

- Ja też mam ci coś do powiedzenia - odparł gwałtownie Travis. - Wyjaśnijmy sobie coś raz na zawsze! Jesteś moją żoną i nie życzę sobie, żebyś flirtowała z moimi kumplami!

- Flirtowała z twoimi kumplami?! - Mary była tak zaskoczona, że w pierwszej chwili ją zamurowało. - Może lepiej odłożyć naszą rozmowę na kiedy indziej - powiedziała, czyniąc taki gest, jakby coś od siebie odpychała.

- A to czemu?!

- Bo gotowa jestem zapomnieć o dobrym wychowaniu i powiem coś, czego potem będę żałowała.

- Na przykład?

- Jestem pewna, że wolałbyś tego nie słyszeć.

- Wobec tego ja powiem ci coś, czego jestem pewny. Nie życzę sobie, żeby moja żona na drugi dzień po ślubie uwodziła mi najlepszego przyjaciela. Jeśli uważasz, że to zbyt wygórowane żądanie, lepiej wyjaśnijmy sobie wszystko od razu!

Stali rozdzieleni całą szerokością kuchni, emocjonalnie zaś każde mogłoby pochodzić z innego końca wszechświata. Mary dosłownie nie wierzyła własnym uszom. Travis nie tylko zachowywał się nierozsądnie. On ją obrażał!

- Ja... uwodziłam... Larry'ego?! Chyba sobie kpisz?!

Dwoma wielkimi susami Travis przebył dzielącą ich przestrzeń.

- Nigdy w życiu nie mówiłem bardziej serio! Larry wywracał do ciebie

oczami, a ty aż się oblizywałeś!

- Ja się oblizywałam?... Wywracał oczami?! - Mary była tak wściekła, że nie potrafiła składnie mówić. Policzyła w duchu do dziesięciu, potem zaczęła się zastanawiać, co Trávisa podkusiło do takich oskarżeń. - Nigdy w życiu nie widziałam jeszcze takiego tyrana, w dodatku upartego i tępego! Jak wytrzymamy ze sobą, na miłość boską, jeśli nie pozwolisz mi nawet odezwać się uprzejmie do innego mężczyzny? - Usiłowała ze wszystkich sił pohamować swe oburzenie - i czuła, że przegrywa w tym starciu.

- Na pewno nie poprawiło sytuacji to, że aż się paliłeś do Larry'ego!

- Ja się paliłam? Po prostu zaprosiłam go na kolację.

- Bo wpadł ci w oko!

Mary gapiła się na Trávisa, podejrzewając poważnie, że słońce przepaliło mu mózg. Albo nagle zwariował. Twarz męża była zacięta i jakby stężała. Mary uznałaby całą sprawę za głupi żart, gdyby spojrzenie Trávisa nie było takie groźne.

- A co gorsza, i ty wpadłaś mu w oko!

Mary znieruchomiała. Travis naprawdę wierzył, że jego przyjaciel był nią oczarowany! Przecież ona nie miała pojęcia, jak postępować z mężczyznami! Larry'ego zachwyciła jej kuchnia. Mary domyśliła się, że od wielu miesięcy nie jadł porządnej, domowej kolacji. To nie jej dowcip ani żywa konwersacja urzekły go, ale cielęcina i kruche ciasteczka!

- Przymilałaś się do niego, ile wlezie! - Każde słowo męża było twarde i wymierzone w nią jak kamień. Mary się zdawało, że również Travis wydobywa je z siebie z wielkim bólem. - Boże święty, myślałem, że Larry utonie jak mucha w miodzie!

- Mówisz o mnie, jakbym była ladacznicą - szepnęła Mary, bliska łez. Z ich małżeństwa nic nie będzie! Zdała sobie z tego nagle sprawę i poczuła rozpaczliwy żal. Byli mężem i żoną zaledwie od dwóch dni, a już zakosztowała goryczy

porażki. Z Travisem nie warto było nawet dyskutować: już ją osądził i wydał wyrok. Żadne jej słowo ani czyn nie zmieni sytuacji. Świadoma tego Mary odwróciła się i wyszła z kuchni.

Travis usłyszał, jak zamknęły się za nią drzwi sypialni i serce w nim zamarło. Winna była nie Mary, ale on! Był po prostu zazdrosny. Zaczęło się od tego, że Larry pochwalił ciastka Mary, a ona aż pokraśniała z radości. Przecież to on, jej mąż, powinien był ją pochwalić, a nie Larry! To od niego powinna usłyszeć, że takiej kruchutkiej cielęciny nigdy dotąd nie jadł i że nawet jego babka nie piekła takich lekkich puszystych biszkoptów. To on powinien powiedzieć: „Jakie to szczęście znaleźć taką żonę!” A tymczasem zrobił to jego przyjaciel.

Już od samego rana wszystko się popsuło, kiedy posprzeczcali się na temat stajni. Travis po raz tysięczny robił sobie wyrzuty, że nie zachował się bardziej taktownie. Gdyby usiadł koło Mary i wyznał, że po prostu się o nią boi, pewnie zgodziłyby się na wszystko bez sprzeciwów, rozumiejąc jego niepokój.

Niestety, nigdy nie umiał znaleźć odpowiednich słów. Nie przeszkadzało mu to, zanim wtargnęły w jego życie dzieci i Mary. Teraz nie tylko oczekiwano od niego, żeby zachowywał się jak głowa rodziny, nie tylko spodziewano się przymilań i komplementów. Na dodatek będzie musiał się ze wszystkiego tłumaczyć! Od lat przywykł do tego, że na ranczu jego słowo jest prawem. Kiedy chciał, żeby coś zostało wykonane, wydawał polecenie jednemu z robotników.

Mary jednak najwyraźniej nie życzyła sobie, żeby jej ktoś rozkazywał. Wyglądało na to, że Travis będzie musiał zmienić obyczaje. Kiedy to sobie uświadomił, stanęło przed nim wiele niepokojących pytań. Jak będą wyglądały odpowiedzi?!

Nalał sobie kawy i usiadł przy kuchennym stole, by rozważyć problemy, przed którymi stanęli teraz z Mary. Wina leżała po jego stronie, ale przyznanie się

do niej okazało się trudniejsze, niż przypuszczał. Jeśli jednak chce jakoś załagodzić sprawę, musi iść do Mary, i to zaraz. Była jednak przybita i zła... Prawdę mówiąc, Travis obawiał się, że niechcący zrobi albo powie coś, co ją jeszcze bardziej rozwścieczy. Chyba lepiej zaczekać, aż się uspokoi? Pójdzie do niej potem.

Travis przeniósł się z kawą do salonu, gdzie Jim oglądał telewizję. Chłopak prawie go zignorował.

- Czy Scotty poszedł już spać?

- Nie.

- A gdzie jest?

Jim wzruszył ramionami, cała jego uwaga była skoncentrowana na emitowanym właśnie serialu kryminalnym. Travis nie myślał więcej o tej sprawie. Minął jednak kwadrans, a Scotty'ego nadal nie było. Travis wiedział, że chłopak przepadał za tym programem tak samo jak jego starszy brat.

Starając się stąpać cicho powędrował korytarzem do sypialni chłopców. Pokój był czysty i nie zagracony; absolutne przeciwieństwo stanu, w jakim znajdował się przed przybyciem Mary.

Beth Ann spała jak aniołek.

Travis zajrzał do stajni i rozejrzał się po najbliższym otoczeniu, nawołując Scotty'ego po imieniu. Mary musiała usłyszeć te coraz bardziej niespokojne nawoływania, gdyż po kilku minutach zjawiała się obok męża.

- Co się stało ze Scottym? - spytała, otulając się szczelniej lekkim żakietem. Wiał zimny wieczorny wiatr.

- Nie ma go w domu.

- Może w stajni?

- Już sprawdzałem.

- Schował się przed nami?

- Nie wiem, do cholery! - warknął Travis i natychmiast tego pożałował. - Jim

chyba też nie wie, gdzie Scotty się podział.

- Myślisz, że uciekł? - spytała ze strachem.

Travisowi nie przyszło to do głowy.

- Dlaczego miałby zrobić coś takiego?

- Nie wiem. Dlaczego wszyscy popełniamy różne głupstwa?

To właśnie pytanie dręczyło Trávisa przez cały wieczór.

- Dokąd Scotty mógłby uciec?

- Nie mam pojęcia. - W głosie Mary brzmiało przerażenie.

Travis również porządnie się zaniepokoił. Z każdą minutą było coraz mroczniej i zimniej.

- Znaleźliście go? - spytał Jim. Stał na ganku, rozpychając palcami tylne kieszenie spranych dżinsów.

- Jim - powiedziała poważnym tonem Mary. - Nigdzie nie ma Scotty'ego. Czy myślisz, że mógł uciec?

Wiatr się wzmagał. Travis przysunął się bliżej do żony, by ją osłonić od silnych podmuchów. Pragnął objąć ją ramieniem i przeprosić, ale słowa uwięzły mu w gardle.

- Chyba mógł - odparł Jim po chwili namysłu.

- Dokąd by uciekł?

- Do domu - powiedział posępnie chłopiec spuszczać oczy.

- Do domu? - powtórzył Travis i serce ścisnęło mu się na te słowa. Przecież dom Scotty'ego był teraz tutaj! Dawną posiadłość Lee sprzedano jakieś dwa miesiące temu za pośrednictwem sądu do spraw spadkowych. Starsze małżeństwo, które kupiło ranczo, dokonało już na nim wielu zmian. Travis nie jeździł w tamtym kierunku, by nie budzić przykrych wspomnień.

- Chodź! - zawołała Mary, biegnąc do pikapa. - Znajdziemy go!

Travis rozumiał równie dobrze jak ona, że pośpiech jest konieczny. Na myśl o

Scotty wędrującym samotnie po ciemku polną drogą ogarniało go przerażenie.

Mary opuściła szybę w bocznym oknie pikapa. - Wrócimy, gdy tylko znajdziemy Scotty'ego. Jim, uważaj na Beth Ann, dobrze?

Travis dostrzegł w bocznym lusterku, że chłopiec skinął głową. Zazwyczaj skwaszony i wrogi Jim wydawał się chętny do współpracy.

- Pewnie powędrował polem i wyszedł na drogę koło Pattersonów! - krzyknął za nimi chłopiec. - Czasem tamtędy chodziliśmy.

- Głupi smarkacz! - mruknął Travis, wyjeżdżając pędem z dziedzińca i wzbijając tuman kurzu. Miał zamiar spuścić lanie Scotty'emu, jak tylko go odnajdą. Da mu dobrą nauczkę! Ale najpierw musi go przytulić i dowiedzieć się, co tak chłopca nękało, że aż zdecydował się na ucieczkę.

Przejechali pewnie z milę, kiedy Travis dojrzał uciekiniera. Mary spostrzegła go w tej samej chwili:

- Tam! - zawołała, wskazując małą postać, kroczącą wąskim poboczem drogi.

Chłopiec miał na sobie dżinsową kurtkę, która nie chroniła go dostatecznie przed wiatrem. Szedł, kuląc się od silnych podmuchów wichury. Słońce całkiem już zaszło, a jedynym źródłem światła były reflektory ich wozu.

Scotty odwrócił się i na ich widok zaczął uciekać. Travis poczekał, aż chłopiec się zmęczy, a potem skręcił i zatrzymał wóz kilka stóp od Scotty'ego. Mary wyskoczyła, zanim zgasił silnik.

- Scotty! - zawołała błagalnie. - Dokąd się wybierasz?

Chłopiec pociągnął nosem: - Daleko.

- Ale dlaczego?

Scotty wytarł nos grzbietem dłoni.

- Bo tak.

- To żadne tłumaczenie! - Travis sam poczuł, że zabrzmiało to szorstko. Mary uciszyła go jednym spojrzeniem. Całkiem słusznie; tylko by wszystko popsuł.

Lepiej niech ona pogada z małym. Travis był rad, że pojechała razem z nim. On sam może lepiej znał drogi i cały teren, ale ona lepiej rozumiała się na ludzkich uczuciach.

- Już nie chcę mieszkać razem z tobą i z wujkiem.

- Nie poradzę sobie bez ciebie, Scotty! Pomagasz mi najwięcej ze wszystkich. Jesteś mi bardzo potrzebny.

Travis słyszał łzy w jej głosie i dostrzegł ich ślady; płynęły ciurkiem po zbiegających policzkach Mary.

- Mnie też jesteś potrzebny - ośmielił się wtrącić Travis. - Tak samo jak Mary.

- Znowu krzyczeliście! - powiedział Scotty oskarżycielskim tonem. - Moja mamusia i tatuś nigdy tak nie wrzeszczeli. Bardzo się kochali. Nie lubię, jak się kłócicie!

- Ja także tego nie lubię - zwierzyła mu się Mary. - Boli mnie wtedy coś w środku.

- Mnie też.

Travis odetchnął.

- To moja wina, Scotty. Jestem raptus i zachowuję się głupio. Nie znam się na dzieciach, a na małżeństwie jeszcze mniej. Więc chociaż pokpiłem sprawę, może dasz mi jeszcze jedną szansę?

Scotty stał bez ruchu i przyglądał się obojgu.

- Widziałem na filmie...

- Tak? - zachęciła go Mary.

- Że jak dwoje ludzi się kłóci, to się potem całują i godzą ze sobą. Zrobicie tak, ty i wujek?

Rozdział 8

- Tutaj?! - spytał Travis, spoglądając na Scotty'ego. - Chcesz, żebym cię tutaj całował się z Mary?

Mary nastroszyła się. Pytał takim tonem, jakby go zmuszano do jakiejś potworności!

Scotty skinął głową.

- Tak samo jak mamusia i tatuś.

- Co ty na to, Mary? - Travis spojrzał na nią niepewnie. - Zgodzisz się?

- Tatuś nigdy mamusi nie pytał, tylko ją całował - pouczył go Scotty. Siedział między nimi i zerkał to na jedno, to na drugie. - Czasem mamusia trochę się wyrywała, ale później zawsze się uspokajała i obejmowała tatusia za szyję.

- Masz rację - powiedział Travis, uśmiechając się szeroko i wyciągnął ręce do Mary. Ze Scottym w charakterze bufora przytulić się nie było łatwo.

- Idę stąd - oświadczył Scotty i wypełził po kolanach Mary.

W chwili gdy chłopiec już im nie zawadzał, Travis objął Mary ramionami. Nachylił się i pocałował ją. Był to słodki, niewinny pocałunek, raczej muśnięcie warg niż namiętna pieszczota.

Mary zamrugła oczami, gdy całus się skończył. Travis zerknął na Scotty'ego, a ten sceptycznie uniósł brwi.

- To za mało orzekł chłopiec, krzyżując ramiona i potrząsając głową. - Chcę widzieć, jak się naprawdę całujecie. Wtedy będę pewny, że już nigdy się nie pokłócicie.

- Całowanie nie gwarantuje... - zaczęła Mary, ale nie było jej dane skończyć. Travis chwycił ją w ramiona i przyciągnął do siebie. Jego gorące, wilgotne usta przyłgnęły do jej ust.

Postępek męża zdumiał Mary tak, że aż otwarła usta. Travis natychmiast to

wykorzystał i wtargnął do nich językiem. Zaskoczona napaścią Mary spojrzała nań wielkimi oczami. Nie wyrwała się jednak z jego objęć i po chwili przymknęła znów powieki. Pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny; Mary poczuła, że ogarnia ją dziwne gorąco. Westchnęła i zarzuciła ramiona na szyję męża.

Travis nadal pieścił jej język swoim językiem - najpierw leciutko, potem coraz odważniej, aż wywołał nieśmiały odzew Mary. Wyraźnie ucieszył się reakcją żony, zachęcał ją i nagradzał jeszcze bardziej żarliwą pieszczotą.

Mary przyłgnęła tak ściśle do Trávisa, że aż poczuła w piersiach mrowienie i jakiś dziwny ból; bardzo ją to zawstydziło.

- Właśnie tak! - stojący obok nich Scotty rozpromienił się. - Teraz było jak trzeba!

- Pewnie! - stwierdził Travis, zerkając na Mary. Uśmiechnęła się do niego nieśmiało; próbowała w ten sposób powiedzieć mu, że i jej ta pieszczota sprawiała radość.

Kiedy wrócili do domu, Mary chciała porozmawiać z mężem, ale było to niełatwe w obecności Jima i Scotty'ego. Postanowiła więc poczekać, aż będą sami. Czekala dość długo.

Dzielenie się z Travisem swoimi odczuciami wydawało się jej trudne; Mary nie bardzo wiedziała, co powinna powiedzieć. Tej nocy pewnie nie zaśnie, w głowie miała zamęt.

Odsunęła kołdrę i położyła się. Łóżko zaskrzypiało na powitanie. Travis, który właśnie wynurzył się spod prysznic, poszedł za przykładem żony. Sięgnął do wyłącznika i zgasił światło. Pokój pogrążył się w mrocznej ciszy. Oboje leżeli na wznak, wpatrując się w sufit. Każde z nich oczekiwało, że to drugie najpierw się odezwie.

- Travis...

- Słuchaj, Mary...

Zaczęli mówić oboje naraz, potem zamilkli, ponieważ jedno drugiemu chciało dać pierwszeństwo.

- Dobrzeją zacznę - zgodziła się wreszcie Mary, choć wolałaby, żeby Travis pierwszy powiedział, o co mu chodziło. - Powinieneś się dowiedzieć o kilku sprawach. Po pierwsze, obawiam się, że mści się na mnie brak doświadczenia w wychowywaniu dzieci. Dziś Jim i Scotty wdali się w bijatykę, a ja byłam całkiem bezradna. Poskromiła ich Beth Ann. - Niełatwo było przyznać się do porażki. - I chyba nie lepiej spisuję się w roli żony.

Travis przez chwilę milczał.

- To nie twoja wina, Mary, tylko moja. Zachowałem się dziś wieczór jak zazdrosny kretyń. Larry mówił ci to wszystko, co ja sam powinienem był powiedzieć: że świetnie gotujesz, że tak miło teraz u nas w domu. Czułem się jak podlec i wyładowałem swoją złość na tobie.

- A ja mam wrażenie, że do niczego się nie nadaję.

- Ty? - Travis zaśmiał się ironicznie. - To mnie przecież Scotty instruuje, jak powinien się zachować dobry mąż.

Travis wyciągnął ramię i przygarnął do siebie Mary. Pocieszyło ją to, a bardzo potrzebowała pociechy. Było jej przy mężu tak ciepło, tak bezpiecznie. Westchnęła, gdy Travis pocałował ją w czubek głowy

- Lubię cię całować - stwierdził.

- A ja lubię, kiedy mnie całujesz. - Mary uśmiechnęła się, słysząc pomruk, jakby mąż był zaskoczony, że tak się ze sobą zgadzają. Po chwili ziewnęła, znużona dniem pełnym wrażeń. Gdy obróciła się na bok, Travis przesunął się razem z nią i przytulił czule żonę. Dotyk męża podziałał na Mary kojąco; zasypiała już, gdy Travis coś szepnął.

- Cooo? - mruknęła półprzytomnie.

- Chciałem ci tylko powiedzieć, że postaram się być lepszym mężem - żeby

nie wiem co!

Mary uśmiechnęła się w duchu.

- Ja też zrobię, co będę mogła.

- Wujek idzie z nami do kościoła - obwieściła szeptem Beth Ann, gdy Mary następnego ranka przygotowywała pospiesznie ciasto na naleśniki. - Wyjął swój garnitur i całą resztę.

- Dzień dobry - mruknął Travis, wchodząc do kuchni, i nalał sobie kawy.

Mary zorientowała się, że Scotty znów ich obserwuje.

- Tatuś zawsze całował mamusię na dzień dobry.

- Czyżby? - spytał Travis z diabolicznym uśmieszkiem.

- A jakże, co rano. Jak tylko się obudził. Czasem aż przykro było patrzeć, jak się czulili.

Mary była zła, że się znów czerwieni. Najwidoczniej Scotty wszedł na dobre w rolę stróża ich domowego ogniska. Chłopiec postanowił święcie doprowadzić do tego, by Mary i Travis zachowywali się jak inne małżeńskie pary.

Travis wyjął żonie z rąk łyżkę. Mary nie stawiała oporu, śledząc jak urzeczona ruchy jego ręki. Uniósł głowę żony wsunawszy jej pod brodę wskazujący palec i siarczyście ją pocałował. Mary poczuła, że kolana się pod nią uginają. Jej ręce same powędrowały ku piersi męża i zacisnęły się na klapach jego marynarki.

- Pierwsza klasa - pochwalił Scotty.

Kiedy Travis oderwał wreszcie usta od ust żony, uśmiechnął się do niej.

- Naprawdę było pierwsza klasa! - szepnął.

Mary zadrżała i skinęła głową.

- Zdaje się, że mój brat miał całkiem niezłe pomysły - stwierdził Travis.

Cmoknął żonę lekko w policzek i ruszył do stołu.

Mary nuciała coś pod nosem, wracając do naleśników. Beth Ann nie myliła się.

Travis włożył ciemny garnitur, który miał na sobie w dniu ślubu, a także wykrochmaloną białą koszulę i wąski krawat. Ogolił się też i przyglądał sobie włosy na mokro. Zauważył spojrzenie żony i uśmiechnął się szeroko. Mary oczywiście znowu się zaczerwieniła, ale odpowiedziała mężowi uśmiechem.

- Pomyślałem, że lepiej pójdę dziś do kościoła z tobą i z dziećmi - oświadczył Travis.

- To bardzo ładnie z twojej strony - odparła Mary, stawiając na stole drugi półmisek naleśników. Travis najwidoczniej mówił szczerze wczoraj w nocy, że postara się być dobrym mężem i ojcem.

- Idziesz do kościoła? - zdumiał się Jim. Widelec z kawałkiem naleśnika zatrzymał się w pół drogi do jego ust.

- Pomyślałem, że pójdę z wami. Coś nie tak?

- Nigdy przedtem nie chodziłeś - upierał się Jim. - Dlaczego dziś idziesz?

- Bo tak mi się podoba - burknął Travis, nabijając na widelec gorący naleśnik i przenosząc go na swój talerz. Nie żałował masła i polał danie obficie syropem.

Travis miał jak najlepsze intencje. Z Mary było tak samo. Podczas śniadania zauważyła, że mąż się jej przygląda, jakby zobaczył ją po raz pierwszy. Nie wydawał się specjalnie rozczarowany. Wszystko wskazywało na to, że pogodził się z losem. Zaaprobował Mary taką, jaka była - podobnie jak ona jego.

Związali się ze sobą na dobre i złe. Prędzej czy później zostaną naprawdę mężem i żoną. Mary pojmowała, że Trávisa zbijał z tropu jej brak doświadczenia. Będzie zapewne czekał na jakiś znak z jej strony, że gotowa jest na fizyczne dopełnienie małżeństwa.

Jeśli rzeczywiście tak było, to co właściwie powinna zrobić? Nigdy dotąd nie próbowała przyciągnąć uwagi żadnego mężczyzny i czuła, że nie da sobie z tym rady. Starła się przypomnieć sobie, jak zachowywały się jej koleżanki ze szkoły średniej? Georgeanne szalała za Bennym od drugiej klasy. Wydawało się, że

przyciąga ich do siebie potężny magnes - toteż pobrali się w kilka tygodni po ukończeniu szkoły. Inne koleżanki Mary umiały instynktownie prowokować mężczyzn. Wówczas Mary uważała takie zachowanie za głupie, poniżej jej godności. Poza tym miała pewność, że nigdy nie zakochałaby się w mężczyźnie, którym tak łatwo było manipulować. Teraz żałowała, że nie poświęciła tej sprawie więcej uwagi.

Wejście całej rodziny wywołało w kościele pewne poruszenie. Piątka Thompsonów defilowała gęsiego przez główną nawę. Mary nigdy jeszcze nie była obiektem takiego zainteresowania. Wieść o niespodziewanym małżeństwie Trávisa rozeszła się już po całym mieście. Tak przynajmniej przypuszczała Mary, dostrzegając nieskrywaną ciekawość otoczenia. To, że znalazła się w centrum uwagi, było bardzo denerwujące - ale czuła się pewniej, mając przy sobie Trávisa i dzieci.

Travis wybrał jedną ze środkowych ławek i wszyscy zajęli w niej miejsce. Mary pierwsza, potem dzieci, a na ostatku jej mąż. Mary w pewnej chwili poczuła na sobie jego spojrzenie i uśmiechnęła się do niego. Travis odpowiedział szerokim uśmiechem, więc się odprężyła.

Kilka minut po ich wejściu stary kościół rozbrzmiał melodyjnymi dźwiękami organów. Wierni wstali. Mary pomogła Scotty'emu i Beth Ann znaleźć właściwe miejsce w śpiewniku i sama przyłączyła się do chóru. Zauważyła, że ani Travis, ani Jim nie śpiewali. Obaj mieli takie miny, jakby połknęli jakieś paskudztwo i zastanawiali się, czy wypada im to wypluć. Mary wydało się to zabawne i z uśmiechem odnalazła oczy męża. Wkrótce jego usta zadrgały powstrzymaną wesołością. Mary ucieszyła się widząc, jak Travis sięga po śpiewnik, choć była pewna, że nie przepada za śpiewaniem, zwłaszcza pieśni religijnych z XIX wieku. Mimo to - ze względu na nią - uczynił zadość konwenansom.

Pastor Kennedy rozejrzał się po zgromadzonych, a gdy jego wzrok padł na Mary i Trávisa, uśmiechnął się z aprobatą. Nabożeństwo minęło bez żadnych zakłóceń. Dzieci trochę się wierciły, ale to było do przewidzenia.

Skoro tylko przebrzmiały ostatnie tony końcowego hymnu, Travis zerwał się z ławki. Nad głowami dzieci szepnął do Mary:

- Spotkamy się na zewnątrz! - i przedarł się przez tłum. Mary straciła męża z oczu, gdy wybiegł z kościoła jeszcze przed pastorem Kennedym.

Kilka osób zatrzymało się, chcąc zawrzeć z nią znajomość. Była wśród nich Klara Morgan, która zaprosiła Mary na przyjęcie na cześć młodej pary, organizowane w siedzibie Towarzystwa Rozwoju Rolnictwa. Te pogawędki zajęły Mary dziesięć minut, albo i więcej. Kiedy zeszła wreszcie po stopniach kościoła, dostrzegła Trávisa na parkingu.

- Z kim wujek rozmawia? - spytała Jima.

Chłopiec spojrzał w tamtym kierunku.

- Z szeryfem.

Mary zmarszczyła brwi, zastanawiając się, o czym też Travis może z nim konferować?

- Pewnie go pyta, czy jest coś nowego w sprawie śmierci moich rodziców - wyjaśnił Jim. - Wuj Travis obiecał, że znajdzie winnego.

- Myślałam, że to był wypadek.

- Ktoś ich zepchnął z szosy - odparł z goryczą Jim. Serce Mary ścisnęło się, gdy usłyszała ból w głosie chłopca. Położyła mu dłoń na ramieniu, ale Jim strząsnął ją; nie życzył sobie, żeby go pocieszała.

- Wujek przekonał szeryfa, że to była... jeździecka zbrodnia.

- Zbrodnicza jazda - podpowiedziała Mary. Jim skinął głową. - Mój tata był dobrym kierowcą. Nigdy nie wpadłby na drzewo, gdyby go ktoś nie zepchnął. Wujek znalazł ślady drugiego wozu na miejscu wypadku i dalej na drodze. Ktoś

jechał zygzakiem.

- Och, Jim! - powiedziała cicho Mary. - Tak mi przykro.

- Niby dlaczego? - odparł naburmuszony. - To nie byli twoi rodzice!

- Ja także straciłam najbliższą rodzinę. Nieważne, czy ma się wtedy dwanaście czy trzydzieści lat. Boli tak samo.

Jim skinął głową i dodał ze skruszoną miną: - Wuj Travis ciągle naciska na szeryfa w sprawie tego wypadku. Zmusił policję, żeby zrobiła gipsowe odlewy tamtych śladów.

Mimo że Mary zajęta była rozmową z chłopcem, dotarły do niej gniewne krzyki z parkingu. Wzdrygnęła się, słysząc przekleństwa Trávisa. Wszyscy wierni wylegli na trawnik przed kościołem. Stanęli i wpatrywali się w niego.

Travis dodał coś jeszcze, czego Mary nie dosłyszała, potem odwrócił się i ruszył do swego wozu. Dopiero wówczas przypomniał sobie o Mary i o dzieciach. Rozejrzał się niecierpliwie, chcąc jak najprędzej odjechać.

Mary szybko popędziła dzieci do pikapa. Travis wsiadł do szoferki z ponurą miną; widać było, że z trudem nad sobą panuje. Gdy opuszczali parking, nie odezwał się ani słowem.

Beth Ann, wepchnięta między małżonków, kurczowo czepiała się Mary. W szeroko otwartych oczach dziecka widoczny był niepokój. Mary objęła małą ramieniem i przytuliła do siebie.

- Travis... - spróbowała zagadnąć męża, gdy wyjechali za miasto. Jej głos był cichy, bez cienia wyrzutu. - Co się stało?

- Nic - warknął.

Jego twarz pozostała kamienna, bez wyrazu.

Mary sądziła, że mąż opowie jej o wszystkim później, gdy nie będą przysłuchiwały się temu trzy pary dziecięcych uszu. Teraz nie powinna więc naciskać; poczeka, aż Travis pokona ogarniającą go frustrację.

Jazda powrotna na ranczo była bardzo niemiła. Zajęła im dwadzieścia minut. Gdy tylko Travis wjechał na dziedziniec i zatrzymał wóz, wyskoczył z pikapa i ruszył w stronę domu, jakby gnał do szturm, nie czekając na żonę ani na dzieci.

Ledwie Mary wprowadziła je do domu, Travis bez słowa minął ją, zmierzając ku drzwiom. Mary była zdumiona szybkością, z jaką się przebrał. Wydawał się, że nie dostrzega ani żony, ani bratanków. Zaniepokojona Mary poleciła dzieciom szykować się do lunchu i wyszła za mężem.

- Travis! - zawołała za nim, zbiegając po stopniach ganku.

Zatrzymał się i rzucił jej przelotne spojrzenie.

- Co się stało? - spytała go znowu.

- Nic.

- Więc czemu jesteś taki rozgniewany?

- Nie twój interes.

Mary nie dała po sobie poznać, jak ją te słowa zabolaly. Twarz Trávisa była twarda i bez wyrazu, szczęki zaciśnięte. Nawet jego ciemne oczy straciły barwę.

- Ach tak? - szepnęła.

Poczuła się zniechęcona i odtrącona. Niepotrzebnie tak wcześnie zagadnęła go, zwłaszcza że wyraźnie nie chciał rozmawiać z nią o wypadku. Odwróciła się i weszła do domu. Każdy krok wydawał się taki ciężki... Już miała nadzieję, że się ze sobą porozumieją, a tu nagle zaszło coś nieoczekiwanego i od razu Travis uświadomił żonie, że nie ma dla niej miejsca w jego życiu - powinna się zająć dziećmi, i tyle.

- Mary! - W głosie Trávisa brzmiała skrucha.

Zatrzymała się, potem odwróciła. Travis stał kilka kroków od niej. Twarz miał spiętą, oczy pełne bólu.

- Rozmawiałem z szeryfem. Po tragicznej śmierci mego brata nalegałem, żeby wykonano gipsowe odlewy śladów, które pozostawiły dwa wozy obecne wtedy na

miejscu wypadku. - Zamilkł na moment i przesunął ręką po twarzy, jakby chciał odpędzić wspomnienie tamtej nocy. - Kilka tygodni temu przysłano wyniki badań laboratoryjnych: nie wykryto na oponach żadnych znaków szczególnych. Myślałem, że znajdą coś więcej, ale się myliłem. - W głosie brzmiała rozpacz. - Przysiągłem sobie, że oddam w ręce sprawiedliwości tego, kto zabił Lee i Janice, ale ugrzązłem w ślepych zaułku.

Mary nie potrafiła go pocieszyć. Żadne wyświechtane banały nic by nie pomogły. Wiedziała o tym z własnego doświadczenia. Pragnęła dać Travisowi coś więcej. Coś konkretnego.

- Mogę ci jakoś pomóc? - spytała cicho.

Travis potrząsnął głową.

- Muszę teraz pobyć sam, upuścić trochę pary. Dasz sobie radę z dziećmi?

- Oczywiście.

Stali wpatrzeni w siebie i właśnie w tej chwili nawiązała się między nimi nieć porozumienia.

Travis odwrócił się od żony i skierował w stronę stajni. Mary była w porwie drogi do domu, gdy ujrzała, że zbliża się jakiś jeździec. Gnał jak balony. Nagle ściągnął wodze i zatrzymał się, aż żwir zazgrzytał.

- Wilk porwał następnego cielaka! - krzyknął.

Travis zaklął i popędził do stajni. Po kilku minutach wyprowadził z niej dorodnego wałacha. Mary przez chwilę podziwiała pięknego konia i zręczność, z jaką Travis wskoczył na siodło. Gdy dostrzegła strzelbę i juki, serce zaczęło jej bić gwałtownie.

Wówczas Travis - jakby mu to nagle przyszło do głowy - ściągnął wodze i obejrzał się na żonę.

- Nie wiem, kiedy wrócę. Wilk atakuje nasze stada. Straciłem już trzy cielaki.

- Bądź ostrożny! - zawołała za nim.

Skinął głową.

- Nie martw się, będę uważał.

Potem uśmiechnął się i odjechał galopem.

Burzowe chmury gromadziły się na horyzoncie jak zastępy wojsk powietrznych gotowych do ataku. Mary stała z ramionami skrzyżowanymi na piersiach, wyglądając przez szybkę w drzwiach. Obserwowała nadciągające szare zwały gęstych chmur, które przesłaniały pogodny błękit.

- Mogę dostać jeszcze trochę placka? - rozległ się za nią głos Scotty'ego.

- Zjadłeś już kawałek. Na razie wystarczy. - Mary spodziewała się protestów i była trochę zdziwiona, że chłopiec się nie targuje.

Scotty przysunął krzesło do miejsca, gdzie stała Mary, i wszedł na siedzenie, by razem z nią wyglądać przez okno.

- Na co patrzysz?

- Sama nie wiem. Zastanawiałam się, kiedy wujek Travis wróci do domu. Za jakąś godzinę będzie już ciemno, a burza z pewnością niebawem się rozszałeje.

Powietrze było ciężkie. Niebo wyglądało groźnie, a Travis zapędził się Bóg wie jak daleko za wilkiem; wiedziała, że nie powinien był tego robić. Nie miała pojęcia o życiu na ranczu, ale wiedziała, że Federalny Urząd Ochrony Zwierząt nie patrzy przychylnym okiem na ranczerów polujących na zwierzęta chronione.

- Zimno na dworze, co?

Mary skinęła głową.

- Boisz się?

- Nie. - Było to niewinne kłamstwo. Oczywiście, Mary czuła niepokój. Wiedziała jednak, że jej nastrój udzieliłby się dzieciom, odeszła więc od okna i przyszykowała wszystko do kolacji. Starła się okazywać niewzruszony spokój mimo przedłużającej się nieobecności Trávisa.

Jedli w milczeniu. Burza rozszalała się, gdy tylko pozmywali naczynia.

Strugi deszczu bębniły o szyby, a wiatr wył jak ranne zwierzę.

Nerwy Mary były napięte do ostatnich granic, ale starała się ukryć swoje obawy przed dziećmi. Doprawdy, Travis powinien do tej pory wrócić! Zrobiło się ciemno i zimno.

Na usilne prośby Beth Ann, Mary przeczytała dzieciom kolejny rozdział *Tajemniczego ogrodu*. Dziewczynka i Scotty słuchali uważnie, ale Jim był niespokojny. Nie mógł usiedzieć na miejscu. Utrzymywał, że ma pracę domową do odrobienia, ale jeśli istotnie tak było, uwinął się z nią w kilka minut.

Beth Ann położyła się spać o ósmej. Scotty i Jim poszli w jej ślady pół godziny później.

- To za wcześnie, Mary! - utyskiwał Scotty, gdy zapędzała go do łóżka.

- Wujek Travis opowie wam o wilku jutro rano.

Scotty chciał się jeszcze targować, ale Mary uciszyła go jednym spojrzeniem. Sama była zdumiona, jak skuteczna okazała się ta taktyka w stosunku do ośmiolatka.

Przez chwilę Mary cieszyła się samotnością. W takich właśnie momentach tęskniła za Petite i swoim małym domkiem, za przyjaciółmi i biblioteką.

Jednak koło dziewiątej zaczęła krążyć niespokojnie, wyłamując palce, pełna lęku o Travisa. Spodziewała się, że wróci do domu o wiele wcześniej. W żołądku ją ścisnęło. Czułaby się lepiej, gdyby mogła do kogoś zatelefonować, ale nie miała do kogo. Mówiła więc sama do siebie. Uspokajała się różnymi argumentami, które wydawały się dziwnie puste i nieprzekonujące.

Na zewnątrz szalał wicher, wył i świszczwał wokół domu. Lampy zaczęły migotać i Mary zdrętwiała, nie mając pojęcia, co robić. Pozbierała jakoś myśli i zaczęła przetrząsać szuflady; chciała być przygotowana na wypadek, gdyby zabrakło prądu.

- Wuj Travis chowa świece w kuchni - rozległ się za jej plecami cichy głos Jima. - W szufladzie koło telefonu.

Mary podziękowała chłopcu uśmiechem; była tak rada, że ma go przy sobie, iż omal go nie objęła i nie rozplakała się.

- Nie możesz zasnąć? - spytała, starając się mówić spokojnym, zrównoważonym tonem. Dobrze wiedziała, że to tylko pozory.

Jim wzruszył ramionami i przeszedł obok niej. Położył na stole zapalki, świece i latarkę elektryczną. Wyrzwał przez okno, a potem znów popaczył na Mary.

- Nic mu nie będzie, nie martw się.

- Skąd możesz wiedzieć?

- Wuj Travis da sobie radę.

Mary niespokojnie krążyła wokół kuchennego stołu.

- Chcesz gorącej czekolady?

Jim potrząsnął głową.

- Dziękuję, nie.

- Jestem ci bardzo wdzięczna, że opowiedziałeś mi dziś rano o wypadku twoich rodziców - rzekła Mary, trąc dłonią o dłoń.

Chłopiec przez chwilę nie odzywał się, potem stwierdził: - Chyba wrócę do łóżka.

Mary skinęła głową,

- Zobaczymy się rano.

- Dasz sobie radę sama?

- Ja? - Mary roześmiała się. - Oczywiście!

- Nie boisz się ciemności?

- Ani trochę. - Prawda wyglądała trochę inaczej. Cóż jednak znaczy brak prądu w porównaniu z tym, że jej niedawno poślubiony mąż błąka się gdzieś wśród burzy, w najzimniejszą i najczarniejszą noc, jaką kiedykolwiek przeżyła?

- Dobranoc - powiedziała na tyle pogodnie, na ile pozwalał jej strach.

- Śpij dobrze, Mary.

Jim leżał w łóżku najwyżej od kwadransa, gdy lampy znów zaczęły migotać. W sekundę później cały dom pogrążył się w ciemnościach. Mary zaczęła szukać po omacku i wreszcie znalazła latarkę, którą Jim wyjął z myślą o niej.

Nie mając pojęcia, co robić, Mary przeszła do salonu, usiadła w głębokim fotelu Trávisa i otuliła nogi pikowaną babciną kapą. Co chwila przy świetle latarki spoglądała na tarczę swego zegarka.

Najlżejszy szmer dolatujący z dziedzińca sprawiał, że zrywała się z fotela i biegła po ciemku do okna. Przyświecając sobie latarką próbowała dostrzec, co dzieje się na zewnątrz. Przed domem było jednak pusto.

Serce jej wtedy zamierało i przygryzała dolną wargę.

- Proszę Cię, Boże - modliła się - niech Travis szczęśliwie wróci do domu! Jak najszybciej!

Zimne strużki deszczu spływały Travisowi po plecach. Przemókł do nitki, zanim wprowadził do stajni Wściekłego Maksa. Elektryczność wysiadła. Włączył więc generator, zastanawiając się, czemu Mary nie zrobiła tego wcześniej? Sypnął Maksowi hojną ręką owsa, upewnił się, że koń ma pod dostatkiem świeżej, czystej wody i pobiegł w ulewnym deszczu do domu.

Mary stała pośrodku kuchni, a gdy go ujrzała, rzuciła mu się w objęcia.

- Travis! - mówiła ze łzami w oczach, ściskając go ze zdumiewającą siłą. - Dzięki Bogu, że jesteś już w domu! Tak się niepokoiłam! Myślałam... Sama już nie wiedziałam, co myśleć.

Travis mimo grubej kurtki czuł bijące od niej ciepło. Mocno objął żonę ramionami, uniósł ją ponad podłogę i tulił do siebie, napawając się ciepłem i wonią kobiecego ciała.

Nie bardzo wiedział, kto kogo zaczął całować, ale nie miało to dla Trávisa żadnego znaczenia. Mary była równie uszczęśliwiona jego powrotem, jak on tym, że jest znowu razem z nią. Dotąd ten wieczór był jednym z najbardziej pechowych w jego życiu: Travis był przemoczony, zziębnięty i wygłodzony.

- Powinam być na ciebie wściekła! - pochlipywała Mary, obejmując dłońmi twarz męża.

Travis jedną ręką rozgarniał jej włosy, drugą tulił do siebie miękkie ciało żony. Całował ją zachłannie: zanurzył język głęboko w jej ustach i oderwał się od niej dopiero wtedy, gdy całkiem zabrakło im tchu.

- Myślałam...

- Wiem, nie martw się, nic mi nie jest - przerwał jej Travis i jego wargi natychmiast odnalazły znów jej usta; nie mógł się nimi nasycić. Do tej pory były to tylko delikatne igraszki, kilka całusów od czasu do czasu. Teraz dla Trávisa skończył się czas igraszek. Zdał sobie sprawę, że jeśli zaraz się nie opanuje, gotów zrobić coś głupiego i przestraszyć Mary.

Oderwał więc usta od jej ust, odwrócił głowę i odetchnął głęboko kilka razy.

- Mogę się przyzwyczaić do takich powitań!

Mary zaśmiała się cichutko.

- Tak się bałam! - Wydawała się zażenowana, ale szybko się opanowała. - Wyobrażam sobie, jaki jesteś wygłodzony!

Owszem, był, ale chodziło mu nie tylko o jedzenie. Cholera, czuł się znowu jakby miał szesnaście lat!

- Już ci szykuję kolację - powiedziała Mary. Policzki jej były mocno różowe, gdy odsunęła się od męża.

- Najpierw wezmę gorący prysznic.

Omiał nie zamrzeć na śmierć, i to najwidoczniej zamroczyło mu rozum. Dziwne, że zmysły wyraźnie się wyostrzyły! Jeszcze nigdy żadna kobieta nie

wydawała mu się tak rozkoszna w dotyku. Żadna nie wyglądała tak uroczo. Travis nie zastanawiał się nad swoimi spostrzeżeniami. Było mu zimno i czuł się podle.

Stojąc pod tnącymi biczami gorącej wody Travis czuł, że wraca do życia. Z dwoma kowbojami i z Robem Bradleyem, właścicielem pobliskiego rancza, tropili wilka przez większość dnia. Specowi z Urzędu Ochrony Zwierząt nie udało się go odnaleźć. Travis podejrzewał, że zwierzę jest chore na wściekliznę, więc powinni znaleźć je jak najszybciej. Zapuscili się za wilkiem dalej, niż Travis zazwyczaj jeździł przy takiej pogodzie.

Gdy rozszalała się burza, a ulewny deszcz siekł bezlitośnie, postanowili zrezygnować z dalszych poszukiwań i wrócić do domu. Jazda po nocy, w dodatku podczas burzy, była ryzykowna. Travis wciąż myślał o Mary i dzieciach. Żałował, że w żaden sposób nie może się z nimi skontaktować. Kiedy było mu wyjątkowo zimno, myślał o Mary, o tym, jak stała rano w kuchni podniecona i zmieszana, gdy Scotty oznajmił, że Travis powinien ją pocałować. Przypomniawszy sobie, jak spojrzała na niego podczas nabożeństwa i jak słodko się uśmiechnęła. Wydawała mu się wówczas niemal piękna!

Wszystkie jego myśli krążyły wokół Mary siedzącej z dziećmi w domu. Przypomniawszy sobie ich rozmowy z ubiegłej nocy i obietnice, które wzajemnie sobie poczynili.

Rob zaproponował mu, by przenocował na jego ranczo, ale Travis odmówił, chcąc jak najszybciej wrócić do „Trzech T”.

Kiedy zobaczył, że dom tonie w ciemności, doszedł do wniosku, że wszyscy poszli spać, i poczuł wielkie rozczarowanie. Nic dotąd nie zaskoczyło go ani nie uradowało tak bardzo jak to, że Mary rzuciła mu się w ramiona, gdy tylko stanął na progu. Wcale nie żartował mówiąc, że mógłby łatwo przyzwycząić się do takich powitań. Dotąd nikt się nim specjalnie nie przejmował, więc troska Mary sprawiła mu wielką radość.

Travis wyszedł spod prysznic, ubrał się i ruszył w stronę kuchni, kierując się węchem. Od rana nic nie miał w ustach i był głodny jak wilk.

Mary postawiła przed nim kopiały talerz tłuczonych ziemniaków i parę grubych plastrów wołowiny; wszystko pływało w sosie. Do tego podała gorące kukurydziane placuszki, a potem wielki kawał ciasta z orzechami. Travis rzucił się na posiłek, jakby nie jadł od tygodnia; tak się też zresztą czuł.

Placuszki udały się Mary jeszcze lepiej niż wczoraj; mógłby też przysiąc, że nigdy nie jadł lepszego ciasta orzechowego. Travis był przekonany, że Mary pobijałaby Martę na głowę, gdyby zechciała otworzyć konkurencyjną restaurację.

- To było pyszne! - powiedział, gdy zjadł już wszystko. Odsunął krzesło od stołu i gładząc się po brzuchu wydał westchnienie najwyższego zadowolenia. Nie tylko Larry'ego Martina stać na komplementy w dodatku tak zasłużone!

Mary zarumieniała się z radości, stopniała jej zwykła rezerwa. Travis domyślił się, że w kuchni żona czuje się pewniej; jest tu w swoim żywiole. Wydała mu się miększa, bardziej kobieca niż dawniej. Złapał się na tym, że gapi się na nią, gdy niosła jego talerz do zlewu albo nalewała mu świeżej kawy. Stał tuż obok niej, opierając się biodrem o półkę, kiedy zmywała naczynia.

W oczach Mary tańczyły błękitne ogniki, gdy z nim gawędziła, opowiadając o dzieciach i o tym, że radzi sobie z nimi już lepiej niż w sobotę. Dobrze, że nie kazała Travisowi powtórzyć, o czym mówiła, gdyż poświęcał znacznie więcej uwagi jej samej niż jej słowom. Miękki brązowy loczek wymknął się z koka na karku Mary i kusił Trávisa, aż wreszcie wyciągnął rękę i okręcił kosmyk wokół uszka żony.

Mary znieruchomiała, a Travis odsunął się zdziwiony, że czuje się z nią tak swobodnie i ośmiela się jej dotykać.

- Wybacz, nie chciałem cię przestraszyć.

- Wcale mnie nie przestraszyłeś - zapewniła cichutko.

Travis nadal przyglądał się żonie, zastanawiając się, co też się w niej zmieniło? Gdy wysiadła z samolotu, wydawała mu się taką niepozorną myszką! A teraz jest nią oczarowany. Nawet jej sweter uległ metamorfozie; poprzednio był taki pruderyjny, szczelnie ją okrywający. Travis dostrzegł teraz, że sweter uwypukla jej piersi; tkanina opinała się na nich przy każdym ruchu.

Nie tylko sweter zrobił na nim wrażenie. Travis widział teraz w Mary kobietę, a nie pomoc domową. Do licha, widział w niej swoją żonę! To spostrzeżenie tak go zaskoczyło, że na chwilę zaniemówił. Mary wydawała mu się naprawdę śliczna. Nie miała może klasycznej urody, ale była taka czuła, martwiła się o niego, czekała na niego.

Travis pragnął siedzieć tu z nią bez końca, ale chyba rozsądniej byłoby nie przeciągać tego sam na sam. Nie chciał narzucać zbyt ostrego tempa w ich fizycznych kontaktach. Odkrył jednak z niepokojem, że już nie może doczekać się finału.

- Chciałbym cię przytulić. - Wyrzekł to na głos całkiem odruchowo. Tym razem Scotty nie musiał go namawiać.

Mary nieśmiało odsunęła się od zlewu i podeszła do męża. On także zbliżył się do niej i wziął ją w ramiona. Jak doskonale do nich pasowała! Przytulił policzek do jej policzka i przymknął oczy. Żadne z nich się nie odezwało. Tulił ją tak długo, że ciepło jej ciała i jego woń (cynamon i coś jeszcze, chyba jakieś kwiaty) pokonały do reszty opory Trávisa. Odwrócił powolutku głowę, bojąc się, że nastrój pryśnie, i zaczął ocierać się nosem o ucho, a potem karczek żony. Mary westchnęła cichutko, jakby znalazła w ich wspólnym uścisku tyle samo radości co on.

Travis bardzo chciał się z nią kochać - po co okłamywać samego siebie? - ale uznał, że nie jest to jeszcze odpowiednia pora, choć wiele by dał, żeby była. Posuwał się więc krok za krokiem: pocałował Mary najpierw w policzek, w ucho i we włosy, zanim poszukał jej ust. Doświadczał przejmującego, prawie bolesnego

uczucia - oczekiwania i pragnienia. Mary drżała; Travis wiedział, że i na nią jego pocałunki silnie działają.

- Pozwolisz się dotknąć? - spytał po chwili.

- Jeśli chcesz...

Travis wstrzymał oddech i ostrożnie wsunął rękę pod jej sweter. Mary przygryzła dolną wargę, kiedy mąż przytknął dłoń do gładkiej jak jedwab skóry na brzuchu, ale nie zaprotestowała. Powolutku, stopniowo, palce Trávisa sunęły w górę, aż dotarł do piersi i nakrył ją ręką.

Piers wypełniała dokładnie wnętrze jego dłoni, a gdy zaczął zataczać kciukiem kręgi wokół brodawki, wyprężyła się i uniosła na jego powitanie, rada z dotknięcia.

- Mary! - jęknął Travis i przytulił czoło do czoła żony. - Jak cudownie trzymać cię w ramionach.

- Jestem brzydka i niepozorna, i...

- Nie! - zaprzeczył szorstko i wy dobył rękę spod jej swetra. - Nie wolno ci tak o sobie mówić! - Podniósł jej głowę i przytulił dłoń do policzka Mary, patrząc jej w oczy.

Ich spojrzenia spotkały się i zatoneły w sobie. Travis zbliżył usta do jej ust, całując ją zachłannie. Wsparty na rozstawionych nieco stopach sunął dłońmi w górę i w dół jej pleców, przygarniając coraz bliżej jej delikatne ciało.

Pragnął Mary tak bardzo, że całe jego ciało pulsowało pożądaniem; przez jedną szaloną chwilę pokusa była tak gwałtowna, że zdołał ją przewyciężyć tylko całą siłą woli.

- Dzięki za pyszną kolację - powiedział, wypuszczając ją z objęć, gdy na tyle już nad sobą panował, że był w stanie to uczynić.

- Chcesz iść już do łóżka? - spytała Mary, spoglądając na niego nieśmiało.

Rozdział 9

- Do łóżka - powtórzył Travis.

- Jesteś na pewno wykończony - wyjaśniła Mary, zgoła nie rozumiejąc, czemu tak był zaskoczony jej pytaniem. Skończyła kuchenne obrządki i chciała wyjść na korytarz; zatrzymała się w progu i obejrzała na męża.

Travis stał z ramionami dyndającymi bezwładnie po bokach. Wydawało się, że nagle zabrakło mu słów.

- Chyba jeszcze zostanę tu przez chwilę.

Mary zamrugła oczami, zdumiona i rozczarowana. Bardzo jej się podobały pocałunki, a nawet to, że Travis dotykał jej piersi. Teraz jednak wyglądał tak, jakby go coś bolało.

- Sądziłam, że jesteś bardzo zmęczony.

- Bo jestem. - Travis urwał i zwrócił swe ciemne oczy na żonę; wpatrywał się w nią natarczywie. - Czy ty naprawdę chcesz, żebym poszedł teraz do łóżka? - spytał.

Mary zawahała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

- Chyba nie rozumiesz, co się stało przed chwilą - powiedział, unikając jej wzroku. - Strasznie się podnieciłem.

- Dlatego, że mnie dotykałeś? - Mary poczuła dumę i większą wiarę w siebie. Jej bynajmniej niedoskonałe ciało wzbudziło męskie pożądanie! Miała wrażenie, że osiągnęła zawrotne wyżyny. - Nie przypuszczałam, że nogę kogoś podniecić - szepnęła.

- Więc chcesz czy nie chcesz, żebym poszedł z tobą do łóżka? - spytał ponownie Travis, z większą niecierpliwością.

Mary zawahała się.

- O co ci właściwie chodzi, Travis?

Podszedł do niej i uniósł rękę, jakby chciał dotknąć twarzy żony; zmielił jednak widocznie zamiar, gdyż ręka opadła.

- Jeżeli teraz pójdę z tobą do łóżka - wyjaśnił - może skończyć się na tym, że będziemy się ze sobą kochali.

Mary nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

- Wiem, że to zbyt wcześnie, ale chciałbym, żeby się sprawy posunęły naprzód. Lubię cię dotykać i dzięki temu oswajamy się ze sobą. To właśnie oznacza dla mnie pójście z tobą do łóżka. Więc mam ci towarzyszyć czy nie? Decyduj sama. - Mówił szorstko i obojętnie, jakby jej decyzja wcale go nie dotyczyła.

- Podobało mi się... kiedy mnie dotykałeś. Chodźmy do łóżka, Travis. Wszystko się jakoś ułoży.

Jakby za milczącą zgodą nie zapalili światła. Woleli rozebrać się po ciemku. Travis pierwszy znalazł się pod kołdrą, a gdy Mary wśliznęła się po łóżka, przysunął się do niej, objął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

Poczuła się pewniej, gdy stwierdziła, że mąż jest równie zdenerwowany jak ona.

- Mam ochotę znowu cię pocałować - powiedział gardłowym szeptem - ale jeśli zrobię coś, co cię przestraszy, powiedz od razu, jasne?

Mary skinęła głową.

Travis zanurzył palce w jej włosach i przyciągnął ją tak, że ich wargi się spotkały. Mary rozchyliła usta, gotowa na przyjęcie jego języka i na cudowne uczucie, którego już doświadczyła. Poczuła żar we krwi i westchnęła, spragniona czegoś więcej, o co nie potrafiła się upomnieć.

Travis gładził jej piersi, pieszcząc oba drżące sutki, aż pulsowały bólem; Mary była spragniona i pełna pożądania. Potem dłoń Trávisa zsunęła się niżej, pod gumę majteczek na jej płaskim brzuchu. Przez chwilę gładził go łagodnie, okrężnymi

ruchami. W końcu dłoń powędrowała jeszcze niżej, skłaniając Mary do rozchylenia ud, by mogła zagłębić się między nimi.

Nie wiedząc, co może się teraz stać, Mary zeszywniała. Travis nie zważał na jej wahanie i zapoznawał się w dalszym ciągu z jej ciałem, aż stało się to dla niej zdecydowanie krępujące.

- Przestań! - poprosiła.

- W porządku - szepnął Travis i odsunął się od niej. Położył się na wznak, ciężko oddychając. - Zabolało cię? - spytał po chwili.

Mary zastanowiła się nad odpowiedzią.

- Nie, ale to było jakieś dziwne... jakieś... do niczego nie podobne. Niezbyt mądrze ci to tłumaczę, prawda?

- Chyba wiem, o co chodzi. Naczytałaś się romansów i to ci się poplątało z seksem.

- Naprawdę?

- Myślisz, że seks to coś jak róże w blasku księżyca, ale się mylisz. To coś bardzo gwałtownego. Człowiek aż się poci. I o ile wiem, za pierwszym razem dla kobiety to niełatwa sprawa. Jeśli się spodziewasz, że wszystko będzie urocze i eleganckie, nigdy nic z tego nie wyjdzie.

Policzki ją piekły; były ogniście czerwone.

- Jesteś na mnie zły?

- Nie.

- Ale odsunąłeś się tak daleko. Lubię, kiedy mnie obejmujesz.

- I na tym polega problem. Ja też to lubię, aż za bardzo! Mam na ciebie straszną chętkę, Mary, ale nie chcę zrobić niczego, co by cię przestraszyło.

- Masz na mnie chętkę? - powtórzyła cichutko i sennie. - Och, Travis, to najwspanialsze ze wszystkiego, co mi powiedziałeś!

- Czyżbyśmy zaspali? - Niezbyt przytomna Mary siadła na łóżku i przecierała senne oczy. Była ciepła i różowiotka. Travis odruchowo przytulił ją i pocałował. Jej żywiołowa reakcja sprawiła, że krew się w nim rozszalała. Palce Mary zagłębiły się w jego włosach; trzymała go tuż przy sobie i westchnęła ciężko, gdy mąż z wysiłkiem oderwał się od niej.

- Muszę już iść.

- Wiem - szepnęła. - Dzieci spóźnią się do szkoły!

Mimo to Travis nie potrafił się z nią rozstać.

- Sprawiałaś mi wielką radość tym, że mogłem cię przytulić i całować dziś w nocy.

Mary spuściła oczy i zarumieniła się.

- Mnie też sprawiło to radość.

Travis ucałował ją raz jeszcze. Mary objęła go za szyję i rozchyliła wargi.

Rozległo się stukanie do drzwi. Scotty przerwał ich pieszczoty, wchodząc do pokoju. Travis czuł się głupio, przyłapany na tym, że nieubrany całuje Mary.

- Ale ci się udało, wujku! - powiedział chłopak z szerokim uśmiechem. - Naprawdę fantastycznie!

- Ubieraj się, i to szybko! - zakomenderowała Mary. - Zapomnieliśmy nastawić budzik!

- Jasne! - Scotty zamknął drzwi i oddalił się galopem.

- Muszę już iść - stwierdził Travis z wyraźną niechęcią. Miał ogromną ochotę wyprawić dzieciaki jak najprędzej do szkoły i spędzić cały dzień z żoną. Niestety, nie było o tym mowy.

- Niech ci się dziś wszystko udaje! - powiedziała Mary, gdy wreszcie oderwał się od niej.

- Tobie też!

Travis sięgnął po skarpetki i buty. Wiedział, że będzie to koszmarne dzień,

zwłaszcza że już w tej chwili nie mógł się doczekać nocy.

Przez cały rano panował rozgardiasz. Chłopcy wyszli z domu w ostatniej chwili i omal nie spóźnili się na szkolny autobus. Pozostał po nich w kuchni straszliwy bałagan. Scotty rozsypał całe pudło płatków; większość spadła na podłogę. Starając się pomóc Mary, Beth Ann rozgoniła je na wszystkie strony. Gdziekolwiek Mary stąpnęła, chrupało jej pod nogami. W ciągu kilku minut czyściutkie linoleum pokryły lepkie okruszyny.

Jim, szukając swej pracy domowej, niemal kompletnie zdemolował salonik, rozrzucając poduszki i atakując meble jak buldożer.

Gdy tylko drzwi zamknęły się za chłopcami, Mary opadła na kuchenne krzesło. W głowie jej się kręciło. Nie miała nawet czasu napić się kawy.

Beth Ann wdrapała się na krzesło naprzeciw Mary. Oparła bródkę na rękach i wymownie westchnęła.

- Jak chłopcy rozrabiają, to zawsze obaj naraz!

Mary roześmiała się. Trudno było zwać winę na chłopców. Gdyby Travis nie zapomniał nastawić budzika... Mary powróciła myślami do wydarzeń ubiegłej nocy; zrobiło jej się ciepło i przyjemnie.

Wypiła duszkiem kubek kawy. Gdy posprzątała w kuchni i włączyła pralkę, czuła się jak po ośmiogodzinnym dniu pracy.

O dziesiątej Klara Morgan wpadła z wizytą. Miała na sobie ciepłe wełniane palto, na głowie toczek, a w ręku czarną torbę i niewielki wiklinowy koszyk, wyłożony serwetą w czerwono-białą kratkę.

- Mam nadzieję, że nie weźmie mi pani za złe, że wpadłam tak bez uprzedzenia - powiedziała dość sztywno starsza pani, stawiając na stole koszyk pełen słoików z dżemem domowej roboty. - Ale wydawało mi się, że lepiej od razu omówić sprawy związane z przyjęciem na waszą cześć. Członkinie naszego koła

chcą jak najprędzej spotkać się z panią. Przede wszystkim jednak musi mi pani zdradzić, jakim cudem udało się pani skłonić Trávisa, by zjawił się z panią na nabożeństwie?

Mary uśmiechnęła się w duchu, nalewając starszej pani filiżankę kawy i stawiając ją na stole.

- Nie miałam z tym żadnych trudności - powiedziała. - To był pomysł Trávisa.

- Słowo daję, chłopak znalazł sobie idealną żonę! - Klara wsypała do kawy łyżeczkę cukru i energicznie zamieszała.

Beth Ann weszła do kuchni i uśmiechnęła się do gościa.

- Dzień dobry! Wie pani co? Nie trzeba już przynosić nam obiadów. Mary gotuje lepiej niż wujek Travis.

- Miło mi to słyszeć. - Kąciki ust starszej pani zadrżały od śmiechu. Wymieniła z Mary przelotne spojrzenie.

Mary uważnie przyglądała się przybyłej. Miała siwe włosy porządnie upięte w duży kok, skromną sukienkę i pantofle na niskim obcasie. Ona sama wyglądałaby zupełnie tak samo za trzydzieści lat - gdyby nie Travis i dzieci.

- Travis to mój dawny uczeń - mówiła dalej Klara. - Był strasznym zabijaką, ale umiałam zawsze właściwie odczytać jego intencje, tak samo jak teraz. Innych ciągle do siebie zrażał.

- Wujek był niegrzeczny dla pań z kościoła - wyjaśniła scenicznym szeptem Beth Ann.

Pani Morgan popijała bez pośpiechu kawę.

- Wobec mnie też był niegrzeczny, ale na mnie żadne jego wybryki nie robią wrażenia; Travis dobrze o tym wie.

Tym razem uśmiechnęła się Mary. Polubiła Klarę, może dlatego, że dostrzegła w starszej pani wiele podobnych cech. Travis doceniał pomoc pani Morgan, ale nie umiał okazać wdzięczności.

- Nie będę dłużej odrywać pani od domowych obowiązków - oświadczyła Klara. Brzęknęła odstawiana na spodek filiżanka. - Wyobrażani sobie, ile ma pani roboty! Czy następny wtorek pani odpowiada? Któraś z członkiń naszego koła wkrótce się do pani zgłosi. Będzie pani miała doskonały wpływ na Travisa. Już to dostrzegam. Chłopak okazał rozum przy wyborze towarzyszki życia. Troszkę się niepokoiłam, kiedy mi dzieci powiedziały, że szukał żony korespondencyjnie.

- Nasze małżeństwo jest istotnie dość nietypowe - odpowiedziała Mary, dodając w duchu: Bardzo oględnie mówiąc!

- Scotty chciał nawet pokazać mi pani listy, ale uznałam, że byłby to szczyt niedyskrecji. - Klara Morgan sięgnęła po białe bawełniane rękawiczki. - Beth Ann zapewniła mnie, że pani umie śpiewać; Scotty'ego bardziej obchodziły pani talenty kulinarne, a Jim... - Starsza pani zawahała się. - Cóż, Jim nie zabierał głosu.

- To całkiem w stylu mojego najstarszego chłopca - pomyślała Mary. Jim nie był jej synem, a jednak czuła, że łączy ją z nim coś równie silnego jak więzy krwi. Przywiązała się ogromnie do wszystkich dzieci, ale najbardziej do Jima. Może dlatego, że chłopiec tak bardzo cierpiał.

- Bardzo bym chciała, żebyśmy zostały przyjaciółkami - powiedziała Mary impulsywnie, gdy Klara Morgan podniosła się, sięgnęła po torebkę i wetknęła ją pod pachę.

Starsza pani była zaskoczona, ale uradowana.

- Ja też bardzo bym tego chciała!

Litery zaczęły tańczyć Tilly przed oczami. Po raz pierwszy w życiu z własnej woli weszła do biblioteki i zdecydowała się na wypożyczenie książek. Nigdy nie miała czasu na czytanie, nawet jako młodziutka dziewczyna. Chłopcy byli dla niej zawsze ważniejsi niż książkowa wiedza. Nie wyszło jej to na dobre. Właśnie z powodu mężczyzny nie ukończyła szkoły średniej. Całkiem się pomyliła w ocenie

jego charakteru. To był pierwszy z jej bardzo licznych błędów, jeśli chodziło o mężczyzn. Tilly nie śmiała nawet marzyć, że w przypadku Logana będzie inaczej. Na razie interesował się nią, ale - logicznie rzecz biorąc - ich romans nie mógł trwać dłużej niż miesiąc lub dwa. A jednak Tilly pragnęła wierzyć, że Logan jest lepszy od innych.

Gdy tylko weszła do biblioteki, zorientowała się, jak ogromne ma braki w wykształceniu. Minęło dziesięć minut, albo i więcej, nim się zorientowała, że literatura piękna jest ustawiona alfabetycznie. Z książkami innego rodzaju szło jeszcze trudniej. Wiedziała jedno: nie będzie prosić o pomoc bibliotekarkę, nie ośmieszy się jeszcze bardziej!

Tilly udała się do biblioteki ze względu na Logana. Robił od niechcienia różne aluzje do dzieł literatury klasycznej. Tilly nie wiedziała prawie nic o bohaterach tragedii ani o mitach, czy takich tam sprawach. Logan wspomniał jednak, że bardzo kocha książki. Autorem ostatniej powieści, którą Tilly przeczytała od deski do deski, był Sidney Sheldon. Jedna z koleżanek w pracy zachwycała się tą książką, więc Tilly ją przeczytała. Koleżanka miała rację: powieść była fantastyczna, ale przeczytanie jej zajęło Tilly chyba miesiąc.

Logan czytał bardzo dużo książek i czasami opowiadał Tilly ich treść. Uznała, że jeśli chce do czegoś dojść, powinna liznąć trochę kultury. Wobec tego zmagą się ze zbiorem opowiadań drukowanych na łamach „New Yorkera” od 1927 roku do połowy lat siedemdziesiątych. Czasem nie bardzo wiedziała, o co w nich chodzi, ale była to podobno „dobra literatura”.

- Dzień dobry. To chyba Tilly, nie mylę się?

Tilly zerknęła znad książki i ujrzała Mary Thompson, niedawno poślubioną żonę Trávisa.

- Cześć! - odparła, rada z przerwy w lekturze.

Mary wzięła do ręki jeden z tomów, które Tilly studiowała, i spojrzała na

tytuł. Uniosła brwi: była wyraźnie pod wrażeniem.

- Jak widzę, interesujesz się operą.

- Nie całkiem. Niewiele o niej wiem. Usiądź - poprosiła Tilly, wskazując miejsce naprzeciw siebie. Mózg już jej pękał od wszystkich wiadomości, które usiłowała do niego wtłoczyć. Nie miała pojęcia, że wiedzę też można przedawkować!

- Właśnie wychodziłam - wyjaśniła z uśmiechem Mary.

Tilly sięgnęła po wybrane książki. Niosła w ramionach cały stos.

- Ja też. Znajdziesz chwilę czasu na kawę?

Mary niedawno przybyła do Grandview i pewnie nie miała jeszcze wielu przyjaciół. Tilly pamiętała, jak się tu czuła przez pierwszy miesiąc, kiedy prawie nikogo nie знаła. Tyle że udało się jej znaleźć pracę „U Marty” i to jej bardzo ułatwiło życie. Mary pewnie była wiecznie uwiązana na ranchu, dwadzieścia mil od miasta.

- Bardzo chętnie napiję się kawy.

Podreptały razem do lokalu Marty znajdującego się po drugiej stronie ulicy.

- Powinam mieć naszego zakładu po uszy - powiedziała Tilly, gdy zajęły miejsce przy stoliku w pobliżu kuchni - ale „U Marty” jest najlepsza kawa w mieście. - Uniosła dwa palce dając znak Sally, która pracowała na dziennej zmianie. Koleżanka błyskawicznie podała im dwie filiżanki.

- I jak ci odpowiada stan małżeński?

Mary spuściła wzrok na kawę.

- Bardzo,

- Masz już wielu znajomych w Grandview?

- Poznałam kilka osób. Słuchaj, Tilly, czy możesz odpowiedzieć mi na kilka pytań? Wiem, że to dość zaskakujące żądanie, ale chciałabym o czymś porozmawiać, a z Travisem i dziećmi nie mogę.

Tilly była wyraźnie zaintrygowana i trochę jej pochlebiło, że Mary zwróciła się właśnie do niej.

- Strzelaj. Odpowiem ci, jeśli zdołam.

- Chodzi o brata Trávisa i jego żonę. Co wiesz o ich wypadku?

Tilly westchnęła głęboko.

- To była prawdziwa tragedia. Wypadek zdarzył się prawie pięć miesięcy temu, nad ranem. O ile wiem, pojechali do miasta na tańce. „Pod drwalem” grywa raz w miesiącu całkiem dobry zespół. Lee i Janice lubili tańczyć. Podobno wyszli z lokalu po północy.

- Czy Lee pił?

- Może jedno, dwa piwa na początku zabawy, ale kiedy wychodzili, był absolutnie trzeźwy. Janice też.

- Czy ktoś wie, jak doszło do wypadku?

- Nie. Ludzie snuli wiele domysłów, rzecz jasna. Najpierw mówiono, że Lee wziął za szybko zakręt i stracił kontrolę nad pojazdem. Wszystkim wydawało się to całkiem możliwe, tylko nie Travisowi. Upierał się, że Lee był zbyt dobrym kierowcą, żeby mu się coś takiego zdarzyło. Podobno Travis przesiadywał godzinami na miejscu wypadku i starał się wykombinować, jak się to stało. To on zmusił szeryfa Tuckera, żeby podał jako przyczynę wypadku „zbrodniczą jazdę”. Kiedy różne fakty wyszły na jaw, okazało się, że wóz Lee został zepchnięty z szosy przez inny samochód.

- Któż mógłby zrobić coś podobnego?

- Pijany kierowca. Zdołali chyba ustalić, że Lee właśnie mijał zakręt, kiedy natknął się na inny wóz, który zjechał ze środkowego pasa. Ze śladów opon wynikało, że w ostatniej chwili kierowcy próbowali uniknąć zderzenia. Wóz Lee wypadł z szosy. Ślady na wraku świadczyły o tym, że otarli się o siebie. Ten drugi miał prawdopodobnie wgięty błotnik. Jakichś poważniejszych uszkodzeń chyba nie

było, bo kierowcy udało się zbiec. Nie wiadomo, kto to był. Nawet się nie zatrzymał.

Tilly przerwała. Zapamiętała ten wypadek tak dobrze, gdyż następnego dnia wcześnie rano Logan zjawił się u niej pijany w sztok. Chciał się z nią koniecznie kochać, a gdy odmówiła, pokłócili się - po raz pierwszy i ostatni. Nigdy przedtem ani potem nie widziała Logana pod gazem.

Poczuła ucisk w żołądku. Boże święty, czy Logan mógł być sprawcą wypadku?! Na samą myśl o tym ogarnęła ją panika. Logan nigdy by czegoś podobnego nie zrobił! - mówiła sobie w duchu, starając się opanować. Nie mogłaby kochać aż tak człowieka zdolnego do ucieczki z miejsca wypadku.

- Travis od razu zabrał dzieci do siebie?

Minęła dłuższa chwila, nim pytanie Mary dotarło do Tilly, przebijając się przez kłębiące się myśli. Wypadek miał miejsce tej samej nocy, kiedy Logan się upił. Tego Tilly była pewna. Że też wcześniej nie skojarzyła ze sobą tych dwu wydarzeń! Powinna przecież się połapać, dodać dwa do dwóch i wyszłoby cztery.

- Travis sam pojechał po dzieciaki - mruknęła. - Ale zdaje się, że był tam wcześniej ktoś z ludzi szeryfa i dzieci wiedziały już, co się stało. Biedactwa! Pomyśleć tylko: straciły równocześnie oboje rodziców.

Mary skinęła głową.

- Bardzo wielu ludzi z miasta uważało, że Travis nie nadaje się na opiekuna dzieciaków. Słyszałam, że nieźle rozrabiał, zanim całkiem dorósł, i zła opinia przylgnęła do niego na amen. Ale można go tylko podziwiać, że wziął na siebie taką odpowiedzialność. Wcale nie musiał! Bardzo się przejął nieszczęściem dzieci i strasznie mu zależy na znalezieniu sprawcy wypadku.

- Jemu samemu też musiało być ciężko.

- Pewnie. - Tilly pospieszenie wyliczała w duchu zmiany, jakie dostrzegła w zachowaniu Logana od tamtej tragicznej nocy. Wiedziała, że coś go dręczy od

wielu tygodni. Nigdy z nią na ten temat nie rozmawiał. I przyznał się, że był (co prawda zaleczonym!) alkoholikiem. O Boże, przecież to nie mógł być Logan!

Tilly miała wrażenie, że zaraz zwymiotuje. Oblała się zimnym potem, a w płucach zabrakło jej nagle powietrza.

- Tilly, co ci jest? - W cichym głosie Mary zabrzmiał niepokój.

- Jakoś mi się nagle zrobiło słabo. - Tilly czuła ból w całym ciele, ale o wiele silniejszy w sercu. Czy choć raz, psia krewo, jeden jedyny raz, nie mogła trafić na przyzwoitego faceta? Czy to takie wygórowane żądanie? Myślała, że Logan jest uczciwy, porządny, dobry. Powinna była wiedzieć, domyślić się czegoś o wiele wcześniej! Gdyby Logan był ósmym cudem świata, to po co by się zadawał z kimś takim jak ona?

Poczuła się wewnętrznie pusta. Martwa. Umarła dla człowieka, którego tak rozpaczliwie pragnęła kochać. Wszystkie jej złudzenia jakoś krótko żyły.

- Tilly, nic ci się nie stało? Strasznie zbladłaś!

- Czuję się całkiem fajnie - odparła cicho. Była to chyba największa bujda, jaką powiedziała w życiu.

Mary pospiesznie wyładowała z pikapa żywność i zabrała się do przygotowywania kolacji. Zabawiła w mieście dłużej, niż zamierzała. Choć pod koniec Tilly źle się poczuła, Mary była bardzo rada z tego spotkania. chciała dowiedzieć się jak najwięcej o Lee i Janice, ale nie mogła pytać Trávisa ani dzieci. Mogła pomówić o tym z panią Morgan, bała się jednak, że Beth Ann usłyszy jakieś szczegóły dotyczące tragicznego wypadku jej rodziców.

Mary polubiła Tilly. Może kelnerce troszkę brakowało ogłady, ale miała dobre serce i przyjazny uśmiech.

Mary obierała właśnie ziemniaki, gdy nadszedł szkolny autobus. Jim, Scotty i Beth Ann popędzili w stronę domu jak rozbrykane niedźwiadki. Usłyszawszy ich

rozbawione głosy, Mary stanęła na progu, uśmiechając się do trójki biegnącej podjazdem; dzieci z głośnym tupotem ścigały się, kto będzie pierwszy w domu.

Jim, najstarszy, najpierw wpadł na ganek. Przystanął zadyszany i oparł dłonie na kolanach, starając się złapać dech.

Scotty był tuż za Jimem, a po nim wbiegła Beth Ann, spoglądając z niesmakiem na starszych braci. Zsunęła tornister z ramienia, jakby chciała tym gestem zaznaczyć, że bez obciążenia miałyby szansę na wygranie wyścigu.

- Zostało jeszcze trochę ciastek? - spytał Scotty zdyszany.

- Mnóstwo. Możecie wziąć sobie po dwa. Schowajcie książki i zeszyty i zabierajcie się do waszych domowych obowiązków!

Dzieci wbiegły do domu, a Mary wróciła do obierania ziemniaków. Jim chwycił ciastka w garść i pognął do stajni, ale Scotty i Beth Ann woleli zjeść swoje słodczyce przy stole.

- Namalowałam dziś w szkole obrazek - oznajmiła Beth Ann. - Chcesz zobaczyć?

- Oczywiście - odparła Mary, wycierając ręce. Poszła za Beth Ann do jej sypialni. Pięcioletnia „uczennica” przysiadła na brzegu łóżka i ostrożnie otworzyła tornister. Pogrzebała przez chwilę w stosie kartek i znalazła to, czego szukała. Z uśmiechem dumy wręczyła Mary rysunek.

- Ach, jakie to śliczne, Beth Ann! - Mary nie bardzo wiedziała, co przedstawia rysunek dziewczynki. Na kartce obok rzędka kolorowych kwiatków stało pięcioro ludzików z rękami i nogami jak patyki.

- To nasza rodzina - wyjaśniła jej Beth Ann. - Spójrz, to wujek Travis. - Wskazała największego ludzika-patyka. Mary przyjrzała się uważniej i pojęła, że to coś, co przypominało pączek z dziurką, było kapeluszem kowbojskim. - A to ty - oznajmiła dziewczynka, wskazując drugiego ludzika w spódnicy. - A to Jim i Scotty, i ja.

Rodzina. Serce Mary ścisnęło się ze wzruszenia. Nigdy nie była skłonna do płaczu. Nie znosiła łez, mokrych strumyczków ciekących po twarzy, zaczerwienionego nosa, z którego kapało...

- To piękny rysunek - szepnęła Mary uszczęśliwiona, że jest częścią czyjegoś świata: świata Beth Ann. - Powiesimy go na lodówce, dobrze?

- Fajnie!

Mary nadal pociągała nosem, kończąc obieranie ziemniaków. Taki drobiazg, a tyle dla niej znaczył! Zanim przybyła do Montany, jej serce było wyschnięte i jałowe, samotne i zgłodniałe. Mary zmuszała się do tego, by przeżyć kolejny dzień, przyjść do siebie po jeszcze jednym rozczarowaniu... Kurczowo czepiała się nadziei, że któregoś dnia, jakimś cudem znajdzie swoje prawdziwe miejsce w świecie.

Ten dzień właśnie nadszedł!

Drzwi się otwały. Mary pewna, że to Jim, odwróciła się, chcąc go poprosić, by nakrył do stołu.

Nie był to jednak Jim.

- Mary! - szepnął wyraźnie wstrząśnięty Travis. - Co ci jest? Co się stało?!

Rozdział 10

Wchodząc do domu Travis zupełnie się nie spodziewał, że zastanie Mary we łzach.

- Mary, co ci się stało?!

- Nic, nic. - I płakała dalej.

- Czy któreś z dzieci zrobiło ci przykrość? Może Jim? - Chłopiec stawał się coraz bardziej nadąsany i zamknięty w sobie. Jeśli sprawił Mary jakąś przykrość...

- Nie, to nie z powodu Jima! - zapewniła męża Mary.

- Więc powiedz mi, co się stało! Powiesz?

Mary skinęła głową.

- Beth Ann namalowała obrazek.

Travisa zamurowało.

Pięcioletnia smarkula wykonała jakiś obraźliwy rysunek?!

- Spójrz! - powiedziała Mary, podprowadzając go do lodówki. - Czy nie śliczny?

Travis gapił się na pognieciony rysunek. Co też Mary w nim widziała?! O ile mógł się zorientować, dziecko nie wykazywało najmniejszych uzdolnień plastycznych. Pięć patykowatych ludzików i kilka dziwacznych kwiatków z pewnością nie zasługiwało na taki wybuch emocji! Obserwował bacznie żonę: może czegoś nie dostrzegł?

Mary uśmiechnęła się łagodnie i otarła łzy.

- Nie widzisz w tym nic szczególnego, prawda?

Travis spojrzał zezem i podrapał się w głowę.

- Jasne, że nie.

Mary roześmiała się i wróciła do przygotowywania kolacji.

Travis nadal niczego nie pojmując poszedł do łazienki umyć twarz i ręce. Zjawił się Scotty i przysiadł na brzegu wanny, wpatrując się w wujka.

- Cześć, smyku! Jak ci poszło w szkole?

- Chyba jak zawsze. Za to Jim miał kłopoty.

Travis zeszytniał. Tego się właśnie obawiał!

- Jakie kłopoty?

- Nie wiem. Nie chciał ze mną o tym gadać, ale był u dyrektora. Chyba będziesz musiał coś podpisać.

Travis trzepnął ręcznikiem o brzeg umywalki.

- Gdzie on teraz jest?

- W stajni.

Travis sam by się połapał, że coś tu nie gra, jeśli po powrocie do domu zastawał Jima pilnie wykonującego swe obowiązki w stajni. Chłopcu zazwyczaj trzeba było przypominać o nich dwa albo i trzy razy, zanim zrobił, co do niego należało. Ilekroć Travis spoglądał na Jima, czuł bijącą od niego wrogość, ledwie-ledwie maskowaną. Wrogość ta przede wszystkim skierowana była przeciw niemu. Od wielu tygodni zanosilo się na konfrontację. Chłopak za wiele sobie pozwalał. Trzeba z tym skończyć, na litość boską! I to raz na zawsze!

Travis wypadł z łazienki i przebiegł przez kuchnię, nie zatrzymując się lawet wówczas, gdy Mary odwróciła się i spytała go, co się stało.

Jim czyścił boksy, gdy stanął przed nim Travis. Chłopiec nie wykazywał specjalnego zapału do pracy. Każdy jego ruch był opieszwały, jakby wzięcie do rąk wideł uważał za ujmę dla siebie.

- Co się dziś zdarzyło w szkole?

Ramiona Jima zeszywniały. Wściekle dźgnął widłami wiązkę siana.

- Scotty od razu zakablował, co?

- Nie mówimy o nim, tylko o tobie.

- Pobiłem się. Jasne? - W oczach chłopca lśnił bunt.

- Wcale niejasne. Pokaż list od dyrektora.

Jim stał w rozkroku i Travis zdał sobie sprawę, że chłopak postanowił iść z nim na udry.

Przez chwilę patrzyli na siebie wilkiem, jakby się chcieli pozabijać wzrokiem. Z oczu Jima zionęła jawna wrogość, chyba rad był z okazji do otwartej walki z wujem. Travis pomyślał, że chłopcu trzeba solidnie przytrzeć rogów i że - do stu diabłów! - on to właśnie zrobi!

Pojedynek na spojrzenia trwał jednak tylko parę sekund. Jim westchnął i

sięgnął do kieszeni spodni. Wyjął złożony papier i podał go Travisowi, a ten otworzył list od dyrektora, przeczytał i zaklął pod nosem.

- Ty pierwszy rzuciłeś się z pięściami i nie chciałeś przerwać walki nawet wtedy, gdy dwóch nauczycieli odciągało cię od tamtego chłopaka!

- Billy aż się prosił, żeby go sprać, więc mu przylałem. Chcesz się na mnie wściekać, to się wściekaj. Olewam to!

- Ty też aż się prosisz, żeby ci przylać - warknął Travis. - Billy jest od ciebie o rok młodszy. Jeśli musisz się awanturować, miej tyle honoru, żeby znaleźć sobie równego przeciwnika.

- To on zaczął! - wrzasnął Jim i jego dłonie zacisnęły się w pięści.

- A ty byłeś z tego rad, bo już od dawna szukasz zaczepki. Myślisz, że nie wiem? - ryknął Travis. - Wiecznie stroisz fochy! Łazisz z krzywą gębą! Myślisz, że nie wiem, że nie chcesz u mnie mieszkać? Myślisz, że jestem taki głupi, że tego nie zauważyłem?! - Urwał, bo nie chciał, by gniew zawładnął nim całkowicie. Mógłby wtedy powiedzieć coś, czego by potem żałował. - Słuchaj, rozrabiako! Jesteśmy na siebie skazani, więc lepiej pogodzić się z losem. Inaczej obaj dostaniemy fioła!

- Odwał się!

Travis chwycił chłopca za ramię.

- Nie pozwolę ci zwracać się tym tonem ani do mnie, ani do nikogo innego! Słyszysz? Nie jesteś aż taki duży, żebym nie mógł sprać ci tyłka!

Jim prychnął i wyrwał ramię z jego uścisku.

- Tylko spróbuj!

- Z przyjemnością.

Znów spojładali na siebie wrogo; każdy z nich najwyraźniej czekał, że ten drugi zacznie. Ze strony Trávisa była to pusta groźba. Nie miał najmniejszego zamiaru przerzucić sobie Jima przez kolano. Dwunastoletni chłopak był już za duży, by spuścić mu lanie. Travis nie bardzo wiedział, jak go ukarać, ale coś trzeba

było wymyślić. Chyba najlepiej dołożyć mu roboty. Jakies dodatkowe obowiązki.

- Ty sam wiecznie wszystkim podpadałeś! - krzyknął Jim.

- Ale czegoś się nauczyłem na własnych błędach i miałem dość odwagi, żeby się do tego przyznać, kiedy nie miałem racji! - wypalił mu Travis.

- A skąd wiesz, że nie miałem racji? - odparł wyzywająco Jim. - Nawet cię nie zainteresowało, jak sprawa wygląda z mojej strony! Tylko dlatego, że Billy Watkins jest o rok młodszy, może się na mnie wyżywać i może mu to ujsć na sucho! Zbij mnie, jeśli chcesz. A Moon może mnie wypędzić ze szkoły. Nienawidzę tej budy!

- To się fatalnie składa, bo nie masz żadnego wyboru.

Jim był czerwony jak burak i aż dygotał z gniewu. Przez chwilę Travis myślał, że chłopiec się rozpłacze. Widział, jak się zмага, chcąc ukryć swe uczucia.

Travis dałby nie wiem co, by jakoś się dogadać z Jimem. Chłopak nawet nie przypuszczał, że wuj doskonale wie, co to znaczy nienawidzić domu i szkoły, być wyrzutkiem, czuć, że ludzie zawsze podejrzewają go o najgorsze. Dom rodzinny Trávisa rozpadł się, gdy matka uciekła od nich. Wtedy ojcu przestało zależeć na życiu i zaczął pić. Podobnie jak Jim, Travis kąsał wszystkich dokoła. Życie dało mu twardą szkołę i miał nadzieję, że bratanek nie będzie powtarzał jego błędów.

- Jeśli masz zamiar wywoływać burdy w szkole, dowiedz się, że odbije się to na twoim życiu domowym.

- Co ze mną zrobisz?

- Nałożę na ciebie podwójne obowiązki. Jak skończysz z tym, co zacząłeś, masz nasmarować siodła i resztę uprzęży - powiedział Travis, obliczając w myślach, że to powinno zająć Jimowi dwie godziny albo i więcej.

- Ale...

Travis uciszył go spojrzeniem.

- Chcesz się stawiać? Na zdrowie! Ale będziesz ponosił konsekwencje. O

kolacji nie ma mowy, póki nie zrobisz tego, co ci kazałem. Zrozumiano?

Jim wpatrywał się w niego z nienawiścią, w jego oczach tliła się żądza walki. Travis nie dał chłopcu okazji do dalszej konfrontacji.

- Zawiadomisz mnie, kiedy skończysz, a ja sprawdzę, jak wykonałeś pracę. Potem napiszesz list z przeprosinami do Billy'ego Watkinsa. - Z tymi słowami Travis opuścił stajnię i popędził w stronę domu. Na ganek wbiegł, przeskakując po dwa stopnie naraz.

Mary nakrywała do stołu i podniosła głowę, gdy mąż wszedł do kuchni. Stała, przyciskając talerz do brzucha, i czekała na jakieś wyjaśnienia.

- Jim wrócił z listem od dyrektora szkoły - powiedział Travis. Podeszedł do kuchni zobaczyć, co będzie na kolację. Z przyjemnością przekonał się, że hamburgery w sosie, jedno z jego ulubionych dań. Mary rzeczywiście znała się na kuchni jak nikt!

- Rozmawiałeś z Jimem? - spytała z przymusem.

Travis skinął głową.

- I co miał ci do powiedzenia?

- Jim pierwszy rzucił się do bicia.

- O co poszło?

- Nieważne. Powinien mieć więcej rozumu.

- Być może, ale czy nie było jakichś okoliczności łagodzących?

- Nie było. - Travis czuł, że Mary ma do niego pretensję, i wcale mu się to nie podobało. Nałożyłem na niego dodatkowe obowiązki. Jak się z nimi upora, napisze do tamtego chłopca list z przeprosinami. - Travis był najwyraźniej dumny z tego, że udało mu się zachować spokój. Kosztowało go to sporo trudu, biorąc pod uwagę postawę Jima, ale nie dał się sprowokować.

- Mogłeś przedtem naradzić się ze mną. - Mary podniosła głowę, wyprostowała plecy i spojrzała gniewnie na męża. Wyglądało na to, że znów trzyma

stronę Jima, ale tym razem Travis był pewien, że to on będzie górą.

Kolacja minęła w posępnej atmosferze. Wszyscy widzieli tylko puste krzesło Jima. Mary serce się ścisnęło, ilekroć na nie spojrzała. Była zła na Trávisa, że nie omówił z nią całej sprawy przed rozmową z Jimem. Powinni byli zwrócić się do chłopca oboje, poprosić go o wyjaśnienie, a potem zadecydować, co należy począć. Zamiast tego Travis zareagował od razu, w gniewie. Pozbawienie dwunastoletniego chłopca posiłku, dopóki nie skończy pracy, było nieludzkie. Jim rósł i musiał dużo jeść, żeby mieć siły.

Scotty, któremu zazwyczaj buzia się nie zamykała, podczas kolacji był dziwnie milczący. Prawie nic nie jadł, co również nie było do niego podobne. Nawet Beth Ann miała gorszy apetyt niż zwykle. Jeszcze bardziej zdumiewające wydało się Mary to, że pięciolatka ssie duży palec.

W połowie posiłku Jim wrócił do domu i stanął w progu.

- Już skończyłem.

- W porządku - odparł Travis. Odsunął ze zgrzytem krzesło i wstał od stołu. - Zaraz sprawdzę, jak się spisałeś, a potem będziesz mógł siąść do kolacji.

- Już ci ją przygotowałam - powiedziała łagodnie Mary. Przypomniała jej się noc, kiedy podczas burzy szalała z niepokojem o Trávisa; wówczas Jim bardzo jej pomógł. Postarał się dla niej o latarkę, świece i zapalki. Mary poczuła, że coś ją dławi w gardle. Jej także odechciało się jeść.

- Jim może wziąć mój kawałek placka - zaoferował bohaterstwo Scotty.

- Mój też - zawtórowała mu Beth Ann.

Travis bez słowa wyszedł za Jimem z kuchni.

- Mogę odejść od stołu? - spytał Scotty, nie podnosząc oczu.

Mary spojrzała na jego prawie nie tkniętą porcję i skinęła głową. Sama jakoś uporała się z kolacją. Zniosła talerz do zlewu.

- Ja też - odezwała się Beth Ann.

- Możecie sobie potem wziąć szarlotki - powiedziała Mary. - Wystarczy dla wszystkich.

W oczach Scotty'ego błysnęły łzy.

- Nie powinienem był skarżyć wujkowi - powiedział cicho, żeby siostra nie usłyszała.

Mary objęła go i lekko uścisnęła.

- Wujek Travis i tak by się dowiedział, wcześniej czy później

- Jim pomyśli, że jestem skarżypyta. Nic bym nie powiedział, ale on nie pozwolił mi ruszać swoich samochodzików. Chowa je przede mną, więc byłem na niego zły.

- Każdy z nas robi czasem coś, czego później żałuje - zapewniła chłopka Mary. - Najważniejsze jest to, żeby uczyć się na swoich błędach.

- Już nigdy nie będę skarżył na Jima. Nigdy! - Scotty rozplakał się i przytulił twarz do brzucha Mary, pochlipując cichutko.

- Jim ci przebaczy, kochanie. Jesteście przecież braćmi. - Mary dobrze pamiętała, jak bliscy byli sobie z Clintonem i jak strasznie za nim tęskniła - do dziś. Więzy łączące Trávisa z Lee były również bardzo mocne. Z czasem wygaśnie także konflikt między Jimem i Scottym.

W chwilę później Jim wrócił do kuchni. Mary podała mu talerz, który stał w piecyku. Chłopiec nie patrzył na nią ani na Scotty'ego.

- Scotty, sprzątnij ze stołu, gdy Jim zje kolację - poleciła Mary. - Wychodzę porozmawiać z wujkiem Travisem. Może to chwilę potrwać, więc uważajcie na siostrzyczkę.

Mary chwyciła sweter i zbiegła ze stopni ganku. Dziedziniec był oświetlony światłem padającym z okien kuchni i ze stajni. Kiedy Mary na środku dziedzińca zderzyła się z mężem, wszystko w niej wrzało. Nie pozwoli temu już nigdy karać

Jima w gniewie! Poza tym ona też miała coś w tej sprawie do powiedzenia. Jeśli ma tym dzieciom matkować, to powinna decydować o ich wychowaniu!

- Musimy porozmawiać! - oświadczyła gniewnie.

- O czym?

- O Jimie.

Travis zmarszczył brwi.

- O co chodzi?

Kiedy Mary była wzburzona, miała trudności z wyrażaniem swoich uczuć. Najbardziej niepokoiła ją postawa Trávisa: pan i władca w każdym balu!

Wiedziała, że mąż najlepiej pojmie jej niezadowolenie, jeśli wyrazi je na jego modłę.

Obcasem swojego buta zaznaczyła głęboką bruzdę w ubitej ziemi.

- Cóż to ma znaczyć? - nastroszył się Travis.

- To granica, którą przekroczyłeś.

Zmarszczka na czole Trávisa pogłębiła się.

- O czym ty mówisz, do cholery?!

- Przekroczyłeś pewne granice w postępowaniu z Jimem i ze mną. Nie pozwolę już nigdy, żebyś go karał bez porozumienia ze mną. - Oparła ręce na biodrach i patrzyła gniewnie na męża. - Jeśli mamy dobrze wychować te dzieci, musimy tworzyć wspólny front. Dom skłócony wewnątrznie nie ostoi się. □

Travis potarł kark dłonią.

- Naprawdę się tym martwisz, co?

- Pewnie, że się martwię, do cholery!

- Więc musimy o tym pomówić.

- Właśnie. - Postawa męża zaskoczyła Mary. Była przygotowana na wielką awanturę, zanim sprawa zostanie rozwiązana. - Ale nie chcę tego robić przy dzieciach. Zwłaszcza przy Jimie.

- Dobrze. Chodźmy do stajni.

Mary otuliła się szczelniej swetrem i pospieszyła za mężem.

W pustym boksie było tylko kilka wiązek siana i słomy. Travis wszedł i dał ręką znak żonie, żeby usiadła. Zajął miejsce naprzeciwko niej i pochylił się ku niej z rękami przyciśniętymi do ud.

- Startuj. Co masz mi do powiedzenia?

- Przede wszystkim nie podoba mi się, że wyznaczasz Jimowi karę, nie naradziwszy się ze mną. Poza tym głodzenie chłopca, który rośnie, to barbarzyństwo. Nie pozwolę na to!

- Ach tak? - powiedział w zamyśleniu Travis.

Mary była nieugięta.

- Mówię poważnie!

Travis przesunął ręką po twarzy.

- Kolacja nie bardzo nam się udała, co? - mruknął jakby do siebie.

- Było jak na stypie. I nie pamiętam, żeby Beth Ann ssała przedtem duży palec.

Travis zerknął na żonę.

- Zdarza jej się to od czasu do czasu, gdy jest wyjątkowo zmęczona lub niespokojna. Robiła to stale po pogrzebie rodziców, ale przestała, bo dzieci w szkolnym autobusie wyśmiewały się z niej.

- Scotty także jest bardzo nieszczęśliwy, bo to on naskarżył na brata. Podobno Jim nie pozwalał mu ruszać swoich samochodzików. Scotty powiedział ci, że brata wezwano do pana Moona, bo chciał się na Jimie odegrać. Jest teraz zupełnie zgnębiony.

- Pogodzą się.

- Jestem tego pewna.

- Masz słuszność - odezwał się Travis po chwili. - Powinienem był się z tobą

naradzić i mogliśmy oboje rozmówić się z Jimem. Jestem jednak przyzwyczajony do tego, że o wszystkim sam decyduję. Następnym razem zachowam się mądrzej.

Mary obserwowała grę uczuć na twarzy męża. Domyśliła się, że przyznanie się do błędu dużo go kosztowało.

- Jeszcze się gniewasz? - spytał.

Udobruchana Mary potrząsnęła głową i uśmiechnęła się łagodnie.

- To dobrze. - Travis przesiadł się na jej wiązkę siana. - Chcesz się pocałować na zgodę? - poruszył wymownie brwiami.

- Tutaj?

Objął ją ramieniem w pasie i przygarnął do siebie. Mary nie zdobyła się na najslabszy nawet protest. Nie opierała się też, gdy ją całował.

Nie wyobrażała już sobie życia bez Trávisa i bez dzieci. Była z nimi od niedawna, a jednak miała wrażenie, że stanowili zawsze najistotniejszą część jej życia.

Travis odgarnął żonie z twarzy pasemko włosów i spojrzał na nią. Pocałował Mary ponownie skłaniając ją, by jeszcze szerzej otwarła usta. Jego język splótł się z jej językiem w powolnym erotycznym tańcu. Gdy Travis uniósł głowę, Mary zauważyła, że oczy pociemniały mu z pożądania.

- Rany boskie, Mary! Myślałem przez cały dzień o tobie, o nas. Zastanawiałem się, kiedy wreszcie zostaniemy naprawdę małżeństwem.

- Ja też o tym myślałam - wyznała cicho. - Lękałam się tego dawniej, ale teraz już się nie boję.

- Nie boisz się, co? - Pocałował ją tak, że obojgu zabrakło tchu, a potem oderwał się od jej ust i przytulił czoło do czoła Mary. - To się doigrałaś!

Usłyszała śmiech w jego głosie i również się uśmiechnęła.

- Jak to?

Travis wstał i zamknął dolną część drzwi do boksu. - Zaraz się z tobą

rozprawie!

- Tutaj? - udała zgorzenie.

- Właśnie, i to zaraz! - Wielkie łapy Trávisa pospiesznie odpinały guziki przy bluzce żony. Była zdumiona zwinnością jego palców.

- A dzieci? - Głos Mary był tylko gardłowym, szeptem. Nie stawiała oporu, nie powstrzymała go żadnym gestem.

- Nie będą nas tu szukać.

- Skąd ta pewność?

- Jestem zupełnie pewien. - Ściągnął bluzkę z ramion żony i zręcznie zdjął jej stanik. Och, Mary! - westchnął z głęboką satysfakcją. - Jesteś taka cholernie piękna! - Po tych słowach zaczął wodzić językiem po sutkach, aż wyprężyły się i zaczęły pulsować. Obejmował wargami delikatne pączuszki i wciągał je do wnętrza swych ust. Gdy ssał je leciutko, Mary odczuwała pieśczoć całym swym ciałem.

- Jesteś zaszokowana? - spytał Travis.

- Nie... To jest równie cudowne jak całowanie się.

Zaczął pieścić ją gwałtowniej; ssanie stawało się to bardziej żarłoczne, brutalne, to znów łagodniało.

Mary wsunęła palce we włosy męża. Czuła jak przelewają się przez nią gorące fale namiętności. Travis dziwnie pojękiwał. Mary nigdy nie przypuszczała, że usłyszy coś podobnego: głos mężczyzny spragnionego swej żony.

Travis przestał pieścić Mary i spojrzał na nią. Jego twarz była ściągnięta pożądaniem. Rysy wydawały się twarde, jak wykute w kamieniu.

- Pragnę cię, Mary - szepnął. - Tak cholernie cię pragnę! Nie wiem, jak długo zdołam to wytrzymać!

Mary przyciągnęła jego usta do swoich i instynktownie uniosła biodra ku niemu. Niewątpliwy fizyczny objaw jego pożądania przekonał ją o prawdziwości słów męża. Wpatrywał się w nią oczekując odpowiedzi.

- Ja też cię pragnę, Travis.

Zaparło mu dech.

- Czy to znaczy właśnie to, o czym myślę?

Mary zakryła oczy rękami i skinęła głową.

Travis zmienił pozycję tak, że Mary znalazła się nad nim. Przytulił czoło do jej czoła i zamknął oczy.

- Nie w stajni, Mary. Nie za pierwszym razem.

Jego troskliwość wzruszyła ją jak nic jeszcze dotąd.

- Dziś w nocy? - spytał. - Kiedy dzieci zasną?

Mary skinęła głową. Była dorosłą kobietą, nie rozmarzoną nastolatką. Jej samotność przeistoczyła się w szczęście. Sączyło się ono bezgłośnie do jej duszy.

- Dzieci! Powinniśmy wrócić do domu.

- Wiem. - Powiedział to z żalem.

Mary podniosła się i zapięła bluzkę. Ręka Trávisa sięgnęła po jej dłoń; jego oczy wpatrywały się w Mary żarliwie.

- Przy tobie czuję się taki silny. - Ucałował koniuszki jej palców. - I znowu wiem, że żyję.

Mary dobrze go rozumiała. Po śmierci Clintona przytłaczała ją rozpacz. Minął rok, zanim uświadomiła sobie, że świat nadal się kręci, podczas gdy ona była zamknięta w pułapce swego bólu. Dopiero po roku zauważyła, że róże nadal kwitną, a słońce świeci. Musiało minąć dwanaście pełnych miesięcy, nim znów poczuła, że żyje.

Mary i Travis weszli razem do domu. Jim zmywał talerze, choć nikt go o to nie prosił. Scotty siedział przy stole i odrabiał lekcje, a Beth Ann bawiła się na podłodze swoimi Barbie.

- Mary - spytała dziewczynka z oczami pełnymi niepokoju - czy ty się przewróciłaś?

- Nie, kochanie. Nic mi się nie stało.
- Bo masz we włosach siano!

Rozdział 11

- Tilly, do diabła! Wiem, że tam jesteś! Na litość boską otwórz mi, porozmawiajmy!

Tilly stała po przeciwnej stronie drzwi z dłońmi przyciśniętymi do drżących warg. Jej głowa i serce toczyły ze sobą zażarty bój. Rozpaczliwie kochała Logana, a równocześnie nienawidziła go i pragnęła ukarać za straszliwy ból, jaki jej zadał.

Powinna była udać się prosto do szeryfa i powiedzieć mu o swoich podejrzaniach. Każda minuta ukrywania posiadanych informacji przytłaczała ją coraz cięższym brzemieniem.

- Tilly! - Logan walił w drzwi coraz mocniej.

Ucisk w gardle Tilly wzrastał, nie mogła prawie oddychać. Miała wrażenie, że ktoś wetknął jej pięść do przełyku. Przeklinała w duchu Logana. A tak mu wierzyła! Nikt nie skrzywdził jej bardziej okrutnie. Nawet Davey, który ukradł jej kartę kredytową i opróżnił konto w banku, a potem wyjechał z miasta. Nawet Phil, który ją katował i zostawił jej na pamiątkę podbite oczy, pęknięte zębra i złamane serce.

Logan sprawił, że uwierzyła w siebie. Budził w niej najlepsze cechy, pomógł zasklepić się dawnym ranom. Byli sobie nawzajem potrzebni. Tak przynajmniej łudziła się Tilly. Teraz pojęła, jaką rolę odgrywała przy nim: zagłuszała jego wyrzuty sumienia.

Tilly wszystkiego uczyła się z trudem. Lekcje, których nie szczędziło Jej życie, były ciężkie. Wyglądało na to, że nigdy niczego nie nauczy się bezboleśnie. Phil nauczył ją, że jeśli będzie upierać się przy miłości do człowieka, który

maltretował ją fizycznie i duchowo, znienawidzi w końcu samą siebie.

Davey był prawdziwym rekordzistą i nauczył ją niejednego! Lekcja pierwsza: próbuj uratować topielca, to sama zginiesz. Tilly skoczyła mu na ratunek trzykrotnie. Gdyby Davey nie wyjechał, pewnie przypłaciłaby ten romans życiem.

Na lekcję drugą przysłała pora wówczas, gdy Tilly zdała sobie sprawę, że istnieją jakieś granice poświęcenia; mężczyzna nie jest wart bólu i nieustannego zamętu uczuć.

Teraz wziął się do uczenia Logan i Tilly była przekonana, że ta lekcja jest dla niej najboleśniejsza. Uświadomił jej, że straciła całkowicie zdolność oceniania ludzkich charakterów.

A taka była tym razem pewna! Logan nie ściągał jej na dno, lecz unosił w górę. Ze względu na niego chciała stać się lepsza. Po raz pierwszy zainteresowała się swoim otoczeniem. Po raz pierwszy od lat była naprawdę szczęśliwa. Co za straszliwa farsa! - pomyślała Tilly, zamykając oczy i czując nowe ukłucie bólu.

- Tilly, do cholery jasnej! - krzyczał Logan. - Chcesz, żebym wywalił drzwi?

Nie była to pusta pogroźka. Tilly poczuła się całkowicie bezradna; odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi. Stała tuż za progiem w wojowniczej postawie, zbierając resztki stanowczości i siły.

- Co ty wyprawiasz, do diabła? - spytał gniewnie Logan. - Unikasz mnie od dwóch dni. Jeśli coś się między nami popsulo, mogłabyś przynajmniej powiedzieć mi o tym!

Tilly wiedziała, że Logan ma słuszność, ale to niczego nie zmieniało. Nie potrafiła go zapytać: czy to ty spowodowałeś śmierć Lee i Janice Thompsonów? Roztrząsała już tyle razy wszystkie szczegóły, że nie była w stanie dłużej o tym myśleć. Żeby nie wiem jak przyglądała się faktom, i tak prowadziły do nieuchronnego wniosku.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - wrzasnął Logan, gdy nadal milczała.

Unikanie Logana było cholernie trudne.

Pierwszego dnia Tilly wyszła wcześniej z pracy pod pozorem choroby, a potem nie odbierała telefonów. Na drugi dzień, gdy Logan zjawił się „U Marty”, Tilly skłoniła Sally, by go obsłużyła, a sama wymknęła się tylnymi drzwiami.

Teraz Logan stał przed nią. Spojrzała na niego nowymi oczami. Był dystyngowany, cholernie przystojny, łagodny i dobry. I kochał ją. Naprawdę ją kochał.

- Kochanie, powiedz, co się stało! - błagał.

Tilly potrząsnęła rozpaczliwie głową.

- Tilly, do cholery jasnej, co się stało?! - Był na nią zły, ale wyczytała również w jego oczach niepewność i ból.

- Zrobiłem coś złego?

Nie będąc w stanie dłużej na niego patrzeć, Tilly spuściła oczy. Nie mogła mu tego powiedzieć!

- Tilly! - Logan oddychał gwałtownie. - Na miłość boską, powiedz mi, co się stało? Nie wiesz, że cię kocham? Zabijasz mnie! Jeśli cię coś niepokoi, powiedz mi!

Tilly nie wiedziała, które z nich zrobiło pierwszy krok, ale po sekundzie była już w ramionach Logana, kurczowo go obejmowała i zanosila się od płaczu. Był taki silny i ciepły, taki cholernie kojący. Pragnęła zatracić się w nim, zapomnieć o wszystkim.

Strach był przyczyną, że usta Tilly poszukały ust Logana. Ich pocałunki były szaleńcze i dzikie. Tilly czuła, że ukochany jest równie zagubiony jak ona, i że on niczego przed nią nie usiłował ukryć. Jego ramiona objęły Tilly tak kurczowo w pasie, że jej stopy nie dotykały ziemi. Tuląc ją, Logan wszedł do domu. Ich usta nie odrywały się od siebie. W tej chwili pocałunki były znacznie ważniejsze niż oddychanie.

Tilly czuła, że ogarnia ją przerażające wprost pożądanie. Logan, który zawsze wyczuwał jej nastroje, skierował się prosto do sypialni. Ledwie zdążyli zrzucić ubrania. Tilly rozebrała się pierwsza i chwyciła kurczowo Logana, przynaglając go, by się pospieszył. Było to konieczne: inaczej ocknie się w niej rozsądek!

Ich pieścizoty były równie gwałtowne jak przedtem pocałunki i wyczerpały oboje do cna. Logan objął Tilly ramionami i ucałował w skroń.

- Możesz mi teraz powiedzieć, co to było?

Łzy płynęły z oczu Tilly. Odwróciła się, by nie mógł zobaczyć jej twarzy.

Była taka bezbronna i słaba, bardziej nieszczęśliwa niż kiedykolwiek przedtem. Co gorsza, tym razem jej serce było poważnie zajęte. Logan spętał jej duszę pozwalając, by zakiełkowała w niej nadzieja.

- Chodzi o mojego ojca, prawda? - szepnął Logan, obejmując Tilly ramieniem i tuląc do siebie.

- Nie.

- Nie kłam, Tilly. Powiedział ci coś, prawda?

- Nie - powtórzyła, tym razem ostrzej. - On nie ma z tym nic wspólnego.

- Nie wierzę ci. - Ujął Tilly za ramiona i przekręcił na wznak, by spojrzeć jej w oczy. Wiedziała, że są zaczerwienione i spuchnięte od płaczu. Była zła, że Logan widzi ją w takim stanie, ale cóż miała począć?

- Nie mogę znieść myśli, że ktoś wyrządził ci krzywdę - szepnął Logan i delikatnie ją ucałował. - Jesteś największym cudem, jaki zdarzył się w moim życiu. Jeśli mówisz, że mój ojciec nie ma z tym nic wspólnego, cóż, muszę ci wierzyć.

Jego pocałunki, poprzednio tak gwałtowne, teraz były pełne serdecznej czułości.

- Tak bardzo jesteś mi potrzebna - szepnął. - Przysięgam, że ostatnie dni bez ciebie były dla mnie piekłem.

- Ja ciebie też potrzebuję wyznała Tilly, obejmując go rękami za szyję i

przyciągając do siebie.

- Słuchaj, Tilly - powiedział Logan, podnosząc głowę i obejmując twarz ukochanej dłońmi. - Mam już dość tego chowania się po kątach. Kogo chcesz oszukać? Każdy, kto ma szczyptę rozumu, widzi, że szaleję za tobą. Jeśli jeszcze o tym nie wiesz, informuję cię, że plotkując naszym romansie od dawna. Dość tego, Tilly! Zaczniemy chodzić na randki jak wszystkie zakochane pary. Będę dumny, pokazując się razem z tobą. Gównu mnie obchodzi, co sobie pomyśli mój ojciec! Nie będę wiecznie dostosowywał się do jego zachcianek.

- Logan, nic nie rozumiesz!

- Żadnych sprzeciwów! - oznajmił autorytatywnym tonem i ucałował ją mocno. - Idziemy razem na festyn dożynkowy, i kropka!

- Nie mogę! - odparła, szukając gorączkowo jakiegoś wykrętu.

- Właśnie, że możesz. Nie przyjmuję do wiadomości żadnej odmowy, Tilly! Zbyt długo ukrywaliśmy się za zamkniętymi drzwiami.

- Ale... - Dwa dni temu chciała przekazać policji informację na temat Logana, a teraz zastanawia się, czy pójść z nim na festyn dożynkowy?!

- Żadnych „ale”! - oświadczył i pocałował ją w czubek nosa. - Idziemy i już!

Tilly objęła dłońmi twarz Logana i popatrzyła w jego piękne oczy.

- Nigdy nikogo nie zraniłeś i nie zostawiłeś bez pomocy, prawda? Nie mógłbyś przecież tego zrobić!

Twarz mu posmutniała, ale uśmiechnął się blado.

- Nie, Tilly, nie mam na sumieniu czegoś podobnego.

Musiałam się pomylić, pomyślała natychmiast Tilly i spadł jej kamień z serca. Logan uwierzył, gdy go zapewniała, że jego ojciec nie sprawił jej żadnej przykrości. Teraz ona powinna uwierzyć Loganowi! Nie okłamałby jej przecież. To była zbyt ważna sprawa.

- To nie on! - krzychało jej serce. - To nie mógł być on!

Mary leżała bez ruchu wystrojona w jedwabną koszulkę od Georgeanne. Czekała na Trávisa, czując się jak gęś przybrana ostrokrzewem na świątecznym półmisku.

Ogarnął ją niepokój, gdy mąż wszedł do sypialni i zgasił światło.

- Dzieci już śpią? - spytała.

- A jakże. - W jego głosie brzmiało zdenerwowanie.

Mary obserwowała cienie przemykające po ścianie, gdy Travis się rozbierał. Poczwała zapach wody kolońskiej i uśmiechnęła się: użył jej specjalnie dla niej. Materac ugiał się pod ciężarem męża, kiedy położył się obok niej.

Przez chwilę żadne z nich nie odezwało się ani nie poruszyło. Mary czuła w uszach szalejące tętno krwi; zupełnie jak silnik na pełnych obrotach! Travis był równie spięty, całe jego ciało pulsowało niepokojem. Mary była pewna, że mogłaby się odprężyć, gdyby pocałował ją znów tak jak w stajni. Kiedy ją tulił i pieścił, wszystko wydawało się naturalne i cudowne.

Travis obrócił się na bok i wsparty na łokciu spoglądał na żonę w księżycowej poświacie; uśmiechnął się nieśmiało. Mary dostrzegła błysk pożądania w jego oczach i serce jej przepełniło się miłością. Nigdy nie przypuszczała, że tak od razu zakocha się w Travisie. Pokochała go jednak, i to tak mocno, że ta miłość wprost rozsadzała jej serce. Z uśmiechem przesunęła dłońmi po jego ramionach, delikatnie obrysowując ich kształt, rozkoszując się dotykiem gładkiej, sprężystej skóry. Dłonie jej zbiegły się na karku męża. Niezbyt pewnie zbliżyła usta ku jego ustom.

Pocałunek był niespieszny, namiętny. Mary czuła, że jakaś moc przenika całe jej ciało, aż po palce stóp. Travis wprowadził ją w tajniki pocałunków: nie tylko witała radośnie ataki jego języka, ale ośmieliła się sama go prowokować. Travis gwałtownie zaczerpnął powietrza i objąwszy ją ramionami w pasie przewrócił się na plecy, pociągając Mary ze sobą, tak iż znalazła się nad nim.

Całowanie trwało dalej, ale nie były to już leniwe igraszki, ale zachłanne i naglące pieszczoty. Travis sunąc dłońmi po tylnej stronie jej ud, zadarł jedwabną koszulkę żony aż do pasa. Dotyk jego stwardniałych dłoni skłonił Mary do rozchylenia nóg. Wówczas ręce Trávisa zaczęły gładzić wewnętrzną stronę ud i obnażone pośladki

Sprawiło to Mary przyjemność i była tym zaskoczona. Gdy poprzednim razem mąż zaczął w podobny sposób gładzić ją po brzuchu, poczuła się zagrożona i ogarnął ją lęk. Teraz było inaczej. Travis wprowadzał ją w świat doznań zmysłowych, którego granice nieustannie się rozszerzały.

Mary poczuła na nodze dotknięcie nabrzmiałego, pulsującego członka; czy naprawdę mógł pomieścić się w jej wnętrzu? Był taki twardy, gorący i olbrzymi.

Travis przestał ją całować. Zaczął oddychać powoli i głęboko, jakby chciał się w ten sposób uspokoić, zwolnić tempo. Odgarnął żonie włosy z czoła i spojrzał jej w oczy.

- Boisz się?

- Troszeczkę - przyznała nieśmiało. - Teoretycznie wiem, co się będzie z nami działo, ale... jesteś taki wielki.

Travis uśmiechnął się szeroko, widocznie uradowany jej słowami.

- Będziemy bardzo ostrożni. Gdyby cię zabolalo, każ mi przestać.

- Na pewno nie będę chciała, żebyś przestał.

Travis znowu się uśmiechnął i uniósłszy głowę obdarzył żonę wilgotnym całusem.

- Ja tym bardziej, ale jeśli będzie trzeba, to przestanę. Nie chcę sprawić ci bólu.

Pochwyciwszy śliski materiał koszulki ściągnął ją z żony i Mary była teraz całkiem naga. Poczuła, że jej piersi prężą się w chłodnym powietrzu. Całe ciało przeniknęła rozkosz i nagle gorąco, gdy Travis dotknął jej piersi, biorąc ją

ostrożnie na dłoń.

- Idealnie pasują - mruknął. - Po prostu idealnie.

Jednym szybkim, zręcznym ruchem zmienił pozycję tak, że Mary znalazła się pod nim.

- Pragnę cię dotykać... Mogę?

Przymknęła oczy i skinęła głową.

Stwardniała dłoń męża ostrożnie powędrowała w dół, gładząc żebra, potem brzuch, aż wreszcie palce zanurzyły się w trójkącie jedwabistych włosów.

- Mary! - szepnął nagle Travis. - Spójrz na mnie!

Zobaczyła, że mąż wpatruje się w nią z miłością. W jednej chwili pozbyła się wszelkich obaw. Zamiast lęku poczuła dumę, że ten mężczyzna pragnie jej tak mocno i że tak bardzo mu zależy, by to pierwsze przeżycie było dla niej miłe, że gotów dla jej dobra zrezygnować częściowo z własnej przyjemności.

Mary odprężyła się, a Travis troskliwy jak zawsze gładził ją leciutko; jego ruchy były niespieszne i delikatne. Ciało Mary stało się niesłychanie wrażliwe na jego pieśczoć i niebawem sama uniosła biodra w górę, domagając się więcej. Nie przypuszczała, że istniało coś równie wspaniałego. To było zbyt cudowne, by mogło trwać!

- Travis...

- Co, kochanie moje?

Mary miała wrażenie, że ogarniają straszliwa gorączka, rosnąca z każdym gwałtownym poruszeniem bioder. Wbiła paznokcie w ramiona męża i przyłgnęła do niego, unosząc się z łóżka.

Usta Trávisa zagarnęły zachłannie jej usta, a jego ciało znalazło się nad ciałem Mary. Rozchyliła uda pragnąc, by uczynił ją nareszcie swoją żoną, swoją kobietą.

Travis objął dłońmi jej twarz. Oddychał powoli, z trudem

- Popatrz na mnie - szepnął. - Muszę spojrzeć ci w oczy. Wtedy będę wiedział.

- Jestem gotowa - odparła Mary półprzytomna z pożądania tak silnego, że nie mogła uleżeć spokojnie.

- Każ mi przestać, gdyby cię bolało!

Mary wiedziała, że Travis zmusza się do powolnych, opanowanych ruchów, choć instynkt podpowiadał, by zanurzył się w niej jak najszybciej i zaznał rozkoszy. Westchnęła i zwilżyła wargi.

- Boisz się?

Travis skinął głową.

- Jeszcze jak!

- Tak też myślałam. - Mary objęła go za szyję i przyciągnęła usta męża do swoich ust, obsypując go gradem drobniutkich pocałunków.

Otworzyła się na jego przyjęcie, pragnąc, by jego ciało zespoliło się z jej ciałem. Członek Trávisa był gorący i pulsował. Oczy obojga znów się spotkały i wówczas Travis ostrożnie przystąpił do działania. Powoli, cal po calu, zagłębiał się w niej.

Mary czuła, że jej ciało rozwiera się, rozchyła na przyjęcie Trávisa; szedł w nią powoli, ostrożnie, starając się zadać jak najmniej bólu.

- Jak nam idzie? - szepnęła, gdy znieruchomiał.

- Uchwycić się mnie mocno! - zakomenderował.

Mary zrobiła jak mąż polecił. Wówczas jednym ruchem bioder Travis przebił przegrodę w jej ciele i zagłębił się w niej jak miecz wbity po rękojeść.

Mary jęknęła, gdy przeszył ją ostry ból. Instynktownie szarpnęła się, usiłując uwolnić się od przykrego uczucia. Ten gwałtowny ruch spowodował, że ból zelżał, a w jej wnętrzu zaczęła budzić się rozkosz. Mary przeczuwała, że za chwilę stanie się coś cudownego, nie chciała więc przerywać uścisku, zanim tego nie dozna.

Jej ruchy jednak wyraźnie wyprowadzały Trávisa z równowagi. Wydał zduszony jęk i chwycił żonę za biodra, jakby chciał przygwoździć ją do materaca.

- Mary, na litość boską, nie ruszaj się tak! - zaklinał zdławionym głosem.

Mary znieruchomiała, wyczerpana i bez tchu. Oddychała spazmatycznie, chcąc wciągnąć w płuca więcej powietrza.

Travis jęknął znowu:

- Mary! - Powtarzał jej imię raz po raz, całując ją i tuląc. Oddychał z trudem. Na miłość boską, powiedz mi, że nie bardzo cię bolało! Chcesz, żebym przestał?

- Nie! - zaprotestowała gwałtownie. - Proszę, nie teraz! - Tak, czuła ból, ale zarazem coś znacznie potężniejszego. Zbierała myśli z trudem i powoli. Czuła się dumna, radosna, zachwycona tym, że Travis zawładnął nią całkowicie. Zaczepiła stopami o kostki jego nóg i przejął ją cudowny dreszcz: oto tuliła męża w najtajniejszej głębi swojego ciała. Oczy jej napełniły się łzami, ale nie były to łzy bólu. Czuła się nareszcie kobietą! I była cholernie dumna z tego, że jest kobietą.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - Travis odgarniał jej włosy z twarzy. Jego dotyk był delikatny, a zarazem nagły.

Mary skinęła głową.

- Chyba tak. Już mnie nie boli.

- Bardzo to było straszne?

- Nie. Było wspaniałe! Nieprawdopodobnie wspaniałe!

Czoło Trávisa lśniło od potu. Mary pojęła, jak trudno mu w tej chwili panować nad sobą. Powstrzymywał się, by jej ciało łatwiej przywykło do jego obecności. Twarz mu się skurczyła, gdy Mary uniosła biodra, pragnąc równie silnie jak on, by wniknął w nią najgłębiej jak tylko można, by wszystko dopełniło się bez reszty.

- Mary, nie ruszaj się!

- Nie mogę się opanować. - Jej biodra kołysały się. Travis jęknął głośno. - Chcę poznać wszystko! Chcę poznać wszystko!

- Kochanie moje! - Ich ciała zwały się. Mary ochoczo przyjmowała w siebie

każde potężne pchnięcie. Jej dłonie sunęły po plecach Trávisa; czuła, jak drżą jego mięśnie, gdy usiłował zapanować nad sobą. Mocno objął rękami jej biodra, rozkołysał jej ciało, kontrolując każdy ze swych ciosów.

Travis jęknął; Mary zawtórowała mu, odczuwając rozkosz tak doskonałą, że aż głośno krzyknęła. Napięcie było wprost nie do zniesienia. Całe ciało miała jak w ogniu. Nie pojmując tego, co się z nią dzieje, zaczęła drzeć - ogarnęło ją rozkoszne szaleństwo, nieopisane szczęście, żywiołowe, całkowite spełnienie.

Ruchy Trávisa stały się jeszcze szybsze. Mary poczuła, że jego ciało, znajdujące się nad nią, przeniknął spazm. Pojęła, że i on osiągnął doskonałe zaspokojenie.

Travis objął żonę i zmienił pozycję. Leżeli teraz obok siebie. Żadne z nich nie odzywało się. Mary poczuła, że wszelkie słowa byłyby w tej chwili zgrzytem. Powoli ich zdyszane oddechy uspokajały się. Travis obsypywał drobniutkimi, czułymi pocałunkami twarz żony, od skroni aż po linię szczęki i gładką kolumnę szyi.

- Zabiję Georgeanne! - szepnęła Mary, przerywając w końcu ciszę.

- Georgeanne?

- To moja najlepsza przyjaciółka. Tak przynajmniej sądziłam. Nigdy mi nie powiedziała, że miłość jest aż tak cudowna! Myślałam zawsze... sama nie wiem... że robi się wtedy po prostu bardzo gorąco i że człowiek się poci.

- Bo tak jest - odparł Travis; usłyszała śmiech w jego głosie.

- Może i tak, ale jest przecież o wiele, wiele więcej!

Travis pocałował ją w czubek głowy. Po kilku minutach już spał. Bardzo szczęśliwa Mary uśmiechnęła się i westchnęła. Pomyślała: Jak to cudownie leżeć w ramionach kochającego męża!

Rozdział 12

Maszyna do szycia niedawno przybyła i Mary ustawiła ją właśnie na kuchennym stole. Przed nią piętrzył się stos odzieży do naprawy. Najbardziej darł ubrania Travis. Co najmniej piętnaście jego koszul wymagało gruntownej reperacji. Jim nie zostawał daleko w tyle.

Zadzwonił telefon i Mary obejrzała się z roztargnieniem. Nie była rada, że ktoś przeszkadza jej tego ranka. Wyjęła szpilki z ust i sięgnęła po słuchawkę, podtrzymując ją ramieniem.

- Hallo!

- Pani Thompson? Mówi Moon, dyrektor szkoły.

Mary uczuła wielki ciężar na sercu i watę w kolanach. Jim znów wdał się w jakąś awanturę! Była o tym przekonana, zanim dyrektor podstawówki wymówił następne słowa.

- Bardzo mi przykro, ale na boisku zdarzył się wypadek - mówił dalej pan Moon. - Beth Ann spadła z huśtawki i prawa ręka bardzo ją boli. Obawiam się, że może to być złamanie.

- O Boże!

- Robimy jej na razie okłady z lodu. Kiedy pani może po nią przyjechać?

- Przyjadę najszybciej jak tylko będę mogła. Dziękuję, że mnie pan zawiadomił. - Gdy Mary odłożyła słuchawkę, w głowie tak jej się kręciło, że przez chwilę nie była w stanie wykonać żadnego ruchu.

Beth Ann bardzo boli ręka! Może ją złamała! Jej malutka dziewczynka! Mary chwyciła płaszcz i torebkę i wybiegła na dziedziniec. Wówczas przypomniała sobie, że Travis zabrał pikapa. Pozostałe trzy gruchoty stojące na podwórzu nie nadawały się do użytku. Stary wóz bez silnika rdzewiał koło stajni. Z dwóch pozostałych jeden nie miał opon, drugi drzwi. Travis wspomniał wprawdzie, że

zreperuje jeden z nich na użytek Mary, ale na razie - o ile wyraźnie nie powiedziała mu, że potrzebuje wozu na zakupy sam korzystał z pikapa.

Mary zawróciła w stronę domu, potem przystanęła przy schodkach na ganek, odwróciła się na pięcie i popędziła do stajni.

Uznała, że już najwyższy czas zawrzeć znajomość ze Wściekłym Maksem.

Travis naprawiał ogrodzenia. Wilk porwał jeszcze jednego cielaka i Travis przez całe rano wyładowywał swą bezsilną wściekłość, wbijając paliki. Żaden ranczer nie mógł sobie pozwolić na takie ustawiczne straty. Trzeba było coś z tym zrobić. I to szybko! Zwierz atakował również bydło na dwóch sąsiednich ranczach, a wszyscy właściciele mieli związane ręce. Naganiacz z Urzędu Ochrony Zwierząt nadal tropił wilka, ale ten najwidoczniej przechytrzył go tak jak innych.

Travis naprawiał nie tylko ogrodzenie: jego stosunki z Mary były też coraz lepsze. Od czasu kłótni w sprawie Jima wszystko szło jak po maśle. Travis uśmiechał się do siebie, wyładowując ostatni palik z dna pikapa.

Mary miała rację: głupio postąpił z Jimem. Gdy to sobie przemyślał, ujrzał całą sprawę z punktu widzenia żony. Źle zrobił, pozbawiając chłopca kolacji. Szkoda wielka, że nie przedyskutował przedtem wszystkiego z Mary. Było to jednak zrozumiałe, bo nigdy dotąd z nikim nie uzgadniał swoich decyzji. Nie wiedział też, co to znaczy mieć żonę, ale szybko się uczył.

- Aleś się zrobił żwawy! - zauważył Jake Roth, kowboj zatrudniony w „Trzech T”, przyglądając się, jak Travis taszczy palik z pikapa. - I jakoś nie przypominam sobie, żebyś dawniej pogwizdywał.

Travis aż przystanął. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że gwizdże!

- Widać małżeństwo ci służy.

Travis wzruszył ramionami.

- Ma swoje dobre strony.

Jake roześmiał się.

- Coś o tym słyszałem. Ja tam nie byłbym zachwycony, gdyby jakaś baba zaczęła się wtrącać w moje życie. Są cholernie zaborcze! Zawsze czegoś od człowieka chcą.

Travis myślał kropka w kropkę tak samo, kiedy po raz pierwszy zastanawiał się nad ożenkiem. Bał się, że małżeństwo skomplikuje mu życie. Zawsze jest to wtargnięcie obcego, kobiecego czynnika. I miał, do licha, rację!

Musiał przyznać, że zjawienie się Mary zmieniło jego życie. Cholera, wyróciło do góry nogami wszystko wokół niego i w nim samym. Nie pojmował jednak przedtem, że małżeństwo daje poczucie stabilizacji. I nie da się ukryć, że Mary była kobietą. I to jaką!

Zaatakowała cały dom z taką energią, jak agresywny bek atakuje na boisku ćwierćbeka. Wyszorowała wszystkie pokoje tak, że nawet parapety lśniły! Ze dwa dni temu pojechała do miasta i przywiozła próbki farb i tapet. Travis był pewien, że do Bożego Narodzenia cały dom będzie jak nowy.

O tym, co Mary wniosła w jego własne życie, Travis nawet nie marzył. Dzielił teraz z nią ciężar odpowiedzialności i stał się on nagle o wiele lżejszy. Były też pewne minusy; na przykład, Mary potrafiła przesuwac meble o północy, ale takie drobne dziwactwa można wybaczyć. Gotowała, prała, zarządzała wszystkim. Zapewniła dzieciom coś, czego Travis nie był w stanie im dać: macierzyńską troskę. A najbardziej niewiarygodne było to, że on sam znalazł w tym związku osobiste szczęście.

I pomyśleć, że zdobył taką nadzwyczajną żonę za pomocą ogłoszenia! Jeszcze bardziej zdumiewało go to, że z początku był nią rozczarowany. Długie nogi, tylko to miał w głowie! Teraz śmiał się z siebie samego. Pragnął Mary, swojej Mary, i guzik go obchodziło, jakiej długości są jej nogi!

- Ktoś tu jedzie - oznajmił Jake, spoglądając ku wschodowi. Oparł się na

łopacie krzyżując nogi. - Konno.

Travis spojrział w tamtym kierunku i zdumiał się. Gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, pomyślałby, że to Wściekły Maks! Jeździec pędził na złamanie karku.

Po paru sekundach Travis zorientował się, że jeźdźcem tym jest kobieta, o której właśnie myślał. Odrzucił łopatę i pognął w jej kierunku. Rzadko wpadał w panikę, ale teraz był przerażony. Kompletna wariatka! Mogła w każdej chwili skrócić swój głupi kark!

Wściekły Maks zatrzymał się raptownie.

- Chcesz się zabić, czy co?! - wrzasnął rozwścieczony Travis.

Mary zignorowała jego uwagę i zeskoczyła z konia.

- Beth Ann - szepnęła, z trudem łapiąc oddech - upadła na szkolnym boisku... być może złamała rękę. Nie miałam czym pojechać do miasta.

- Jake! - zawołał Travis, odwracając głowę. - Zajmij się koniem!

- Już się robi - zapewnił go Jake.

Travis był w połowie drogi do ciężarówki, kiedy zorientował się, że Mary nie zrobiła ani kroku. Widocznie nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Objął ją więc i zaniósł do samochodu. Po chwili byli już w drodze.

Mknąc na skos przez ranczo Travis zauważył, że Mary oddycha z wyraźnym trudem. Choć starał się omijać wyboje, było to prawie niemożliwe. Jego małutka żona obijała się po kabinie jak piłeczka pingpongowa.

- Trzymaj się czegoś! - wrzasnął z irytacją.

- Właśnie próbuję! - odburknęła Mary.

Travis odetchnął z ulgą, słysząc wojowniczą nutkę w jej głosie.

- Pan Moon powiedział, że rączka bardzo ją boli.

- Zatelefonowałaś do doktora Andersena?

- Nie przyszło mi to do głowy.

- Nie martw się, doktor opiekuje się dziećmi od lat. Zajmie się nią od

razu.

- Jedź szybciej! - krzyknęła Mary.

Travis chciał zwolnić.

- Szybciej! - zawołała znowu.

- Ale przecież ty...

- Nie martw się o mnie.

- Gdybyś ty była choć trochę cięższa... - poskarżył się Travis.

Szosa była już na widoku i Travis odetchnął z ulgą. Zerknął z niepokojem na Mary i zobaczył, że trzyma się ze wszystkich sił oparcia. Ale to niewiele dawało.

Obojgu ulżyło, gdy wjechali na szosę. Przy odrobinie szczęścia dotrą do szkoły za kilka minut!

Każda z tych minut dłużyła się Travisowi jak miesiąc. Choć udawał spokój ze względu na Mary, wcale go nie czuł. Dawno temu (zapomniał już, przed iloma laty) sam złamał rękę. Do dziś pamiętał, jak to bolało. Na myśl, że Beth Ann podobnie teraz cierpi, ciarki chodziły mu po plecach.

Wjechał na plac przed szkołą i zaparkował tam, gdzie zatrzymywał się szkolny autobus. Mary wyskoczyła z kabiny, nim zgasił silnik. Zaczekała na męża przy drzwiach szkoły i razem weszli do środka.

Zaprowadzono ich od razu do pokoju pielęgniarki. Beth Ann siedziała skulona w kątku. Buzię miała czerwoną i zalaną łzami. Trzymała się za chorą rękę, owiniętą workiem z lodem. Ściekały z niego krople wody.

Dziewczynka podniosła główkę, kiedy weszli Mary i Travis, i zaniósła się cichym płaczem.

- Spadłam z huśtawki!

- Już dobrze, serduszko - powiedział Travis, biorąc ją ostrożnie na rękę. - Zaraz wszystkiemu zaradzimy.

- Strasznie mnie boli!

- Wiem. Mary, otwórz nam drzwi - polecił Travis. Odwrócił się i zobaczył, że żona podpisuje jakieś papiery. Szybko się z tym uporała i spełniła jego prośbę. Najpierw podbiegła do drzwi budynku, potem otworzyła drzwiczki pikapa. Weszła do środka, a Travis ostrożnie podał jej Beth Ann. Może się mylił, ale zdawało mu się, że mała głęboko westchnęła, sadowiąc się w kojących ramionach Mary. Zabawne: on sam identycznie reagował, gdy żona go obejmowała.

Do przychodni doktora Andersena Travis jechał o wiele wolniej.

Doktor zajął się dziewczynką bezzwłocznie. Mary przeszła z Beth Ann do rentgena, a Travis krążył po poczekalni. Kilkoro siedzących tam pacjentów obserwowało go; po chwili wyjaśnił im, że Beth Ann złamała rękę.

Usłyszał krzyk dziewczynki i stanął jak wryty. Po sekundzie wdarł się do gabinetu, omal nie przewracając asystującej doktorowi pielęgniarki.

- Co się stało?

Mary wyszła mu naprzeciw ze zbiełałą twarzą. Doktor musiał zmienić pozycję rączki Beth Ann do prześwietlenia.

- Nic się małej nie stało?

Mary potrząsnęła głową, ale Travis dostrzegł łzy w jej oczach.

Oboje nie odstępowali Beth Ann, gdy doktor Andersen wywoływał zdjęcie. Dziewczynka siedziała na kolanach Mary i opierała główkę o jej ramię. Po kilku minutach zjawił się doktor z kliszą.

- Cóż, młoda damo - powiedział siwy starszy pan, oglądając zdjęcie pod światło. - Wygląda na to, że musimy wziąć ci ramię w gips. Zobacz sama. - Końcem ołówka wskazał drobne kosteczki Beth Ann i stwierdził pęknięcie.

Travis wytężył wzrok, ale niczego nie mógł dostrzec.

- Gdzie ja sobie pękłam? - spytała cichutko Beth Ann.

Doktor zniżył kliszę tak, że znalazła się na poziomie oczu dziecka.

- Tutaj. Widzisz?

Travis zauważył wówczas pęknięcie, ale gdyby lekarz wyraźnie go nie wskazał, nie dostrzegłby cieniutkiej rysy.

- To nie jest ciężkie złamanie - stwierdził doktor Andersen, chcąc ich widocznie uspokoić. - Oczywiście bolesne, ale za sześć tygodni zrośnie się i ręka będzie jak nowa.

- Tak długo mam nosić gips?!

- Obawiam się, że tak, ale wszyscy koledze będą mogli się na nim podpisać. W jakim kolorze ma być ten gips? Poproszę Friedę, żeby przygotowała taki śliczny, różowutki.

- Wolę niebieski - szepnęła Beth Ann, pociągając noskiem, a potem wytarła go zdrową ręką.

Przeszli do pokoju, gdzie Frieda, pielęgniarka, której Travis omal nie przewrócił, moczyła właśnie paski gipsu. Mary nadal trzymała Beth Ann na kolanach.

- Lepiej posadzić małą na stole - zauważył mimochodem doktor, biorąc gruby zwój waty.

- Nie! - zatkała Beth Ann, czepiając się kurczowo Mary zdrową rączką. - Chcę być z Mary!

Doktor zastanowił się.

- W porządku, misiaczku. Postaramy się, żeby ci było jak najwygodniej.

Travis poczuł wdzięczność do starszego pana, który tak dobrze rozumiał dzieci. Ale też zajmował się nimi od lat! Travis obserwował zabieg z dużym zainteresowaniem. Zręczne ręce doktora sprawnie owinęły przedramię Beth Ann paskami gipsu. Lekarz zagadywał przy tym małą przyjaźnie, ale nie udało mu się skłonić Beth Ann do rozmowy. Dziewczynka nadal tuliła się do Mary, która uspokajała ją szeptem.

Pojechali następnie do apteki po lekarstwo. Gdy wracali do domu, Travis czuł

się jak po całodobowej harówce. Beth Ann dostała środek przeciwbólowy i poszła do łóżka.

- Śpi? - spytał Travis, gdy Mary wyszła z jej sypialni.

Mary skinęła głową, podeszła do męża i objęła go w pasie. Przez kilka chwil tulili się do siebie w milczeniu. Travis wchłaniał w siebie ciepło jej ciała, wdzięczny losowi po raz nie wiedzieć który, że Mary weszła w jego życie. Jakżeby zdołał przeżyć ten dzień bez niej? Gdyby żony nie było wówczas w domu i nie odebrałaby telefonu, Beth Ann tkwiłaby w pokoju pielęgniarstwa aż do jego powrotu po pracy. Bóg raczy wiedzieć, jak długo by to trwało!

Obejmując dłońmi twarz męża Mary zbliżyła usta do jego ust. Ciało Trávisa zapłonęło nagle pod jej dotknięciem

Kiedy oderwali się od siebie, Travis nie mógł złapać tchu i wyraźnie osłabł.

- Z jakiej racji te czułości?

- Żeby ci podziękować.

- Za co?

- Tego nie jestem całkiem pewna... Nie, po prostu chciałam cię pocałować.

Zdumiony Travis gapił się na nią, nie wiedząc, co powiedzieć.

- Muszę wrócić do Jake'a.

Mary skinęła głową.

- Ja też mam dużo roboty.

Nie dodając już ani słowa, usiadła znów przy maszynie do szycia i sięgnęła po jedną z koszul męża.

Mary przewróciła się na wznak i westchnęła. Choć była zupełnie wyczerpana, duchowo i fizycznie, nie mogła zasnąć. Travis miał zdaje się podobne problemy.

- Nie śpisz? - rozległ się w ciemności jego szept.

- Jestem zupełnie trzeźwa i biję się z myślami.

Zaśmiał się cicho.

- To był cholerny dzień, no nie?

- Mam nadzieję, że przez dłuższy czas nie zdarzy się nic podobnego.

- Ja też przytaknął. Po chwili ujął dłoń żony i podniósł ją do ust. - Złamana ręka Beth Ann to małe piwo! Ty napędziłaś mi dziesięć razy większego stracha.

- Ja?

- Uganiając się jak szalona po ranczo na Wściekłym Maksie. Mogłaś się zabić!

- Byłam zupełnie bezpieczna.

- Kto cię nauczył tak jeździć? Widać od razu, że nie pierwszy raz dosiadłaś konia.

- Jeździłam konno od dzieciństwa. Większość kobiet z Południa to umie, wyobraź sobie! - Z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

Travis zamilkł na chwilę.

- Mogłaś mi o tym powiedzieć.

- Mogłeś mnie zapytać.

- Czy posiadasz jeszcze jakieś umiejętności, o których nie wiem? Na przykład jesteś pilotem albo mistrzynią w jeździe na nartach?

Zaskoczenie męża rozśmieszyło Mary.

- Ależ nie!

- Skąd wiedziałaś, gdzie mnie szukać?

- Nic prostszego. Słyszałam dziś rano jak rozmawiałeś z Jake'em. Nie powiedziałaś dokładnie, gdzie będziecie pracować, ale wyobraź sobie, że wiem, z której strony wschodzi słońce. Musiałam tylko uważać na ogrodzenia i mogłam być pewna, że prędzej czy później natknę się na ciebie.

Travis mruknął coś pod nosem. Zabrzmiało to prawie jak komplement. Zaimponowało mu widać inteligentne rozumowanie żony.

- Załatwiłem dziś po kolacji ważny telefon.

Mary zauważyła, że mąż z kimś rozmawiał, ale nie zaprzętała sobie tym głowy.

- Do kogo dzwoniłeś?

- Do Slima Jenkinsa. Handluje używanymi samochodami. Na nowy mnie teraz nie stać, ale nie możesz być uwiązana w domu. Poza tym przyda się nam taki wóz, do którego wszyscy się zmieścimy.

Mary przekręciła się na brzuch i spojrzała na przystojną twarz męża. Nie wydawał jej się pociągający, gdy spotkali się po raz pierwszy, ale teraz to co innego! Kochała każdą zmarszczkę i bruzdę na jego spalonej słońcem twarzy, zwłaszcza kreseczki w kącikach oczu.

- Umówiłem się, że wpadniemy do Slima jutro po południu. Pasuje ci?

- Idealnie.

Travis wyciągnął rękę i wplótł palce we włosy żony; ich usta znalazły się bardzo blisko. Pocałunek był niespieszny, ale zachłanny. Wargi męża wydały się Mary wyjątkowo miękkie. Gdy oderwali się od siebie, Travis wydał przeciągłe westchnienie.

Mary uśmiechnęła się do siebie.

- Co tam znowu?

Jego dłonie powędrowały do piersi żony.

- Nie mogę się nadziwić, jaki jestem przy tobie napalony.

- Napalony?

Roześmiał się i powiódł kciukiem po jej sutkach, które natychmiast naprężyły się.

- To znaczy, moje niewiniątko, że zawsze mnie podniecasz.

- Naprawdę?

- Naprawdę - odparł Travis z wyraźnym rozbawieniem. - I to jak!

Mary objęła męża za szyję i poszukała ustami pulsu, który bił jak szalony u jej nasady.

Ręce Trávisa znalazły się na jej biodrach. Przyciągnął ją do siebie. Koszula Mary odsunęła się, odsłaniając uda. Kiedy żona dotknęła go nagim biodrem, Travis zdumiał się.

- Mary, nie włożyłaś nic pod koszulkę?

- Nic - powiedziała, naśladowując jego intonację i wymowę. - Uznałam, że to strata czasu.

Długie nogi męża splotły się z jej nóżkami w tej samej chwili, gdy usta dotknęły ust. Całowali się z nowym zapalem. Ręka Trávisa objęła pierś żony i Mary westchnęła, czując rozkoszny żar - jak zawsze pod dotknięciem męża.

Początkowo nie usłyszeli stukania do drzwi. Zwłaszcza Travis nie zwracał na nic uwagi. Mary oderwała usta od jego ust.

- Kto tam?

- Beth Ann - odparła dziewczynka. - Nie mogę spać. Ręka mnie boli.

- Wejdz, kochanie - powiedziała Mary, obciągając koszulę.

Drzwi się otwarły i Beth Ann wśliznęła się do mrocznej sypialni. - Czasem jak byłam chora, mamusia i tatuś pozwalali, żebym spała z nimi.

Mary spojrzała na Trávisa, który groźnie zmarszczył brwi. Nie zważając na to ostrzeżenie, odsunęła się od męża, pozostawiając wolną przestrzeń między nimi, i poklepała zapraszającym gestem kołdrę.

- Chodź, serduszko. Możesz spać dzisiaj z nami.

Beth Ann podbiegła i wgramoliła się na materac.

- Ale tylko dzisiaj! - zapowiedział Travis.

- Niech będzie! - zgodziła się dziewczynka z westchnieniem.

Rozdział 13

- Ja chcę iść na diabelski młyn! - oświadczył podniecony Scotty z tylnego siedzenia kombi, gdy jechali do Grandview na festyn dożynkowy. Dzieci nie mogły usiedzieć spokojnie; podskakiwały na tylnym siedzeniu jak ziarnka kukurydzy prażone na patelni.

Mary z uśmiechem zerknęła na Trvisa.

- Zobaczymy.

- Znowu pojedzie do rygi! - mruknął Jim na tyle głośno, by zirytować młodszego brata. Mary podejrzewała, że Jim drażnił Scotty'ego od czasu do czasu po prostu dlatego, by nie wyjść z wprawy.

- Wcale nie! - wrzasnął Scotty. - Lubię ryzykowną jazdę!

- Jesteś mięczak i sam dobrze o tym wiesz.

- Dość tego! - przerwał im Travis.

- Scotty boi się diabelskiego młyna! - wyśpiewywał drwiąco Jim.

- Wcale nie!

- A co było w zeszłym roku?

- Nie rzygałem ze strachu! - oburzył się Scotty, miotając się na tylnym siedzeniu.

- Dość tego! - powtórzył Travis, tym razem groźniejszym tonem.

Mary odetchnęła z ulgą, gdy nastąpiło tymczasowe zawieszenie broni. Poluzowała pas bezpieczeństwa na piersiach i zmieniła nieco pozycję, by mieć dzieci na oku. Kupili kombi kilka dni temu i Mary nie mogła się nadziwić, jak dotąd radzili sobie bez niego?

- Ja nie chcę na żadne młyny - oświadczyła Beth Ann cienkim, smutnym głosem.

- Pewnie i tak by cię nie wpuścili z twoim gipsem - poinformował ją Scotty z

miną znawcy w tej dziedzinie.

- Poczekamy, zobaczymy. - Mary podejrzewała, że Scotty ma słuszość. Znajdą jednak z pewnością jakąś atrakcję dla Beth Ann. Dziewczynka radziła sobie całkiem nieźle mimo gipsu unieruchamiającego jej rękę od czubków palców do łokcia. Fatalnie się złożyło, że Beth Ann złamała prawą rękę. Mimo to dziewczynka dzielnie próbowała pisać i ubierać się bez pomocy. Oczekiwanie na festyn dożynkowy bardzo poprawiło jej humor. Pomogło także i to, że wzięła udział w przyjęciu wydanym na cześć nowożeńców, a zwłaszcza Mary.

W lokalnej prasie od dwóch tygodni pełno było wzmianek na temat odbywającego się co roku festynu. Koło pań przygotowywało wypieki na „paradę ciast”.

Mary także upiekła placek i dostarczyła go przed imprezą. Zgłosiła się wówczas do nadzorowania jednej z zabaw dla dzieci młodszych, tak zwanej „Rybki”. Od siódmej do ósmej w piątkowy wieczór Mary miała przyczepiać różne upominki do końca wędki.

Przez cały dzień dzieci były podekscytowane lokalną imprezą. Paplały jak srocзки od chwili, gdy wpadły po szkole do domu. Cała trójka pospiesznie wywiązała się ze swoich obowiązków: Dzieci bały się spóźnić na festyn. Nie chcieli stracić ani minuty!

- Najpierw coś zjedzmy - zaproponowała Mary, gdy Travis zaparkował kombi. Boisko futbolowe przy szkole średniej przeistoczono w ogromny parking, gdyż właśnie na niewielkim szkolnym parkingu rozłożyło się wesołe miasteczko. Światła olbrzymich reflektorów, zainstalowanych na skraju boiska, krzyżowały się na niebie. W sali gimnastycznej znalazło się miejsce na gry towarzyskie i różne inne atrakcje; między innymi urządzono tam kącik dla tych, którzy mieli ochotę coś przekąsić.

- Chce mi się jeść! - stwierdził radośnie Scotty.

- A kiedy ci się nie chce?! - spytał znacząco Jim. Beth Ann wybuchnęła śmiechem, jakby starszy brat powiedział Bóg wie jaki dowcip.

- Dość tego! - musiał interweniować (po raz chyba dziesiąty!) Travis, gdy wszyscy wygramolili się z kombi.

- Mogę dostać watę cukrową i lizaka, i prażoną kukurydzę? - spytała Beth Ann, wsuwając zdrową rączkę w dłoń Mary i ciągnąc ją niecierpliwie.

- To nie byłaby kolacja.

Beth Ann westchnęła z komicznym zawodem.

- Idźcie przodem - polecił Travis i odszedł kilka kroków w przeciwnym kierunku. - Dołączę do was za parę minut.

Zaskoczona Mary zatrzymała się. Potem skinęła głową, starając się ukryć rozczarowanie. Podobnie jak dzieci cieszyła się na to rodzinne wyjście. Miała nadzieję, że będą się bawić wszyscy razem: Travis, ona i dzieci. Niech się dobrzy ludzie z Grandview gapią na nich, ile wlezie! Może wówczas skończą się podejrzliwe spojrzenia, nietaktowne pytania i wytrzeszczanie oczu. A ich małżeństwo przestanie budzić sensację. To, że Travis teraz gdzieś się zawieruszył, zostawiając ją z dziećmi, z pewnością wywoła znów plotki.

- Dokąd wujek poszedł? - spytał Scotty, idąc tyłem, by nie stracić Trávisa z oczu.

- Nie jestem pewna. - Mary obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że mąż z rękami w kieszeniach przechadza się powoli wzdłuż szeregów stojących na parkingu samochodów. Raz po raz zatrzymywał się i przyglądał któremuś dokładniej, po czym z wyraźnym zawodem ruszał dalej.

- Możemy dostać hamburgery? - spytała Beth Ann, ciągnąc Mary za rękę, by zwrócić jej uwagę. Mary obejrzała się na dzieci i przytaknęła z roztargnieniem. Jej smutne spojrzenie powróciło na chwilę do Trávisa. Tak wiele sobie obiecywała po tej wyprawie!

- Mary!

- Hamburgery? Oczywiście, doskonały pomysł.

- Z mnóstwem frytek.

- Z mnóstwem frytek - przytaknęła już weselej. Bez wątpienia dzieci nabiorą ochoty na wiele innych smakołyków, gdy będą przechodziły koło różnych stoisk.

- I z lemoniadą.

- Nie ma sprawy - przytaknęła znowu.

- Chcę kolbę kukurydzy i taki duży obarzanek z solą!

- I lody.

- Później - obiecała Mary ze śmiechem. - Jeśli jeszcze znajdziecie na nie miejsce.

- Ja znajdę! - zapewnił ją Scotty, po czym strasznie się zaczerwienił, kiedy Beth Ann i Jim zrobili wielkie oczy.

Na hamburgery czekali w kolejce przez dobry kwadrans. Wydawać by się mogło, że wszystkim mieszkańcom Grandview w tej samej chwili zachciało się hamburgera! Mary domyśliła się, że przyciągnął ich wielki grill, ustawiony tuż przy wejściu do sali gimnastycznej. Zapach smażonej cebulki i wołowiny z sosem unosił się w wieczornym powietrzu.

Festyn dożynkowy przypominał Mary „Święto Krabów” w jej rodzinnym mieście. Okoliczni mieszkańcy przybywali z daleka, by znaleźć się w tym dniu na zatłoczonych ulicach Petite. To wspomnienie wywołało u Mary nieoczekiwany przypływ tęsknoty. Korespondowała regularnie z Georgeanne, ale nowe życie z Travisem i dziećmi toczyło się tak wartko, że nie miała czasu tęsknić za Luizjaną. W listach od Georgeanne roiło się od zajmujących ploteczek. Mary miała wrażenie, że przyjaciółka cierpliwie czeka na jej wyznanie, że popełniła omyłkę i że niebawem wróci do domu. Georgeanne na to właśnie liczyła.

Zdecydowanie oderwała myśli od swej najlepszej przyjaciółki. Kolejka

posuwała się w stronę grilla, a Mary co chwila oglądała się przez ramię, czy nie nadchodzi Travis.

Nie przyłączył się do nich nawet wówczas, gdy znaleźli się na samym początku kolejki. Mary zamówiła jedzenie dla dzieci. Sama postanowiła zaczekać na męża.

Dzieciaki poszły za nią, niosąc grube tekturowe talerze, w stronę beżowych składanych krzeseł ustawionych wokół stolików nakrytych papierowymi obrusami. Mary pomagała Beth Ann nałożyć ketchup i musztardę, ale nie spuszczała oka z drzwi, czekając niecierpliwie na Travisa. Scotty doszedł do wniosku, że woli czekoladowe mleko od lemoniady i Mary zdobyła je dla niego.

- Gdzie jest wujek? - spytała Beth Ann, rozglądając się dokoła, gdy Mary wróciła do stolika. Dziewczynka niezgrabnie maczała lewą ręką frytki w ketchupie i niosła je do buzi. - Chcę go zapytać, co z karuzelą?

Mary też bardzo chciałaby wiedzieć, gdzie się podział jej mąż. Zupełnie się nie spodziewała, że zaraz po przybyciu na festyn Travis opuści ją i dzieci. Przypomniały jej się wydarzenia nocy poślubnej, kiedy również zniknął, zostawiając oblubienicę kipiącą z gniewu.

- Zaraz wrócę - mruknęła Mary straciwszy resztki cierpliwości, gdy po upływie dwudziestu minut Travisa nadal nie było.

- Dokąd idziesz?

- Po wujka Travisa.

- Ale wrócisz, prawda?

Mary uśmiechnęła się do Scotty'ego i Beth Ann, którzy spoglądali na nią z niepokojem. Jim był - przynajmniej z pozoru - całkowicie obojętny.

- Wrócę tak szybko, że nie zdążycie zauważyć, że mnie nie ma - zapewniła ich Mary.

Sala gimnastyczna zapełniała się coraz bardziej, rozbrzmiewały w niej

donośne śmiechy i wesołe głosy. Stacja radiowa z Miles City nadawała program muzyki country na żywo; ze szkolnych głośników rozlegały się piosenki. Wszędzie dokoła panował radosny nastrój, ale Mary się on w tej chwili zupełnie nie udzielał.

Przedarcie się przez tłum wypełniający salę gimnastyczną okazało się wyczynem nie lada. Mary przystanęła i obiegnęła wzrokiem morze twarzy, szukając wśród nich Travisa. Może po prostu nie mogli się odnaleźć? Może szukał jej i dzieci, nie wiedząc, w którą stronę poszli?

Mimo wszelkich starań Mary nie była w stanie zdusić kielkującej w jej sercu piekącej urazy. Poszli na festyn całą rodziną. Poprzednio (Mary była o tym przekonana) Travis chodził ze swoimi kumplami, by popić i pohulać. Jeśli sobie wyobrażał, że ona pozwoli mu nadal odgrywać rolę kawalera, grubo się mylił!

Rozejrzała się po terenie wesołego miasteczka. Błyskały kolorowe światła, rozlegały się głośne okrzyki i piski tych, którzy zdecydowali się na jakąś ryzykowną eskapadę. Mary nagabywano co chwila, by spróbowała sił w różnych grach zręcznościowych, ale nie dała się skusić. Przebijanie balonów strzałką ani celowanie groszakami do akwarium w chwili obecnej zupełnie jej nie pociągało.

Zniechęcona mijała pospiesznie karuzele i inne atrakcje, zmierzając ku granicy terenu imprezy. Przeciskała się między stojącymi w rzędzie przyczepami na sam koniec boiska do gry w piłkę nożną.

- Cześć, śliczna paniusiu! - Wysoki i chudy mężczyzna o mętnych brunatnych oczach uśmiechnął się do nadchodzącej Mary. Siedział na stopniach przyczepy i obserwował nadchodzącą.

- Cześć - odparła Mary bez entuzjazmu. Nie chciała wydać się nietowarzyską, ale miała na głowie troje dzieci, które na nią czekały, i męża, który się gdzieś zawieruszył.

- Ślicznie wyglądasz w ten uroczy wieczór.

- Dziękuję. - Mary pospieszyła na boisko coraz bardziej zapełniające się

samochodami. Prawie wszystkie stanowiska były już zajęte. Tylko szczęśliwym trafem udało jej się dostrzec Trávisa. Był na parkingu, przechadzał się między długimi rzędami wozów, tak samo jak w chwili, gdy go widziała po raz ostatni.

- Travis! - zawołała i wyszła zza przyczepy, podniosła rękę, by zwrócić uwagę męża.

Travis widać jej nie usłyszał.

Zawołała go powtórnie. Tym razem jej głos doleciał do niego z wiatrem, toteż odwrócił się raptownie. Jego twarz była wyraźnie widoczna w świetle dwóch potężnych reflektorów.

Ruszył w kierunku Mary, ona zaś podbiegła ku niemu. Spotkali się w pół drogi.

- Żebyś wiedział, że wcale mi się nie podoba takie zachowanie! - wybuchnęła.

- Jakie zachowanie?

- Zapomniałeś, że jesteś tu ze mną i z dziećmi!

Travis wzruszył ramionami.

- Wcale o was nie zapomniałem.

- Więc co tu robisz? - dopytywała się.

- Byłem zajęty - odparł wymijająco. Jego twarz jeszcze bardziej spochmurniała, jakby nie podobało mu się to wypytywanie.

A niech się złości! Mary wcale to nie obchodziło. Dzieci czekały i z pewnością już się niepokoiły. Nie było czasu na kłótnie.

- Przyglądałem się samochodom.

- Po co?

- Chciałem sprawdzić, czy któryś z nich nie miał niedawno stłuczki - wyjaśnił Travis chłodno. - Szeryf Tucker mógł zapomnieć o Lee i Janice, ale ja nie!

- Travis! - szepnęła Mary bardzo przygnębiona. - Dla twego własnego dobra zostaw tę sprawę w spokoju.

Nic nie mogło wskrzesić brata ani bratowej Trávisa. Minęło wiele miesięcy i jeśli szeryf nie znalazł przez ten czas żadnych śladów, było mało prawdopodobne, że Travis coś odkryje.

- Nie, nie zostawię tej sprawy! - odparł przez zaciśnięte zęby; chwytając żonę za ramiona, okręcił ją tak, że stanęli twarzą w twarz. - Nie spocznę, póki się nie dowiem, kto zawinił. Przyrzekłem to dzieciom i samemu sobie. Ten, kto zepchnął wóz Lee z szosy, zapłaci za to!

- Travis, proszę cię...

- O co mnie prosisz? - spytał z oczyma twardymi jak stal. - Żebym wybaczył mordercy i żył jakby nigdy nic?

- Tak - powiedziała błagalnie, wpatrzona w niego. Oczy Trávisa pociemniały. Jego dzikie spojrzenie przeraziłoby Mary, gdyby go nie znała.

- Wybij to sobie z głowy, bo ja nie zrezygnuję! Ani teraz, ani za rok. Będę go szukał choćby dwadzieścia lat. Ani ty, ani nikt inny mnie nie powstrzyma! Zrozumiałaś? - Ostatnie słowa wykrzyknął. Był to okrzyk potępieńca, pełen wściekłości i rozpacz.

Zaskoczyła ją ledwie hamowana pasja Trávisa. Jego palce wpiły się w ramiona żony, choć z pewnością nie uświadamiał sobie, że sprawia jej ból.

- Muszę... Muszę wrócić do dzieci - powiedziała oszołomiona jego gwałtownością, nie wiedząc, jak zareagować.

Travis przymknął na chwilę oczy; wciągnął powietrze głęboko w płuca, a potem wolno wydychał.

- To już długo nie potrwa. - Spojrzał na żonę, starając się opanować swój ból. Jego lodowata wściekłość gdzieś znikła.

Mary popatrzyła w stronę sali gimnastycznej. Niepokoiła się, że dzieci zbyt długo pozostawały same.

- Muszę wracać. - Chciała już odejść, gdy Travis chwycił ją za rękę i

przytrzymał.

Po dłuższej chwili powiedział:

- Nie chciałem na ciebie wrzeszczeć.

- Wiem.

Mruknął coś pod nosem, a potem chwycił Mary w ramiona, jak gdyby raptownie zapragnął jej bliskości. Jego ręce objęły ją w pasie. Przez chwilę po prostu tulił żonę do siebie.

- Mary - szepnął gardłowym głosem i jego usta znalazły się na jej ustach. Jego język szukał jej języka. Ich ciała zwały się tak ściśle, że piersi Mary spłaszczyły się o twardą klatkę piersiową Trávisa. - Przepraszam - szepnął, całując ją leciutko w szyję. - Chciałaś się dziś wieczór dobrze bawić, prawda?

- Nic nie szkodzi. Rozumiem.

- Chodźmy! - powiedział, wsuwając rękę żony pod swoje ramię. - Wrócimy do dzieci i zabawimy się wszyscy razem!

Tilly nigdy jeszcze nie cieszyła się tak bardzo na randkę. Logan obiecał, że przyjdzie po nią tuż przed piątą. Spędziła prawie cały dzień, szykując się na pierwsze oficjalne wyjście razem z nim.

Ponieważ ominęła ją niegdyś okazja uczestniczenia w szkolnym balu, Tilly powetowała to sobie, spędzając teraz tyle czasu na przygotowaniach do randki z Loganem, jakby znowu miała siedemnaście lat.

Przede wszystkim udała się rano do fryzjera, potem poszła na zakupy i wróciła z parą eleganckich džinsów z białymi skórzanymi gwiazdkami na kieszeniach i skórzaną frędzlą sięgającą od bioder aż do mankietów spodni. Jaskrawoczerwona kowbojska bluzka z rękawami zawiniętymi aż za łokcie oraz apaszka idealnie pasowały do džinsów.

Logan zjawił się punktualnie o piątej. Gdy mu otworzyła, zatrzymał się na

progu i zagapił na nią z otwartymi ustami, według najlepszych tradycji.

- Tilly! Boże święty, aleś ty piękna! Mam ochotę cię schrupać!

Tilly była przekonana, że od dawna oduczyla się rumienić, ale tym razem się zaczerwieniła. Jego miłe słowa zapadły jej głęboko w serce.

- Czy starczy mi odwagi, by pocałować taką ślicznotkę? - Wydawało się, że zobaczył ją po raz pierwszy i boi się jej dotknąć. Nie mógł sprawić Tilly większej radości!

- Całuj, ile chcesz, bylebyś mnie nie potargał.

Pocałunek był długi i rozkoszny; całkiem się w nim zapamiętali.

- Och, Tilly, jesteś taka słodka - wyszeptał Logan z żalem, odrywając usta od jej ust.

- Nie musimy nigdzie wychodzić - podsunęła, w jednej chwili przestraszona i onieśmielona.

- Wychodzimy i już! - Logan oparł dłonie na ramionach Tilly i odsunął ją na bezpieczną odległość. - Potem będzie dość czasu na miłość!

Z ciężkim sercem Tilly obejrzała się przez ramię na pokój sypialny.

- Możemy się troszkę spóźnić. Nikt nie kazał nam zjawić się punktualnie o wpół do szóstej.

Spragniony wzrok Logana poszybował w tym samym kierunku.

- Nie zwiedzisz mnie tym razem na manowce! - Powziąwszy tę decyzję nieco się odprężył. - A kochać się będziemy u mnie w domu, i to przez całą noc. Calutką! Chcę, żebyś była przy mnie, Tilly, gdy obudzę się rano. Rozumiesz?

Tilly znieruchomiała. Byli kochankami od dobrych kilku miesięcy, ale jeszcze nigdy nie odwiedziła Logana w jego domu.

- Żadnych sprzeciwów, rozumiano? Najwyższy czas, żebyś zobaczyła, jak mieszkam.

Tilly myślała, że jej serce pęknie: nie pomieści się w nim chyba tyle

szczęścia!

- Tilly! - jęknął Logan. - Nie rób mi tego!

- Czego?

- Nie uśmiechaj się tak!

Tilly zamrugła oczami.

- Niby jak?

Logan pocałował ją zachłannie.

- Właśnie tak, jak przed chwilą. Takim słodkim, kobiecym uśmiechem.

Tilly była zachwycona.

- Mam słodki kobiecy uśmiech?

- Tak, kochanie. Doprowadzasz mnie nim do szaleństwa!

- Takim uśmiechem? - Zademontowała go i bardzo ją usatysfakcjonował cichy jęk Logana. Chwycił ją za ramię i dosłownie wyciągnął z domu.

- Czy nie powinnam zabrać ze sobą piżamy? - spytała szeptem, choć nie było w pobliżu nikogo, kto mógłby ich usłyszeć.

Logana szczerze to ubawiło.

- Niby po co? Jeśli o mnie chodzi, wolę, żebyś nie miała na sobie w ogolenie!

Tilly roześmiała się i pozwoliła, by Logan pomógł jej przy wsiadaniu do auta. Usadowiła się wygodnie na miejscu obok kierowcy i sięgnąwszy po pas bezpieczeństwa rozciągnęła go i zapięła jak trzeba. Zapach skóry przypomniał jej, że samochód jest nowy; Logan kupił go wkrótce po przyjeździe do Grandview. Tilly pamiętała, jak zaimponowała jej skórzana tapicerka. Chyba po raz pierwszy w życiu jechała wtedy nowym wozem. Pojazdy, z których dotąd korzystała, były żalostną ruiną: poniszczone i porzucone przez poprzednich właścicieli. Tilly pod wieloma względami przypominała sama taki wóz „z trzeciej ręki”. Żeby nie wiem jak się starała, nie potrafiła zrozumieć, jak Logan - tak różny od niej jak mercedes od forda! - mógł się w niej zakochać. Przynajmniej dziś nie będzie się zadręczać

takimi problemami!

Na festynie było tłoczno i wesoło. Tilly nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać. Przez pierwszą godzinę czekała z niepokojem na jakieś komentarze na temat tego, że przysłała razem z Loganem, ale żadne uwagi nie padły i Tilly niebawem się odprężyła.

Logan postanowił, że skorzystają ze wszystkich najbardziej podniecających atrakcji. Tilly bynajmniej nie podniecało to, że jakaś aparatura miota nią we wszystkie strony, ale Logan się uparł. Ponieważ zaś Tilly była tak bardzo szczęśliwa, nie mogła sprawić ukochanemu zawodu. Logan bez ustanku zapewniał ją, że będą to cudowne przeżycia.

Tilly zdecydowanie zwątpiła w to, gdy znalazła się trzydzieści stóp nad ziemią, w dodatku do góry nogami. Jej starannie ułożone włosy włożyły jej teraz w oczy i w usta.

- I po co siedziałam dwie godziny u fryzjera?! - mruknęła.

Logan roześmiał się.

- Wynagrodzę ci to później! - szepnął i pocałował ją w szyję.

Tilly spojrzała na ziemię, hen daleko pod nimi; zdumiała się, jak wysoko się wzniesli. Z tej odległości nikt by ich na pewno nie rozpoznał. I to ośmieliło Tilly. Jej dłoń powolutku sunęła po wewnętrznej stronie uda Logana.

- Tilly! - szepnął Logan, przytrzymując jej zbłąkaną rękę. - Zachowuj się jak należy!

- Właśnie to robię. Ależ cudownie! - odpowiedziała mu również szeptem i uśmiechnęła się, widząc, jak mocno Logan ściska ręką poręcz.

- O Boże! Tilly, co ty wyrabiasz?!

- Chcę ci odpłacić za to, że wyciągnąłeś mnie na ten okropny diabelski młyn!

- Przestań! - zaklinał ją. - Przysięgam, jak tylko wrócimy na ziemię, zabieram

cię do siebie!

- Ależ ja jestem głodna! - Zrobiła śliczną, nadąsaną minkę.

- Nakarmię cię później. Dostaniesz homara, wszystko czego zechcesz, tylko zabierz, do diabła, tę rękę, zanim zwariuję!

Tilly była zachwycona swoją władzą nad Loganem. Z innymi nigdy tak nie było. Zarówno Phil, jak i Davey trzymali ją mocno za pysk, aż straciła resztki szacunku do siebie. To, że teraz ona decyduje o biegu wydarzeń, działało na Tilly jak potężny afrodyzjak.

Gdy znaleźli się wreszcie na ziemi, Tilly, podobnie jak Logan, nie mogła się doczekać chwili, gdy opuści wesołe miasteczko. Zmieniła jednak zdanie, kiedy mijali stoisko z watą cukrową.

- Logan! - wysapała (na każdy jego krok przypadały jej dwa!). - Mam ochotę na cukrową watę!

Logan udawał zdesperowanego, ale zdradził go uśmiezek drżący w kącikach ust.

- Najpierw mnie doprowadzasz do obłądu, a potem dobijasz czymś takim! Wata cukrowa?!

Tilly przytaknęła.

- Niech ci będzie. Może szarpnę się nawet na lizaki. - Wyjął portfel i położył na ladzie kilka banknotów. - Bóg mi świadkiem, że będę niebawem potrzebował dużo sił!

- Witaj, Tilly!

Przyjazne powitanie, wypowiedziane z południowym akcentem, zbiło Tilly z tropu. Odwróciła się i ujrzała Mary Thompson. Szczerze ucieszyła się na widok nowej przyjaciółki.

- Cześć, Mary!

- Nie byłam pewna, czy to ty - powiedziała Mary. - Cudownie wyglądasz!

Chciałabym mieć takie wspaniałe włosy.

- To nic trudnego, kotku: dwie godziny u fryzjera i butelka lakieru w sprayu czynią cuda! - Mary roześmiała się, a Logan chrząknął, czekając, by Tilly go przedstawiła.

- Mary, ten facet ubabrany cukrem na nosie to Logan Andersen - wiedziała Tilly, obejmując go w pasie i popychając do przodu. - Logan jest Mary Thompson, żona Trávisa.

- Bardzo miło mi panią poznać - powiedział Logan. - Dobrze się pani bawi na festynie?

- Ostatnią godzinę spędziłam ukryta w falach Szczęśliwej Rzeki - odparła Mary, trochę zmęczona. - Innymi słowy: udawałam rybkę podczas gry w „Rybkę”.

- A, to ta zabawa dla dzieci!

Mary skinęła głową.

- Travis miał się tu ze mną spotkać o ósmej, ale się spóźnia. Pewnie Beth Ann zmusiła go, żeby ją zabrał na karuzelę. Większość atrakcji jest dla biedulki niedostępna, bo ma rękę w gipsie.

- Wiem - powiedział Logan z roztargnieniem. - Tata wspomniał mi niedawno o Beth Ann. Złamała rękę na szkolnym boisku w ubiegłym tygodniu, prawda?

Mary skinęła głową.

- Przeraziliśmy się z Travisem nie na żarty! Na Beth Ann wszystko zagoi się bez śladu, ale wątpię, czy my o tym tak szybko zapomnimy.

Donośne, gniewne głosy zwróciły uwagę Mary, zwłaszcza że jeden z nich był jej dobrze znany. Tilly odwróciła się i zobaczyła Trávisa kłócącego się zawzięcie z szeryfem Tuckerem.

- Co się tam dzieje? - spytała.

- Nie wiem - odparła Mary, przygryzając dolną wargę. W jej łagodnych niebieskich oczach pojawił się niepokój.

- Kocha go! - pomyślała Tilly i ucieszyło ją to.

Travis stuknął palcem w pierś szeryfa.

- Proszę mi wybaczyć, muszę już iść - powiedziała pospiesznie Mary.

- Ależ oczywiście.

- Bardzo mi było przyjemnie pana poznać. Pański ojciec cudownie się zatroszczył o Beth Ann.

- Dziękuję pani.

Jakby się zmówili, Logan i Tilly ruszyli w ślad za Travisem i Mary. Gdy zdolali przedrzeć się przez ciżbę, Tilly zorientowała się, że szeryf - podobnie jak Travis - hamuje się ostatkiem sił. Uszy miał ogniście czerwone, szczęki zaciśnięte.

- Słuchaj no, Travis! Jeszcze jedno słowo i będę musiał cię aresztować!

Tilly obserwowała Travisa. Jego lodowate spojrzenie mogłoby zmrozić słońce. Szczęki miał jak z granitu, a gdy się odezwał, wypływał z siebie słowa jak odłamki betonu. Ręce zacisnął w pięści i z pewnością puściłby je w ruch przy najlżejszej prowokacji.

- Travis! - Mary próbowała bezskutecznie przyciągnąć uwagę męża. - to wszystko znaczy? Powiedz mi, co się stało!

- Szeryf Tucker zamknął dochodzenie w sprawie śmierci moich rodziców - oznajmił Jim. - Powiedział, że nie znalazł żadnych śladów. Uważa, że to sprawa nie do rozwiązania, więc ją wetknął na dno jakiejś szuflady.

- Nie mam wyboru - wyjaśnił szeryf. - Choćbyśmy nawet mieli fundusze na dalsze prowadzenie śledztwa, brak jakichkolwiek śladów. A gdybyśmy zaczęli szukać kogoś, kto używa opon radialnych Firestone, trzeba by było przesłuchać połowę mieszkańców naszego powiatu. Tego zrobić nie mogę!

Z pomrukiem obrzydzenia Travis opuścił ramiona, wykręcił się na pięcie i ruszył w stronę parkingu. Mary i trójka dzieci pospieszyli za nim, ledwie nadążając. Mary obejmowała opiekuńczo Beth Ann i młodszego chłopca. Starszy

szedł sztywno wyprostowany. Widać było, że szarpie nim ból i gniew, tak samo jak Travisem.

Szeryf rozejrzał się dokoła i zmierzył wzrokiem tłum ciekawskich, który zgromadził się, by popatrzeć na awanturę.

- Nic więcej nie mogę zrobić - powiedział z naciskiem przedstawiciel prawa, nie zwracając się do nikogo konkretnie. Widać było, że jest zawiedziony prawie tak jak Travis. Kilka osób zaczęło coś mamrotać. Wydawało się, że większość opowiada się po stronie Trávisa. - Rozejdźcie się, ludzie! - polecił szeryf, rozganiając gapiów. - Nie ma tu nic do oglądania!

Logan wrzucił nadgryziony lizak do pojemnika na śmieci.

- Wyjdźmy stąd! - powiedział do Tilly, biorąc ją za rękę.

- Nadal chcesz, żebym poszła do ciebie? - spytała szeptem Tilly.

Logan spojrzał w stronę oddalających się postaci Trávisa, Mary i dzieci. Powoli potrząsnął głową.

- Nie teraz.

Rozdział 14

Travis nie mógł zasnąć. Raz po raz przelatwały mu przez głowę wspomnienia tamtej koszmarnej nocy, kiedy zginęli Lee i Janice. Ilekroć zamykał oczy, wizja brata, rozpaczliwie usiłującego uniknąć czołowego zderzenia, płonęła w jego mózgu. Pisk opon na spalonej słońcem jezdni i głos Lee wołającego do żony, by osłoniła głowę, rozbrzmiewały echem w czaszce Trávisa. Odczuwał przerażenie i trwogę, które ogarnęły Lee, gdy wóz staczał się z szosy i mknął w stronę drzewa. Niewypowiedziany ból przeszywał go na myśl, że brat z pewnością wiedział, iż zguba jest nieuchronna.

O czwartej nad ranem Travis doszedł do wniosku, że o śnie nie ma mowy. Do

jego serca wpełził gniew jak wąż. Frustracja zalewała mu żołądek żrącym kwasem.

Czy jego brat wówczas krzyczał? A Janice? Czy ich śmierć była natychmiastowa, czy też musieli znieść przeraźliwy ból? O Boże, zmiłuj się! - błagał bezgłośnie Travis. Nie chciał o tym myśleć!

A jednak musiał wiedzieć, jak to się stało. Odczuć ich ból. Jego nienawiść potrzebowała pożywki, żeby nie zagasnąć. Szeryf Tucker zrobił, co do niego należało. Całe śledztwo, skrępowane biurokratycznymi przepisami, utonęło ostatecznie w morzu nieudolności i chłodnej obojętności. Dwie młode istoty zginęły tamtej nocy, a nikogo to - jak widać - nie obeszło. Nie pozwolę na to! - krzyknął Travis.

Zerwał się ogarnięty wściekłością. Przesunął ręką po twarzy, a jego chrapliwy oddech zamącił nocną ciszę.

- Travis? - łagodny głos Mary przebił się przez gęstą mgłę jego bólu.

- Śpij, śpij - powiedział, wsuwając palce w niesforną grzywę włosów.

- Co się stało?

- Nic - odparł mniej gwałtownie. Wcale nie chciał, by jego niepokój zakłócił sen żony.

Mary usiadła na łóżku, a jej ręka po ciemku natychmiast odnalazła policzek Tralisa. Poczul dotknięcie gładkiej, ciepłej dłoni. Z trudem się pohamował: tak cudownie byłoby przygarnąć Mary do siebie i wdychać zapach jej miękkiego ciała...Tylko dzięki niej jeszcze nie oszalał! Jeżeli będzie nadal rozmyślał o Lee i Janice, z pewnością postrada zmysły.

- Chcesz ze mną porozmawiać? - spytała łagodnie Mary z troską w głosie.

Travis odsunął jej rękę. Pokusa, by skorzystać z tej pociechy, była zbyt silna.

- Nie. To ciebie nie dotyczy.

- Chodzi o Lee i Janice, prawda? - spytała cicho. - I o to, co ci zakomunikował szeryf.

- Już ci mówiłem! - wybuchnął. - To nie twoja sprawa! - Odrzucił kołdrę, wyskoczył z łóżka i sięgnął po dzinsy. Tak bardzo pragnął czułości Mary, która pozwoliłaby mu zapomnieć o bólu! Jej miłość uleczyłaby go, sprawiłaby, że byłby znów taki jak dawniej. Rozpaczliwie pragnął jej łagodności, jej pociechy. Pragnął bezgranicznie zanurzyć się w jej ciepłym ciele, skorzystać z poczucia bezpieczeństwa, jakie mu dawała.

Zamiast tego musiał pogрузić się z głową w otaczającym go morzu goryczy. Nigdy by sobie nie darował, gdyby złamał obietnicę daną Lee, dzieciom i sobie samemu. Musi za wszelką cenę znaleźć sprawcę wypadku!

Stał po ciemku przy kuchennym stole, parząc kawę. Weszła Mary otulona szlafrokiem. Travis przyglądał się, jak cień żony sunie po przeciwległej ścianie. Wydawało się, że porusza się niezwykle powoli. Mary stanęła za mężem, objęła go ramionami w pasie i przytuliła głowę do jego pleców.

- Już dobrze, już wszystko dobrze - uspokajała go łagodnym szeptem.

- Z czym jest tak dobrze? Lee i Janice nie żyją; to ma być dobrze? Dla mnie nie jest! Spytaj Jima, czy chce o nich zapomnieć! Spytaj Scotty'ego i Beth Ann! - uwolnił się z objęć żony. Jej dotknięcie wywierało na niego zbyt wielki wpływ.

Musiał ją odepchnąć, choć Mary nigdy nie zrozumie, ile go to kosztowało.

Zbudziło się w nim pożądanie - ale to nie byłaby miłość, tylko seks. Brutalny i żarłoczny. Mary zasługiwała na coś więcej, o wiele więcej. Nie chciał tępić ostrza swojego bólu na jej kruchym ciele.

- Wracaj do łóżka.

- Chcę ci pomóc.

- Rób, co ci mówię! - warknął. - Choć raz mi się nie sprzeciwiaj!

Odskoczyła od niego jak oparzona. Nawet po ciemku mógł dostrzec łzy błyszczące w jej oczach. Wykręciła się na pięcie i wróciła do sypialni.

Travis odetchnął głęboko i bił się z myślami: iść za nią i przeprosić? Tak

łatwo było zatracić się w miłości do Mary! W tej chwili jednak nie wolno mu zmięknąć. Musiał podsycać w sobie to przerażające uczucie. Nie mógł dla własnej wygody zaprzepaścić swej misji. Wszyscy zrezygnowali z odnalezienia mordercy Lee, ale nie on. Raczej skona! Im prędzej Mary się z tym pogodzi, tym lepiej.

Travis spędził w kuchni kilka godzin. Siedział przy stole, obejmując gorący kubek z kawą. Ciepło promieniowało z dłoni aż po ramiona.

Pierwszy zbudził się Jim. Travis szorstko wydał chłopcu codzienne polecenia, nawet na niego nie patrząc. Jim nie wyrzekł ani słowa, ubrał się i poszedł do stajni. Trzaśnięcie drzwiami było jedynym wyrazem jego uczuć.

Ledwie drzwi się zamknęły, w kuchni zjawił się Scotty we flanelowej pizamce. Chłopczyk szedł jak we śnie. Ziewnął głośno i przykucnął przed kuchennym kredensem. Najwyraźniej nie uświadamiał sobie obecności wuja. Sięgnął po pudełko płatków kukurydzianych. Otworzył je i wsadził rękę do środka. W pudełku chyba niewiele już zostało, bo ręka zanurzyła się aż po łokieć, a kiedy chłopiec ją wyciągnął, palce miał pokryte okruszynami, które zaczął z zapalem zlizywać.

- Ubieraj się! - warknął Travis z całkiem niepotrzebnym gniewem.

Zaskoczony chłopiec odwrócił się raptownie.

- Jestem głodny - wyjaśnił.

- Ubierz się, potem będziesz jadł!

- Ale...

- Nie sprzeczasz się z wujkiem - odezwał się łagodny głos Mary. - Kiedy będziesz się ubierał, zrobię ci grzanekę.

- Z dżemem truskawkowym?

- Z dżemem truskawkowym - obiecała Mary.

Po cichutku krzątała się w swoich rannych pantoflach za plecami Travisa.

- Nie powinieneś być krzyczyć na chłopców - powiedziała spokojnie, bez wyrzutu.

- Będę robił, co zechcę, do cholery!

Mary westchnęła z wyraźną niecierpliwością.

- Zachowujesz się jak rozjuszony byk, mój panie. Lepiej chyba, żebyś się wyniósł i wziął do roboty, zanim powiemy sobie coś, czego oboje będziemy żałować.

Travis wiedział, że żona ma słuszość. Nie miał wcale ochoty uznać jej racji i nie zrobiłby tego, ale brakło mu energii i chęci do utarczek z Mary. Wiedział, że jest wściekły i zachowuje się niemądrze, ale poprawić się także nie miał zamiaru.

- Narąbię drew.

- Świetnie - powiedziała z aprobatą. - Może machając toporem trochę się wyładujesz. Dopilnuję, żeby dzieci nie wchodziły ci w drogę.

Travis skinął głową, zabrał swój kubek z kawą i wychodząc z domu trzasnął drzwiami. Na dziedzińcu minęli się z Jimem. Chłopiec spojrzał na niego, nie kryjąc złości. Niewiele to Travisa obeszło.

Mary nieco się odprężyła, kiedy mąż wyszedł z kuchni. Był w fatalnym humorze. Zdawała sobie sprawę, że Travis walczy z frustracją, która ogarnęła go po rozmowie z szeryfem. Kiedy lokalna policja prowadziła śledztwo w sprawie wypadku, Travis mógł siedzieć spokojnie i czekać, aż znajdą zabójcę Lee i Janice. Przedstawiciele prawa dysponowali sprzętem i dostępem do informacji, o jakich hodowca bydła nie mógł nawet marzyć.

Teraz jednak, gdy nie było już mowy o dalszym śledztwie, całkiem zrozumiałe, że Travis chciał sam je kontynuować. Nigdy nie pogodzi się z decyzją szeryfa Tuckera. Nie da za wygraną. Postanowił odnaleźć zabójcę brata i biada każdemu, kto mu w tym przeszkodzi!

- Czy wujek sobie poszedł? - spytał Scotty, wychylając się zza zakrętu korytarza. - Był na mnie wściekły!

- Wstał z łóżka lewą nogą, i tyle - zbagatelizowała sprawę Mary. Wątpiła, czy Travis choć na chwilę się zdrzemnął. Budziła się wielokrotnie w ciągu nocy i za każdym razem widziała, że mąż nie śpi. Udawał co prawda śpiącego, ale dobrze wiedziała, że tak nie jest.

Drzwi otworzyły się i Jim, ociągając się, wszedł do domu.

- Chyba Jim też wstał lewą nogą szepnął Scotty.

- Jaką znów nogą? - spytał gniewnie Jim.

- Czy ktoś ma ochotę na naleśniki? - odezwała się Mary, chcąc zapobiec kłótni. Podobnie jak Travis, Jim bardzo wziął sobie do serca decyzję szeryfa.

- Ja! - pisnął z entuzjazmem Scotty.

Jim wzruszył ramionami.

- Lubię naleśniki - oświadczyła Beth Ann, przysuwając sobie krzesło i wdrapując się na nie. - A najbardziej takie, jakie robiła mamusia.

- Ja też - przytaknął Scotty i dodał ze zdziwieniem: - Jakoś mi to wyleciało z pamięci. Mamusia tak je dziwnie zwijała, nadawała im cudaczne imiona i chwaliła nas, że jesteśmy tacy dzielni: zjadamy smoki!

- To było głupie - burknął Jim.

- Wcale nie! - krzyknął Scotty. Nie mógł pozwolić, by starszy brat zepsuł mu piękne wspomnienie. - To była świetna zabawa!

- Może dla takiego szczeniaka jak ty.

- Jim! - odezwała się Mary najsurowszym tonem, piorunując chłopca spojrzeniem. - Uspokój się!

- Zapomniałam dużo rzeczy o mamusi powiedziała ze smutkiem Beth Ann i oparła główkę o stół. - Czasem już nie pamiętam, jak wyglądała.

- W saloniku jest jej fotografia - przypomniała dziecku łagodnie Mary.

- Mamusia nie była taka jak na fotografii... nie całkiem - wyjaśnił Scotty. -
Miała krótsze włosy, a oczy...

- Mama nosiła okulary - dorzucił Jim.

- Nie chcę zapomnieć mamusi! - żaliła się Beth Ann. - I tatusia też chcę
pamiętać... - Najwyraźniej była o krok od płaczu.

- Tatusia łatwo zapamiętać - odezwał się Scotty. Wujek Travis jest do niego
bardzo podobny.

- Wuj Travis nie jest naszym ojcem! - wyrzucił z siebie desperacko Jim. - I
nigdy nim nie będzie! Nigdy!

- Jak mogę wam pomóc, żebyście lepiej o nich pamiętali? - łagodnie spytała
Mary. Nie chciała, żeby bezcenne wspomnienia o rodzicach zbladły w pamięci
dzieci.

- Może pójdziemy do nich z wizytą? - zaproponował drżącym głosem Scotty.

- Nie możemy, ty głupku! Oni nie żyją.

- Jim! - upomniała go Mary. - Nie bądź okrutny! Scotty dobrze o tym wie, i
Beth Ann także. Twój braciszek chce pójść na cmentarz i odwiedzić ich groby.
Prawda, Scotty?

Chłopiec skinął głową, nie podnosząc wzroku. Mary dostrzegła, że oczy miał
pełne łez i usiłował to ukryć przed drwiącym z niego starszym bratem. Kiedy Jim
nie widział, Scotty przeciągnął grzbietem dłoni pod nosem.

- Pojedziemy na cmentarz zaraz po śniadaniu.

- Ja nie.

Mary spojrzała na Jima. Jak zimne miał spojrzenie: całkiem jak Travis dziś
rano! Szczęki chłopca były zaciśnięte; wyraźnie czekał na jakąś wymówkę ze
strony Mary, na to, że zacznie nalegać.

- Nie będę cię do tego zmuszać - zapewniła go.

- Nic by ci to nie dało, nawet gdybyś chciała! Zresztą, tam wcale nie ma

moich rodziców. Co mi z tego, że popatrzę na górkę ziemi? Beth Ann też przez to nie zapamięta mamy i taty. Ten głupek Scotty niech sobie jedzie. Ja nie mam zamiaru! - I wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Po wyjściu Jima zaległa pełna napięcia, przykra cisza.

- Dlaczego, Jim jest taki zły? - dopytywała się Beth Ann, przekrzywiając główkę na bok, jakby to pomagało jej w zrozumieniu brata.

- Dlatego że strasznie tęskni za waszą mamusią i tatusiem - wyjaśniła Mary, czując ból Jima we własnym sercu. Jakże bezbronny był ten chłopiec, stojący na granicy dzieciństwa i młodości, uwikłany w płataninę uczuć, nieszczęśliwy! Był już za duży na to, by ssać palec jak Beth Ann albo płakać jak Scotty. A jednak za mały, by uporać się samemu z ogromem cierpienia. Serce Mary rwało się ku niemu, ale nie umiała do chłopca dotrzeć.

- Nie chcę już naleśników. - Słowa Scotty'ego zwiększyły jeszcze ból w jej sercu.

- Ja też nie! - Mary zauważyła, że dziewczynka znowu ssie kciuk.

Podczas gdy dwoje młodszych dzieci jadło płatki, Mary nalała sobie kawy. Nie była pewna, czy dobrze robi, zabierając je na cmentarz. Może nie przyniesie im to pociechy, tylko otworzą się częściowo zabliznione już rany i dzieci stracą poczucie bezpieczeństwa, które starała się zapewnić im od swego przyjazdu? Choć bardzo kochała te dzieci, nie była ich rodzoną matką, lecz jej niedoskonałą namiastką, a wizyta na cmentarzu mogła to dzieciom uświadomić.

- Już jestem gotowa - oznajmiła Beth Ann po śniadaniu. Wyszła ze swego pokoju z wypakowanym tornistrem.

- Co tam masz? - spytała Mary.

- Różne rzeczy. Chcę je pokazać mamusi i tatusiowi - oświadczyła z dumą Beth Ann. Wyjęła dynię z plasteliny, którą ulepiła w szkole przed dniem Wszystkich Świętych. Mary rzuciła okiem na zawartość tornistra i przekonała się,

że jest w nim dużo obrazków, między innymi ten z pięcioma ludzikami-patykami, którym się tak wzruszyła.

Scotty ociągał się, jakby nagle zwątpił w celowość wyprawy.

- Nie musisz tam iść - zapewniła chłopca Mary.

- Wiem, ale pójdę - odparł dzielnie.

Mary sięgnęła po palto. Niebo było zachmurzone, a całe ranczo pokrywał lśniący białą kołderką szron. Pewnie wkrótce zacznie padać śnieg.

Zastanawiała się, czy zawiadomić Trávisa, dokąd się wybierają, ale doszła do wniosku, że lepiej nie. Pracował na dziedzińcu, zawzięcie rozłupując na szczapy ogromny stos bali. Zrzucił kurtkę i machał siekierą z nieprawdopodobną energią. Chyba nie wytrzyma długo takiego morderczego tempa!

Przez chwilę przyglądała się mężowi, zafascynowana grą mięśni przy każdym wymachu uzbrojonych w siekierę ramion. Travis zdawał się nie dostrzegać jej obecności, co jeszcze potwierdzało najgorsze przypuszczenia Mary.

Beth Ann i Scotty wdrapali się na tylne siedzenie kombi. Mary właśnie włączyła zapłon, gdy z domu wybiegł Jim. Na rękę miał niebieską kurtkę, jakby w ostatniej chwili podjął decyzję. Nie patrząc w stronę Mary, przebiegł przez dziedziniec, otworzył drzwi wozu i zajął miejsce obok kierowcy.

- Myślałem, że nie jedziesz - odezwał się Scotty uradowany tym, że brat się do nich przyłączył.

- Wolę nie zostawać z wujem Travisem, kiedy jest taki wściekły. - Jim nadal nie patrzył na Mary, jakby w obawie, że go jakoś zawstydzi. Serce się jej ścisnęło. Dobrze wiedziała, że wzmianka o złym humorze Trávisa jest tylko wymówką. Pokochała chłopca jeszcze bardziej za to, że ośmielił się pójść za popędem serca. Bardzo chciała powiedzieć Jimowi, że jest z niego dumna, ale nie mogła tego uczynić. Przynajmniej nie w tej chwili. Może później, za kilka miesięcy, przyjdzie pora na szczerą rozmowę.

Cmentarz w Grandview leżał na obrzeżach miasta. Niegdyś zapewne wytyczono go przy kościele. Potem kościół się zawalił. Można było jeszcze dostrzec miejsce, z którego górował nad okolicą.

Cmentarz otoczony był kamiennym ogrodzeniem, wysokim na trzy stopy. Słońce lśniło na pokrytej szronem trawie. Masywne nagrobki, niektóre aż siedmiostopowe, były rozrzucone dość bezładnie po falistym terenie.

- Mama i tata leżą tutaj - powiedział Jim, podjąwszy się roli przewodnika. Jego stopy znaczyły wyraźne ślady na zamarzniętej trawie. - Właśnie tu. - Stał wskazując na ziemię.

Mary spojrzała w dół i zobaczyła dwie skromne marmurowe tablice. Przeczytała wyryte w kamieniu lakoniczne napisy. Imiona zmarłych, daty urodzenia i śmierci, i nic poza tym. Żadnych wersetów biblijnych jak na grobach jej brata czy rodziców. Żadnych epitafiów albo ogólnie znanych sentencji. W niewielu słowach upamiętniono tych dwoje ludzi, których śmierć spowodowała tak ogromną zmianę w jej własnym życiu.

Mary zdziwiła się, czując napływające jej do oczu łzy. Potem ogarnęło ją wzruszenie. Łzy płynęły gęsto i szybko, jakby zbyt długo je powstrzymywała. Mary pomyślała, że bardzo pragnęłaby porozmawiać z matką dzieci. Jakże chętnie pogratulowałyby Janice, że tak wspaniale je wychowała! Kobieta, która urodziła tę trójkę, wydawała się Mary kimś bardzo realnym. Nie wiedziała zbyt wiele o Janice Thompson, ale była pewna, że bardzo chętnie zaprzyjaźniłaby się z nią.

- Cześć, mamusiu, cześć, tatusiu! - odezwał się pierwszy Scotty. Złożył ręce jak w kościele do modlitwy. - Bardzo za wami tęsknię. Czy wam też mnie brak?

- Jasne, że nie! - prychnął pogardliwie Jim.

Mary ujęła go za ramię i mocno ścisnęła, skutecznie wyciszając chłopca.

- Strzeliłem gola na szkolnym boisku, choć graliśmy z tymi z czwartej klasy - mówił dalej Scotty. Potem spojrzał spode łba na starszego brata. - Jim miał

kłopoty, bo wdał się w bójkę, i wujek Travis był na niego wściekły, a Mary później gniewała się na wujka. Wiecie wszystko o Mary, prawda?

- Wujek się z nią ożenił - wyjaśniła Beth Ann. - Wszyscy się z tego ucieszyliśmy, bo wujkowi było bardzo trudno zajmować się nami. Chyba nie zna się na dzieciach.

- Gotować też nie potrafi - wtrącił Scotty. - I był okropnie niegrzeczny dla pani Johnson. Opiekunki społeczne też go nie bardzo lubiły. Odkąd jest z nami Mary, wszystko idzie o wiele lepiej.

- Złamałam sobie rękę poinformowałam rodziców Beth Ann. Wyciągnęła prawą rączkę w gipsie, wyraźnie czekając, co na to powiedzą. - Okropnie mnie bolało! Staralam się nie płakać, ale tak bolało, że musiałam. A jak doktor Andersen mnie badał, to jeszcze bardziej zabolalo. Już go nie lubię!

Mary stanęła za Beth Ann i objęła ją za ramionka.

- Rozmawiacie czasem z Panem Bogiem? - chciał wiedzieć Scotty.

Jim znowu prychnął, ale Scotty zignorował brata.

- Jim stale chodzi wściekły. Jak będziecie następnym razem rozmawiać z Panem Bogiem, to Mu powiedzcie, żeby coś na to poradził.

Beth Ann wetknęła rączkę do tornistra i wyjęła błękitną wstążkę, którą dostała w nagrodę za dobrą znajomość alfabetu. Dziewczynka przykucnęła i położyła wstążkę na marmurowej płycie.

- Chcę to podarować mamusi i tatusiowi - wyjaśniła, spoglądając na Mary.

Mary skinieniem głowy wyraziła swą aprobatę; wiedziała, jak bardzo dumni i szczęśliwi byliby Lee i Janice.

- A ty nie chcesz czegoś powiedzieć od siebie? - spytała po chwili milczenia Jima.

Chłopak potrząsnął głową.

- Nie.

Mary była jednak pewna, że Jim pragnął również porozmawiać z rodzicami, ale krępowała go obecność brata, siostry i Mary.

- Wrócimy teraz ze Scottym i Beth Ann do samochodu - szepnęła do Jima, odgadując jego nie wypowiedzianą prośbę. - Możesz dołączyć do nas za kilka minut.

Podprowadziła młodsze dzieci do kombi.

- Co robi Jim? - dziwiła się Beth Ann, oglądając się na starszego brata. - Nie zostawimy go tutaj, prawda?

- Na pewno go nie zostawimy - uspokoiła ją Mary.

- Nie powinienes być skarżyć na Jima! - powiedziała Beth Ann, spoglądając groźnie na brata. - On wcale nie jest stale zły. Tylko czasami.

Scotty wgramolił się na tylne siedzenie i sięgnął po pas bezpieczeństwa. Zapiawszy go, westchnął głęboko.

- Lepiej się czuję! - oświadczył, jakby ozdrowiał po długiej chorobie.

- Ja też - zawtórowała mu Beth Ann. - Przyjedziemy tu znowu?

Mary skinęła głową. Zdumiewające: ona też o wiele lepiej się czuła!

Po kilku minutach przyłączył się do nich Jim. Mary zauważyła, że miał zaczerwienione oczy. Pragnęła go pocieszyć, ale wiedziała, że wcale sobie tego nie życzył. Gdyby spróbowała to zrobić, odepchnąłby ją równie szorstko, jak to zrobił Travis wczesnym rankiem..

Wróciwszy na ranczo, Mary zdziwiła się: Travis nadal rąbał drwa. Bóg wie, jakim cudem utrzymywał to mordercze tempo. Gdy patrzyła na męża, miała ochotę krzyknąć na niego, żeby z tym skończył.

- Wejdźcie do domu - poleciała dzieciom.

Poczekala, aż zniknęły we wnętrzu budynku, i zawołała do męża.

- Travis, na miłość boską, przestań!

Udał, że jej nie słyszy.

- Travis, błagam cię! - odezwała się ponownie, tym razem z prawdziwą rozpaczą. Nie mogła patrzeć, jak mąż zмага się z fizycznym i psychicznym cierpieniem.

- Mary! - zawołał z ganku Jim. - Telefon do ciebie!

- Do mnie? - zdziwiła się Mary. Znała w Grandview zaledwie kilka osób. Wbiegła po schodkach do domu.

- Mary Thompson przy telefonie - powiedziała do słuchawki.

- Cześć, to ja, Tilly.

- Coś ci się stało? - Mary odniosła wrażenie, że kelnerka płacze. Głos z pewnością nie był tak pogodny jak zawsze.

- Nie, wszystko gra. Chyba się trochę przeziębiam na festynie. Ale to nic. Pomyślałam sobie... może byśmy umówiły się na lunch w przyszłym tygodniu? Chciałabym z tobą o czymś pomówić. O ile, oczywiście, masz czas.

- Bardzo chętnie - odparła Mary, rada z tej propozycji. Może w środę? Mam zamiar oddać książki do biblioteki, a potem załatwić kilka sprawunków. - Popołudnie z Tilly bardzo jej odpowiadało.

- Fajnie. To do środy!

- Przejdzie ci do tego czasu przeziębienie?

- Jasne! - odparła Tilly lekceważąco. - Będę zdrowa jak koń!

- Wspaniale.

Kiedy Mary odłożyła słuchawkę, dostrzegła Jima stojącego w oknie i obserwującego Travisa. Gdy chłopiec spostrzegł, że Mary na niego patrzy, opuścił zasłonę i odwrócił się.

- Idę do swego pokoju.

- Dobrze.

- Sam wiem, że dobrze! - burknął chłopak i popędził korytarzem, jakby chciał uciec od niej jak najdalej.

Mary stanęła w tym miejscu, które przedtem zajmował Jim. Zobaczyła, jak zbrojne w siekierę ramię Trávisa przerąbuje gruby konar. Siła uderzenia była tak wielka, że potężne połówki rozleciały się w przeciwné strony. Travis przystanął oparty na trzonku siekiery, potem sięgnął po następne bierwiono i umieścił je na pieńku. Zatoczył się, ale utrzymał równowagę.

Mary postanowiła spróbować raz jeszcze. Musiała to uczynić: bała się, że Travis utraci kontrolę nad swymi ruchami i zrani się.

Gęsta szara chmura przesłoniła słońce, gdy Mary wyszła z domu. Stanęła na najwyższym stopniu schodów i popatrzyła w mroczne niebo. Grube krople deszczu zaczęły kapać na wyschlą, spragnioną ziemię. W pyłe tworzyły się małe okrągłe kałuże.

- Travis! - zawołała Mary. - Musisz z tym skończyć!

Znow miała wrażenie, że mąż jej nie słyszy. Był do cna wyczerpany. Ledwie mógł unieść siekierę. Ugiął się pod jej ciężarem. W pewnej chwili zachwiał się w prawo, wyprostował, potem zatoczył w lewo i jeszcze raz udało mu się utrzymać równowagę.

Mary zbiegła ze schodów.

- Travis, proszę cię, przestań!

Znowu ją zignorował, uniósł siekierę nad głową i wbił ją w drewno.

Zachwiał się i upadł na kolana. Mary podbiegła do niego i wyjęła siekierę z nie stawiających już oporu rąk. Uklękła w miękkim pyłe obok męża, objęła go ramionami w pasie i przytuliła się do niego.

Travis oddychał nierówno, z wysiłkiem; jego płucom najwyraźniej brakowało powietrza. Chyba tylko cudem nie upadł wcześniej. Serce Mary było otwarte na oścież, bezbronne. Płonęła w nim miłość do męża i pragnienie dopomożenia mu, gdy zmagął się z bólem. Jednak Travis dotąd uniemożliwiał jej to, odpychając ją za każdym razem. Teraz już tego nie robi. Nie mogła pozwolić, by dalej tak się

zadreczał! Znajdzie jakąś drogę, trafi do niego!

Nagle Mary poczuła, że dłużej tego nie wytrzyma. Z jej oczu polały się łzy.

- Travis, na litość boską! - Ręce jej drżały, gdy obejmowała nimi twarz męża. Ten gest jakoś dotarł do jego świadomości i Mary usłyszała płacz, który uwiązł głęboko w jego piersi. Wydobył się teraz stamtąd i przerodził w cichy, zawodzący jęk takiego bólu, że przytuliła twarz do szyi męża i płakała razem z nim.

Deszcz siekł ziemię, najpierw ostrymi kroplami, raniącymi jej powierzchnię, potem rwącymi strumieniami. W ciągu kilku minut włosy Mary oblepiły się wokół jej głowy, lodowate strugi spływały wzdłuż kręgosłupa. Prawie tego nie zauważała.

Ramiona Trávisa drżały, a cichy, ale gwałtowny płacz wstrząsał nim z taką siłą, że jego potężne ciało dygotało.

- Dlaczego Lee? - krzyknął z taką wściekłością, że Mary zaparło dech. - Dlaczego nie ja?! - Nie był w stanie tego pojąć.

Wyciągnął ramiona do Mary i przytulił ją do siebie z taką siłą, że omal jej nie udusił. Kryjąc twarz na ramieniu żony, płakał rozpaczliwie. Mary nigdy jeszcze nie widziała męskich łez. Rozpacz Trávisa rozdzierała jej duszę. Gładziła męża po głowie i sama płacząc, szeptała mu kojące słowa.

Wiedziała, że zagłuszał je plusk deszczu, ale to nie miało znaczenia.

Zdawało się, że ból pokonał ostatecznie Trávisa. Mary objęła go za szyję, tuliła jego głowę do siebie, płakała razem z nim. Nie powstrzymał już łez, może nie zdawał sobie sprawy z tego, że płacze? Jego łzy mieszały się ze łzami żony.

Travis zbliżył usta do ust Mary i zaczął ją szaleńczo całować. Niemal pożerał ją zachłannymi ustami, nic nie było w stanie zaspokoić jego gwałtownej namiętności. Ich języki zmagaly się, pieściły i tańczyły ze sobą. Ta dzika pieśczoła trwożyła Mary, ale ufała mężowi bez granic. W głębi serca wiedziała, że nigdy świadomie by jej nie skrzywdził.

Gdy Travis wreszcie oderwał usta od jej ust, oddech jego był ciężki i

przerywany. Przywarł do Mary, jego ramiona chroniły ją od zimna i deszczu.

- Lee miał przecież dla kogo żyć - mówił szeptem. - Miał dom, żonę i dzieci.

Tak bardzo kochał ich wszystkich... byli jego życiem.

- Wiem.

- Boże wielki, kto mógł pragnąć jego śmierci?!

Mary nie знаła żadnych gotowych rozwiązań. Pozostawały tylko pytania - bez odpowiedzi.

Rozdział 15

Travis znów pragnął Mary. Nie dalej jak kilka godzin temu kochali się ze sobą, a jednak jego ciało było wprost obolałe z pożądania. Cóż z niego za bestia, maniak seksualny! Jego żona to prawdziwa dama - nie mógł przecież jej obudzić po to tylko, żeby znów się z nim kochała. Nie wypadało tego robić tak raz po raz!

Gdyby ją obudził, Mary dowiedziałyby się, jaki jest wobec niej słaby, jak bardzo ją kocha i jak jej pragnie. Zrozumiałyby, jak jej mąż strasznie tęskni za tym, żeby się do niej przytulić.

To paralizujące go pożądanie było czymś niepojętym dla samego Trávisa. Mary sprawiła, że stał się znowu bezbronny wobec uczuć, że im ulegał. Co miał więc, do cholery, począć w tej sytuacji?! Wcale nie był rad ze swej słabości. Jeśli zaś chodzi o uczucia, to powinien raczej skoncentrować się na gniewie i chęci zemsty, a nie zachłystywać się dobrocią i słodyczą żony.

Zanurzony w głębi jej ciała czuł się silny i pełen życia. Jej łagodność spętała jego serce delikatną siecią. Czuły dotyk Mary, jej miękkość podniecały go bardziej niż wszystko, czego zaznał przedtem.

Boże święty, nigdy jeszcze nie pragnął jej tak jak teraz! To nie był tylko fizyczny głód. Pragnął, by jej dobroć zasłoniła jego grzechy, osłabiła trawiącą go

nienawiść - choćby na chwilę, bo tak strasznie ciężko było dźwigać to brzemię.

Tłumiąc jęk, Travis przewrócił się na bok i odsunął od żony. Miał nadzieję, że to mu pomoże. Zamknął oczy i próbował myśleć o czymś innym. Ten podły wilk znów zaatakował! Rob Bradley przekazał mu wiadomość telefonicznie. Tak dłużej być nie może! Jeśli eksperci z Urzędu Ochrony Zwierząt nie potrafią schwytać tej bestii, to miejscowi hodowcy bydła muszą z konieczności wziąć sprawę w swoje ręce. Może ich to jednak drogo kosztować, zwłaszcza jeśli zostaną przyłapani na gorącym uczynku.

Materac ugiął się, gdy Mary we śnie zmieniła pozycję i przytuliła się do męża całym ciałem. Sterczące piersi żony paliły plecy Trávisa żywym ogniem. Zdusił w sobie jęk. Jego męki zwiększyły się stokrotnie, gdy Mary wierząc się przez sen garnęła się do niego i ocierała się udem o jego pośladki.

Zaciskanie zębów nie pomagało. Travis odczekał kilka minut, a potem przewrócił się na wznak, sądząc, że Mary odsunie się od niego.

Mylił się jednak.

Gwałtowność erekcji wprawiała go w zakłopotanie. Musiał coś na to poradzić, i to szybko! Zimny prysznic jakoś go nie nęcił.

- Mary! - szepnął, zwracając się twarzą do żony.

Ręka sama zakradła się ku jej piersi; zważył ją na dłoni.

- Cooo?....

- Mam pewne kłopoty z zaśnięciem. (Trudno to chyba delikatniej ująć!)

- Taaak? Chcesz, żebym dała ci jakieś lekarstwo? - spytała sennym głosem.

- Niezupełnie, ale mogłabyś mi jednak pomóc...

- Chętnie.

„Chętnie”! Nie wie nawet, o co chodzi, a jest gotowa to zrobić! Od chwili gdy Mary przybyła do Montany, by zostać z nim i z dziećmi, Travis wiedział, że znalazł niezwykłą, niezwykle dobrą kobietę! Ale dopiero w tej chwili ocenił ją w całej

pełni.

Jego usta przywarły do ust żony w wilgotnym, czułym pocałunku. Ręka Trávisa wśliznęła się pod gumkę, przytrzymującą jej spodnie od piżamy. Położył dłoń na płask na gładkiej, ciepłej skórze jej brzucha; nie ośmielił się posunąć dalej, póki Mary nie pojmie jego milczącej prośby.

- Chcesz się ze mną kochać... znowu? - W jej głosie brzmiało miłe zaskoczenie.

Travis wolał nie wyrażać prosto z mostu swoich życzeń, tym bardziej że czuł się nimi nieco zawstydzony. Chwycił zębami płatek ucha Mary i leciutko go ssał, a równocześnie jego palce zapuszczały się coraz niżej, aż poczuł pod nimi mięciutki, kędzierzawe włoski, przytulne gniazdko kobiecości.

Mary pocałowała męża. Jej pragnienie rosło w miarę jak ręka Trávisa wędrowała między jej nogami. Była już mokra, rozpalona, gotowa do miłości. Ogrom przepełniającego go pożądania czynił Trávisa pokornym. Jakże był wdzięczny niebu za tę kobietę, która tak chętnie ofiarowywała mu siebie!

Ściągnął z Mary spodnie od piżamy, jednym szaleńczym ruchem zerwał z siebie slipy i pochylił się nad żoną. Jej ramiona wyciągnęły się ku niemu, jej ciało gotowe było na jego przyjęcie. Z zachwytem zanurzył się w niej. Oboje równocześnie jęknęli z rozkoszy. Travis objął Mary kurczowo ramionami, prawie nie ośmielał się oddychać, tak doskonałe było spełnienie.

Długo potem nie wypuszczał Mary z objęć; z trudem chwycił oddech. Żona przycisnęła usta do jego szyi.

- Teraz już zaśniesz, kowboju?

Roześmiał się. Jej miłość rozgrzała go.

- Jak suseł!

- Ja też.

Travis nie wiedział, które z nich najpierw zapadło w sen, ale gdy się obudził,

był przekonany, że jeszcze nigdy tak dobrze mu się nie spało.

Mary czuła się wyśmienicie. Klara Morgan zadzwoniła, zapraszając ją na spotkanie koła pań. Wcześniej Tilly zaproponowała, żeby spotkały się na lunchu.

Mary była zadowolona, że zdobywa nowych przyjaciół. Pragnęła stać się członkiem miejscowej społeczności. Nadal chodziła do kościoła, ale większość spotkań odbywała się wieczorem, a ona zawsze miała po kolacji pełne ręce roboty. Może później, gdy lepiej pozna drogi i oswoi się z kapryсами pogody późną jesienią i zimą, zapisze się do tutejszego chóru.

W poniedziałki i wtorki zawsze miała mnóstwo roboty. W te dni prała, sprzątała i piekła bułeczki z cynamonem, po których przeważnie nie było już ani śladu we środę po południu.

Podczas gdy bułeczki się piekły, Mary napisała długi list do Georgeanne, pełen nowinek. Opowiedziała jej o festynie dożynkowym i złożyła dokładne sprawozdanie z postępów dzieci. Przeglądając list zaraz po napisaniu, Mary zdała sobie sprawę, że promienieje z niego iście macierzyńska duma, gdy chwaliła się osiągnięciami swoich dzieci. Czuła się stuprocentową mamuszką! Była szczęśliwa - bardziej niż się spodziewała.

Siedziała obgryzając koniec długopisu i rozmyślając nad zmianami, które zaszły w jej życiu, odkąd wyszła za Travisa.

Poślubiła typowego męskiego szowinistę, co było do przewidzenia! Wiedziała o tym, zanim jeszcze się z nim związała. Prawdę mówiąc, jego postawa przeważnie ją śmieszyła. Były jednak chwile, gdy doprowadzał ją do szału swym władczym tonem.

Zmarszczyła czoło i bawiła się długopisem, obracając go w palcach. Jej mąż nigdy nie był gadatliwy, ale ostatnio stał się jeszcze bardziej małomówny. Bez wątplenia śmierć brata nadal go przytłaczała. Nie rozmawiał z żoną na ten temat,

ale wiedziała, że skontaktował się z kilkoma prywatnymi detektywami; nie zwierzył się jednak Mary, czego się dowiedział - o ile dało to w ogóle jakies rezultaty.

Ostatnio dogadywali się z Travisem wyłącznie w łóżku. Jeśli chodzi o wyczyny seksualne mężczyzn, musiały przecież istnieć jakieś granice! Gdyby Mary nie znała tak dobrze męża, podejrzewałaby, że chce pobić pod tym względem światowy rekord.

Przez ostatnie trzy noce kochali się zaraz po wejściu do łóżka, a potem Travis znowu ją budził. Często w jego namiętności była nuta desperacji, co bardzo niepokoiło Mary. Miała wrażenie, że Travis ma wyrzuty sumienia z powodu swych natrętnych żądań, że jest nimi zażenowany, że nawet się ich wstydzi. Nic z tego nie rozumiała; była również prawie pewna, że i Travis nie panuje nad sytuacją.

Gdyby miała większe doświadczenie, jeśli chodzi o mężczyzn, gdyby przeżyła przed zamążpójściem kilka miłosnych przygód, może byłaby w stanie pojąć, co się dzieje z mężem. Domyślała się, że ta nadpobudliwość seksualna w jakiś sposób wiąże się z bezsilną wściekłością, którą odczuwał po umorzeniu śledztwa w sprawie śmierci brata i bratowej.

Parę razy, zbudziwszy się rano, stwierdziła, że Travis już wstał, zjadł śniadanie i wyszedł. To jego znikanie bez słowa doprowadzało Mary do szału. Gdyby nie była pewna, że Travis sam nie wie, czemu tak się zachowuje, czułaby do męża urazę.

Co wieczór obiecywała sobie, że z nim porozmawia o tych porannych dziwnych obyczajach. Tak chętnie pogawędziłaby z mężem, zanim wyjdzie z domu! Kiedy jednak kładła się do łóżka, Travis już na nią czekał niecierpliwie, pełen pożądania. Rozdrażnienie Mary znikało pod wpływem cudownych pocałunków i rozkosznego dotyku jego rąk. Potem zaś, gdy leżała zaspokojona w jego ramionach, znużona miłosnym trudem, nie miała ochoty poruszać niemiłych

tematów.

Już wkrótce! - przyrzekła sobie solennie - na pewno z nim porozmawia! Uspokoiwszy w ten sposób własne sumienie. Mary wróciła do listu do Georgeanne.

- Tilly! - zawołała Sally do mijającej ją koleżanki, która niosła zamówione porcje pieczonych kurcząt z tłuczonymi ziemniakami, polanymi pysznym sosem. - Marta chce z tobą pomówić, jak tylko będziesz miała wolną chwilę.

- Naprawdę? - Tilly wetknęła ołówek za ucho. - Nie powiedziała, o czym?

- Nie. Nie rób takiej wystraszonej miny, mała: szefowej bardziej zależy na takiej pracownicy jak ty, niż tobie na tej pracy!

Tilly zupełnie w to nie wierzyła. Czekwała niecierpliwie, aż tłum klientów się przeredzi. Wtedy poszła do kuchni. Marta krzątała się tam, wydając polecenia kucharzowi. Właścicielka lokalu sama była jedną z najlepszych kucharek, jakie Tilly знаła, ale chyba nigdy nie jadła przyrządzonych przez siebie potraw! Nie byłaby wówczas taka chuda. Miała krótko obcięte siwe włosy i w swoim białym fartuchu wyglądała raczej na pielęgniarkę niż na kucharkę.

- Sally powiedziała, że szefowa chce się ze mną widzieć.

- Porozmawiajmy na zapleczu - powiedziała Marta. - Weź sobie kawy.

- Chyba niczym nie podpadłam? - Tilly była spięta i niespokojna. Nic na to nie mogła poradzić. Nie zarabiała kokosów, ale lubiła tę pracę i Grandview, i miała nadzieję, że zostanie tu jakiś czas - i to dłuższy, odkąd Logan zaczął odgrywać ważną rolę w jej życiu.

Marta zaprowadziła ją do niewielkiego magazynu. Stało w nim biurko i tu załatwiała papierkową robotę między rzędami wielkich pojemników na owoce i warzywa. Na drzwiach wisiała tablica z wykazem godzin pracy personelu.

- Siadaj! - powiedziała Marta, wskazując Tilly obskurne krzesło, wyglądające na odrzut ze zbiórki dla ubogich.

Tilly usiadła.

- Szefowa chce mnie zwolnić?

Wolała wiedzieć od razu. Po co owijać w bawełnę i stroić w piękne słówka, kiedy i tak wszystko sprowadza się do tego samego: po prostu już jej tu nie chcą.

- Wyluzuj się, mała. Możesz tu pracować, jak długo sama będziesz chciała.

Tilly poczuła tak wielką ulgę, że omal nie spadła z krzesła.

- Coś cię ostatnio gryzie, prawda?

Ulga okazała się przedwczesna.

- Skąd szefowej przyszło to do głowy?

Marta roześmiała się.

- Mam przecież oczy! Jesteś spięta i przygnębiona. Czy to ten synalek doktora? Skrzywdził cię?

Tilly uśmiechnęła się, słysząc to staromodne określenie. To nie ją Logan skrzywdził! Każdego ranka stawał jej przed oczami ten sam straszliwy obraz. Bała się spojrzeć na Travisa czy na te cudowne dzieciaki, żeby się nie rozplakać.

Od wielu dni próbowała przekonać samą siebie, że źle sobie wytłumaczyła zachowanie Logana na festynie dożynkowym, ale żadne autoperswazje nie pomagały. Po kłótni Travisa z szeryfem, Logan zupełnie się zmienił. Tilly miała wrażenie, że złapał jakiegoś straszego wirusa. Zbladł i zaczął się trząść. Na jej pytania odpowiedział tylko, że nie najlepiej się czuje. Zgodnie z prawdą!

Przywiózł Tilly do swojego domu, jak obiecał, ale się nie kochali. Tilly przeleżała tylko całą noc w jego ramionach, a Logan tulił się do niej. Mogłaby przysiąc, że żadne z nich nie zmrużyło oka.

- Tilly - odezwała się znów Marta, wyrywając dziewczynę z zadumy. - Czy ten prawnik źle cię traktuje?

- Nie - odparła Tilly i zdumiała się, jak piskliwie i nienaturalnie brzmi jej głos.

- Kochasz go?

Tilly spuściła oczy i skinęła głową.

- Sypiacie ze sobą?

- Nie pani interes!

Starsza kobieta znów się roześmiała.

- Święta racja! Zresztą i tak masz to wypisane na twarzy. Pewnie, że sypiacie ze sobą. Jaka dziewczyna z temperamentem nie zakochałaby się w takim przystojniaku? Ale lepiej uważaj! Ci prawnicy potrafią czarować aż miło. Nie chciałabym, żeby spotkało cię coś złego. Rozumiesz?

- Będę ostrożna - obiecała Tilly.

- Uszy do góry! Masz za ładną buzię, żeby ją krzywić. Uśmiechnij się, mała!

Tilly uśmiechnęła się, potem głośno się roześmiała i uściśnęła swoją szefową. Jak widać miała w niej większą przyjaciółkę, niż sądziła.

Mary pomagała Scotty'emu odrobić pracę domową, gdy usłyszała trzask zamykanych drzwi. Podczas kolacji Travis był jeszcze bardziej zamyślony niż zwykle i odezwał się tylko raz czy dwa. Scotty i Beth Ann rekompensowali jego milczenie swą wesołą paplaniną. Scotty dostał dobry stopień z klasówki, toteż przechwalał się przez kilka minut swoimi sukcesami w matematyce. Beth Ann także była podniecona. Wystąpiła jako króliczek w odgrywanej dziś po południu scenie. Bardzo jej się to spodobało i postanowiła zostać gwiazdą Hollywoodu. Nawet Jim był miłszy niż zwykle: nie próbował wywołać awantury. Było to prawdziwe święto - a raczej byłoby, gdyby nie Travis.

- Dokąd poszedł wujek? - spytała Mary.

Jim siedział przy stole i odrabiał lekcje.

- Nie wiem. Nic nie mówił - odparł, nie podnosząc głowy.

- Pewnie poszedł do stajni - powiedziała Mary raczej do siebie niż do chłopca.

- Wziął pikapa.

Mary osłupiała. Travis wyjechał bez słowa? Nie uprzedziwszy jej, dokąd jedzie? Widocznie uznał, że to wyłącznie jego sprawa. Jakby Mary była tylko pomocą domową, z którą nie musiał się liczyć: cokolwiek by powiedział czy zrobił, będzie opiekować się dziećmi, gotować, pilnować domu, no i zaspokajać jego potrzeby seksualne. Idealny układ. Dla niego!

W głowie jej huczało. Opadła na krzesło obok Jima. Skrzyżowała ramiona na piersiach i zaczęła wystukiwać nogą jakiś szybki, gorączkowy rytm.

- Mary! - zawołał Jim, rzucając długopis na stół. - Przestań!

- Co mam przestać?

- Kopać w stół.

- Ojej! - zdumiała się Mary i wstała. - Bardzo przepraszam. - Przeszła przez pokój, odgarniając włosy z twarzy i sięgnęła po płaszcz.

- Dokąd idziesz?

Mary pospiesznie naciągnęła palto z atłasową podszewką.

- Na dwór.

Nie bardzo wiedziała co robić, ale musiała koniecznie znaleźć sobie jakieś zajęcie. Wszystko było lepsze od kiśnięcia w domu! Od wielu dni powstrzymywała się od zrobienia Travisowi awantury - przez wzgląd na dzieci. Nie chciała ich znów niepokoić. I to był błąd!

Wiał lodowaty, przejmujący wiatr. Atakował Mary zawzięcie jak żołnierz armii Północy, która walczyła z mieszkańcami Południa podczas wojny secesyjnej. Wetknęła ręce głęboko w kieszenie i skuliła się, by osłabić siłę uderzeń wichury. Skierowała się do stajni.

Jim miał słuszość. Pikapa nie było, a w stajni panował absolutny spokój. Mary obeszła ją od końca do końca, łudząc się, że natrafi na jakiś ślad lub wskazówkę: z jakiegoś ważnego powodu Travis wyjechał bez słowa.

Oczywiście nie znalazła niczego. Prawdę mówiąc, sama nie wierzyła, że coś

znajdzie. Travis zrobił to umyślnie: chciał ją znieważać, udowodnić jej, jak mało znaczy w jego życiu. Mary przygryzła dolną wargę. Do licha, ależ to bolało!

Wyszedłszy ze stodoły, dostrzegła w oknie kuchni zaniepokojoną twarzyczkę Beth Ann. Dziewczynka patrzyła na nią, więc Mary pomachała jej ręką; potem przebiegła przez dziedziniec i weszła do domu.

Przy drzwiach wpadł na nią Scotty.

- Jim powiedział, że chcesz od nas uciec.

- Jim! - skarciła go Mary surowo. - Przecież wiesz, że to nieprawda! - Przykucnęła i uściskała zarówno Beth Ann, jak i Scotty'ego. Objęli ją ramionami za szyję i mocno się przytulili. - Nigdy was nie opuszczę, nigdy! - szeptała Mary.

- Może i nie - stwierdził chłodno Jim, zamykając z trzaskiem podręcznik. - Ale wuj Travis tak!

- To nieprawda!

- Nie dotrzymuje obietnic. Żadnej nie dotrzymał ani razu! - Po tych słowach Jim popędził korytarzem do swego pokoju. Mary wzdrygnęła się na odgłos zatraskiwanych drzwi. Zastanawiała się, czy powinna pójść za chłopcem i wygarnąć mu wszystko od razu, ale doszła do wniosku, że lepiej nie. Problem Jima wiązał się ściśle z jego stosunkiem do Trávisa i złożoną przez wujka obietnicą, że odnajdzie zabójcę Lee i Janice. Serce Mary zmiękło na myśl o cierpieniach chłopca. Konfrontacja z Jimem pod nieobecność Trávisa mogła okazać się kolejnym błędem, a popełniła ich już sporo.

- Ktoś tu idzie! - stwierdził Scotty, odsuwając zasłonę w oknie i przypatrując się uważnie.

- Kto to? - Beth Ann przysunęła się do brata.

- Nie wiem. Chyba lepiej mu nie otwierać. - Scotty podbiegł do wejścia i rozpostarł ramiona, uniemożliwiając Mary otworzenie drzwi.

- Scotty, nie bądź śmieszny!

Zaciekawiona Mary wyjrzała przez okno i rozpoznała Logana Andersena, mężczyznę, który towarzyszył Tilly podczas festynu dożynkowego. Młody człowiek wywarł na Mary korzystne wrażenie, choć zamienili zaledwie parę słów.

Zauważyła również, że Logan bardzo się podoba Tilly. Jej nowa przyjaciółka dosłownie promieniała szczęściem.

- Nie ma się czego bać, Scotty, to pan Andersen - powiedziała Mary, otwierając Loganowi drzwi.

Scotty przypatrywał się przybyszowi podejrzliwie, póki go nie rozpoznał.

- Chyba widzieliśmy pana na festynie?

- Święta prawda. - Logan uśmiechnął się do chłopca i jego wzrok zatrzymał się przez chwilę na Scottym, a potem spoczął na Beth Ann. Mary nie miała wprawy w odczytywaniu ludzkich uczuć, ale zauważyła, z jakim bólem Logan wpatruje się w dzieci.

- Napije się pan kawy?

- Bardzo dziękuję, ale nie - odparł gość odwracając oczy od Scotty'ego i Beth Ann. - Chciałbym porozmawiać z Travisem.

- Bardzo mi przykro, ale męża nie ma w domu. Chętnie przekazę mu wiadomość od pana.

- Nie, nie! - odparł Logan z pośpiechem.

Ze zdumiewającym pośpiechem, jak zauważyła Mary. Dziwne, odniosła wrażenie, że przybysz odczuł ulgę na wieść, że nie zastał Trávisa. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Powiem mu, że pan do nas zajrzał.

- Będę pani bardzo wdzięczny, Mary. - Logan pogładził jasną główkę Beth Ann i podał Scotty'emu rękę na pożegnanie, a potem znów zwrócił się do Mary. - Miło mi było znowu panią spotkać.

- Mnie też. - Wypuściła gościa i przez kilka minut patrzyła za nim póki nie

wsiadł do samochodu. Dopiero gdy Logan odjechał, Mary uświadomiła sobie, że prawie biegł do swego wozu.

Jakie to wszystko dziwne!

Zebranie Związku Hodowców Bydła trwało dłużej niż zwykle. Wielu ranczerów bardzo się przejęło sprawą wilka. Travis poruszył ten temat, proponując, by hodowcy sami schwytali szkodnika. Wielu zgodziło się z nim.

Urząd Ochrony Zwierząt przysłał swego przedstawiciela, by zapewnić hodowców, że wszelkie niezbędne kroki zostały podjęte. Zlokalizowanie wilka, a następnie przewiezienie go w inne miejsce, to tylko kwestia czasu - obiecywał.

Takie postawienie sprawy nie satysfakcjonowało ani Trávisa, ani jego sąsiadów. Szkoda było czasu na gadanie. Dali tym federalnym ważniakom szansę załatwienia sprawy po swojemu. I nic z tego nie wyszło! Nawet z helikoptera nie udało się wypatrzeć chytrze ukrywającej się bestii.

Podobnie jak inni, Travis stracił dobrych kilka cielaków. Jego cierpliwość dawno się wyczerpała. Jeśli wilk wtargnie znów na jego ranczo, Travis sam się z nim rozprawi!

Zebranie wreszcie się zakończyło i Travis z kilkoma przyjaciółmi udał się do knajpy „Pod drwalem”. Hodowcy bydła schodzili się grupkami, głośno wyrażając swe niezadowolenie z przebiegu i rezultatów spotkania.

Larry Martin siadł przy barze u boku Trávisa; Rob Bradley po jego drugiej stronie. Wszyscy trzej zamówili piwo.

- Zapowiadam od razu - oświadczył Larry, czerwony z gniewu. - Nic mnie nie obchodzi, czy wilki są pod ochroną, czy nie! Jak tak dalej pójdzie, to wymierającym gatunkiem okaże się moje bydło!

- Święte słowa. - Rób uniósł butelkę na znak aprobaty.

- Nie stać mnie na dalsze straty.

- Ciebie? - burknął Travis równie wściekły jak jego towarzysze. - Nikogo z nas na to nie stać!

Stan, pełniący „Pod drwalem” funkcję barmana, podszedł do trzech ranczerów, wycierając kieliszek postrzępionym brzegiem białego fartucha, którym był przepasany.

- Na co tak narzekacie?

- Mamy duże kłopoty-wyjaśnił Lany.

Stan roześmiał się.

- Tak też myślałem. Chodzą słuchy, chłopcy, że zafundowaliście sobie wilka, który przepada za cielęcina.

- Powinien był do tej pory tak się utuczyć, że ledwie by się ruszał -mruknął Rób i łyknął znowu piwa. Kiedy skończył, odstawił ze stukiem szkło na kontuar. - Jeszcze jedno!

Stan spojrzał na pozostałych.

- Dla was też?

- Jasne! - przytaknął Larry.

- A ty, Travis? - Stan wyciągnął trzecią butelkę.

- Ja już dziękuję.

Stan zrobił zdziwioną minę, a potem zachichotał.

- Prawda! Zupełnie wyszło mi z głowy! Słyszałem, że znalazłeś sobie żonę.

- Dobrze słyszałeś - odparł ze spokojem Travis. - Ma na imię Mary.

- Gotuje jak marzenie! -wtrącił się Larry, przykładając koniuszki palców do ust i głośno cmoknął.

- Fajnie, ale jaka jest w łóżku?

Wszyscy trzej wlepili wzrok w Trávisa. Pytanie rozzłościło go, ale wiedział, że jeśli okaże gniew, będą mu jeszcze bardziej dopiekać; wzruszył więc ramionami. Różnymi podrywkami mógł się przechwalać, ale żona to co innego!

Stan oparł się łokciami o bar i pochylił w stronę Trávisa. W oczach błysnęła mu ciekawość.

- Ma długie nogi?

- Gdzie tam! - odparł za Trávisa Larry. - Malutka, o tycia! - zrobił ruch ręką na wysokości biodra.

To stwierdzenie przyjaciela nie ucieszyło Trávisa. Jasne, że Mary była niewielka, ale brak wzrostu rekompensowała tysiącem wspaniałych cech.

- Może sobie być malutka, ale odkryłem, że takie filigranowe kobietki mają wiele zalet.

- Naprawdę? Wszyscy nadstawili ucha.

- Na przykład?

Travis żałował, że dał się sprowokować ich pytaniami. Ilekroć otwierał usta, bardziej się pogrążał.

- Kiedy zamieściłem to ogłoszenie w gazecie - powiedział - myślałem, że wyjdę na tym jak najgorzej.

- A nie było tak?

Travis uśmiechnął się niemądrze i popchnął pustą butelkę w stronę barmana.

- Pomyślcie tylko: kiedy wrócę dziś wieczorem do domu, będzie tam na mnie czekało ciepłe, stęsknione ciało.

To powinno zatkać gęby jego kumplom!

- Nabierasz nas!

Travis potrząsnął głową.

- Czy was kiedykolwiek zbijałem?

Larry z wolna pokręcił głową. - Nigdy.

- Teraz też nie.

Rob zwrócił się do Larry'ego: - Wierzysz mi?

- Sam nie wiem. Travis nigdy przedtem nie łgał.

- Pewnie, ale nigdy przedtem nie miał żony. Baba potrafi zmienić człowieka do imentu!

Obaj nie spuszczała oczu z Trávisa.

- Mnie się zdaje, że on mówi prawdę.

- Może masz rację - powiedział Rob z westchnieniem.

Larry tak zagapił się na przyjaciela, że ręka trzymająca butelkę zniemochomiała w połowie drogi do ust.

Travis rzucił na kontuar garść drobnych.

- To na razie, chłopaki!

- Na razie - mruknął Stan i uniósł dłoń na pożegnanie.

Travis wyszedł na dwór i wsiadł do pikapa, bardzo z siebie rad. Trochę się wstydział, że rozmawiał z kolegami o swym pożyciu małżeńskim, ale nie mógł pozwolić, by kumple doszli do wniosku, że siedzi u żony pod pantoflem - choćby nawet było w tym trochę prawdy.

Co zaś do tego, że Mary czeka teraz na niego w łóżku, Travis miał nadzieję, że istotnie tak jest. Rozmowa o ich współżyciu sprawiła, że znów miał ochotę. Ale kiedy właściwie jej nie miał?! To ustawiczne pragnienie fizycznej więzi trochę go niepokoiło. Zachowywał się jak małolat z problemami hormonalnymi!

Tym bardziej więc chciał zaakcentować swą niezależność od Mary. Dlatego właśnie udał się na zebranie Związku Hodowców, nie opowiadając się żonie. Trochę niepewności dobrze jej zrobi.

Travis przekroczył dozwoloną szybkość, chcąc jak najprędzej wrócić do domu. Pulsował w nim gorący strumień pożądania; w myślach wciąż widział Mary w łóżku, nie mogącą się doczekać powrotu męża. Za kilka minut znów będą się kochali i wypełni się bolesna pustka, która dławiała go w nocy.

Gdy Travis wjechał na dziedziniec, dom był pogrążony w ciemności. Spojrzał na zegarek i ze zdumieniem przekonał się, że dochodzi już północ. Nie chcąc

budzić dzieci, przeszedł przez kuchnię nie zapalając światła. Zaraz potem zdjął buty i przemknął cicho korytarzem.

Otworzył drzwi sypialni i zobaczył Mary na ich łóżku pod oknem, skąpaną w blasku księżyca. W ciągu kilku sekund zerwał z siebie ubranie, rozrzucając je na wszystkie strony. Ściągał właśnie gatki, gdy Mary siadła na łóżku i zapaliła lampę. Ostre światło zalało cały pokój.

- To ty, Travis?

- To ja - odparł mrużąc oczy od blasku. Trzymał gatki przed sobą, starając się ukryć niewątpliwe oznaki pobudzenia.

Mary odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka, jakby oświadczył, że w pościeli leży wąż. Ujęła się pod boki i spozierała na męża wrogo, jakby ją Bóg wie jak znieważył.

- Gdzie się podziewałeś, do diabła?!

- Daj spokój! - Travis odwrócił się do niej tyłem i wskoczył znów w gatki. Sprawy wyglądały mniej obiecująco, niż przypuszczał.

- Odpowiadaj! - wybuchnęła świętym oburzeniem, jakby w obliczu zbrodni.

Travis czuł, że dziś w nocy z nią nie wygra.

- Może pomówimy o tym rano, kochanie?

- Pomówimy o tym od razu.

- Mary, proszę cię...

- Masz mi coś do powiedzenia, czy nie?

- A jakże - mruknął, przysiadając na brzegu materaca. - Przynajmniej tym razem nie przestawiłaś łóżka!

Rozdział 16

Mary chyba jeszcze nigdy nie była tak wściekła. Ręce i nogi drżały jej z gniewu, zupełnie jak silnik wozu wyścigowego tuż przed startem. Jeśli Travis pozwoli sobie na jeszcze jeden dowcip o przesuwaniu mebli, walnie go czymś! Jak on śmiał pakować się do łóżka, licząc na pieszczoty, kiedy nie okazał nawet zwykłej przyzwoitości, wyjaśniając żonie, gdzie się włóczył przez sześć godzin?!

- Piwko, co? - wybuchnęła, jeszcze bardziej zde gustowana. A więc hulał z koleżkami po knajpach, pewnie wypatrując dziwek!

- O rany, Mary! Wypiłem jedno piwo, a ty robisz z tego grzech śmiertelny! No dobrze, strzeliłem sobie piwko z chłopakami. Zabij mnie, jeśli chcesz!

- A więc urwałeś się na całą noc z twoimi „chłopakami”? Ja też tak potrafię, mój drogi panie! - Mary opadła na posłanie z taką energią, że materac się ugiął. Położyła się na boku, zwrócona do męża plecami i szarpnęła przykrycie tak mocno, że wyrwała róg kołdry zatknięty w nogach łóżka.

- Cóż to ma znaczyć? - domagał się wyjaśnień Travis. Mary zignorowała go, sięgnęła ręką do wyłącznika i zgasła lampę. W pokoju zapadła ciemność. I cisza.

- Mary! - odezwał się przymilnym szeptem Travis, przerywając milczenie.

- Wobec tego i ja zacznę znikać z domu, kiedy mi się spodoba. Urządę sobie babski wieczór! Pojedziemy z Tilly do miasta na męski striptiz. I nie mam zamiaru cię uprzedzać: dowiesz się po fakcie.

- Mowy nie ma!

- Spróbuj mnie tylko powstrzymać! - rzuciła mu wyzwanie z wyraźną satysfakcją.

Materac znowu się ugiął, tym razem pod ciężarem Trávisa. Podciągnął kołdrę tak energicznie pod brodę, że oboje mieli teraz nogi na wierzchu.

- Nie próbuj takich sztuczek, Mary! Nie pozwolę, żebyś mnie wystawiła na

pośmiewisko!

- Twoja uwaga nawet nie zasługuje na odpowiedź.

Mary nie wiedziała, kiedy sen ich zmorzył, ale obudził ją dzwonek telefonu. Travis mruknął pod nosem coś niecenzuralnego i dosłownie wypadł z łóżka: leżał na samym brzegu materaca i omal nie wylądował na podłodze. W ostatniej chwili udało mu się tego uniknąć, ale zatoczył się potężnie, nim odzyskał równowagę. Głośno zaklął, gdyż uraził się w palec u nogi, i wykonał kilka zabawnych podskoków w drodze do drzwi.

Mary nie słyszała rozmowy telefonicznej - tym lepiej, była i tak zupełnie wykończona. Oczy ją piekły. Chyba nie spała tej nocy dłużej niż kilka minut.

Następnie usłyszała, że Travis wrócił do sypialni i ubiera się po ciemku. Miała nadzieję, że się do niej odezwie, powie coś. Potem zrozumiała, że mąż wcale nie ma tego zamiaru. Widocznie wolał, żeby stosunki między nimi pozostały napięte, a atmosfera podminowana.

Mary wahała się parę minut, nie wiedząc, co powinna zrobić; może lepiej nic? Słyszała, jak mąż otwiera i zamyka różne szuflady, potem zatrzasnęły się drzwi. A więc znowu to samo: wymyka się jak złodziejasek nie mówiąc, dokąd zmierza, ani kiedy ma zamiar wrócić! Odczekała pięć minut, ale dłużej nie mogła wytrzymać.

Sięgnąwszy po szlafrok i wsunąwszy stopy w ranne pantofle Mary podążyła za swym zbłąkanym małżonkiem. Zgrabnie zbiegła po stopniach ganku na dziedziniec zalany księżycowym blaskiem. Niespokojnie rozglądała się na wszystkie strony, szukając Trávisa. Obawiała się, że zeszła za późno.

Pikap stał na swoim miejscu. Światło dolatujące ze stajni zdradziło Mary, że mąż siodła zapewne Wściekłego Maksa.

Zawróciła do domu po palto i była w połowie dziedzińca, gdy ukazał się Travis: wyprowadzał ze stajni wałacha. Maks był podobnie jak Mary zły, że

przerwano mu sen.

Zauważyła, że Travis miał przez ramię przewieszzone juki i że był ciepło ubrany. Zdawał się nie dostrzegać żony.

- A dokąd to? - spytała zaczepnie.

Travis zignorował pytanie.

W Mary serce zamarło. Gniew i wściekłość zniknęły, został tylko ogromny ból. Wiatr mroził ją i zacinał ostro, ale prawie tego nie czuła.

- Travis! - błagała. - Nie rób tego!

- Czego? - uniósł ramiona, by dociągnąć tylny popręg, a Wściekły Maks nerwowo wierzgnął tylnymi kopytami. Mary nie mogła dojrzeć twarzy męża, ale głos miał bez wątpienia ponury.

- Znowu odchodzisz?!

Travis umieścił juki na końskim grzbiecie.

- Nie mam wyboru.

Mary odgarnęła włosy z twarzy i przytrzymała je dłońmi przy skroniach.

- Mary, to męska sprawa. Ciebie ona wcale nie dotyczy. Przykro mi, że tak cię to złości. Tłumaczyłem ci to, kiedy się tylko pobraliśmy, więc nie ma sensu tak się tym teraz przejmować.

- Co mi tłumaczyłeś?

- Że jest świat męski i świat kobiecy, i rozdziela je wyraźna granica. Zawsze tak było, Mary, i zawsze tak będzie.

- O ile sam tego nie zauważyłeś, informuję cię, że ta granica przestała istnieć dawno temu. Deszcz ją rozmył. Dziecięce nóżki zdeptały. - Lodowaty wiatr smagał twarz Mary, ale nie zwracała na to uwagi. Była zbyt dumna, by prosić męża po raz drugi. - Łudziłam się, że zrozumiałeś, że nie powinny dzielić nas żadne bariery.

- Mary, nie mogę teraz o tym rozmawiać. Później będziemy mieli dość czasu.

Muszę jechać. - Wskoczył na konia. Skórzane siodło skrzywnęło, a Wściekły Maks cofnął się o kilka kroków, gdy jeździec sadowił się na jego grzbiecie. Travis przez chwilę milczał, potem odezwał się ugodowo: - Nie wiem, kiedy wrócę. Powiedziałbym ci, gdybym wiedział.

Mary odwróciła się.

- Więc upierasz się przy tych twoich granicach?

- Mary, na litość boską!

- Tak czy nie?

Westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Tak! - wrzasnął, ściągając wodze, gdy Maks zaczął się niepokoić.

- Niech ci będzie - odparła Mary, prostując plecy. Cofnęła się o parę kroków, potem uśmiechnęła się słodziutko do męża. - Ja też postaram się wytyczyć kilka granic, a jedna z nich będzie biegła przez sam środek łóżka.

Travis zawrócił wałacha.

- Do diabła, kobieto! Mam dość kłopotów z wilkiem, nie dokładaj mi więcej!

- Jeśli o mnie chodzi, kowboju, będzie jak chcesz. Nie przekroczę już tych twoich świętych granic. Nie będę domagała się żadnych wyjaśnień. Jeżeli chcesz włóczyć się po nocach, żłopać piwo i rozrabiać z koleżkami, twoje prawo. - Mary starała się mówić pogodnie i spokojnie. - Tylko nie wkraczaj na mój teren. Umowa stoi?

Uśmiechnęła się z satysfakcją, słysząc słówko, które rzucił w odpowiedzi Travis, i wróciła do domu, pokonując stopnie z godnością królowej. Dopiero gdy znalazła się we wnętrzu, znowu się rozdygotała. Chwyliła za oparcie krzesła, by utrzymać się na nogach. Drugą ręką zatkała sobie usta, by nie rozplakać się na cały głos.

Brzęk ostróg i ciężkie kroki za jej plecami zdradziły Mary, że Travis przyszedł za nią do domu. Chwylił ją za ramiona i odwrócił ku sobie.

- Cholerna idiotko! - burknął, przygarniając żonę do siebie. - Nie wytrzymałbym bez ciebie jednej nocy!

Jego usta zaatakowały wargi Mary. Pocałunek był brutalny, gorący, natarczywy i tak cudownie żywiołowy, że zaparło jej dech. Wbrew woli rozchyliła wargi, a język Trávisa wtargnął pomiędzy nie. Gdy ramiona męża objęły ją w pasie, zarzuciła mu ręce na szyję i przywarła do niego.

- Nie będzie żadnych granic?

- Żadnych. To był cios poniżej pasa, moja pani!

Mary uśmiechnęła się, tuląc głowę do piersi męża.

- Zawsze gram uczciwie!

- Byłem na zebraniu Związku Hodowców.

Mary wtopiła się całkiem w jego ramiona. Starła się nie myśleć o tym, gdzie się podziewał, nie popuszczać cugli wyobraźni. Ustawiczny brak pewności siebie, który towarzyszył jej przez większą część życia, powracał teraz jak upiór. Nie była dość ładna i zdecydowanie za mała! Nie potrafiła odpędzić od siebie obaw.

- Potem z Larrym i Robem wpadliśmy na piwo, jeśli cię to interesuje. Dziś rano dzwonił Larry. Wilk porwał następnego byczka. - Travis ocierał się policzkiem o czubek głowy Mary.

- Co macie zamiar zrobić?

- Jeszcze nie wiemy.

- Za zabicie wilka grozi grzywna, a nawet więzienie.

- Wiem. - Uniósł podbródek Mary ręką w rękawicy i pożegnał żonę długim pocałunkiem. - Nie mam pojęcia, kiedy wrócimy.

- Będę na ciebie czekała - obiecała Mary, całując go raz jeszcze.

Travis z trudem oderwał się od niej.

- Liczę na to. - Potem odwrócił się i wyszedł z domu.

Mary miała udany, pracowity ranek. Kiedy chłopcy wyszli do szkoły, wybrała się z Beth Ann na zakupy do miasta. Kupiły do pokoju mały materiał na zasłony, farbę i kilka rolek tapety. Zdecydowały się na lekkie, pastelowe odcienie: seledyn, jasna żółć i kremowa biel. Była to całkowita odmiana po ciemnoniebieskich ścianach i zasłonach, znajdujących się dotąd w pokoju dziewczynki.

Mary zamierzała wziąć się za ten pokój w czasie weekendu. Będzie jej potrzebna pomoc Travisa. Mąż jeszcze o tym nie wiedział, ale jakoś go do tego nakłoni.

Za każdym razem, gdy wracała myślą do ich porannej kłótni, Mary uśmiechała się. Była jeszcze nadzieja na wyleczenie jej kowboja z męskiego szowinizmu!

- Dzień dobry! Mam nadzieję, że się nie spóźniłam - powitała Mary przyjaciółkę, opadając na krzesło naprzeciw niej. - Musiałam odwieźć Beth Ann do szkoły. - Cieszyłam się na to spotkanie od tygodnia.

- Nie, przyszedł w samą porę - odparła Tilly z bladym, trochę sztucznym uśmiechem.

Mary znów spojrzała na zegarek bojąc się, że zirytowała Tilly swoim spóźnieniem. Zjawiła się jednak o dwie minuty za wcześnie.

- Miałaś wspaniały pomysł z tym wspólnym lunchem - mówiła dalej, zastanawiając się, co też wprowadziło Tilly w taki zły humor. Sięgnęła po menu i przestudiowała listę dań. Szybko dokonała wyboru. Gdy spojrzała na swą towarzyszkę, dostrzegła bladość Tilly, choć dziewczyna zrobiła sobie staranny makijaż. Od bezbarwnych policzków odcinały się dwie smugi różu; oczy były wpadnięte i puste. Tilly wyglądała tak, jakby dopiero co wstała po długiej chorobie.

- Coś ci dolega? - spytała Mary, czyniąc sobie wyrzuty, że nie zauważyła tego od razu.

- Skądże! Świetnie się czuję!

Choć uśmiech Tilly był szeroki i serdeczny, Mary wiedziała, że do „świątecznego samopoczucia” było jej daleko. Jeszcze bardziej zaniepokoiło ją to, że Tilly zawzięcie studiuje menu. Znała je przecież na pamięć, czemu więc tak długo nie mogła podjąć decyzji?

- Słyszałam, że mają tu dobre pieczone kurczęta. Próbowalaś ich kiedyś? - spytała żartobliwie Mary.

Tilly albo nie dosłyszała, albo nie poznała się na żarcie.

Przy ich stoliku pojawiła się Sally z bloczkiem i ołówkiem w ręku.

- Zdecydowałyście się już?

- Ja poproszę sałatkę firmową - powiedziała Mary, oddając foliowane menu. - Bez oliwek i z niskokalorycznym majonezem. I bez pieczywa, bardzo proszę.

Sally zapisała zamówienie Mary.

- Nic dziwnego, że ona jest taka szczupła, co, Tilly? Żadnych oliwek ani chleba i odchudzany majonez! - Kelnerka zachichotała; własna uwaga wydała jej się bardzo dowcipna.

Tilly nie poznała się jednak na jej żarcie, choć tym razem Mary mniej to zdziwiło.

- Zamówisz coś, Tilly?

- Dla mnie to samo.

Sally zanotowała na bloczku.

- Chcesz, żebym ci dała jej oliwki?

- Oliwki? - powtórzyła bezmyślnie Tilly.

- Nieważne - mruknęła Sally i odwróciła się.

Mary wpatrywała się w rękę Tilly zaciśniętą na szklance z wodą. Coś było bardzo nie w porządku!

- Tilly! - powiedziała łagodnie. - Co się stało?

Jej towarzyszka otworzyła torebkę i sięgnęła po chusteczkę higieniczną.

Otarła sobie nasadę nosa.

- Ja... muszę z tobą pomówić.

- Czy to coś złego?

Tilly skinęła głową.

- Trudno chyba o coś gorszego.

- Masz romans z Travisem i spodziewasz się dziecka?

Tilly roześmiała się.

- Co za bzdura! - Ocierała łzy, chichocząc. Wszyscy wiedzą, że Travis świata poza tobą nie widzi. Ma to wypisane na twarzy.

- Naprawdę?

Tilly skinęła głową.

- Większość kobiet w mieście uważała go za twardziela. Baby strasznie lecą na takiego macho, wiesz? Ale ostatnio co która na niego spojrzy, od razu widzi, że Travis kogoś już ma. Nawet się nie za bardzo za nimi ogląda.

- Nie za bardzo?!

- Słuchaj, Mary! Chłop zawsze się będzie oglądał za babami. Jak tego nie robi, to coś z nim nie tak. Ale Travis na żadną długo się nie gapi. Zauważy niezłą laskę i tyle. Ceni sobie to, co na niego czeka w domu, od razu widać.

Mary, słysząc to, poczuła, że ogarnia ją miłe ciepło. Może sprawiła to nieprzespana noc, a może była to spóźniona reakcja na kłótnię z mężem, czy też jakaś inna przyczyna, której nie potrafiła odgadnąć - ale napłynęły jej do oczu gorące, słone łzy.

- Ależ się przez ciebie rozkleiłam! - powiedziała drżącym ze wzruszenia głosem. Przeciągnęła wskazującym palcem pod oczami. - Jeśli się obie nie weźmiemy w garść, wystraszymy Marcie klientów!

- Cholernie cię lubię, Mary! - powiedziała ciepło Tilly. - Strasznie się cieszę, że Travis się z tobą ożenił. Zaslugujesz na kochającego męża, a i on jest ciebie

wart.

- Ty też dobrze wiesz, co to miłość, prawda? - szepnęła Mary.

Sięgnęła po papierową serwetkę. Płacz się wzmagił. Nigdy przecież nie była skłonna do łez, a dwa ataki płaczu jednego dnia to stanowczo nie w jej stylu!

- Mam bzika na punkcie Logana Andersena - wyznała Tilly i również sięgnęła do stojaka na serwetki. - Nigdy nie przypuszczałam, że pokocham jakiegoś chłopca aż tak!

- A on czuje do ciebie to samo?

- Nie wiem... Tak bardzo chcę w to wierzyć, że może sobie tylko wmawiam. Kłopot z tym, że nie jestem dla niego odpowiednią dziewczyną.

- Co za bzdury!

- To szczerą prawdą. On jest prawnikiem, synem doktora; wszyscy go szanują. Kilka razy umawiałam się z chłopakami z college'u. Wszyscy uważali, że kelnerka to tyle co dziwka.

- Logan nie jest taki.

- Wiem. On jest dobry dla mnie! I właśnie dlatego jest mi jeszcze ciężiej. Widzisz, zawsze się zakochywałam w facetach nie na poziomie. Myślałam, że z Loganem będzie inaczej, ale teraz zaczynam w to wątpić.

Zjawiła się Sally z zamówioną sałatką i miską oliwek dla Tilly. Ta klepnęła koleżankę przyjaźnie po siedzeniu.

- Logan przyjechał do nas wczoraj wieczorem pogadać z Travisem - wspomniała Mary, żeby podtrzymać rozmowę.

Tilly raptownie podniosła głowę.

- Logan przyszedł do Trávisa?

Mary przytaknęła.

- I... rozmawiał z nim?

Mary potrząsnęła głową.

- Travis był na zebraniu Związku Hodowców.

- Ooo! - westchnęła przeciągle Tilly.

- Travis wrócił bardzo późno i zapomniałam mu o tym powiedzieć, ale namówię go, żeby wieczorem zadzwonił do Logana.

- Doskonały pomysł! - Tilly wyraźnie się ożywiła.

- Chciałaś mi coś powiedzieć - przypomniała jej Mary.

- Powiedzieć ci?... - powtórzyła nieprzytomnie Tilly. - Chyba tak...

- O jakiejś wyjątkowo przykrej sprawie - podpowiedziała Mary.

- A, o tamtym... - Tilly zawahała się, zażenowana i wyraźnie zbita z tropu. -

To nic ważnego.

- Nic ważnego? Nie wierzę, Tilly! Byłaś taka nieszczęśliwa z tego powodu! Muszę wiedzieć, o co chodzi.

Tilly zmięła papierową serwetkę w kulkę i spuściła głowę.

- Wybacz mi, Mary. Chciałam się wtrącić w coś, co do mnie nie należy. Czasem lepiej zostawić sprawy w spokoju. Wygląda na to, że tym razem powinnam tak właśnie postąpić.

- Nie zbywaj mnie w ten sposób!

Tilly wyciągnęła rękę przez nakryty plastikiem blat stołu i ujęła dłoń Mary.

- Wiem, że za wiele od ciebie wymagam, ale czy możesz trochę poczekać? Jestem pewna, że wszystko się wyjaśni... i lepiej będzie, jak dowiesz się od kogoś innego.

- O czym się mam dowiedzieć? Tilly, bądź rozsądna!

- Nie dziwię się, że masz mi to za złe. Ale proszę cię po przyjaźni, poczekaj jeszcze trochę!

Mary pojęła, że nie skłoni Tilly do wyjawienia tego, co wydawało się jej przed chwilą takie naglące. Sięgnęła po jeszcze jedną serwetkę i starła z twarzy ślady łez.

- Straszna ze mnie ostatnio beksa, sama nie wiem czemu - powiedziała zmienionym głosem. - Normalnie prawie nigdy nie płaczę!

Mary zauważyła, że Tilly się w nią wpatruje; potem na jej ustach pojawił się uśmiech.

- Nie jesteś przypadkiem w ciąży?

Rozdział 17

Gdy Tilly wróciła do domu, Logan już tam na nią czekał. Stał na progu kuchni, opasany ścierką. Uśmiechnął się serdecznie, od ucha do ucha, kiedy otworzyła drzwi.

- Co ty tu robisz, Logan? - Tilly nie spodziewała się go i wolałaby go nie spotkać. Podjęła już decyzję i potrzebowała teraz czasu i spokoju, zanim zakomunikuje ją Loganowi. A on to uniemożliwił.

Uniósł w powitalnym geście kieliszek wina i wypił łyceczek.

- Ty... pijesz! - Te słowa ledwo przeszły przez jej zaciśnięte gardło.

Ależ sobie wybrał porę!

- To tylko Cherry Coke, nie rób takiej wystraszonej minki.

- Robi się późno.

- Mam nadzieję, że jesteś głodna; przygotowałem ci danie, które bezbłędnie przyrządzam.

Tilly ani w głowie było jedzenie. Straciła ze szczętem apetyt od dnia festynu dożynkowego. Schudła tak, że zaczęło to zwracać uwagę otoczenia. Nawet Sally jej przygadywała.

- Kochanie! - powiedział Logan, odwiązując swój prowizoryczny fartuch i odstawiając kieliszek. Zbliżył się do niej; w jego ciemnych oczach błysnął niepokój. - Co się stało? - Podprowadził dziewczynę do grubo wyściełanego fotela

i wziął ją na kolana. - Powiedz mi, Tilly, o co chodzi? Widzę, że coś cię dręczy i nie mogę tego znieść!

Tilly lekko odepchnęła go, ale Logan jej nie puszczał. Wiedziała, do czego to doprowadzi, i bynajmniej tego nie chciała.

- Czy zrobiłem coś nie po twojej myśli?

Tilly nie odpowiedziała. Jak mogła na to odpowiedzieć? Gdy Logan wyznał, że ją kocha, wydawało się jej, że to cud: prawnik zakochany w kelnerce! Logan poruszył w jej sercu od dawna zamarłą strunę. Phil i Davey zniszczyli w niej zdolność kochania. Przez całe lata Tilly obywatła się bez miłości. Nieraz się dobrze bawiła, nie brakowało seksu, ale żaden mężczyzna nie kochał jej naprawdę. Wykorzystywali ją, czasem ona ich, ale nikt nie okazał jej tyle bezinteresownej miłości co Logan.

- Pocałuj mnie - poprosiła.

Jej dłonie zacisnęły się na jego koszuli, głos był ledwie dosłyszalny. Gdy się kochali, była w stanie zapomnieć o swych podejrzeniach. Tylko wtedy jej ból się zmniejszał.

- Tilly, coś cię dręczy. Musisz mi powiedzieć, czym się tak przejmujesz.

- Kochaj mnie! - zaklinała go. Objęła jego głowę i przyciągnęła jaku swoim ustom. Pocałowała go zapamiętale, jakby dotyk jego ust mógł rozproszyć wszystkie jej troski.

- Tilly! - jęknął Logan, odrywając wargi od jej warg. - Musimy porozmawiać poważnie. Tak dłużej trwać nie może.

- W porządku - powiedziała, unikając jego wzroku. Zwinnymi palcami rozpięła bluzkę i klamerkę stanika. Jej piersi wynurzyły się z otoczki.

Logan zamilkł.

- Podobno chciałeś porozmawiać? - Tilly uniosła piersi, jak gdyby składała mu je w darze. Ofiarowywała mu w tej chwili czysty seks, bez żadnych domieszek.

Gdy zerknęła na Logana, zauważyła jabłko Adama, poruszające się konwulsyjnie na jego szyi.

- O Boże! Tilly... - zacisnął powieki.

Tilly nie była pewna, kogo Logan żarliwiej przyzywa: Boga czy ją? Wyginając się w łuk, oparta o poręcz fotela uniosła biodra, zręcznie ściągnęła majteczki i odrzuciła je. Spódniczkę miała poddartą do pasa. Palce • Tilly zaczęły rozpinąć klamrę paska i suwak spodni Logana. Znajdowali się w niewygodnej pozycji, toteż zsunęła się z jego kolan i uklękła między jego rozstawionymi nogami. Członek Logana był tak nabrzmiąły, że z trudem wydobyła go ze spodni.

Logan jęknął i przycisnąwszy głowę do oparcia fotela miotał nią w prawo i w lewo.

- Wolisz rozmawiać, czy kochać się? - spytała szeptem Tilly.

- Nie jestem w stanie zebrać myśli.

- Masz rację - stwierdziła z aprobatą. - Nie pora na myślenie. - Wdrapała się znów na fotel, opierając mocno kolana o wyściełane poręcze, i pochyliła się nad Loganem.

Tilly podświadomie zdawała sobie sprawę z tego, co robi i czemu posłużyła się taką prymitywną sztuczką. Tylko wówczas, gdy się kochali, była panią sytuacji. Powtarzał się dobrze jej znany schemat. To samo było za czasów Phila i Daveya. Znęcali się nad nią fizycznie, maltretowali emocjonalnie, okaleczyli jej osobowość, ale kiedy uprawiali z nią seks, Tilly miała nad nimi przewagę, tak samo jak teraz nad Loganem.

- Gotowy? - szepnęła.

- Dziecinko, doprowadzasz mnie do szaleństwa!

- Wiem. Tego właśnie chcę! - drażniła się z nim kręcąc biodrami.

- Tilly! - pochwycił ją w pasie i wygiął się łukiem ku niej, ale nie pozwoliła mu na całkowite zbliżenie. Logan miotał się niecierpliwie.

- Siadaj! - poleciła mu szeptem, całując go. - Zrobimy to po mojemu. Ja tu rządzę!

Logan ciężko dyszał, górną wargę pokryły mu krople potu. Tilly zlizwała je, pocałowała go czule i zaczęła ssać jego dolną wargę.

- Tilly, błagam cię... już dłużej nie wytrzymam! Nawet nie jestem w tobie...

- Wytrzymasz - uspokoiła go. Ręce Logana były zaciśnięte na poręczach fotela, palce wpijały się w materiał.

- Obejmij mnie w pasie - poleciła Tilly i opadając wchłonęła go w siebie. Logan jęczał i dyszał jak w dojmującym bólu. Tilly wpiła palce w jego ramiona, ale nie poruszyła się, póki nie objął dłońmi jej smukłej talii.

- Trzymaj się mocno! - rozkazała.

I dała mu to, czego pragnął.

Wszystko wydarzyło się tak samo, jak bywało niegdyś. Tilly nie czuła nic. Ani bólu, ani rozkoszy - nic prócz chwilowej satysfakcji z władzy nad partnerem.

Przygryzła dolną wargę, wyswobodziła się z objęć Logana i pospiesznie, obojętnie doprowadziła do porządku swoje ubranie.

Przegrała po raz trzeci. Życie niczego jej nie nauczyło. Przez chwilę wierzyła, że z Loganem będzie inaczej. Sprawił, że znowu zbudziły się w niej uczucia. Przestała mieć się na baczności. Zaufała mu. Przez krótki czas była w ekstazie, ale to się już skończyło. Został tylko ból. Była z nim oswojona: towarzyszył jej stale w poprzednich związkach.

- Ach, kochanie - szeptał usatysfakcjonowany Logan. - Co ty ze mną wyrabiasz!

Tilly nie miała odwagi spojrzeć na Logana, znając swą słabość i obawiając się swego nieobliczalnego serca, które w każdej chwili mogło sprzeciwić się nakazom rozsądku.

- Było fajnie - powiedziała, czując do siebie wstręt, a zarazem przyklaskując

sobie w duchu za rzeczowy ton. Głos jej brzmiał obojętnie i twardo, ale było to konieczne, jeśli chciała pozostać przy zdrowych zmysłach. - Dostałeś to, po coś przyszedł. Pora, żebyś się zbierał.

Napotkała zdumione spojrzenie Logana. Siedział jak porażony gromem.

- Po to przyszedłem? - powtórzył.

- A jakże - odparła, sięgając po torebkę. Miała w niej paczkę papierosów na takie właśnie okazje. Choć od lat nie paliła regularnie, od czasu do czasu potrzebowała dawki nikotyny.

Ręce jej się trzęsły, gdy zapalała papierosa, ale Logan chyba tego nie zauważył. Siadając naprzeciwko niego skrzyżowała swe długie nogi i wydmuchnęła obłoczek dymu pod sufit.

- Z nami koniec - oświadczyła spokojnie.

- Jak to koniec? - Logan nie mógł tego pojąć. Poprawił ubranie i opadł z powrotem na fotel. Robił wrażenie zdezorientowanego, nie był pewien, czy się nie przesłyszał.

- Koniec i już. - Papieros smakował obrzydliwie. Tilly zdusiła go na talerzu. - Wiem o wszystkim, Logan, chociaż dość długo trwało, nim się połąpałam.

Tilly była zdumiona, jak bezbłędnie Logan odgrywa rolę niewiniątka.

- O czym wiesz?

- Że to ty jesteś kierowcą, który zabił Lee i Janice Thompsonów.

Nagle tak zbladł, że przestraszyła się, że zemdleje.

- Nie bój się. Nikomu nie powiem - zapewniła go, wiedząc, że przede wszystkim o to mu chodzi. - Umówiłam się dziś z Mary na lunch. Chciałam się dowiedzieć, co Travis zrobił dla odnalezienia tego kierowcy i czy się czegoś dowiedział. Gdyby podejrzewał, że to byłeś ty, chciałam iść do niego i błagać, żeby zostawił cię w spokoju. Ale zanim zdążyłam poruszyć ten temat, Mary powiedziała mi, że sam chciałeś widzieć się z Travisem. - Tilly przerwała, by dać mu czas na

wyjaśnienie celu tej wizyty. Gdy Logan milczał, ciągnęła dalej. Strach cię obleciał, co? Nie dziwię ci się. Nikt nie chce gnić w więzieniu.

- Posłuchaj, Tilly...

- Jeśli planujesz to, o czym myślę, daruj sobie.

- Co takiego?

- Że ci zapewnię alibi. Nie będę dla ciebie krzywoprzysięgać.

- Nigdy w życiu!...

- Na pewno byś tego chciał - stwierdziła chłodno.

Przez kilka pełnych napięcia sekund Logan milczał. Potem spytał:

- Co powiedziałaś Mary?

- Boisz się, co? Wyluzuj się. Zrozumiałam, że to głupota mieszać się w cudze sprawy. Taka ze mnie kretyńka: każdemu bym chciała dopomóc, zamiast zadbać o siebie. A powinnam nabrać już rozumu!

- Proszę, wysłuchaj mnie!

- Chcesz się wybielić? Dzięki, nasłuchałam się dość wykrętów. Choć raz zrobię coś rozsądnego. Spasuję, zanim zacznę spędzać każdą wolną chwilę na więziennych widzeniach! Lepiej by było, gdybyś wtedy sam się zgłosił. Jesteś prawnikiem, powinieneś o tym wiedzieć. - Tilly starała się mówić chłodno i obojętnie. - Było nam razem fajnie, Logan, możesz mi wierzyć. Ale to już koniec.

- Tilly... - Logan zrobił bezradny gest dłońmi, wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- Zalałeś się akurat tamtej nocy, kiedy zdarzył się wypadek - przypomniała mu.

- Wiem, wiem - przytaknął pośpiesznie, pocierając kark.

- Byłeś niespokojny i gryzłeś się czymś od miesiący.

Logan przymknął powieki i skinął głową.

- Myślałeś, że tego nie zauważyłam?

Zatrzymał się i spuścił wzrok.

- Tak rozpaczliwie cię pragnąłem...

- Pewnie, zawsze tak bywa. Philowi i Daveyowi też się przydawałam.

- Nie wiedziałem, że możesz być taka nieczuła. - Podniósł na Tilly oczy i przyglądał jej się bacznie. - Tym razem nie kochaliśmy się, prawda?

- Pewnie. To był zwykły seks. Chciałam się w ten sposób z tobą pożegnać, a sobie udowodnić, że nie różnisz się niczym od innych. A nieczuła jestem dlatego, że to konieczne: nie mogę sobie pozwolić na żadne uczucia, bo to zawsze w końcu boli jak cholera. - Tilly odwróciła się, nie chcąc, by Logan dostrzegł napływające jej do oczu łzy. - Zawsze tak się to kończy.

- Jak?

- Że dostaję od miłości po głowie.

- Tym razem będzie inaczej, kochanie... Przysięgam...

- Przykro mi, Logan. Naprawdę żałuję, ale chociaż raz będę rozsądna i wycofam się ze sprawy, póki nie stracę do reszty rozumu - przerwała mu z pośpiechem. - Nic, co powiesz, nie zmieni mojej decyzji.

- Nic? - wpatrywał się w nią intensywnie ciemnymi oczami. - Nawet prawda?

- Prawda? Już ją znam.

- Nie, nie znasz. - Ukląkł przed nią, wziął ją za rękę. - Tilly, przysięgam ci na wszystkie świętości, że tego nie zrobiłem.

Rozdział 18

Mary nie zaznała spokoju przez całą noc. Najlżejszy szelest, szum wiatru za oknem czy pohukiwanie sowy przelatującej przez tarczę księżycy sprawiał, że biegła do okna, wyglądała i czekała na Tralisa.

O śnie nie było mowy. Za każdym razem, gdy starała się zapomnieć o swych troskach, widziała oczami duszy męża i jego przyjaciół pędzących konno przez

pola. Wyobraźnia podsuwała jej niezliczone grożące im niebezpieczeństwa. Niepokoila się na myśl o karach, które władze federalne i stanowe nakładały na każdego, kto z premedytacją zabił zwierzę będące pod ochroną. W stanie Montana pozostało niespełna 1700 wilków, a Urząd Ochrony Zwierząt brał sobie do serca dobro podopiecznych. Travis doskonale o tym wiedział, inni ranczerzy też, a mimo to postanowili zlekceważyć zakazy i wziąć sprawę w swoje ręce.

Mary siedziała po ciemku w kuchni, dręczona obawami, kiedy wszedł Jim. Na jej widok zatrzymał się.

- Jeszcze nie wrócił?

Mary potrząsnęła głową.

- Boję się o niego, Jim. Wszystko może się zdarzyć.

- Nic mu nie będzie.

Mary dławił lęk. W takich chwilach była pewna, że zupełnie się nie nadaje na żonę ranczera. Inne kobiety nie wpadały w panikę, gdy mężów nie było w domu; wierzyły, że ich mężczyźni zdołają pokonać każdą przeszkodę. Mary nie wątpiła w zaradność Trávisa. Trwożył ją wilk. Ta podstępna bestia przechytryła władze federalne i stanowe, i wodziła za nos najlepszego naganiacza z trzech stanów, a także wszystkich ranczerów w promieniu stu mil. Mary nie wiedziała, czego zamierzają dokonać Travis i jego przyjaciele, ale tak czy owak perspektywy nie przedstawiały się zbyt obiecująco.

- Obudź lepiej Scotty'ego, żeby się nie spóźnił do szkoły - zwróciła się Mary do Jima, wstając z krzesła. Podeszła do stołu pod ścianą, nie wiedząc, po co to robi.

Chłopiec zawahał się.

- Dasz sobie radę sama?

Łzy napłynęły Mary do oczu. Przyciągnęła do siebie Jima i mocno przytuliła. Chłopak był w tym wieku, gdy jako zbyt „dorosły” protestował przeciwko wszelkim objawom czułości ze strony rodziny, ale Mary nie zważała w tej chwili

na to. Pragnęła okazać mu swą wdzięczność, a ponieważ dusił ją płacz, nie mogła mówić.

- Chcesz, żebym kogoś sprowadził? - spytał Jim łagodnie, poklepując Mary po plecach. - Pani Morgan chętnie przyjdzie tu i posiedzi z tobą. Była dla nas naprawdę dobra, a ciebie polubiła.

- Nie... dam sobie świetnie radę. - Mary wypuściła go z objęć. Jim wyglądał na zadowolonego, że się wyswobodził. - Musiałam się do ciebie przytulić - szepnęła.

- Nie ma sprawy. Kobieta potrzebuje od czasu do czasu męskiej opieki. - Powiedział to tak dorośle i taki był przy tym podobny do Trávisa, że Mary musiała się hamować z całej siły, by znów go nie objąć.

Po kilku minutach do kuchni wpadł Scotty we flanelowej pizamce. Położył się widocznie z mokrą głową, bo włosy dziwacznie mu sterczały, zwłaszcza z boku.

- Gdzie wujek?

- Nie wrócił jeszcze do domu, ale nie ma powodu do obaw.

Scotty milczał przez dłuższą chwilę.

- Tak właśnie było z mamusią i tatusiem - szepnął łamiącym się głosem. - Nie wracali i nie wracali. Dziewczyna, która nas pilnowała, zaczęła się denerwować i zadzwoniła do swojej mamy, a potem... potem przyszedł szeryf...

- Wujek Travis na pewno wróci, kochanie. Nie bój się.

- Ale nie było go w domu... - Głosik Scotty'ego wyraźnie drżał - ...przez całą noc.

Z pokoju Beth Ann dobiegło pojękiwanie.

- Zrobiła siusiu do łóżka - szepnął Scotty. - Zawsze tak jójczy, kiedy jej się to przydarzy.

Scotty miał rację. Mary zdumiewała się, jak błyskawicznie udziela się dzieciom napięciu dorosłych. Przez cały wieczór starała się ukryć swój niepokój,

ale bez powodzenia. Miała nadzieję, że Travis wróci na kolację; gdy się nie zjawił, próbowała zbagatelizować sprawę. Widocznie straciła swe zdolności aktorskie.

Nieobecność Trávisa trwała już ponad dobę. Choć Mary nie przyglądała się przygotowaniom męża do drogi, wiedziała, że w jukach niewiele się zmieści. Travis był teraz pewnie wygłodniały, zziębnięty, zdesperowany.

Mary stała przy kuchni, apatycznie mieszając owsiankę, gdy odezwał się telefon. Dzieci spojrzały na nią oczami pełnymi lęku. Mary sięgnęła po słuchawkę i modliła się w duchu ze wszystkich sił, żeby to była jakaś dobra wiadomość o mężu.

- Mary, to ja, Travis.

- To ty! - zawołała i wszyscy czworo odetchnęli z ulgą. - Gdzie jesteś?

- W więzieniu. Słuchaj...

- W więzieniu?! - zawołała Mary. - Na miłość boską, co tam robisz?

- Nie ma teraz czasu na wyjaśnienia. Mam prawo tylko do jednej rozmowy telefonicznej, a szeryf Tucker stoi mi nad karkiem jak kat. Słuchaj, musisz zapłacić za mnie kaucję.

- Kaucję?

- Nie przejmuj się tak, złotko. Siedziałem już nieraz w więzieniu.

- Nic mi o tym nie wspomniałeś przed ślubem.

- Bo nie pytałaś. - Travis był wyraźnie ubawiony jej niepokojem.

- Nic ci się nie stało? - Mary miała kolana jak z waty, tak raptownie ogarnęło ją uczucie ulgi.

- Poza tym, że umieram z głodu, przemarzłem do szpiku kości i miałem cholernego pecha, wszystko w porządku.

- Naprawdę?

Travis zniżył głos.

- Naprawdę doskonale się czuję, tylko...

- Tylko co? - Mary słyszała niepokój we własnym głosie.

- Stęskniłem się za tobą, jak cholera.

- I... ja za tobą.

- Tak trzymać! - Travis wyraźnie poweselał. - Możesz być pewna, że ci to wynagrodzę. A teraz pospiesz się, zanim Tucker walnie mnie w łeb tym tomiskiem!

Travis czuł się wspaniale. Wprost cudownie, cholera! Wilk nie stanowił już problemu dzięki tropicielskim talentom Larry'ego i dzięki szczęściu, które im dopisało.

Szkoda, że potem karta się odwróciła, ale ogólnie rzecz biorąc, raczej się nie skarżył. Dopadli wilka, sami się z nim załatwili i z całym ceremoniałem zataszczyli bestię do siedziby Urzędu Ochrony Zwierząt. Jego szef wcale nie był uradowany ani nie podziwiał ich zręczności. Prawdę mówiąc, był wściekły. Pięć minut po ich przybyciu zadzwonił do szeryfa i kazał aresztować wszystkich trzech. Travis, podobnie jak Larry i Rob, wiedział, na co się naraża: mogli im wlepić potężną grzywnę. Liczył jednak na to, że obiektywny sędzia spojrzy na sprawę także z ich punktu widzenia. To była teraz ich jedyna nadzieja. Wszyscy trzej od początku wiedzieli, na co się narażają.

- Biedaczysko! - powitał wracającego od telefonu Travisa Larry, który leżał na dolnej pryczy. Położył się na wznak z rękami pod głową. - Miał tylko jedną rozmowę i założę się, że zadzwonił do swojej kobitki. Trzeba się opowiadać w domu, jak człowiek się ożenił, nie?

Travis coś burknął, ale nie dał się sprowokować.

- Ja tam - mówił Larry tonem wyższości - nie będę tracił czasu na to, żeby się tłumaczyć przed żoną. O nie! Ja dzwonię do adwokata! On mnie stąd wyciągnie raz dwa. A Travis będzie tu kiblował, wiercąc młynka palcami, zanim Mary zdecyduje się mu wybaczyć.

Szeryf Tucker wywołał następnie Roba. Ten poszedł do telefonu i wrócił z kwaśną miną.

- Coś nie tak? - dopytywał się Larry.

Rob potrząsnął głową.

- Mój adwokat jest dziś rano w sądzie. Jego sekretarka powiedziała, że go zawiadomi, jak tylko wróci do swojej kancelarii, ale pewnie się tam zjawi dopiero późnym popołudniem.

- Mamy tu tkwić aż ten twój najmimorda się zjawi?! - wrzasnął Larry, zrywając się na równe nogi. Widocznie zapomniał o górnej pryczy i uderzył głową w sprężyny. Potok przekleństw skaził powietrze.

- Masz jakieś problemy, Larry? - huknął szeryf, zbliżając się do ich celi.

Wetknął kciuki za pas i zakołysał się na piętach. Travis miał wrażenie, że przedstawiciel prawa doskonale się bawi.

- A jakże. Zmieniłem zdanie. Też skorzystam z telefonu.

- Twoje prawo. - Szeryf otworzył drzwi i poprowadził Larry'ego do przedniej części budynku, skąd mógł zatelefonować.

Nie minęły dwie minuty, a Larry był już z powrotem.

- Do kogo dzwoniłeś? - chciał się koniecznie dowiedzieć Rob.

- Do Logana Andersena. Może to nowy gość w Grandview, ale jest przynajmniej pod ręką..

- Dobry jest?

- Skąd mam wiedzieć?! Chcę tylko, żeby mnie stąd wyciągnął. Nie wiem jak z wami, ale mnie by się przydało coś gorącego na ząb, i kąpiel.

- I Andersen zaraz tu będzie? - dopytywał się Rob.

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz?

- Rozmawiałem z sekretarką - przyznał się Larry. - Facet jeszcze się nie zjawił

w swoim biurze.

- Dziesiąta rano, a on się jeszcze nie pofatygował?! O rany, ależ ci miastowi cwaniacy dbając siebie! Pewnie nadal wyleguje się w łóżku.

- Chętnie bym się z nim zamienił - mruknął Larry, opadając na dolną pryczę. - Zwłaszcza jeśli Tilly Lawrence tak by się mną zajęła jak nim.

- A co ci powiedziała sekretarka Andersena?

- Że go skieruje do więzienia, jak się tylko zjawi.

Rob wyciągnął swoje długie nogi i skrzyżował je w kostkach.

- Wygląda na to, że utknęliśmy tu do popołudnia. Bóg raczy wiedzieć, kiedy Mary wyciągnie stąd Trávisa.

- Pewnie ci będzie suszyć głowę przez całą drogę do domu.

Travis wzruszył obojętnie ramionami.

- I przez trzy dni nie wpuści go do łóżka - dorzucił Larry.

Obaj z Robem roześmiali się głośno; najwidoczniej uważali, że Travis na to zasłużył.

- Biedaczysko! - gruchał Rob.

- Biedaczysko! - wtórował mu Larry.

- Travis Thompson! - Drzwi się otworzyły i szeryf wkroczył do aresztu. - Przyjechała twoja żona. Złożyła za ciebie kaucję.

Rob i Larry przestali się śmiać. Zaskoczeni, w grobowym milczeniu przyglądali się, nie wierząc własnym oczom, jak szeryf wyciąga klucz i otwiera ich celę. Gdy tylko Travis zbliżył się do drzwi, wbiegła Mary i rzuciła mu się w objęcia.

Oplótszy ramionami szyję męża obsypała jego twarz pocałunkami. Travis czuł słony smak jej łez i zrozumiał, że żona szalała z niepokoju. Żałował, że ją na to naraził, ale nie mógł w żaden sposób skontaktować się z nią. Objąwszy ramieniem smukłą talię Mary, uniósł ją w górę. Czule odgarnęła mu włosy z czoła i

spojrzała w oczy nie kryjąc uczuć.

- Wszystko w porządku? - spytał.

- Teraz już tak - odparła i pocałowała go jeszcze raz. Uniosła głowę i nagle uświadomiła sobie, że nie są sami. - Twoi przyjaciele! - szepnęła i pozdrowiła skinieniem głowy Larry'ego i Roba.

Travis odwrócił się i zobaczył swoich wspólników po drugiej stronie kraty. Obejmowali dłońmi pręty; na ich twarzach widniała zazdrość, gdy spoglądali na towarzysza, który wydostał się już na wolność.

- Powinnam była i za nich zapłacić kaucję? - spytała szeptem Mary.

- Nie - odparł Travis, uśmiechając się szeroko do przyjaciół. - Oni już się porozumieli ze swoimi adwokatami. Prawda, chłopaki? - wypuścił Mary z objęć, ale nadal chciał ją czuć tuż przy sobie, więc otoczył ją ramieniem i przytulił do swego boku. Już mieli opuścić więzienie, gdy Travis nagle zawrócił, jakby sobie o czymś przypomniał. Uśmiechnął się do kolegów.

- Do zobaczenia, chłopaki!

- Do zobaczenia - burknął Larry.

Travis omal mu się w nos nie roześmiał. Chyba dużo wody upłynie, zanim któryś z kumpli zacznie się znów litować nad jego smutnym losem!

Travis nie pamiętał, kiedy równie go ucieszył powrót do „Trzech T”. Gdy weszli do domu, chwycił Mary w pól i przygarnął do siebie. Żeby nie wiem jak często tulił ją i całował, nigdy nie miał tego dosyć.

- Wygląda na to, że mam do odrobienia całe dwie noce kochania!

- Travis!

- No co? Strasznie cię pragnę, dziewczyno! Nie zaczniesz się chyba ze mną sprzeczać?

- W biały dzień?! - protestowała Mary, ale Travis zauważył, że robi to bez

przekonania i podsuwa mu usta do pocałunku.

Słodki Boże, ależ on kochał jej usta! Nigdy przedtem nie całował kobiety tak ciepłej i pełnej miłości jak Mary. I z pewnością żadna tak na niego nie działała! Kochał jej bezbronność. Jej miękkie, wilgotne pocałunki doprowadzały go do szaleństwa.

Nie przerywając pocałunku, Travis zdjął z żony płaszcz. Jego ręce powędrowały do jej piersi i aż jęknął, czując jak wyprężyły się brodawki.

- Nie jesteś głodny? - spytała Mary bez tchu.

Travis skinął głową.

- Nasycisz mnie, prawda?

- Przemarzęś!

Znowu przytaknął.

- Ogrzejesz mnie, prawda?

- Travis!

- Tak, to właśnie ja.

- Wykąp się, a ja zrobię ci śniadanie. Jak zjesz, pogadamy o nadrabianiu zaległości.

Travis jęknął, ale czuł, że żona ma rację.

- Stawiasz twarde warunki, moja pani.

Nie musieli biec pędem do łóżka: mieli prawie cały dzień dla siebie. A poza tym pewnie cuchnął jak owcze łajno.

- Wezmę prysznic - oświadczył, wypuszczając Mary niechętnie z objęć. - Ale zaraz wracam!

Skinęła głową. Rozstawali się, jakby rozdzieliła ich wojenna zawierucha.

- Zrobię ci śniadanie.

- Umieram z głodu, więc przyszykuj sporo.

- Ma się rozumieć - zapewniła.

Nie było powodu, by spieszyć się z prysznicem, ale Travisowi szkoda było każdej minuty, którą mógł spędzić w towarzystwie żony. Przyłapał się na tym, że wyśpiewuje głupiutką kowbojską piosenkę, której nauczył się w młodości. Humor jeszcze mu się poprawił, gdy wyszedłszy spod gorącego prysznica poczuł smakowite zapachy dolatujące z kuchni. Kielbasa, jajka i naleśniki. Był taki głodny, że zjadłby konia z kopytami.

Gdy tylko się pożywi, zaraz zabierze Mary do łóżka! Przyrzekł to sobie święcie. Wobec tego nie warto się ubierać. Owinął dla przyzwoitości biodra ręcznikiem i ustroił się w buty i w kapelusz.

Miał nadzieję, że to przebranie rozweseli Mary.

- Ach, żoneczko! - zawołał uwodzicielsko śpiewnym głosem, zmierzając do kuchni.

- Travis...

- Już idę, cukiereczku! - Z rękami na biodrach wkroczył do kuchni uśmiechając się od ucha do ucha.

I wrósł w ziemię.

- Dzień dobry, Travis! - powitała go serdecznie Klara Morgan. Koci uśmieszek czaił się w kącikach jej ust. - Pomyślałam, że wpadnę upewnić się, że nic ci się nie stało. I widzę, że jesteś doprawdy w świetnej formie.

Travis poczuł w żyłach zamiast gorącej krwi stęchlą wodę. Zerknął na Mary w nadziei, że wybawi go z kłopotliwej sytuacji. Oczywiście, musiał zrobić z siebie durnia akurat w obecności dawnej nauczycielki! Jutro rano wieść o tym, że paraduje po domu w przepasce na biodrach, w kapeluszu i w butach obiegnie całe miasto. Panie z Koła Misyjnego gotowe jeszcze modlić się w jego intencji na swym następnym spotkaniu!

- Jak to miło, że nas pani odwiedziła - odezwała się Mary, próbując bezskutecznie zamaskować śmiech kaszlem.

- Travis, wygląda na to, że wyszedłeś cało z tej przygody.

Skinął głową. Tak zacisnął szczęki, że aż zęby go rozboleły. Schwycił mocno za ręcznik z tyłu, żeby zapobiec dalszej kompromitacji.

- To ja już sobie pójdę - oznajmiła pani Morgan pogodnie. - Spotkamy się w niedzielę w kościele, prawda, Travis?

Travis zmarszczył brwi. To był najbezczelniejszy szantaż, o jakim kiedykolwiek słyszał! Nie pozwoli w tak rażąco sposób ograniczać swojej wolności! Towarzyszył Mary do kościoła w pierwszą niedzielę po ślubie, ale nie miał zamiaru przesadzać z pobożnością!

- Więc zobaczymy się, czy nie? - nie ustępowała Klara Morgan.

Ten babsztyl nic się nie zmienił od szkolnych czasów! - pomyślał ponuro Travis. Wtedy tak samo ich tyranizowała.

- Przyjdę - mruknął pod nosem.

- Byłam tego pewna. A teraz uciekam. Nie chcę przeszkadzać w waszym... powitaniu.

- Bardzo jestem wdzięczna, że zastąpiła mnie pani dziś rano przy dzieciach - mówiła Mary, odprowadzając gościa do drzwi.

- Chętnie cię wyręczę, Mary, kiedy tylko zechcesz.

Była to kolejna zatruta strzała wymierzona w Trávisa: babsko mściło się za to, że nie chciał przyjąć od niej pomocy zaraz po przybyciu dzieci na ranczo. Travis zauważył, że pani Morgan świetnie się bawi - i to jego kosztem! Pomachała im ręką i wyszła, coś sobie wesolutko podśpiewując.

- Mogłaś mnie uprzedzić! - burknął Travis, gdy tylko za starszą panią drzwi się zamknęły.

- Nie było jak... skąd zresztą mogłam wiedzieć, że zjawisz się... w takim stroju?

- Śmieję się, śmieję!

- Och, kochany, jak ty uroczo wyglądasz!

Travis warknął:

- Zapłacisz mi za to, słodka żoneczko, i to drogo!

Z premedytacją zgubił ręcznik i rzucił się w pogoń za Mary.

Pisnęła z uciechy i wzięła nogi za pas. Travis nie wiedział, czy przypadkiem, czy naumyślnie trafili do sypialni. Zorientował się jednak, że był to pokój najodpowiedniejszy do tego, co zamierzał uczynić.

Mary nuciała coś cichutko, zdzierając stare tapety ze ścian pokoiku Beth Ann. Pogoda była okropna i Travis od lunchu tkwił w domu. Najpierw wymienił olej w swoim wozie, ale po kawie w ogóle nie wychodził na dwór.

Zanim się Mary spostrzegła, już pracował razem z nią. Była rada z jego towarzystwa; rzadko im się zdarzało takie sam na sam. W dodatku mąż był od niej o wiele silniejszy i lepiej umiał się obchodzić z narzędziami, toteż zrywał tapety dwa razy szybciej niż ona.

Najwyraźniej jednak praca ta sprawiała Travisowi - mimo jego siły - tyle samo trudności co Mary. Raz po raz przeklinał mocnym słowem oporną tapetę.

Beth Ann była zachwycona perspektywą „nowej” sypialni. Chłopcy udawali lekceważenie, ale zgodzili się chętnie, gdy Mary zaproponowała, że odnowi także ich pokój. Zwłaszcza Scotty zapalił się do tapety w samolociki.

- Mary!

Travis zaklął. Tym razem żona wyczuła w jego głosie złość. Upuścił trzymane w ręku narzędzie i raptownie się odwrócił.

- Co się stało?

Travis trzymał się za kciuk omotany białą chustką. Krew zdążyła się już przez nią przesączyć.

- Skaleczyłeś się! - Mary natychmiast się zatroskała. - Jak to się mogło stać?

- Nic mi nie jest - odparł ze spojrzeniem wyraźnie mówiącym, że cierpi straszliwie. - Może dasz mi buziaka, żeby nie bolało?...

Mary zignorowała przekomarzanki i pociągnęła męża za łokieć do łazienki. Travis miał wyraźnie ochotę, by go opatrzyła w sypialni, ale popchnęła go energicznie we właściwym kierunku. Oparłszy dłonie na ramionach męża, zmusiła go, by siadł na brzegu wanny, i ostrożnie odwijała prowizoryczny bandaż.

Travis stracił do niej cierpliwość: schwycił żonę w pól i posadził na kolanach.

- Już ci mówiłem, że to nic wielkiego.

- Sama sprawdzę - odparła cierpko.

Nie pozwoli mu na udawanie bohatera! Stracił dość dużo krwi, z pewnością przyda mu się pomoc medyczna.

- Jak będziesz mnie całować do utraty zmysłów, to zapomnę o bólu. - Travis wetknął zdrową rękę pod bluzkę żony i objął jej pierś.

- Travis, przestań w tej chwili!

- Co mam przestać?

- Dobrze wiesz!

- O tym mówisz? - Powiódł kciukiem po sutku, a zdradzieckie ciało Mary natychmiast zareagowało na pieszczotę.

- Słuchaj, Travis! - burknęła z udaną irytacją, oglądając poszkodowany kciuk.

- Tego skaleczenia w ogóle nie widać!

- Mówiłem ci, że nie ma się czym przejmować. - Chwycił ją zębami za ucho i zaczął je obgryzać.

- A krew?

- To po dawniejszym skaleczeniu. Naprawiałem pikapa. Wiesz, o czym teraz myślę?

Nie mogła mieć co do tego żadnej wątpliwości.

- Travis, co w ciebie wstąpiło?!

Ten facet był nienasycony! Mary bardzo się cieszyła z kochającego męża, ale istniały jednak pewne granice...

- Dzieci!

- Kiedy wracają ze szkoły?

- Za godzinę.

- Ach! - szepnął uradowany. - To mamy sporo czasu.

- Ale...

- Następnym razem, jak pojedziesz do miasta - powiedział, przyciągając bliżej głowę żony i sięgając zgłodniałymi ustami do jej ust - masz sobie kupić staniki odpinane z przodu. Zrozumiano?

- Ale... - Kciuk Trávisa muskał pierś, a ta napięła się jeszcze bardziej. - Dobrze - zgodziła się Mary, wiedząc, że mąż szybko by się rozprawił z wszelkimi jej obiekcjami.

W oddali zadźwięczał telefon. Zbyt daleko, by się nim przejmować.

- Powinam chyba odebrać... - zauważyła Mary.

- Niech sobie dzwoni.

- Słuchaj, Travis... może to coś ważnego?...

- A ja nie jestem ważny?

- Tak, ale możesz poczekać chwilę, prawda?

Wypuścił ją z objęć, bardzo niezadowolony. Mary z uśmiechem sięgnęła po słuchawkę. Sama się dziwiła, że jest w stanie mówić całkiem wyraźnie.

- Pani Thompson, tu Moon, dyrektor szkoły.

Serce Mary zaczęło bić szybko.

- Beth Ann?...

- Żadne z dzieci nie miało wypadku. Bardzo przepraszam, nie chciałem pani przestraszyć.

Dyrektor usprawiedliwiał się, ale jakoś niezbyt gorliwie.

- Czy są jakieś problemy z naszymi dziećmi?

- Obawiam się, że tak - odparł dyrektor. - Musicie przyjechać do szkoły, pani albo mąż. Jim został przyłapany na kradzieży.

- Jim nigdy by czegoś podobnego nie zrobił! - oburzyła się Mary.

- Nauczycielka schwytała go na przeszukiwaniu jej torebki. Jim nie zaprzeczył.

Mary zasłoniła oczy ręką. Chciała zatrzeć wspomnienie z dzisiejszego ranka: Jim był naburmuszony i zły. Odwalił swe obowiązki byle jak, ale Mary ukryła to przed Travisem. Postąpiła źle; wiedziała, że nie powinna kryć przewinień chłopca, ale chciała utrzymać spokój w domu za wszelką cenę.

- Co się stało? - spytał Travis, gdy żona powoli odłożyła słuchawkę na widełki. Mary nie odwróciła się do niego; usiłowała zebrać myśli. - Telefonowali ze szkoły.

- Coś z Jimem?

Skinęła głową.

- Jest karnie zawieszony.

- Za co?

Mary nie podnosiła oczu i potrząsała głową.

- Gadaj! - ryknął Travis.

Przed chwilą szeptał jej pieszczotliwe słówka... a teraz wrzeszczał na nią.

- Przyłapano go na kradzieży pieniędzy z torby nauczycielki.

Mary zaskoczył spokój, z jakim Travis przyjął tę wiadomość.

- Czy dyrektor wezwał policję?

- Nic mi o tym nie wspominał... Chyba nie.

- Szkoda. Sąd dla nieletnich mógłby być dla Jima zbawienną nauczka.

Napięcie pomiędzy Travisem a najstarszym bratankiem ani trochę nie malało; po tym incydencie z pewnością jeszcze wzrośnie.

- Mówisz o dwunastoletnim chłopcu, to jeszcze dziecko! - przypomniała mężowi Mary.

- Mówię o złodzieju! - warknął Travis.

Ruszył ku drzwiom. Chwycił kurtkę i kapelusz.

- Jadę z tobą! - Mary sięgnęła po palto i torebkę rada, że Travis nie protestuje.

Rozdział 19

Logan zajął miejsce przy stoliku „U Marty” i czekał. Tilly obserwowała go kątem oka. Czekał cierpliwie, aż przyniesie mu menu i szklankę wody z takim jak zawsze ciepłym, radosnym uśmiechem.

Teraz już tak nie będzie.

Decyzja zerwania z Loganem była jedną z najboleśniejszych w jej życiu. Nie zmieni swego postanowienia! Takie odgrzewanki były zawsze cholernie ryzykowne.

Trudno przypuszczać, że Logan łatwo się pogodzi z jej decyzją. Przysięgał, że nie był sprawcą wypadku, w którym zginęli Thompsonowie.

Ponieważ Tilly rozpaczliwie pragnęła mu wierzyć, ogarnęły ją wątpliwości. To był jej błąd, ale nie popełni następnych! Logan telefonował do niej dwukrotnie, ale Tilly tak nastawiła automatyczną sekretarkę, że „odsiała” wiadomości od niego. Chyba się zorientował, bo przestał dzwonić. Tilly powinna się jednak domyślić, że nie będzie ułatwiał jej rozstania.

Wetknęła menu pod pachę i zaniósła szklankę wody do jego stolika. Wyciągnęła mały zielony bloczek z kieszeni fartucha.

- Co podać?

- Witaj, Tilly.

- Mam wymienić, co zakład dziś specjalnie poleca?

- Możemy porozmawiać? - spytał Logan.

- Chyba widać, że jestem zajęta.

- Nie teraz. Później, gdy będziesz wolna.

- Dziękuję, nie skorzystam.

- Nie wierzysz mi, prawda? - spytał Logan pełnym napięcia głosem, po raz pierwszy okazując zniecierpliwienie. - Widać to, że cię kocham od wielu miesięcy, nic dla ciebie nie znaczy.

- W tym miesiącu polecamy specjalnie zapiekankę z dyni. Mamy także lody dyniowe. Podać na spróbowanie?

- Z przyjemnością bym cię udusił! Nikt jeszcze nie doprowadził mnie do takiego stanu!

Tilly poczuła, że cała krew odpływa jej z twarzy.

- Nie bierz tego dosłownie! Do jasnej cholery, Tilly, jestem przez ciebie skołowany, nie wiem, co robić!

Twarz Logana była ściągnięta bólem. Ten widok sprawiał ból również Tilly. Oczy Logana zebrały u niej litości, mówiły, jak bardzo jest nieszczęśliwy. Ona też cierpiała. Nękała ją także obawa, że dobrowolnie wyrzekła się największego skarbu, jaki wpadł jej w ręce.

- Nie wiem, co powiedzieć, jak cię przekonać, że mówię prawdę. - Męka w głosie Logana omal nie zachwiała postanowieniem Tilly.

Nie chciała dłużej go słuchać, bojąc się, że zmieni swą decyzję. Odwróciła się, by odejść, ale Logan schwycił ją za ramię i przytrzymał.

- Wysłuchaj mnie! Ten jeden, ostatni raz. Nie proszę o nic więcej. Zrobisz to dla mnie?

Nie mogąc wymówić słowa, skinęła głową.

- Nie mam do ciebie żalu, że uważasz mnie za winnego. Sam pewnie wyciągnąłbym identyczne wnioski. Powtórzę to jeszcze raz: nie miałem nic

wspólnego z wypadkiem, w którym zginęli Thompsonowie. Wybaczam ci twój brak zaufania do mnie. Chyba wszystko potrafiłbym ci wybaczyć.

To było trudniejsze do zniesienia, niż Tilly się spodziewała.

- Kocham cię, Tilly. Pokochałem cię od pierwszej chwili. Jakżebym pragnął, by sprawy potoczyły się inaczej! Z początku nawet nie chciałaś się ze mną umawiać, pamiętasz? Potem doszłaś do wniosku, że zależy mi tylko na jednym. Dobry Boże, kiedy sobie przypomnę... - Logan urwał i przetarł rękami oczy; potem potrząsnął głową, jakby odpędzał natrętne wspomnienie. - Gdy przybyłem do Grandview, byłem całkiem załamany. Wiesz, rozwód i tak dalej... Wszystko było we mnie obolałe jak wzbierający wrzód. A potem spotkałem ciebie. Byłaś taka przyjacielska i bezinteresowna.

Nigdy mnie o nic nie prosiłaś. Nie mogłem tego pojąć. Nigdy przedtem nie spotkałem kobiety, która by czegoś ode mnie nie żądała. Byłaś jak ożywczy powiew. Wydawało mi się to zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Z Tilly sprawy przedstawiały się podobnie. Gdy ujrzała Logana po raz pierwszy, była przerażona i wyczerpana. Potrzebowali siebie nawzajem - i to właśnie zbliżyło ich do siebie.

- A seks?... Dobry Boże, nawet nie przypuszczałem, że może być tak cudowny! Zanim rozstaliśmy się ostatecznie, Kathe odarła mnie z dumy, z godności osobistej, z wiary we własną męskość. Zanim cię spotkałem, pogodziłem się z myślą, że już nigdy nie zdołam... wiesz... zadowolić żadnej kobiety w łóżku.

Tilly spojrzała na niego kompletnie zaskoczona.

- Ależ...

- Wiem - odparł z niepewnym uśmiechem. - Z tobą było inaczej. Zawsze było wspaniale, bo sprawiałaś, że tak właśnie czułem się przy tobie. Ale wydawało się, że jedynie to będzie nas zawsze łączyło. Nigdy nie zamierzałem uciąć sobie z tobą romansu na boku. Chciałem spotykać się z tobą jak z każdą kobietą, która by mi się

spodobała. Chciałem chodzić z tobą do restauracji i do kina albo oglądać wspólnie nocne atrakcje Miles City. Jestem z ciebie dumny, Tilly, i zawsze byłem. Nigdy nie chciałem kryć się z naszą miłością po kątach.

Ostatnio uświadomiłem sobie, co zaważyło na naszych stosunkach. Mężczyźni nie mieli ci dotąd nic do zaoferowania oprócz seksu. Żaden nawet się nie domyślił, jaką jesteś kobietą: dobrą i wspaniałą. Popełniłaś błąd, sądząc, że jestem taki jak inni. Dałbym nie wiem co, żeby zrozumieć to wcześniej. Teraz już za późno. - Sięgnął do kieszeni marynarki i na pokrytym spłowiałym plastikiem blacie stołu położył aksamitne pudełeczko od jubilera.

Tilly przez dłuższą chwilę nie była w stanie oddychać.

- Zrób z tym pierścionkiem, co chcesz, Tilly. Należy do ciebie bez względu na to, jaką podejmiesz decyzję. Jeśli go sprzedasz, zrozumiem to. Jeśli wetkniesz go do jakiejś szuflady, niech i tak będzie. Ale jeśli zobaczę go na twoim palcu, będę wiedział.

Tilly wpatrywała się w aksamitne pudełeczko jak urzeczona. Nigdy nie posiadała prawdziwej biżuterii i widywała ją najwyżej w lombardzie.

- O czym będziesz wiedział?

- Że zgodziłaś się zostać moją żoną.

- Twoją żoną?! - Ze wszystkich mężczyzn, którzy z nią spali, ze wszystkich, których kochała, żaden nie zaproponował jej małżeństwa - chyba po pijanemu.

- Nie przyszedłem tu, by coś zjeść - powiedział Logan, oddając jej menu. Wzięła je w zdrętwiałe palce. - Przyszedłem, bo cię kocham. Chcę razem z tobą iść przez życie. Marzę o tym, że będziemy mieli kiedyś dzieci. Jeśli ty również tego pragniesz, daj mi znać.

Tilly nadal wpatrywała się w pudełko z pierścionkiem.

- Nie musisz kupować mego milczenia. Już ci mówiłam, że nikomu nic nie powiem, i dotrzymam słowa.

Nagły ból, który dostrzegła w jego oczach, był tak wielki i przejmujący, że Tilly odczuła go we własnym sercu. Pragnęła cofnąć wypowiedziane słowa, ale nie mogła tego zrobić. Spostrzegła, że w Leganie kipi straszliwy, choć powstrzymywany gniew. Ciało mu zeszywniało, oczy sypały iskry.

- Nie mogę cię zmusić, byś mi uwierzyła, ale - na Boga! - nie obrażaj mnie! Jeśli chcesz odrzucić z pogardą moje oświadczenia, proszę bardzo, ale nie nurzaj w błocie moich uczuć do ciebie.

- Cóż innego mogłam pomyśleć? - spytała gniewnie.

- Nie wiem, Tilly. Przysięgam na Boga, że nie wiem. Może to, że raz w życiu spotkałaś mężczyznę, który szczerze cię kocha? Czy naprawdę nie wierzysz, że znalazłaś człowieka pragnącego czegoś więcej niż niezobowiązujących igraszek za zamkniętymi drzwiami? A, rozumiem - powiedział z gryzącą ironią. - Jeśli to coś poważniejszego niż tani romansik, to wolisz się nie angażować? Pomyśl, czego naprawdę chcesz, Tilly! Dobrze to sobie przemyśl, bo drugi raz już cię nie poproszę.

Logan podniósł się tak raptownie, jakby nie mógł doczekać się chwili rozstania, i wielkimi krokami przeszedł przez salę do wyjścia. Ani razu się nie obejrzał.

Tilly nie wiedziała, co robić. Wzięła do ręki pudełeczko i powoli, prawie ze strachem je otworzyła. Na grubej wyściółce z czarnego aksamitu leżał piękny pierścionek z brylantem. Kamień był lśniący, przejrzysty, bez skazy. Iskrzył się i połyskiwał.

Serce Tilly zaczęło walić na alarm, ale czuła ogromną wewnętrzną pustkę. Pokusa, by wsunąć klejnot na palec, była tak silna, że nagłym ruchem zamknęła pudełko. Wetknęła je do kieszeni i przeleżało tam przez resztę dnia, jakby to był hojny napiwek. W pewnym sensie rzeczywiście tak było.

Logan kupił sobie jej milczenie.

- Nie mogę tego pojąć, Jim powtarzała raz po raz Mary, spoglądając na męża, gdy wracali do „Trzech T”. - Miałaś przecież swoją tygodniówkę. Na co ci były tamte pieniądze?

Travis bez trudu odgadł wątpliwości, które dręczyły jego żonę. Przypisywała sobie winę za ostatni wyskok Jima. Dobrze, że przynajmniej on sam nie dał się nabrać na te bzdury o szukaniu winowajców, które wtykał im dyrektor szkoły! Zanim opuścili jego gabinet, wyglądało na to, że wszyscy w Grandview - ze śmieciarzem włącznie są sprawcami problemów Jima.

Zdaniem Trávisa było to zwykłe bicie piany. Chłopaka przyłapano na gorącym uczynku: kradł forszę z torby nauczycielki. Trudno o coś wyraźniejszego. Nikt go nie zmuszał siłą do tego czynu. Z własnej woli Jim zabrał cudze pieniądze. On, Travis, tak właśnie zamierzał potraktować całą sprawę. A co do tych bzdur na temat wizyty u psychologa dziecięcego, to nie miał zamiaru przykładać do tego ręki. I tak okazał wyjątkową cierpliwość. Kilka miesięcy temu wygarnąłby temu Moonowi wszystko bez ogródek. Hamował się teraz tylko ze względu na Mary: wiedział, że podobna awantura sprawiłaby jej przykrość.

Cała ta gadanina o źle funkcjonującej rodzinie! Do stu diabłów, myślał Travis, chciałbym zobaczyć taką rodzinę, w której wszystko idealnie funkcjonuje! Każdy ma w domu kłopoty, jedni mniejsze, inni większe.

Jim cierpiał z powodu - jak to Moon określił?! - powstrzymywanej agresji. Travis podejrzewał, że chodziło o zwykłą zadrzotność. Psiakrew, każdy miał z tym kłopoty od czasu do czasu. Dorosły mężczyzna wyładowywał „agresję” w pracy fizycznej. Gdyby Jim przykładał się do roboty, do nauki i zajął jakimś sportem, nie miałby czasu na takie numery.

- Nie mogę tego pojąć - powtórzyła Mary prawie szeptem, jakby do siebie.

Travis obawiał się, że żona święcie uwierzyła w te wszystkie brednie, które

Moon jej wciskał. Gdy opuszczali szkołę, Mary kulila się i była bliska płaczu. Właśnie dlatego Travis musiał położyć temu kres. Nie pozwoli, żeby ktokolwiek tak Mary niepokoił! Jeśli Moon upierał się, żeby ją męcić, mogli załatwić to po męsku, w cztery oczy. Tak właśnie jak on zamierzał teraz rozprawić się z chłopakiem. Jeśli Jim cierpiał na powstrzymywaną agresję, Travis był pewien, że go z niej całkowicie wyleczy.

Jakby odgadując myśli wuja, Jim zaczął się wiercić. Tkwił na przednim siedzeniu, wciśnięty między Trávisa i Mary. Jakimś szóstym zmysłem poczuł pewnie, co go czeka.

Chłopiec prawie się nie odzywał od chwili, gdy go zabrali ze szkoły. Travis zauważył, że nie było to milczenie pełne żalu i skruchy, ale posępne dąsy, na które chłopak często sobie pozwalał. Mary zawsze starała się go usprawiedliwić. Kryła też Jima, jeśli nie wywiązał się z obowiązków domowych. Travis nie miał zamiaru dłużej tego tolerować. Rozmówi się z chłopakiem raz na zawsze!

Travis z przykrością zdał sobie sprawę z tego, że może mu to zaszkodzić w oczach Mary. Już raz się posprzecziali na temat wychowania Jima. Jeśli nawet doprowadzi to do kolejnego starcia, mówi się trudno! Nie pozwoli, żeby miękkie serce żony uniemożliwiało mu wykonanie czegoś, co koniecznie trzeba zrobić.

Travis skręcił z szosy w długą piaszczystą drogę wiodącą do „Trzech T”. Gdy wreszcie się zatrzymał, samochód pokryty był grubą warstwą pyłu.

- Chcę pomówić z Jimem - oświadczył Travis, spoglądając znacząco na Mary. Zacisnął dłonie na kierownicy, spodziewając się sprzeciwu żony.

- Ja też sądzę, że powinniśmy z nim porozmawiać - zgodziła się Mary i wysiadła z wozu.

- Chcę pogadać z nim sam na sam. - Travis rzucił żonie spojrzenie nad maską samochodu. - Jak mężczyzna z mężczyzną.

Jim zakręcił się jak fryga. Jego wzrok pobiegł od Trávisa do Mary, wzywając

jej pomocy.

Travis czekał, zastanawiając się, czy żona wystąpi w obronie chłopca. Wyczuwał jej wewnętrzną walkę, jej niezdecydowanie. Przygryzła mocno zębami dolną wargę. W końcu skinęła głową i skierowała się w stronę domu. Zatrzymała się na najwyższym stopniu, wyraźnie nie mogąc odejść.

- Nie mam ci nic do powiedzenia! - wrzasnął Jim do Trávisa z jawną wrogością. - Mary! - błagał - nie pozwolisz, by on mnie zaciągnął do stajni, prawda?

Travis czekał prawie pewien, że żona zakwestionuje jego decyzję i zażąda, by rozmowa odbyła się w jej obecności. Tym razem nie mógł na to pozwolić. To, co miał Jimowi do powiedzenia, musiał mu powiedzieć bez świadków. Te sprawy nie dotyczyły Mary.

- A więc chcesz się schować za babską spódnicą? - Travis umyślnie wypowiedział te słowa z sarkazmem. - Tego właśnie można się spodziewać po złodziejaszku, który wykrada nauczycielce forszę z torby!

Jim odwrócił się raptownie, chcąc uderzyć wuja. Ramię chłopca przecięło powietrze z taką siłą, że on sam o mało nie upadł. Travis schwycił go za kurtkę na plecach.

- Długo to nie potrwa - zapewnił żonę, wlokąc Jima do stajni.

Kątem oka dostrzegł, że Mary chce do nich podbiec; potem zatrzymała się w połowie schodów. Poczł wdzięczność do żony, że pozwoliła mu załatwić tę sprawę samemu.

- Wszedł do mrocznej stajni i zamknął drzwi. Najbliżej znajdował się skład uprzęży - równie dobre miejsce jak każde inne. Travis popchnął chłopca w tamtym kierunku.

- Nienawidzę cię! - Jim rzucił mu spojrzenie pełne jadu. - Nigdy nie mogłem cię znieść!

- W porządku - odparł Travis spokojnie. - Wreszcie doszliśmy do czegoś. Nienawidzisz mnie. Z jakiego powodu?

- To ty powinienesz być umrzeć! Nie mój tata, tylko ty!

- Ale stało się tak, jak się stało, i zginął twój tata. Ja tego też nie chciałem. Teraz jesteśmy ze sobą związani na amen. Więc albo poradzimy sobie z tym, co cię gryzie, albo przez następne dziesięć lat będziemy jak para idiotów robić sobie ciągle na złość. Osobiście wolałbym załatwić sprawę od razu.

- Chcesz mnie zabić? - Jim powiedział to tak, jak gdyby brutalność wuja była po jego myśli.

Travis pocierał szczękę, jakby coś głęboko rozważał.

- Wydaje mi się, że jesteś już za duży, bym ci złoł skórę, choć mam na to ochotę.

Ostatnie słowa doprowadziły Jima do furii. Zacisnął pięści i stanął w postawie bój owej.

- Zobaczymy kto kogo!

Travis wiedział, że gdyby się w tej chwili roześmiał, popełniłby wielki błąd, więc się powstrzymał.

- Bójka niczego nie rozstrzygnie.

- Myślisz, że nie mogę cię pokonać, co? - prowokował go Jim.

- Cóż, jeśli już o to pytasz, powiem ci, że nie masz najmniejszych szans.

- Wszystko mi jedno!

Chłopiec z głośnym krzykiem rzucił się na wuja, wymachując pięściami. Travis był zaskoczony. Jim oczywiście nie mógł wyrządzić mu żadnej krzywdy, choć starał się jak mógł. Kilka razy pięść chłopca trafiła go, ale za każdym razem zgoła nieszkodliwie.

Schwyciwszy Jima za pasek, Travis uniósł go. Chłopiec wymachiwał szaleńczo rękami i nogami. Wuj poczekał, aż się chłopak zmęczy i będzie

podatniejszy na głos rozsądku.

- Możemy teraz pogadać? - spytał.

- Nienawidzę cię!

- Już to przerabialiśmy.

- Obiecałeś... obiecałeś mnie i Scotty'emu, i Beth Ann, że znajdziesz tego, kto zabił mamę i tatę. Uwierzyłem ci, a teraz... teraz ci już na tym nie zależy!

Travis opadł na wiązkę siana, zdjął kapelusz i otarł czoło ręką.

- Nie skończyłem z tą sprawą i wcale nie zamierzam.

Jim splunął.

- Pozwalasz, żeby mordercom uszło na sucho!

Travis zerwał się, schwycił chłopca za ramiona i potrząsnął nim silniej, niż zamierzał. Słowa z trudem przechodziły mu przez zaciśnięte gardło.

- To nieprawda! Nikt nie pragnie sprawiedliwości bardziej niż ja. I nikomu nie jest ona bardziej potrzebna niż wam, dzieciaki. Dobrze o tym wiem.

- Więc zrób coś!

- Niby co? - wrzasnął Travis. - Biuro szeryfa zamknęło śledztwo. Skontaktowałem się z trzema detektywami prywatnymi. Żaden z nich nie ma zamiaru wlec się tu, do Grandview, chyba że za bardzo dużą forszę. Brakuje mi teraz gotówki, więc próbuję robić sam, co tylko mogę.

- Na przykład co?

- Słuchaj, Jim! Nie mam zamiaru stać tu i tłumaczyć się przed tobą! Dzień nie ma tak znowu dużo godzin, więc nie mogę poświęcić tyle czasu, ile bym chciał, na ściganie winnego. Mam teraz na głowie ranczo i rodzinę, i na to idą wszystkie moje siły. Ale w końcu zabójca musi popełnić jakiś błąd. Jakąś głupią omyłką. Na przykład z czymś się wygada. Nikt nie zwróci na to uwagi, tylko ja. Przysiągłem sobie, że będę cierpliwie czekał. To bardzo trudne, bo niczego tak nie pragnę, jak zobaczyć tego bydlaka za kratkami!

Jim spuścił głowę; Travis widział, że chłopiec jest bliski płaczu. Przypomnił sobie własną walkę z bólem i wysiłkiem, z jakim tłumiał uczucia. Kiedy wreszcie wydobyły się na jaw, zerwały wszelkie tamy. Gdyby nie Mary, kto wie, co by się z nim stało.

Teraz przyszła kolej na Jima.

- Twój tata był dobrym człowiekiem
- Lepszym niż ty! - wypluł z siebie Jim.

Travis uśmiechnął się szeroko.

- Nie mam zamiaru przeczyć.
- Nigdy nie rozrabiał w szkole.

- Masz rację - odparł Travis - to była moja specjalność. Jeśli chcesz mi w tym dorównać, czeka cię jeszcze długa droga. Ale radzę ci iść na skróty.

- Niby jak? - Jim wpatrywał się w swoje buty; wytarł nos rękawem.

- Oszczędź sobie przykrości i masy kłopotów. Nie staraj się zburzyć ustalonego porządku. Będziesz się uczył w szkole jeszcze sześć lat, więc chyba lepiej nie zadzierać z belframi.

- Ale ty z nimi zadzierałeś!

- A jakże. I zdrowo za to zapłaciłem. Nie powtarzaj moich błędów, synu.

Ostatnie słowo wymknęło mu się bezwiednie, zanim zdołał ocenić, jaki wyrze skutek.

Jim raptownie odwrócił głowę i zmierzył wuja wzrokiem.

- Nie musisz mi tego mówić - mruknął Travis.
- Czego?

- Nie musisz mi przypominać, że nie jesteś moim synem. O tym właśnie myślisz, może nie?

Jim lekceważąco wzruszył ramionami.

- Jesteś moim bratankiem, ale łączy nas coś więcej. Szkoda, że nie umiem ci

tego lepiej wyjaśnić. Jak miałeś się urodzić, dreptaliśmy razem z twoim tatą przez całą noc po szpitalnym korytarzu. Kiedy już pozwolili nam zobaczyć twoją mamę i upewnić się, że wraca do siebie, twój tata i ja poszliśmy uczcić to wydarzenie. Chyba byłem jeszcze bardziej przejęty, niż mi się zdawało, bo zgubiłem but w krzakach koło knajpy „Pod drwalem”. Od najlepszej pary, cholera! I nigdy już tego buta nie znalazłem.

Jima troszkę to rozbawiło. Na jego wargach pojawił się uśmiech.

- Zgubiłeś but?

- A jakże. Zanim się urodziłeś, było nas tylko dwóch: twój tata i ja. Ty byłeś pierwszym dodatkiem do rodziny Thompsonów od dwudziestu lat. Cholernie się ucieszyłem, że Janice urodziła chłopaka, który będzie nosił nasze nazwisko. Nigdy nie przypuszczałem, że sam się ożenię, więc utrzymanie rodu to była sprawa mego brata.

Oczy Jima podejrzenie zwiłgotniały.

- Twoja mama uparła się, żebym cię wziął na ręce. Od razu w szpitalu, gdzie wszyscy się gapili! Nie obraż się, ale byłeś paskudny. Wszyscy szczebiotali: „Jaki śliczniutki!” Ja wcale tego nie widziałem.

Jim równocześnie śmiał się i popłakiwał.

- Ale już wtedy zastanawiałem się, na jakiego mężczyznę wyrośniesz. Myślałem, że będzie nas trzech. Oczywiście nie miałem pojęcia, że zjawi się Scotty, ani że twój tata zginie. To były niespodzianki - jedna miła, druga straszna - które życie miało dla nas w zanadrzu.

- O czym jeszcze myślałeś?

- O tym, że kiedyś zrozumiesz, że nas ze sobą coś ważnego łączy - wyznał z powagą Travis. Wcale nie miał zamiaru mówić chłopcu o tym ani się przed nim wywnętrzać. Zamierzał się z nim rozprawić, palnąć mu kazanie. Żeby zrozumiał, i to dobrze, że jeśli jeszcze kiedyś odstawi taki numer, drogo za to zapłaci! Przecież

lekcje, które daje nam życie, są bardzo kosztowne. A Travis nie zamierzał chować chłopca pod kloszem.

- Nie dziwię ci się, że wcale nas nie chciałeś - szepnął Jim.

- Nie chciałem was?! - zdumiał się Travis. - Kto ci powiedział coś równie głupiego?

Chłopiec wzruszył ramionami.

- Wiem tylko, że gotów byłem poruszyć niebo i ziemię, byleby nasza czwórka została razem. To prawda, że nie marzyłem nigdy o wychowywaniu dzieci, ale ani mi w głowie było pozbywać się was! Jesteście moją najbliższą rodziną.

- Nie lubisz mnie... Wcale ci się nie dziwię. Ja sam nieraz nie mogę ze sobą wytrzymać.

Travis roześmiał się.

- Zgrywasz się, dzieciaku! Ale to nic nie szkodzi, każdemu z nas to się zdarza. Przeważnie człowiek z tego wyrasta, tak jak z podsłuchiwania, co starsi mówią.

- Ty się też na wszystkich boczyłeś... póki nie przyjechała Mary.

Travis zastanowił się nad tą uwagą i uznał jej słuszność. Jim miał chyba rację. Co też mogą z człowieka zrobić domowe obiady, regularne współżycie i kobieca czułość!

- To żaden wstyd oplakiwać rodziców, Jim. Nie ma dnia, żebym nie myślał o Lee. Tak mi bez niego pusto... i tej pustki nic nie może zapełnić. Nie zniknie, póki nie dowiemy się, kto spowodował wypadek.

- Mężczyźni nie płaczą.

Travis powoli wypuścił powietrze z płuc i szukał odpowiednich słów.

- Czasem lepiej dać upust rozpaczy. To żadna przyjemność. Będziesz miał wrażenie, że ktoś zatkał ci gardło krowimi plackami... ale potem poczujesz się lepiej. Mnie przynajmniej ulżyło.

Jim zwiesił głowę, a Travis czekał na jego odpowiedź. Chłopiec nie wyraził

jej słowami. Zamiast tego na podłogę kapnęła łza. Travis objął go mocno i przytulił do siebie. Młodziutkie ciało trzęsło się od płaczu, ramiona chłopca drżały. Travis poczuł, że coś go ściska w gardle, gdy Jim objął go w pasie.

- Już dobrze, synu. Wszystko będzie dobrze.

I sam po raz pierwszy miał istotnie taką nadzieję.

Dziesięć minut później wyszli ze stajni. Travis obejmował Jima ramieniem. Wyjaśnili sobie wiele spraw i powstała między nimi trwała więź.

Travis podniósł wzrok i ujrzał Mary.

Swoją Mary. Stała na stopniach ganku. Może w ogóle się stamtąd nie ruszała? Nie miał pojęcia. Słońce zachodziło; znalazło się właśnie za jej plecami. Travis znieruchomiał na chwilę, gdy jego oczy napotkały spojrzenie żony. Była taka cholernie piękna, kiedy stała, przyciskając dłoń do serca. Nikt w świecie nie miał takich łagodnych, takich niebieściutkich oczu!

Życie było piękne. Travis nie pamiętał, czy kiedykolwiek przedtem myślał o czymś takim, czy w ogóle wierzył, by to było możliwe.

Tilly zastukała od frontu i czekała. Nikt się nie odezwał. Po chwili zdała sobie sprawę, że należało zadzwonić. Duma podszeptowała jej, że jeśli posunęła się już tak daleko, byłoby głupotą zawrócić w tej chwili tylko dlatego, że boi się nacisnąć głupi guziczek. Przytknęła więc kciuk do dzwonka i nie odrywała go przez kilka sekund, powodując przeraźliwy hałas.

- Zaraz, zaraz! - burknął niecierpliwie Logan, otwierając drzwi.

Na widok Tilly skamieniał. Widocznie wyszedł spod prysznic: był owinięty w płaszcz kąpielowy.

- Cześć, Logan.

Spojrzał na nią jakby była zjawą i mogła mu się zaraz rozpuścić przed oczami.

- Przyszłaś...

Z uśmiechem skinęła głową.

- Przemyślałam sobie to, co mi powiedziałaś... i doszłam do wniosku, że miałaś rację. Nigdy nie przypuszczałam, że chcesz się ze mną ożenić. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Moje życie nie było grzecznym spacerkiem po ogródku, jeśli wiesz, co chcę przez to powiedzieć.

- To nie ma dla mnie znaczenia, Tilly. Nigdy nie miało. - Ujął ją za rękę i wciągnął do wnętrza domu.

Gdy zauważył brylantowy pierścionek na jej palcu, przymknął oczy, jakby wznosił w milczeniu dziękczynne modły.

- Są pewne sprawy, o których powinieneś wiedzieć, zanim zdecydujesz się ze mną ożenić. Powinnam była dawno ci o tym powiedzieć. Nie jestem dobrym materiałem na żonę.

- Nigdy do tego nie wracaj! - zapowiedział ostro. - To nie ma najmniejszego znaczenia, słyszysz? Jesteś po prostu kobietą, którą kocham.

Chwycił Tilly w ramiona i całował tak zachłannie, że oboje osłabli z pożądania.

- Nie miałem nadziei, że przyjdiesz - szepnął Logan z ustami na jej ustach.

- Próbowałam trzymać się od ciebie z daleka. Tłumaczyłam sobie, że się mylę, że z pewnością nie mówiłaś tego poważnie... ale nie potrafiłam zapomnieć. Nie musisz się wcale ze mną żenić, nawet teraz nie musisz!

- Ale naszym dzieciom wyjdzie to raczej na dobre, nie sądzisz?

- Naprawdę chcesz, żebyśmy mieli dzieci?

- Pragnę tego z całego serca. O ile i ty chcesz tego! - Oczy Logana pełne były miłości i nadziei.

Tilly skinęła głową z zapalem.

- Może ci się to nie spodoba, ale pomyślałem sobie, że byłoby lepiej,

gdybyśmy przez jakiś czas nie chodzili ze sobą do łóżka.

- A to czemu?! - spytała Tilly.

Logan miał słuszość: wcale jej się to nie podobało! Trochę już za późno udawać dziewicę. Pożegnała się z wianuszkiem piętnaście lat temu na tylnym siedzeniu dodge'a.

- Ponieważ chcę, żeby wszystko między nami było jak trzeba, bez żadnych zastrzeżeń czy wątpliwości.

- Mam nadzieję, że będzie to krótkie narzeczeństwo!

Uśmiech Logana był szeroki i pełen miłości.

- Cholernie krótkie! Tyle tylko, żebyśmy zdążyli wszystko przygotować jak należy. Przyjęcie urządzimy „U Marty”.

- Chcesz urządzić przyjęcie?

- Oczywiście.

- Powiedziałaś swojemu tacie?

Logan znów się uśmiechnął.

- Kilka dni temu.

- I co on na to?

Logan wybuchnął śmiechem. Tilly pomyślała, że nigdy jeszcze nie słyszała piękniejszego dźwięku.

- Powiedział, że jestem wystarczająco dorosły, by się zenić, z kim mi się tylko podoba... a ty mi się naprawdę podobasz, Tilly Lawrence!

- Wiesz? Nie najgorsza ze mnie kucharka: powinnam sobie dać radę w kuchni. Poproszę Mary Thompson, żeby nauczyła mnie szycia. Wiem, że się zgodzi! Niebawem... o Boże! - Tilly urwała i przycisnęła dłonie do ust. - Zanim się obejrzę, będę miała dom, dzieci i męża!

- A więc umiesz gotować? - Logan ucałował ją w zadarty nosek. - To doskonale! Może upitrasisz dla nas jakiś obiad? Ja się przez ten czas ubiorę.

Nastąpiła gorąca wymiana pocałunków i Tilly omal nie wylądowała w sypialni, ale przypomniała ze śmiechem narzeczonemu o ich postanowieniu. Logan wyraźnie pożałował swojej decyzji, jednak nie protestował. Stał się przez to Tilly jeszcze droższy.

Przechwalanie się kulinarnymi talentami było chyba błędem. Tilly zbadła zawartość szafek w kuchni Logana i przekonała się, że są równie źle zaopatrzone jak jej własne. Znalazła płatki zbożowe z rodzynkami, dwie puszkę tuńczyka, worek ziemniaków. Zrobienie z tego obiadu wymagało nadzwyczaj twórczej wyobraźni!

W zamrażarce nad lodówką odkryła pół gal ona lodów. Wyglądały na pozostałość po święcie Czwartego Lipca.

Tilly pomyślała, że zapewne w garażu znajduje się druga, pojemniejsza zamrażarka; otworzyła więc drzwi prowadzące tam. Jej domysł był trafny. Zapaliła światło, przecisnęła się koło niebieskiego samochodu i dotarła do zamrażarki stojącej pod ścianą. Znalazła w niej dwa kotlety z kostką i całą paczkę siekanych. Niosła swą zdobycz do kuchni, gdy nagle zobaczyła...

Jeśli kiedykolwiek Tilly marzyła o śmierci, to właśnie w tej chwili. Pragnęła umrzeć, by nie czuć tego strasznego bólu.

Najbardziej zabolą ją obłuda Logana. Wszystko, co jej powiedział, było kłamstwem. Wcale jej nie kochał. Pomysł z małżeństwem dawał mu prawne zabezpieczenie. Żona nie mogła składać zeznań na szkodę męża, tak przynajmniej się Tilly obilo o uszy.

Dowód kłamstwa Logana stał przed nią: jego samochód. Wkłęśnięcie z przodu i smuga farby z boku - tego samego koloru, co wóz Lee Thompsona.

Tutaj znajdowało się auto, które Logan miał rzekomo wymienić na nowe, wkrótce po swym przybyciu do Grandview. Pojazd, którego Travis Thompson poszukiwał na parkingu podczas festynu dożynkowego.

Samochód, który spowodował śmierć Lee i Janice Thompsonów.

Rozdział 20

Mary stała nago przed zaparowanym lustrem w łazience, mrużąc oczy, by lepiej siebie obejrzeć. Kobieta powinna znać się na tych sprawach! Zwłaszcza mężatka.

Po rozmowie z Tilly po raz pierwszy przyszło Mary do głowy, że może być w ciąży. W ciąży? Mary położyła rękę na płask na swym brzuchu.

Gdyby pojawiły się ogólnie znane objawy, zyskałaby pewność. Ale nie mdliło jej ani razu. Przeciwnie: była w lepszej kondycji niż zwykle. Miała dobry apetyt, zdecydowanie ponad przeciętną, i czuła się wspaniale. Z kobietami w ciąży jest zazwyczaj wręcz odwrotnie - tak przynajmniej obilo się jej o uszy.

W pierwszej chwili Mary uznała sugestię Tilly za absurdalną. Potem, zajrzawszy do kilku książek poświęconych ciąży i rodzeniu dzieci, musiała przyznać, że jeśli ktoś zachowywał się absurdalnie, to ona - i zapewne Travis. Nigdy nie zaprzęтали sobie głowy problemami świadomego macierzyństwa, często korzystali z uroków stanu małżeńskiego.

Nie mogąc dłużej zamykać oczu na taką możliwość. Mary zamówiła wizytę u doktora Andersena. Jego asystentce udało się znaleźć dla Mary miejsce późnym popołudniem; nawet to kilkugodzinne oczekiwanie wydało się Mary nieznośne. Chciała wiedzieć. Musiała wiedzieć, i to teraz, zaraz! I coraz bardziej pragnęła podzielić się z kimś swoimi przypuszczeniami.

Łzy załśniły jej w oczach na myśl, jak wyglądałoby jej życie, gdyby nie odpowiedziała na ogłoszenie Trávisa. Bezbarwna, jałowa egzystencja bibliotekarki z Petite wydawała się czymś tak odległym tej nowej Mary! Wprost nie do wiary, że Travis i dzieci nie zawsze byli częścią jej życia.

Mary skończyła się ubierać i wepchnęła naręczę dzinsów do pralki. Gdy się z nimi uporała, postanowiła - w nagrodę za swe trudy - zadzwonić do starej przyjaciółki.

- Georgeanne! - powiedziała do słuchawki - to ja, Mary.

- Mary? Ach, jak się cieszę, że cię słyszę! - Radosny szczebiot przyjaciółki od razu podniósł ją na duchu. - Mój Boże, jak ja się za tobą stęskniłam! Chciałam zatelefonować do ciebie Bóg wie ile razy, ale pisałaś, że jesteś taka zajęta, i... Mary, twoje listy są takie pogodne! Jesteś szczęśliwa, naprawdę szczęśliwa, prawda?

Mary uśmiechnęła się ciepło, patrząc jak ranek rozbłyskuje złotem nad szczytem wzgórza. Wraz ze słońcem spłynęło na nią uczucie wielkiej radości, takiej, o jakiej nigdy nie marzyła. To, że była nieładna i za niska, już samo w sobie stanowiło przeszkodę, ale inteligencja Mary całkowicie zniweczyła szansę na wszelkie romantyczne przygody w rodzinnym miasteczku. Mary została zlekceważona, odrzucona, zapomniana. Taka „panna bez żadnych szans”. Jej własna babka określiła kiedyś Mary w ten sposób. Ale to należało już do przeszłości.

- Jestem szczęśliwa - stwierdziła Mary.

- Nigdy nie sądziłam, że to twoje zwariowane małżeństwo okaże się udane! Mam nadzieję, że wybaczysz mi egoizm, Mary. Nie powinnam była mówić tych wszystkich głupstw, którymi cię zasypywałam.

- Nie marudź, Georgeanne! - Mary nie miała zamiaru płacić Bóg wie ile za połączenie telefoniczne po to tylko, żeby wysłuchiwać płacziwej samokrytyki przyjaciółki. Zresztą, żadna kobieta przy zdrowych zmysłach nie porzuca domu i całego swego życia, by wyjść za kogoś całkiem obcego. To był desperacki krok. A zatem Georgeanne, jej najlepsza przyjaciółka, miała wszelkie powody do obaw.

- Zadzwoniłam do ciebie, bo... chyba jestem w ciąży - wyjaśniła Mary niezbyt

mądrze.

- Mary! To cudowne! Uważaj na siebie!

- Oczywiście.

- Powiedz Travisowi, żeby cię zawsze wyręczał w podnoszeniu...

- Travis o niczym nie wie.

Georgeanne zagdakała jak zgorszona kwoka.

- Czemu, na miłość boską?! Przecież ma zostać tatusiem!

- Nie powiem mu nic, póki sama nie będę całkiem pewna. Czuję się jak pijana ze szczęścia, Georgeanne! Ilekroć pomyślę o dziecku, chce mi się płakać z radości!

- Jak myślisz, co na to powie Travis?

Mary roześmiała się. Nieraz zadawała sobie to pytanie. Miała wrażenie, że jej mąż ani razu nie pomyślał o takiej ewentualności.

- Będzie w siódmym niebie!

Zaskoczony, ale uradowany. Mary była tego pewna.

- Zawiadomisz mnie natychmiast po wizycie u doktora, prawda?

- Oczywiście - zapewniła ją Mary.

Tilly przesiedziała całą noc na fotelu w saloniku. Nie spała. Nie jadła. Nawet nie płakała od chwili, gdy odkryła w garażu uszkodzony samochód Logana. Jeszcze jeden kawałek łąmigłówki znalazł się na właściwym miejscu. Teraz było jasne, dlaczego Logan kupił sobie nowe auto, choć stary wóz był w dobrym stanie. Jakaż z niej idiotka, że od razu nie skojarzyła tego zakupu z wypadkiem Thompsonów!

O wschodzie słońca Tilly wiedziała już, jak ma postąpić. Spakowanie się nie stanowiło problemu, robiła to już nieraz. Grandview dało jej szansę na nowe życie, ale popełniła te same błędy co zawsze, uwierzyła w te same kłamstwa. Kiedyż wreszcie nabierze rozumu? Pewnie nigdy.

W dłoni ścisnęła kurczowo pierścionek od Logana. Uparł się, żeby go zatrzymała - i Tilly zgodziła się nie wiedzieć czemu. Pewnie po to, żeby jej przypominał, jaką była idiotką. I na pamiątkę cudu, który omal się nie ziścił.

Ręka rozboleła ją, ale Tilly nie rozwarła pięści. Nawet wówczas, gdy zaczęło boleć i ramię. Nie płakała. Była całkiem pusta w środku. Odrętwiała. Martwa - skazana na wieczną samotność.

Jakoś to wytrzyma. Udawało jej się przeżyć już tyle razy! Będzie znosić dzień po dniu. Godzinę po godzinie. A na razie minutę po minucie.

Nie pozwoliła sobie na wspomnienia o Loganie i o jego przerażonej, zbielełej twarzy, gdy zastał ją w swym garażu. Nie próbował niczego wyjaśniać, nie szukał usprawiedliwień. Była mu za to wdzięczna. Gdy Tilly go mijała, wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia, lekko i ostrożnie. Poprosił, by zatrzymała brylant.

Tilly nie miała pojęcia, skąd znajdzie na to siły, by pracować w tym dniu tak jak zwykle. Odpracuje swoją zmianę, a potem żegnaj Grandview w stanie Montana! Nic jej nie pozostało prócz złamanego serca i wspomnień, których wolałaby się pozbyć. Z tego samego powodu opuściła poprzednio Idaho. Jak tak dalej pójdzie, obskoczy wszystkie pięćdziesiąt stanów, umierając w każdym z nich po kawałku.

Do dziesiątej zapakowała do bagażnika swego wozu, chevy impala wszystkie swoje rzeczy, które miały jakąś wartość. Czy Marta zdoła jej wybaczyć, że zostawiła ją na lodzie?... Nie było to jednak największe zmartwienie Tilly. Czowała, że sama sobie też tego nie wybaczy. Nie ucieczki - to już stało się jej drugą naturą - ale zatajenia prawdy. Zatrzyma informację przy sobie, choć powinna udać się prosto do szeryfa. Jej ostatnim podarunkiem dla Logana było milczenie.

- Co z tobą, mała? - zapytała Marta, gdy Tilly weszła do kuchni. - Wyglądasz okropnie!

- Odchodzę - oznajmiła Tilly beznamiętnym tonem, przygotowana na

utarczkę. - Pora się stąd zbierać.

Marta wręczyła trzymany w ręku widelec swemu pomocnikowi i ruszyła za Tilly.

- Co ty u diabła wygadujesz? Znalazłaś tu dom, dziewczyno. Pasujesz do Grandview lepiej niż ja, choć się tu urodziłam i wychowałam. Klienci za tobą przepadają.

- Odchodzę, Marto. - Nie chcąc się sprzeczać z szefową, Tilly sięgnęła po ołówek i wpisała „specjalność dnia” na odwrocie swojego bloczku.

- Odchodzisz? - zawołała Marta, biorąc się pod boki. - Myślałam, że masz więcej rozumu!

- Ja też - mruknęła Tilly - ale nie mogę tu zostać. I nie zostanę.

Marta zastanowiła się nad jej słowami. - Chodzi o synalka doktora, tak?

Tilly nie odpowiedziała na pytanie.

- Była pani dla mnie bardzo dobra. Sally też. Bardzo mi was będzie brakowało.

- W porządku - burknęła Marta, wznosząc ku górze ręce. - Widzę, że się już zdecydowałaś. Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, że ile razy znajdę przyzwoitą kelnerkę, zaraz się zakocha. I to jest początek końca.

Tilly całkowicie się z nią zgadzała. Miłość była dla niej zawsze początkiem końca, bo wiecznie popełniała ten sam głupi błąd. Za każdym razem wmawiała sobie, że wszystko będzie dobrze, inaczej niż dotąd. Gdy zjawił się Logan, była tego pewna - ale poprzednio też miewała złudzenia.

Opasała się fartuchem i weszła na salę, by zastąpić Susan, gospodynię domową dorabiającą „U Marty” na pół etatu.

Tilly nie zrobiła nawet dwóch kroków, gdy zobaczyła Logana. Przez kilka sekund, zanim się pozbierała, cieszyła się jego bliskością. Wyglądał, jakby cierpiał tak samo jak ona. Wcale jej to nie pocieszało. Musiał wyczuć obecność Tilly, gdyż

odwrócił się w jej stronę.

W pierwszym odruchu chciała uciekać. Logan jednak uniemożliwił jej to. Jego wzrok trzymał Tilly na uwięzi równie mocno jak policyjne kajdanki.

- Witaj, Tilly. - Zauważyła, że spojrzał na jej palec, z którego zdjęła pierścionek. W oczach Logana pojawił się błysk bólu, ale zaraz zgasł.

- Logan...

- Daj mi jeszcze dwadzieścia cztery godziny.

- Na co?

Ależ ten facet miał tupet!

- To ostatnie, o co cię proszę.

- Bardzo mi przykro - odparła, śmiejąc się ironicznie. - To o szesnaście godzin za dużo. Gdy skończy się zmiana, opuszczam Grandview.

Logan skinął głową. Powoli uniósł dłoń ku twarzy Tilly i dotknął palcem jej policzka.

Tilly poczuła, że słabnie, ale oprzytomniała w porę i odskoczyła.

- Już idę, Pete! - powiedziała do kierownika składu pasz, który zajął miejsce przy barze.

Prawie pognała, by nalać mu kawy.

Logan odwrócił się i wyszedł.

Ręce trzęsły się Tilly tak bardzo, że się oparzyła. Fizyczny ból przyniósł jej ulgę. Poczowała, że jeszcze żyje.

Pięć minut po wyjściu Logana zjawił się w lokalu Travis Thompson i usiadł na stołku przy barze.

- Tilly, czy Mary tu zaglądała?

- Nie widziałam jej - odparła, unikając jego spojrzenia.

Travis i Mary stanowili kolejną przyczynę, dla której musiała opuścić miasto. Byli jej przyjaciółmi, a ona tę przyjaźń zdradziła, pozostawiając Trávisa i dzieci w

bolesnej nieświadomości.

- Wybrała się do miasta, nie wiem dokładnie dokąd.

- Jeśli tu zajrzy, powiem, że jej szukasz - obiecała Tilly, odbierając z kuchni danie zamówione przez Pete'a.

Postawiła przed nim talerz i dołała mu kawy.

- Asystentka doktora Andersena zadzwoniła do nas, żeby odwołać popołudniową wizytę Mary. A ja, do diabła, nie miałem pojęcia, że ona wybiera się do lekarza! - Travis położył kapelusz na barze. - Napiję się kawy - powiedział, drapiąc się w głowę. - Po co Mary zamawiała wizytę u doktora?!

Tilly podała mu kawę.

- Może już pora zdjąć gips Beth Ann?

- Jeszcze nie. A poza tym chodziło o Mary, nie o małą.

- Travis! - powiedziała Tilly, której zabrakło już cierpliwości do mężczyzn, zwłaszcza tępych. - Zastanów się!

- Nad czym? - burknął.

- Kiedy kobieta przede wszystkim musi poradzić się lekarza?

- Gdybym wiedział, tobym ci chyba nie zawracał głowy?

- A nie przyszło ci na myśl, że Mary może być w ciąży?

- W ciąży? - ryknął Travis i parsknął trzymaną w ustach kawą. Zerwał się z miejsca, chwycił kapelusz i wbił go sobie na głowę. - W ciąży! - Nogi odmówiły mu posłuszeństwa. - To przecież... - Urwał, gdyż prawda wreszcie do niego dotarła. - To przecież całkiem możliwe! - przyznał.

- Halo!... Czy tu ktoś jest? - Mary stała pośrodku pustej poczekalni doktora Andersena. Zazwyczaj trudno w niej było znaleźć wolne miejsce.

Mary oparła o biurko recepcjonistki swoją torbę i zaczęła w niej grzebać, szukając terminarza. Chciała sprawdzić, czy nie pomyliła godziny.

Zaskoczył ją jakiś hałas, brzęk tłuczonego szkła. - Halo! - zawołała znowu. -
Czy tu ktoś jest?

Cisza.

- Halo! - powtórzyła nieco głośniejszym głosem, wchodząc na korytarz wiodący do gabinetu lekarza. - To ja, Mary Thompson. Czy zastałam doktora Andersena?

- Mary... - Usłyszała własne imię wymówione chrapliwym głosem i zaraz potem zobaczyła siedzącego za biurkiem doktora. Miał dzikie spojrzenie i wykrzywioną twarz. W jednej ręce trzymał butelkę whisky, w drugiej niewielki pistolet.

- Panie doktorze?...

- Mary... milutka Mary Thompson... - Doktor pokrzepił się potężnym łykiem whisky.

- Co się stało, panie doktorze? - spytała, spoglądając na broń.

- Zmykaj! - Machnął w jej stronę pistoletem. - Wynoś się stąd!

Mary zdrętwiała. Instynkt samozachowawczy nakazywał odwrócić się na pięcie i uciec. Równocześnie coś przykuwało ją do miejsca - może strach? A może przekonanie, że doktor nie chce wyrządzić jej krzywdy? Inaczej nie należałoby, żeby wyszła.

- Więc pan pije - powiedziała cicho.

Doktor rozplakał się i wstał, opierając się o ścianę.

- Proszę mnie posłuchać! Można przecież panu pomóc.

- Już nie - przerwał jej doktor. - Idź sobie. Mary! Na miłość boską, zostaw mnie w spokoju!

- Jeżeli odejdę - odparła - zrobi pan coś strasznego...

- Już to zrobiłem.

Mary nie wiedziała, czy ma z nim dyskutować, czy lepiej nie.

- Całe miasto potrzebuje pana - powiedziała. - Wszyscy pana szanują i

kochają.

- Powiedz im, że bardzo tego żałuję! - zawołał i zatoczył się do przodu. - To był wypadek... Nie chciałem nikomu zrobić krzywdy. Powiedz... powiedz to dzieciom ode mnie.

- Doktorze, nie rozumiem, o czym pan mówi. Proszę oddać broń, a potem opowie mi pan o wszystkim. Nikt pana nie będzie nienawidził.

Mary wydało się, że słyszy za plecami jakiś ruch, ale nie miała odwagi spuścić doktora Andersena z oczu.

- Wkrótce się dowiesz... wszystkiego.

- Proszę pana, doktorze!

- Sam do siebie czuję wstręt... Powiedz Travisowi, że tak mi żal... Nie chciałem nikogo zabić! - krzyknął znowu. - Lee i Janice byli tacy dobrzy... Nie powinni byli umierać. Tak mi przykro... Powiedz Travisowi...

- Sam mu to powiedz, stary! - odezwał się zza pleców Mary głos Trávisa.

Rozdział 21

- Stań za mną! - rozkazał Travis, zasłaniając żonę przed pistoletem, który doktor Andersen trzymał w ręku. Nie odrywał od niego wzroku.

- Zabiłeś Lee i Janice - stwierdził chłodno, osłaniając sobą Mary.

Modlił się w duchu, żeby miała dość rozumu i wymknęła się, podczas gdy on odciągał uwagę doktora. Mary jednak stała za jego plecami, jakby wrosła w ziemię. Travis próbował odepchnąć ją do tyłu, ale trudno było zrobić to tak, by Andersen nie zauważył.

- Co ja teraz zrobię? - jęknął doktor, wymachując pistoletem w stronę Thompsonów.

- Najpierw oddasz mi broń - odparł Travis, wyciągając rękę.

- Nie! - zaprotestował gwałtownie Andersen. - Zamkną mnie do więzienia. Tego nie zniosę! - Zrobił kilka chwiejnych kroków z pistoletem wycelowanym w Mary.

Travis zastygł w bezruchu. Wszystkie jego zmysły wyostrzyły się tak że najlżejszy szmer rozbrzmiewał mu w uszach potężnym echem. Dosłownie czuł zapach strachu doktora. I własnej trwogi.

Potem powoli, ostrożnie zrobił krok w stronę doktora.

- Nie zbliżaj się!

- Odłóż broń - przekonywał Travis. - Nie chcesz przecież zrobić nic złego!

- Nie mogę... Nie zrobię wam krzywdy. Zostawiłem list. Dwa listy. Do ciebie i do Logana. O, Boże... Logan... mój jedyny syn. Usiłował mi pomóc... a ja zламаłem mu życie... Tak się starał. Nigdy nie byłem dobrym ojcem... - Płakał już bez opamiętania.

Travis zrobił następny krok.

- Cofnij się!

Lufa pistoletu zionęła przed oczami Trávisa jak olbrzymia paszcza armatnia. Mary stała za nim, ale w tej sytuacji nie była to wielka pociecha. Żona nie potrafiła zachować się normalnie, na przykład wymknąć się i zawiadomić szeryfa. Doktor był niewątpliwie niebezpiecznym szaleńcem: nałóg i wyrzuty sumienia odebrały mu rozum.

- Nie chciałem zrobić ci krzywdy... Wcale tego nie chciałem.

- Wiem.

- Bardzo cierpiełeś? - Doktor upuścił butelkę, znów zrobił kilka chwiejnych kroków. - Czy to był straszny ból? Nieraz o tym myślałem. Na miłosierdzie boskie, dlaczego nie dawałeś mi zasnąć?

- O czym ty mówisz?

- O nocy, kiedy cię zabiłem! - krzyknął niecierpliwie doktor.

Travis przez chwilę milczał, potem powiedział spokojnie:

- Nie, wcale nie cierpiałem. Moja żona także nie.

Zbliżał się do doktora wolno. Każdy gwałtowniejszy ruch mógłby zerwać ostatnią nić łączącą jeszcze Andersena ze światem ludzi normalnych.

- Ja... też cierpiałem... każdego dnia... każdej nocy. Nie mogłem spać, żadne leki nie pomagały... nawet whisky.

- Wiem, że tego zabijesz - powiedział Travis.

- Wiesz o tym?

Travis skinął głową.

- Janice także ci wybacza.

- Dzieci... Nie mogłem znieść ich widoku: zabiłem im przecież rodziców.

- Oboje z Janice wiemy, że to był tylko straszny wypadek. Nie chciałeś zrobić nam nic złego.

Ramiona doktora trzęsły się od płaczu.

- Ja... zepchnąłem was z szosy i nie zatrzymałem się. Jestem lekarzem... ale się nie zatrzymałem. To było najgorsze: wiedziałem... że mogłem was uratować, gdybym nie był taki przerażony. Na pewno mnie nienawidzisz...

Ja siebie też nienawidzę.

- To był wypadek - powtórzył Travis.

- Ja...ja przestałem pić. Przysiągłem Bogu i samemu sobie, że nie będę... i nie tknąłem whisky... przez wiele tygodni... - Jego oczy padły na pustą butelkę na podłodze. - Muszę pić! - krzyknął. - Nie znoszę whisky... wcale nie chcę jej pić, ale bez niej nie wytrzymałbym ani jednego dnia!

- Tato!

Zza pleców Trávisa rozległ się spokojny głos Logana Andersena.

- Logan... odejdz!

- Oddaj mi broń.

- Nie...nie. Muszę z tym skończyć!

- Tato, sam nie wiesz, co robisz. Jesteś chory. Ja się wszystkim zajmę. - Logan wyminął Trávisa, idąc w stronę ojca.

- Już nie... Już nikt mi nie pomoże. Muszę umrzeć... - Doktor przytknął sobie pistolet do głowy.

- Tato, nie! - krzyknął Logan i skoczył ku niemu.

Travis widział wszystko jak na zwolnionym filmie. Logan rzucił się ku ojcu; wydawało się, że płynie w powietrzu. Schwycił obiema dłońmi rękę trzymającą broń.

Pistolet wystrzelił; siła podmuchu odrzuciła Trávisa pod ścianę. Nie zdawał sobie sprawy, że był tak blisko doktora.

Mary rozpaczliwie powtarzała imię męża.

- Nie...nie! - Hysteryczny szloch doktora złączył się z krzykiem Mary. Starzec zupełnie opadł z sił; twarz miał wykrzywioną bólem.

Logan trzymał się za ramię. Na koszuli i marynarce z każdą chwilą powiększała się ciemna, mokra plama. Odruchowo zacisnął dłoń na ranie i cofnął się, zataczając się i trzymając ściany. Potem osunął się po niej do pozycji siedzącej. Strużki krwi przesączały się przez zaciśnięte palce i spływały po rękę Logana. Oczy miał zwrócone ku ojcu, ale Travis zauważył, że są zupełnie puste. Wreszcie Logan całkowicie stracił równowagę i zwałił się na bok.

Travis wyjął broń z ręki doktora.

- Mój syn, mój syn... Zabiłem własnego syna! - Pod doktorem załamały się kolana i runął na twarz.

- Travis... - Był to ledwo dosłyszalny szept. Odwrócił się i zobaczył, że i jego żona, biała jak alabaster, ciężko, bezwładnie pada na podłogę.

Tilly siedziała cierpliwie przy szpitalnym łóżku. Czuwała tu od chwili gdy

dowiedziała się, że Logan został postrzelony, a jego ojca aresztowano za spowodowanie śmierci Lee i Janice Thompsonów. Tilly nadal miała na sobie różowy uniform kelnerki i ścisnęła w ręku kłęb przemoczonych chusteczek higienicznych.

Gdy Tilly zjawiała się w szpitalu, Logana właśnie operowano. Krążyła po korytarzu, czekając na wynik operacji; nie była pewna, czy Logan przeżyje. Kiedy dowiedziała się, że jego życiu nic już nie grozi, zupełnie się rozkleiła. Kilka następnych godzin spędziła przy łóżku Logana, czuwając z miłością nad jego snem i czekając, aż się obudzi.

Był taki blady... Boże święty, blady jak śmierć! Twarz miał kredowo białą, na czole drobniutkie krople potu. Tilly obawiała się, że trawi go gorączka. Pragnęła dotknąć Logana, przesunąć ręką po jego drogiej twarzy, objąć go ramionami. Kilka godzin temu zamierzała uciec przed nim, ale teraz, gdy poznała prawdę, nic nie było w stanie oderwać jej od niego.

Uspokajał ją równy oddech Logana; pragnęła, by miał spokojny sen, by nic go nie bolało.

Po jakimś czasie - Tilly nie miała pojęcia, jak długo to trwało - dostrzegła, że Logan otworzył oczy i wpatruje się w nią. Patrzył tak, jakby nie mógł uwierzyć, że Tilly tu naprawdę jest.

- Cześć... - szepnęła.

- Tilly?...

- Twoje szczęście, że nie pomyliłeś mnie z jakąś inną babą! - zażartowała. Nie miałyby nic przeciwko temu, by wziął ją za anioła, ale wysłannicy niebios rzadko kiedy mają zaczerwienione i zapuchnięte od płaczu gęby i przywdziewają różowe kelnerskie uniformy. - Jak się czujesz? - odważyła się spytać.

Logan zwilżył wargi.

- Jakbym miał w ramieniu dziurę jak stąd do Kansas.

- Czemu mi nie powiedziałeś? - spytała Tilly. - Czemu pozwoliłeś mi wierzyć, że to była twoja wina?

Logan przymknął oczy. Tilly pojęła, że nie powinna męczyć go pytaniami - był za słaby! Później będzie na to dość czasu.

- Tata zabrał mój samochód i wrócił po kilku godzinach przerażony, pijany i w szoku. Wiedziałem, że coś się stało. Gdy się załamał i wyznał mi, co zrobił, nie zdołałem się opanować. Nie miałem w ustach alkoholu od lat. Myślałem, że już nigdy mnie nie skusi. Ale to choroba, Tilly, podstępna i nieubłagana. Przywlokłem się wtedy do ciebie, pamiętasz?

Tilly skinęła głową.

- Właśnie tamtej nocy zdałem sobie sprawę, że cię kocham. Byłaś jedyną istotą, o której pomyślałem, kiedy cały świat mi się zawalił.

- Już dobrze, nie musisz mi teraz wszystkiego opowiadać. Odpocznij.

- Jestem prawnikiem... dobrze wiedziałem, że kryjąc ojca, popełniam przestępstwo.

- To przecież twój ojciec.

- On jest chory, Tilly.

- Wiem.

- Pił nałogowo od lat, już wtedy, gdy byłem młodym chłopcem. Bóg raczy wiedzieć, jak zdołał to ukryć. Nigdy nie pił podczas pracy, a jego życie prywatne wydawało się całkiem normalne. Od tak dawna żył w zakłamaniu, że nie potrafił znieść prawdy. Ten wypadek zmusił go, by spojrzeć prawdzie w oczy.

Tilly ujęła Logana za rękę.

- Pozwoliłbyś mi odejść?

- Nie miałem wyboru. Przekonywałem tatę bez końca, błagałem go. Za każdym razem przyrzekał, że odda się w ręce policji, ale ciągle zwlekał z tym, szukał jakichś wymówek. Strasznie się o to kłóciliśmy. Groziłem setki razy, że go

wydam, ale nie mogłem tego zrobić. Jak donieść na własnego ojca?...

Tilly kciukiem gładziła nadgarstek Logana.

- Nie mogłem ci o tym powiedzieć, Tilly, nie mogłem jeszcze i ciebie obarczać tym brzemieniem. Poszedłem do ojca, powiedziałem mu o nas. Myślałem, że skłonię go do tego, by postąpił honorowo - a doprowadziłem go do szaleństwa.

- To przecież nie twoja wina!

- Świadomie nie obwiniam się o to, ale podświadomie chyba tak. Sprawy nie powinny były zajść aż tak daleko. Mówiłaś, że chcesz utorować mi drogę, skłonić Tralisa, by mi wybaczył... To samo usiłowałem zrobić dla ojca. Powiniennem być rozsądniejszy. Ledwie jestem w stanie uporać się z własnymi problemami! A ojcu w niczym już nie pomogę... Zresztą nigdy nie miał we mnie prawdziwej podpory. Wmawiałem sobie tylko, że każdy mój wysiłek musi być ojcu pomocny, bo tyle mnie samego kosztuje! Nie miałem racji. Właśnie przeze mnie omal nie doszło do kolejnej tragedii.

- Tak bardzo chciałam ci wierzyć - ale nie mogłam...

- Nie dziwię się, kochanie. Podziwiałem, jaka jesteś silna.

- Ja silna? Mylisz się. Jestem słaba. Zawsze byłam. Wiesz? Miałam dziecko - szepnęła - i oddałam je obcym ludziom. Od dawna chciałam ci o tym powiedzieć. On ma teraz trzy latka.

- Ciiicho. - Ręka Logana pochwyciła jej dłoń. - To już nie ma znaczenia. Nic z przeszłości się nie liczy. Zrobiłaś to, co było wówczas najlepsze dla ciebie i dla twojego synka.

- Naprawdę tak było... ale chyba powinieneś wiedzieć, co sobie bierzesz na kark. - Tilly odwróciła wzrok nie mogąc uwierzyć, że spotkała tak cudownego mężczyznę.

- Zawsze wiedziałem, jaka jesteś, Tilly, i nie chcę, żebyś była inna.

- Powinieneś był jednak powiedzieć mi o swoim ojcu - szepnęła.

- A uwierzyłabyś mi? Przemyśl to sobie, kochanie. Wszystko wskazywało na mnie. Widziałaś mnie tamtej nocy kompletnie pijanego. Tata jechał moim samochodem. Mogłem ci tylko przysiąc, że to nie byłem ja - i nic więcej.

- A pierścionek zaręczynowy?

- To nie była łapówka - powiedział Logan, a w jego ciemnych oczach błyszczała szczerość. - Mówiłem serio, że cię kocham, i że chcę, żebyśmy byli zawsze razem.

- Tym lepiej, bo tego pierścionka już nie zdejmę z palca. Nie zdejmę go za żadne skarby! Masz jak najszybciej wyzdrowieć, bo musimy odrobić masę straconego czasu. I nie ma mowy o długim narzeczeństwie!

Ich oczy spotkały się. Logan uśmiechnął się szeroko i urzekająco.

- Masz to jak w banku!

- Liczę na to! Co więcej, dowiedz się, że skończyłam z pigułkami.

Logan uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Przekonasz się: dzień, dwa, i wszystko będzie po twojej myśli!

Tilly pociągnęła nosem i przesunęła ręką po twarzy.

- Kochanie, nie płacz!

- Nic na to nie poradzę. Jestem cholernie szczęśliwa!

- W porządku. I tak trzymać przez następne pięćdziesiąt lat!

- Dlaczego, do cholery, nie wyszłaś? Nie zauważyłaś, że doktor zwariował, czy co?! - ryknął Travis, gdy tylko opuścili biuro szeryfa.

Stracili tam wiele godzin na składanie zeznań i różne inne bzdury. Tucker uważał, że wszystko to jest konieczne. Cierpliwość Trávisa dawno się już wyczerpała.

Travis wiedział, że jego gniew całkiem niesłusznie zwrócił się ku Mary, ale nie potrafił się opanować. Gdy pomagał jej wsiąść do pikapa, położyła mu rękę na

ramieniu.

- Przytul mnie! - poprosiła cichutko.

Travis chwycił Mary w ramiona, nie mogąc nacieszyć się, że ma ją znów przy sobie, ciepłą i żywą. Jego ręce zatonęły we włosach żony; czuł jej lekki, słodki oddech na swojej skórze. Pachniała jak róże i fiołki.

- Tak się o ciebie bałem!

Travis objął ją mocniej. To była jego kobieta, a on przeżył właśnie jedną z najstraszliwszych godzin swojego życia. Gdy zagroził drogę doktorowi, który celował z pistoletu do jego żony, myślał tylko o tym, że Mary nie może zginąć, choćby on sam miał to przypłacić życiem! Gdy zemdląca, dla Trávisa czas nagle stanął, owładnęła nim trwoga na myśl, że Mary została postrzelona. Długo trwało, zanim się zorientował, że to tylko omdlenie.

- Wracajmy do domu - powiedział z głębokim westchnieniem.

Począł, aż żona wygodnie się usadowi, a potem zamknął drzwi. Zajął miejsce obok niej i uruchomił silnik. Gdy tulił Mary do siebie, czuł, że jego gniew słabnie. Teraz zacisnął ręce na kierownicy.

- Mogłaś mi powiedzieć! - wyrzucił z siebie.

- Travis, bardzo mi przykro, naprawdę. Nie należało ukrywać tego przed tobą. Powinnam była powiedzieć ci o tym wcześniej.

- Pewnie, do cholery!

Mary zbladła, słysząc te gwałtowne wyrzuty, ale Travis nie mógł się opanować. Miał zostać ojcem, całe miasto już o tym wiedziało, tylko nie on!

- Miałam zamieszkać na ranczu... gdybym ci powiedziała wcześniej, moglibyście z dziećmi wybrać kogoś innego, a ja...

Travis zaklął soczyście.

- O czym ty mówisz, do ciężkiej cholery?!

- O tym, że nie mogę znieść widoku krwi. Właśnie dlatego zemdląłam. A ty

myślałeś, że o czym?

- Myślałem, że jesteś w ciąży.

Zmienił biegi z całkiem niepotrzebną energią.

- Wiesz już o tym?

- Miałaś zamiar trzymać to przede mną w sekrecie?

- Oczywiście, że nie. Nie mówmy o tym, Travis, póki nie spojrzysz na całą sprawę rozsądnie.

- To by niestety zbyt długo trwało! - Travis dodał gazu, nie przejmując się zostawionym w mieście kombi.

Wróć po nie później. Teraz chodziło mu tylko o to, by Mary jak najszybciej znalazła się w domu, w łóżku. I w jego ramionach. Dopiero wówczas opuści go trwoga. Zmieniając znowu biegi, zauważył, że ręce mu się trzęsą. Opóźniona reakcja. Jego serce nie uspokoiło się nawet teraz. Był twardzielem i zabijaką, wiódł mocne życie, igrał z niebezpieczeństwem, nawet ze śmiercią - ale nigdy nie znał trwogi.

Poczuł ją dopiero wówczas, gdy zobaczył szaleńca z pistoletem wymierzonym w jego żonę. Na myśl o tym trząsał się nawet po upływie kilku godzin, uświadamiając sobie, że o mały włos nie stracił Mary.

- Chciałam ci zrobić niespodziankę.

- Kiedy zamierzałaś mnie o tym poinformować? Na porodówce?

- Nie bądź śmieszny!

Travis zaklął pod nosem i zerknął na żonę. Siedziała prosto, z rączkami złożonymi na podołku - ta biblioteczna trusia, która wtargnęła jak burza w jego życie.

- No i co? - spytała z przesadnym westchnieniem, jakby nie mogła się czegoś doczekać. - Co ty na to, że będziemy mieli dziecko? Zadowolony jesteś?

Większość mężów pewnie w takiej chwili zdobywa się na jakieś poezje i

ckliwości. Coś w tym sensie, że szczęście aż im zapiera dech! Mary zasługiwała na wszystkie te piękne słówka. Travis czuł na sobie jej badawczy wzrok, gdy czekała na odpowiedź.

- Tilly mi o tym powiedziała. O mały włos nie zakrztusiłem się kawą, jeśli już musisz wiedzieć.

Mary roześmiała się cicho, a Travis spojrzał na nią czule. Cholera, ależ ją kochał! Była głupia i uparta, ale nikt nie miał takiej żony jak on, takiej nadzwyczajnej kobiety!

I jak tu uważać na drogę, gdy Mary była taka śliczna? Miała zaróżowione policzki, a jej niebieskie oczy śmiały się do męża. Wietrzyk buszował w jej włosach, fruwały we wszystkie strony.

- Wiedziałam, że to będzie dla ciebie szok. Ale miałam nadzieję, że będziesz równie szczęśliwy jak ja. I co, jesteś?

Travis skinął głową.

- Do licha, Mary, gdy tylko Tilly o tym wspomniała, pomyślałem, że to musi być prawda. Zrozumiałem, jak bardzo chcę, żeby tak było. Przypomniałem sobie, jaki Lee był szczęśliwy, kiedy Janice mu powiedziała, że Jim jest w drodze. Przyszedł wtedy do mnie, omal nie wylazł ze skóry! Miał taki głupi wyraz twarzy! Kiedy mu o tym wspomniałem, tylko się roześmiał. Bardzo mi brak Lee. Był mi nie tylko bratem, ale i przyjacielem. Odkąd odszedł, miałem tu jakąś straszną dziurę. (Travis uderzył się pięścią w okolicę serca.) Zarosła, gdy usłyszałem, że jesteś w ciąży. Po raz pierwszy od śmierci Lee poczułem jego obecność. Tak, Mary, cieszę się, że urodzisz mi dziecko. Nic w świecie nie mogłoby mnie bardziej uszczęśliwić.

- Nawet bliźniaki?

- Bliźniaki?! - wykrztusił. - Kpisz, czy co?

- Cóż, chyba jeszcze za wcześnie, by się o tym przekonać, ale w mojej

rodzinie często się zdarzają bliźnięta. Moja mama była jedną z bliźniaczek, i...

Travis zjechał na pobocze, przerzucił na bieg jałowy i wyciągnął ramiona do żony. Jak przyciągnięta magnesem przytuliła się do jego piersi i objęła go swymi smukłymi dłońmi.

- O Boże, jak ja cię kocham!

- I ja cię kocham.

Travis nigdy nie przypuszczał, że będzie aż tak szczęśliwy z tą podstarzałą brzydulką, która wysiadła z samolotu - ale to było przedtem, nim zdobyła szturmem jego serce. Teraz nie wyobrażał sobie życia bez niej. Mary była jego oknem na świat, jego słońcem, jego kochaniem.

Przytuliła się do niego i ziewnęła.

- Jestem taka zmęczona. Nie wiem jak ty, ale ja miałam męczący dzień.

- Chyba ja też. - Trávisa rozbawiło takie delikatne określenie sytuacji.

Dodał gazu i po kilku minutach byli już w domu.

Gdy tylko wjechali na dziedziniec, Jim, Scotty i Beth Ann zbiegli po schodkach. Travis wyskoczył pierwszy i pomógł wsiąść Mary.

- Słuchajcie, dzieciaki, mamy wam coś do powiedzenia.

- O doktorze Andersenie? - spytał Scotty. - Już wiemy. Billy Jenkins zadzwonił i powiedział, że doktora zawiozą do szpitala dla wariatów i że Logan został postrzelony. I że Mary zemdląa, a wujek rozstawia wszystkich po kątach i rządzi się jak szara gęś. I Billy powiedział, że czulisz się do Mary przez cały czas.

- Skąd, u diabła, Billy Jenkins miał takie wiadomości?

- Od swojej matki, a ona od Hester Johnson. A jej nie wiem kto powiedział.

- Wchodźcie do środka! - nalegał Travis.

Mary popędziła przed sobą dwoje młodszych dzieci. Jim został w tyle razem z Travisem.

- Miałeś rację, wujku - przyznał Jim, wtykając ręce do kieszeni.

Travis był pewien, że minie dobrych dziesięć albo i piętnaście lat, nim znowu usłyszy te słowa z ust Jima.

- Wszystko samo wyszło na jaw - wyjaśnił bliżej Jim.

- Doktor jest chory. Chyba nie wymyślilibyśmy dla niego cięższej kary niż jego własne wyrzuty sumienia - powiedział Travis.

Jim skinął głową.

- Mama i tata wcale by nie chcieli, żebyśmy go znienawidzili.

Travis stał nadal u podnóża schodów.

- Mam ci coś jeszcze do powiedzenia. Mary spodziewa się dziecka.

Biorąc pod uwagę szybkość rozchodzenia się miejscowych plotek, Jim mógł pewnie dowiedzieć się tego wcześniej od niego!

- Naprawdę?

Travis przytakując, uśmiechnął się szeroko.

Jim postawił nogę na pierwszym stopniu i potrząsnął głową.

- Pamiętam, jak mama była w ciąży z Beth Ann. Powiem ci szczerze, wujku: nie wiem, jak ja to drugi raz wytrzymam.

Travis z trudem powstrzymał się od śmiechu. Objął Jima ramieniem i obaj weszli do domu. Mary zapędziła już do roboty Scotty'ego i Beth Ann. Sama stała przy zlewie i płukała ziemniaki na kolację.

Travis zdjął kurtkę i kapelusz, i stanął za żoną. Objął ją w pasie i położył jej rękę na brzuchu. Mary nakryła ją swoją dłonią.

- Znowu się będziecie czulić? - spytał ciekawie Scotty.

- Poczekaj, aż ci powiem, czego się dowiedziałem od wujka! - odezwał się z tyłu Jim.

Mary podniosła głowę i spojrzała na męża.

- Powiedziałeś Jimowi?

Travis skinął głową.

- Byłem zaskoczony, że jeszcze o tym nie słyszał. Wszyscy inni już wiedzą. -
Ze śmiechem objął żonę ramionami i zobaczył, że ich dwa cienie złączyły się w
jeden.

Travis Thompson znalazł wreszcie upragniony spokój.